

BESTSELLER  
SUNDAY  
TIMES

Mark  
**Billingham**

**NAŚLADOWCA**

Seryjni zabójcy  
bywają genialni...

Mark Billingham

# Naśladowca

Przełożył  
Robert P. Lipski



# Spis treści

Dedykacja

PROLOG Debbie i Jason

CZEŚĆ PIERWSZA CAŁKIEM NOWE CIERPIENIE

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

CZEŚĆ DRUGA DECYDUJĄCE ZDARZENIA

PÓŹNIEJ Sally i Buzz

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

## CZEŚĆ TRZECIA GRA ZRĘCZNOŚCIOWO-STRATEGICZNA

PÓŹNIEJ Nina

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

CZĘŚĆ CZWARTA WSZYSTKO, CO POZOSTAJE

PÓŹNIEJ Michael

44

PODZIĘKOWANIA

*Dla Davida Shelleya*

# PROLOG

## Debbie i Jason

– No chodź, ptaszyno! Pogwizdźmy na pociągi.

Debbie Mitchell ciągnie syna za rękę, ale on szarpie mocno w przeciwną stronę, w kierunku czekoladowego labradora, nad którym stara się zapanować staruszka.

– Ciuch, ciuch – rzuca Debbie, wydymając policzki. – No chodź, to twoje ulubione...

Jason szarpie się mocniej; jest silny, gdy tego chce. Dźwięki, jakie wydaje, oscylują pomiędzy jękiem a stęknieniem. Ktoś mógłby pomyśleć, że cierpi, ale Debbie rozumie go całkiem dobrze.

– Pies – mówi chłopiec. – Pies, pies!

Staruszka z labradorem uśmiecha się do Jasona – często widuje tych dwoje w parku – po czym robi tę samą smutną minę co zawsze, kiedy spogląda na jego matkę.

– Biedactwo – mówi. – On wie, że mam w kieszeni trochę smakołyków dla mojego Buzza. Chce dać mu kilka, prawda?

Pies, słysząc to, wrywa się mocniej w stronę chłopca.

– Przykro mi. Musimy iść – mówi Debbie i ciągnie Jasona za rękę, ale on tym razem krzyczy z bólu. – Już...

Debbie idzie szybko, co kilka kroków oglądając się przez ramię



i ponagłając Jasona.

– Ciuch, ciuch – powtarza, próbując ukryć strach w swoim głosie, bo wie, jak łatwo on wychwytuje takie emocje.

Chłopiec zaczyna się uśmiechać, szybko zapomina o psie. Biegnie obok niej, wydając po swojemu odgłosy przypominające jadące pociągi.

Pies zaczyna szczekać gdzieś z tyłu, kiedy Debbie odchodzi pospiesznie. Staruszka – jak jej było na imię: Sally? Sarah? – chciała dobrze, ale każdego innego dnia Debbie powiedziałyby coś. Uśmiechnęłyby się, ukrywając rozdrażnienie, i wyjaśniłyby, że Jason nie był żadnym biedactwem. Że nie było nigdy dziecka szczęśliwszego ani bardziej kochanego.

Jej cudowny chłopiec. Niedługo skończy dziewięć lat, już miał włoski na nogach i stale nosił przydużą koszulkę Arsenalu. I prawie na pewno nigdy nie będzie w stanie samodzielnie jeść ani ubierać się.

– Pociąg – mówi Jason. Próbuje powiedzieć.

Debbie szybkim krokiem przechodzi przez plac, mijając ławeczkę, na której zwykle przysiadła na chwilę, na której w upalne dni czasami jadaliby lody, a gdy wchodzi na boisko do piłki nożnej, Jason wyrywa się naprzód. Przychodzi tu od paru lat i kiedy przyspiesza kroku, zmierzając w stronę znajomej linii drzew, które rosną wzdłuż linii torów, uświadamia sobie, że nawet nie wie, czy to miejsce ma jakąś nazwę. To nie Hampstead Heath ani Richmond Park – latem zeszłego roku działał tu migacz sygnalizacyjny i niekiedy wieczorami miejscowe dzieciaki rozpałały ognisko – ale to było ich miejsce.

Jej i Jasona.

Debbie znów ogląda się za siebie i maszeruje dalej. Idzie, przewyciężając w sobie chęć rzucenia się do ucieczki, obawiając się, że gdyby ktoś zobaczył, co ona robi, mógłby próbować ją powstrzymać. Nie widzi mężczyzny, którego wypatruje, przyspiesza kroku, by zrównać się

z Jasonem. Chłopiec zatrzymał się na wprost bramki, by wyegzekwować wymagowanego karnego, tak jak zawsze. Robi to bez względu na to, czy trwa mecz, czy też nie, a chłopcy, którzy tu grają, przywykli, że on podbiega, by strzelić „karnego”, a potem cieszy się z „gola”, wymachując rękami jak Ronaldo. Czasami wiwatują i żaden z nich już się nie śmieje ani nie robi min. Debbie mogłaby wyciągnąć za to tych gagatków. Od czasu do czasu przynosi im zimne napoje i obrane pomarańcze.

Ujmuje Jasona za rękę i kiwa głową w stronę mostu, sto metrów przed nimi, trochę w lewo.

Szybko idą w tym kierunku.

Normalnie przyszliby od drugiej strony, korzystając z wejścia naprzeciwko domu, w którym mieszkają, dzięki czemu mogliby przejść przez most. Nie musieliby się wspinać po plastikowych krzeselkach ani pokonywać płotu w ogródku jej przyjaciółki.

Ale to nie był zwyczajny dzień.

Kiedy Debbie znów się rozgląda, dostrzega mężczyznę po przeciwnej stronie boiska piłkarskiego. On macha ręką, a ona ze strachu omal nie fajda w majtki. Nie zdążyłby dotrzeć do nich na czas, nawet gdyby pobiegł. Ale czy na pewno? To, że on po prostu idzie, pewnym siebie, spokojnym krokiem, przeraża ją bardziej, niż sądziła, iż to możliwe. Ale też upewnia ją, że robi jedyną rzecz, jaką może zrobić. Wiedziała to, zanim jeszcze usłyszała go przez telefon. Ujrzała to w jego oczach i w tej przerażającej czerwonej plamie pod marynarką.

Mężczyzna znów macha do niej i zaczyna biec.

Na moście Jason zatrzymuje się w tym samym miejscu co zwykle i czeka na nią, wiedząc, że pomoże mu ona zobaczyć pociąg, kiedy nadjedzie. Wydaje się zdezorientowany, kiedy ona staje obok niego. Wydyma policzki i macha rękami.

Kiedyś była tu barierka ochronna, ale stopniowo ją usunięto, jak tylko ci, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, pokryli całą ścianę graffiti.

Kto kogo bzyknął, kto był idiotą. Kto tam bywał.

Debbie kładzie rękę na ramieniu Jasona, a potem zaczyna się podciągać, nie zważając na ból, gdy szoruje kolanami o cegły i powoli przesuwa brzuchem po górnej krawędzi. Bierze kilka szybkich oddechów, po czym wolno unosi jedną nogę, a następnie drugą, aby usiąść na murze. Nie ma odwagi, żeby spojrzeć w dół; jeszcze nie.

Rozgląda się wokoło, aby upewnić się, że nikt nie patrzy, i właśnie wtedy słyszy prawdziwego policjanta. Jest gdzieś niedaleko, po drugiej stronie mostu, nadchodzi z przeciwka. Głos mu się łamie i jest schrypnięty, gdy nawołuje ją po imieniu, a ona wie, że tamten biegnie. Wciąż woła i rozgląda się za nią, ale Debbie odwraca się.

Za późno, myśli. O wiele za późno.

Sięga rękoma w dół, aby podźwignąć Jasona z ziemi, a serce nieomal zamiera jej w piersi na widok uśmiechu ekscytacji malującego się na jego twarzy. Zawsze wcześniej go podnosiła na tyle wysoko, żeby mógł wyjrzeć spoza krawędzi i popatrzeć na przejeżdżające poniżej pociągi.

To zupełnie nowa przygoda.

Aż krzyczy z wysiłku, dźwigając go w górę, i przewycięża łzy cisnące się jej do oczu, gdy chłopiec siada obok niej, tuląc się i kołysząc nogami. On wyczuwa wibracje jako pierwszy na długo przed nią i zaczyna pokrzykiwać po swojemu.

Debbie czuje, że jej trzewia zmieniają się w wodę, i unosi wzrok, by ujrzeć pociąg wyłaniający się zza zakrętu w oddali. To skład z Totteridge i Whetstone. Ale i tak będzie jechał dostatecznie szybko.

Debbie sięga po dłoń syna i mocno ją ściska. Potem nachyla się i szepcze łagodne, sekretne słowo, wiedząc, że pomimo opinii licznych ekspertów

chłopiec ją rozumie. Wskazuje ręką i krzyczy, kiedy pociąg się zbliża, a wraz z nim narasta hałas. Ten uśmiech ją zabija.

Debbie zamyka oczy.

– Ciuch, ciuch – mówi Jason, pogwizdując na pociągi.

**CZĘŚĆ PIERWSZA**  
**CAŁKIEM NOWE CIERPIENIE**

# 1

– ... brak oznak życia.

Kobieta pozwoliła, by jej słowa na chwilę zawisły w powietrzu, w tym czasie podała zwinięty w gruby rulon papierowy ręcznik, wyłączyła urządzenie i odwróciła się do Louise, która ścierała żel z brzucha.

Potem trochę statystyki: procenty, tygodnie i liczby od jednego do dziesięciu. Informacje o tym, jakie to było powszechne, i lepiej, że doszło do tego teraz niż później.

Thorne prawie nie słuchał.

Brak. Oznak. Życia.

Patrzył, jak Louise kiwa głową i mruga wolniej niż normalnie, następnie zapina dzinsy, podczas gdy kobieta przez minutę lub dwie mówiła o kwestiach praktycznych.

– Szczegóły możemy omówić później – stwierdziła. – Kiedy będą państwo mieć trochę czasu dla siebie.

Czy była lekarką? Thorne wątpił w to. Raczej technikiem obsługującym skaner. Ale to nie miało większego znaczenia. Nie ulegało wątpliwości, że nie pierwszy raz wypowiadała te słowa; nie zawahała się ani nie wyglądała na skrępowaną, Thorne zresztą wcale tego nie oczekiwał. Uznał, że w tego typu wypadkach chłodne podejście było najlepsze. Coś o tym wiedział. Najlepiej powiedzieć to, co konieczne, i iść dalej, zwłaszcza gdy w perspektywie były kolejne umówione wizyty, a za drzwiami czekały szczęśliwe, uśmiechnięte pary.

Ale ten zwrot...

Później siedzieli w kącie, przy dystrybutorze z wodą, nie patrząc w stronę głównego holu. Cztery złożone plastikowe krzeselka. Miła ściana w kolorze cytrynowym i dziecięce rysunki przypięte do korkowej tablicy. Rattanowy stolik z kilkoma czasopismami i pudełkami chusteczek higienicznych.

Thorne ścisnął dłoń Louise. Jej skóra wydawała się chłodna w dotyku. Panował uścisk, a wtedy uniosła wzrok, uśmiechnęła się i pociągnęła nosem.

– Wszystko gra? – spytała.

Thorne pokiwał głową, uznając, że jak na eufemizm był on całkiem adekwatny. Prosty, ale trafny. Zapewne potrafił łagodzić szok u wielu osób, a przecież o to właśnie chodziło.

*Brak oznak życia.*

Płód jest martwy. Martwy w twoim ciele.

Zastanawiał się, czy powinien sam tego spróbować przy najbliższej okazji, kiedy spotka kogoś w kostnicy albo w środku nocy zapuka do drzwi jakiegoś nieszczęśnika.

*Chodzi o to, że pani mąż natknął się na jakiegoś palanta z nożem w kieszeni. Przykro mi, ale... brak oznak życia.*

Taki dobór słów sprawiał, że ofiara wydawała się androidem, ale o to właśnie chodziło, prawda? O stworzenie dystansu. Inny sposób to zapić alkoholem. Coś trzeba zrobić, żeby złagodzić szok.

*Z przykrością informuję, że państwa syn został postrzelony. Postrzał sprawił, że już nie wykazuje oznak życia. Jego oznaki życia spadły do zera jak u trupa.*

– Tom?

Thorne uniósł wzrok, gdy Louise lekko go szturchnęła, i spojrzał na kobietę, która przeprowadziła USG, a teraz szła przez poczekalnię w ich stronę. Była Hinduską z szerokim pasemkiem rudych włosów. Po trzydziestce, uznał. Miała idealny uśmiech przesycony odrobiną smutku, ale

krok żwawy, zdecydowany.

- No dobrze, chyba udało mi się znaleźć dla pani łóżko.
- Dziękuję – powiedziała Louise.
- Kiedy ostatnio pani coś jadła?
- Od śniadania nie miałam nic w ustach.
- To dobrze. Postaramy się przeprowadzić zabieg jak najszybciej.

Kobieta podała Louise kartkę papieru i powiedziała jej, jak ma trafić na właściwy oddział. Następnie spojrzała na Thorne'a.

– Może powinien pan pojechać do domu i przywieźć niezbędne rzeczy. Koszulę nocną, przybory osobiste...

Thorne pokiwał głową, podczas gdy kobieta mówiła Louise, że przez kilka dni będzie musiała leżeć z nogami do góry. Wciąż kiwał głową, gdy stwierdziła, że oboje powinni potraktować to ze spokojem, że na kartce znajdują się numery telefonów do osób, z którymi mogli porozmawiać, jeżeli tego potrzebują.

Patrzył, jak ruszyła w stronę gabinetu i zaprosiła do środka kolejną parę. Na ścianie naprzeciwko był zamontowany telewizor. Małżeństwo w średnim wieku oprowadzano po willi we Francji albo we Włoszech, żona mówiła coś na temat koloru terakoty.

– Łyzeczkowanie macicy?

Louise z uwagą studiowała informacje na kartce papieru. „Łyzeczkowanie macicy”.

Thorne wciąż czuł się zagubiony. To brzmiało okropnie.

– Skrobanka – powiedziała w końcu Louise.

Chuda kobieta w zielonym kombinezonie szła w ich stronę, pchając przed sobą wózek ze sprzętem czyszczącym. Zatrzymała się przy rattanowym stoliku, wzięła z wózka ścierkę i plastikową butelkę ze spryskiwaczem, po czym psiknęła odrobinę płynu na jedno z pustych



krzeszełek. Wycierając je, popatrzyła na Thorne'a i Louise.

– Czemu państwo płaczecie?

Thorne przyglądał się kobiecie przez kilka sekund, po czym odwrócił się do Louise, która wlepiała wzrok w podłogę, składając kartkę raz po raz. Nagle zrobiło mu się gorąco, krótkie włoski na karku zjeżyły się, a na skórze pomiędzy dłońią jego a Louise pojawiła się warstewka potu. Wskazał ruchem głowy tabliczkę nad drzwiami sali USG, po czym przeniósł wzrok na sprzątaczkę.

– Weź się, kurwa, domyśl – wycedził.

Prawie kwadrans zajęło Thorne'owi przejechanie mniej więcej dwóch kilometrów ze szpitala Whittington do Kentish Town, ale przynajmniej po drodze trochę się uspokoił. Przestał myśleć o tym, jak ciężko unosiła się pierś Louise, kiedy odezwała się do nich ta sprzątaczką. I jak bardzo chciał uciszyć tę kretynkę, wciskając jej do ust zwiniętą ścierkę.

Popatrzyła na niego, jakby zachował się wobec niej po chamsku! Coś podobnego!

Po powrocie do mieszkania wsypał do miski porcję karmy dla Elvis i wrzucił do reklamówki rzeczy, o które poprosiła go Louise: czysty podkoszulek, biustonosz i figi, szczotkę do włosów i przybory do makijażu. Przy drzwiach przystanął na chwilę, opierając się o ścianę, po czym zawrócił do salonu. Ciężko osunął się na kanapę i siedział tak przez kilka minut z reklamówką na udach.

W mieszkaniu było chłodno, a w każdym razie tak mu się wydawało. Trzeci tydzień września, lecz już najwyższy czas, żeby włączyć ogrzewanie. Thorne odkręcił termostat, ale Louise go zakręcała, kiedy sądziła, że nie on patrzy. Po cichu regulowała włączniki czasowe. Nieustannie gmerała przy grzejnikach.

Sytuacja jak z komedii; Thorne to uwielbiał, choć nieraz dochodziło

z tego powodu do kłótni.

A kłócili się – i to całkiem serio – odkąd Louise dowiedziała się, że jest w ciąży o to, jak ma w przyszłości wyglądać ich wspólne życie. Choć większość czasu spędzali u Thorne'a, Louise wciąż miała swoje mieszkanie w Pimlico. Nie chciała go sprzedać, a w każdym razie nie chciała pogodzić się z taką myślą. Choć oboje zgadzali się, że powinni zamieszkać razem, nie mogli dojść do porozumienia, który lokal należało wystawić na sprzedaż, zaczęli więc rozmawiać o pozbyciu się obu i kupieniu wspólnie czegoś nowego lub wynajęciu niewielkiego mieszkania.

Thorne wlepił wzrok w kominek, zastanawiając się, czy te sprawy zostaną teraz odłożone na bok. Czy tematy, na które rozmawiali – te ważniejsze od innych – zostaną zepchnięte po cichu na dalszy plan albo staną się kwestiami, do których żadne z nich nie będzie już wracać.

Wyprowadzka z miasta.

Ślub.

Odejście z policji.

Wstał i podniósł telefon leżący na stoliku przy drzwiach, po czym znów usiadł na kanapie.

Rozmawiali hipotetycznie, kiedy podejmowali większość tych tematów, zwłaszcza gdy chodziło o ślub i odejście z pracy. Takie tam głupie gadanie, ot wszystko, włącznie z żarcikami, że żadne z nich nie chciałoby, aby dziecko było rude, i że imię powinno być dobrze przemyślane.

– Co powiesz na Damien?

– Raczej nie.

– Czy on w tym filmie nie nazywał się Thorne?

– Bez „e” na końcu. A poza tym skąd pewność, że będzie nazywał się Thorne? Dlaczego nie Porter? A skoro już o tym mowa, skąd pewność, że to będzie chłopiec?

Thorne zaczął wystukiwać numer na klawiszach telefonu. Zwolnił się tylko na dwie godziny, musiał więc powiadomić, kogo trzeba, że zjawi się w pracy dopiero jutro. Wolałby zostawić nagraną wiadomość, ale został połączony z detektywem sierżantem Samirem Karimem w sali odpraw.

- Chyba jesteś telepatą.
- Słucham?
- Nadinspektor właśnie wysłała ci SMS-a.

Thorne sięgnął do kieszeni po komórkę. Wyłączył ją w szpitalu i zapomniał włączyć ponownie. Zanim ekran ożył i rozległ się sygnał otrzymanej wiadomości, w słuchawce telefonu stacjonarnego usłyszał głos nadinspektora Russella Brigstocke'a.

- Świetne wycucie czasu, stary. Albo fatalne.
- A o co chodzi?
- Mamy robotę. – Brigstocke upił łyk herbaty lub kawy – O ile mi wiadomo, to raczej paskudna sprawa.

Thorne zaklął pod nosem, ale nie dość cicho.

- Posłuchaj i tak zamierzałem zlecić to Kitson.
- Miałeś rację – rzekł Thorne. – To fatalne wycucie czasu.
- Sprawa jest twoja, jeśli tego chcesz.

Thorne pomyślał o Louise i o tym, co powiedziała ta kobieta, że powinni podejść do tego ze spokojem. Yvonne Kitson na pewno świetnie poradziłaby sobie z tą sprawą, a on i tak miał na głowie dość bieżących obowiązków. Ale już zerwał się z miejsca, aby pójść po pióro i kartkę papieru.

Elvis zaczęła łaścić się do nóg, kiedy Thorne sporządził pospieszne notatki. Brigstocke miał rację, sprawa była paskudna, ale Thorne'a to nie zdziwiło. Zwykle trafiały mu się najpaskudniejsze sprawy.

- Mąż? – zapytał. – Chłopak?

– Mąż odnalazł ciało. Zadzwoił do nas, a potem wybiegł na ulicę, wrzeszcząc na całe gardło i budząc wszystkich w całym budynku.

– Najpierw zadzwonił?

– Zgadza się. A potem, jak wszystko na to wskazuje, zaczął świrować – opowiadał Brigstocke. – Zaczął dobijać się do drzwi, krzycząc, że wszyscy nie żyją, wrzeszcząc o krwi i butelkach. Z całą pewnością spokojni mieszkańcy Finchley nie przywykli do takich rzeczy.

– Finchley to rzut kamieniem ode mnie – powiedział Thorne.

– Zgadza się, o mały rzut kamieniem od ciebie.

Osiem, dziewięć kilometrów od Kentish Town. Po drodze będzie przejeżdżał obok szpitala Whittington.

– Muszę jeszcze gdzieś zajechać – powiedział Thorne. – Ale powinienem dotrzeć na miejsce za jakieś pół godziny.

– Nie ma pośpiechu. Ona nigdzie się nie wybiera.

Thorne potrzebował kilku sekund, aby zorientować się, że Brigstocke mówił o martwej kobiecie, a nie o Louise Porter

– Podaj mi adres.

## 2

To była cicha uliczka kilka zakrętów na wschód od High Road. Edwardiańskie domy z miłymi ogródkami od frontu i parkingami z dala od ulicy. Wiele z nich, jak ten z numerem 48, podzielono na odrębne mieszkania, choć dom ten został teraz odseparowany od reszty: w bocznej uliczce rozpostarto brezentowe parawany, umundurowani funkcjonariusze stali na rogach frontowego trawnika, a nad klombami trzepotała policyjna taśma oznaczająca miejsce zbrodni.

Thorne dotarł na miejsce przed ósmą; od godziny było już ciemno. W kuchni mieszkania, na dole, było całkiem jasno, a to za sprawą lamp łukowych, których blask rozświetlał każdą drobinę kurzu i proszku luminescencyjnego, odbijał się od plastikowych niebieskich kombinezonów techników oraz linoleum na podłodze. Prosty wzór w stylu retro, czarno-biała szachownica, mąciło kilka kropel krwi. I ciało, z którego wypłynęły.

– Chyba jestem gotów ją odwrócić – powiedział Phil Hendricks.

Technik badająca miejsce zbrodni pobierała próbki z krawędzi niskiego kredensu w rogu. Prawie nie uniosła wzroku.

– Orkiestra, tusz...

Hendricks uśmiechnął się i pokazał kobiecie palec, po czym odwrócił się i spytał Thorne'a, czy chciałby podejść bliżej. Aby precyzyjnie się do miejsca, skąd miałby lepszy widok.

Thorne wątpił, aby mógł mieć lepszy widok, ale podszedł i stanął pomiędzy fotografem a kamerzystą, naprzeciwko dwóch techników szykujących się do udzielenia Hendricksowi pomocy, jakiej potrzebował.

Do dodania niezbędnej siły jego łagodności.

– OK, ostrożnie.

Kobieta leżała twarzą do dołu, z rękoma wzdłuż boków. Koszulę miała zadartą, albo podwiniętą, dzięki czemu widać było fioletowe plamy opadowe na skórze tuż nad talią, gdzie zaczął się już proces livor mortis, i to, że wciąż miała na sobie biustonosz.

– No, no – powiedziała kobieta technik, przechodząc obok.

Thorne oderwał wzrok od ciała i spojrział w stronę okna. Na suszarce przy zlewie stały talerze i kubki. Na zmywarce paliła się lampka, dając znać, że cykl zmywania został zakończony.

Wciąż wyczuwało się tu oznaki normalności.

Jeżeli nie wpadną na ważny trop w ciągu kilku pierwszych dni, Thorne w którymś momencie tu wróci. Uważał za istotne, by spędzić trochę czasu w miejscu, gdzie mieszkała ofiara, a tym bardziej tam, gdzie umarła. Zaczeka jednak, aż nie będzie musiał lawirować wśród kucających techników i rozstawionych parafernaliów oznaczających miejsce zbrodni.

I kiedy smród się wywietrzy.

Przypomniawszy sobie film, w którym policjant odwiedzał domy, gdzie zamordowani zostali ludzie, i udawał, że dyskutuje z ich zabójcą. Czy to tu ich zabiłeś, sukinsynu? Czy stąd ich obserwowałeś?

I tym podobne gówniane pytania.

Thorne zawsze starał się dowiedzieć czegoś o ofierze. Czegoś innego niż to, co składało się na jej ostatni posiłek i ile ważyła jej wątroba w chwili śmierci. Zwykle było to coś prostego i głupiego. Zdjęcie na ścianie w sypialni. Biszkopty w szafce w kuchni albo książka, której ofiara nie zdążyła przeczytać.

Jeżeli chodziło o to, co działo się w umyśle zabójcy, Thorne był szczęśliwy, kiedy mógł wiedzieć tylko tyle, ile wystarczyło do jego

schwytania i nic więcej.

Teraz, kiedy patrzył, jak to, co pozostało z Emily Walker, było wynoszone, zobaczył, że jej ręka otarła się o nogę, kiedy ją podniesiono, i obróciła się jednym, powolnym, płynnym ruchem. Zauważył, że pasemka włosów, które nie były pozlepiane krwią, opadły z jej twarzy kiedy układano ją na plecach.

– Brawo, chłopcy.

Hendricks pracował z dobrym zespołem. Nalegał na to. Thorne pamiętał pewnego technika – jeszcze z czasów, kiedy nazywano ich ekspertami od badania miejsc zbrodni – który obchodził się z częściowo rozłożonym ciałem starego mężczyzny, jakby to był worek ze śmieciami. Hendricks z całej siły pchnął tego technika na ścianę i unieruchomił go, nieomal miażdżąc mu krtań mocno wytatuowanym przedramieniem. Thorne nie przypominał sobie, aby ci dwaj znaleźli się kiedyś ponownie razem na miejscu zbrodni.

Kamerzyści postąpili naprzód i zabrali się do pracy. Kiedy skończyli, Hendricks nagrał kilka wstępnych uwag na dyktafon.

– Jak długo jeszcze, Phil? – zapytał Thorne.

Hendricks uniósł jedną rękę denatki, zaczął odginać mocno zaciśnięte w pięść palce.

– Półtorej godziny – W głosie patologa dało się wychwycić wyraźny manchesterski akcent. – Góra dwie.

Thorne spojrzął na zegarek.

– Dobra.

– Jesteś umówiony?

Thorne starał się przywołać na swojej twarzy odpowiedni wyraz, coś diabolicznego i konspiratorskiego, ale nie był pewien, czy mu się to udało. Odwrócił się, by poszukać wzrokiem detektywa sierżanta Dave'a Hollanda.

– Ona ma coś w ręku – stwierdził Hendricks.

Thorne szybko się odwrócił i pochylił, by lepiej się przyjrzeć. Patrzył, jak Hendricks pęsetą wyluskuje coś z zaciśniętej dłoni denatki. Był to niewielki kwadratowy kawałek plastiku lub celuloиду, ciemny i cienki jak papier. Hendricks wrzucił go do torebki na materiały dowodowe i uniósł do światła.

– Fragment błony fotograficznej? – zapytał Thorne.

– Być może.

Jeszcze przez kilka sekund patrzyli na to, co znalazło się w foliowej torebce, ale obaj wiedzieli, że dopóki laboratorium kryminalistyki nie zbada tego przedmiotu, mogą jedynie domniemywać, co to takiego. Hendricks podał torebkę kierownikowi ekipy, aby zarejestrował ją i opisał, po czym starannie nałożył i zabezpieczył plastikowe woreczki na dłoniach denatki, zanim zajął się resztą jej ciała.

Thorne zamknął oczy na kilka sekund i zrobił długi wydech.

– Uwierzyłbyś, że miałem wybór? – zapytał.

Hendricks spojrzał na niego. Klęczał nad głową denatki i uniósł ją, po czym oparł o swoje nogi.

– Brigstocke dał mi wybór.

– Wobec tego jesteś idiotą.

– Mogłem pozwolić, aby Kitson zajęła się tą sprawą.

– Ona jest w sam raz dla ciebie – odparł Hendricks.

– Jak to?

– Spójrz na nią, Tom.

Emily Walker była niewiele po trzydziestce, ciemne włosy poprzetykane pasemkami siwizny, nad jedną kostką tatuaż w kształcie gwiazdy. Miała nie więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ale wydawała się wyższa z powodu niewielkiej nadwagi, którą, jak mógł sugerować napis na magnesiku przy



lodówce – „Na pewno jesteś głodna?” – najwyraźniej starała się zrzucić. Nosiła cienki naszyjnik z brązowych koralików i bransoletkę z amuletami na jednym przegubie: z kostką do gry, kłódką i dwiema rybkami. Miała dzinsową bluzkę i spódnicę z czarnej bawełny, w tym samym krzykliwym odcieniu czerwieni co lakier na paznokciach.

Thorne przeniósł wzrok na sandał leżący w zakreślonym kręgu na linoleum przy lodówce. I na ozdobną butelkę nieopodał zawierającą, jak się zdawało, ocet balsamiczny oraz krew i włosy przywierające do nierówności szkła od zewnątrz. Po czym spojrzał dalej, na wciąż mrugające światełko na zmywarce. Uniósł dłoń do twarzy i przesunął palcami po prostej białej bliźnie na swoim podbródku. Patrzył tak długo, aż czerwone światełko zaczęło się rozmywać, więc odwrócił się i odszedł, pozostawiając Hendricksa trzymającego Emily Walker za głowę i mówiącego cicho do dyktafonu:

– Nic nie przytrzymuje foliowej torby wokół głowy denatki. Możemy zakładać, że zabójca zaciskał ją wokół szyi ofiary rękami.

Zasinienia na szyi sugerują, że robił to z olbrzymią siłą, dopóki ofiara nie przestała oddychać...

Na ganku na tyłach domu Holland obserwował, jak kilku funkcjonariuszy przeczesywało kwietniki i klomby. Tam też stały lampy łukowe, ale było to tylko wstępne przeszukanie i o pierwszym brzasku zjawi się tu więcej policjantów, aby przeprowadzić gruntowniejszą inspekcję.

– A więc nie mamy tu do czynienia z wtargnięciem – rzekł Thorne.

– Co oznacza, że go znała.

– To możliwe – przyznał Thorne, a kiedy poczuł woń papierosów w oddechu policjanta, jemu też zachciało się palić. – A może otworzyła drzwi, a on wyjął broń i zmusił ją, by go wpuściła.

Holland pokiwał głową.

– Przekonajmy się, czy dopisze nam szczęście, kiedy będziemy odwiedzać dom po domu. Ta okolica wydaje się pełna ciekawskich, którzy lubią wyglądać przez okna i obserwować, co się dzieje.

– A co z mężem?

– Widziałem go tylko przez moment, zanim zabrali go do pobliskiego hotelu – odrzekł Holland. – Kompletnie zdruzgotany, tak jak można się było tego spodziewać.

– Nie sądzisz, że trochę za bardzo się starał?

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– Sprawiał wrażenie, jakby chciał, żeby wszyscy w całej okolicy dowiedzieli się, jaka go spotkała tragedia. A dopiero potem zadzwonił do nas.

– Słyszał pan nagranie ze zgłoszenia?

– Nie. – Thorne wzruszył ramionami. – Tak tylko...

– Pobożne życzenia? – rzucił Holland. – Mam rację?

– Tak, może.

Zrobiło się chłodniej. Thorne włożył ręce pod kombinezon i wsunął je do kieszeni swojej skórzanej kurtki.

– Byłoby miło, gdyby ta sprawa okazała się... naprawdę prosta.

– Jakoś mi się nie wydaje – powiedział Holland.

Thorne podzielał tę opinię. Wiedział aż za dobrze, jak domowe kłótnie mogły przerodzić się w tragedie; stykał się z przypadkami, kiedy zazdrosny chłopak albo władczy małżonek tracili nad sobą kontrolę. Zamrugał i zobaczył trzepoczące ramię, kiedy ciało zostało obrócone. Jaskrawe czerwone paznokcie na tle czarno-białych płytek. To nie była prosta sprawa.

– Może naprawdę aż tak bardzo się zdenerwował – powiedział Holland.  
– Ile mieliśmy podobnych sytuacji?

Thorne wydał policzki. Odpowiedź była zbędna.

– No właśnie. I nadal nie wyobrażam sobie, co się wtedy czuje. Nie jestem w stanie sobie tego wyobrazić.

Holland był o piętnaście lat młodszy od Thorne'a. Pracował z nim od ponad siedmiu lat i choć nie był już nieopierzonym żółtodziobem, Thorne wciąż widział w nim kogoś, kto nie do końca został odmieniony przez pracę w policji.

Holland raz się przed nim odsłonił i dał do zrozumienia, jakim chciałby być policjantem. Thorne miał świadomość, że Holland nie był taki sam jak on... choć to nie miało większego znaczenia i cieszył się, że tak było.

– Zwłaszcza kiedy chodzi o kobietę – ciągnął Holland. – No wie pan, mężowie, chłopaki i ojcowie są zdruzgotani niezależnie od tego, jak bardzo histeryzują, wpadają w furie czy siedzą jak zombi. Nie mam pojęcia, co się wtedy dzieje w ich głowach.

– Nie zwracaj sobie tym głowy, Dave – powiedział Thorne.

Obaj odwrócili wzrok, gdy z ogrodu dobiegł ich śmiech, bo jeden z funkcjonariuszy najwyraźniej w coś wdepnął. Patrzyli, jak próbuje wytrzeć podeszwę o krawędź trawnika.

– To gdzie pan się wcześniej podziewał? – zapytał Holland.

– Słucham?

– Kiedy zaczął się cały ten cyrk.

Thorne odchrząknął.

Louise nie miała nic przeciw temu, że przyjął tę robotę; zdążył jej powiedzieć, kiedy wpadł do do szpitala, aby podrzucić jej rzeczy.

Leżała już w łóżku i przeglądała egzemplarz „Heat”, próbując odizolować się od nieprzerwanego jazgotu kobiety leżącej na łóżku naprzeciwko. Zapytał czy na pewno. Popatrzyła na niego jak na idiotę i spytała, dlaczego miałoby być inaczej. Powiedział, żeby zadzwoniła, gdyby tylko potrzebowała czegokolwiek, gdyby potrzebowała jego. Odparła, żeby

się nie martwił i że jeśli to będzie konieczne, wróci do domu taksówką.

– U dentystki – odrzekł Thorne. – Godzina w rękach prawdziwej nazistki. Ta kobieta śmiało mogłaby zagrać w *Maratończyku*.

Holland zaśmiał się.

– Czy jest bezpiecznie?

– Nie żartuję.

– Zrobili remake tego filmu, słyszał pan? – Holland czekał, aż Thorne połknie haczyk i spojrzy na niego. – Ale wszystko teraz toczy się w tak szybkim tempie, że musieli zmienić tytuł na *Sprinter*.

Znów się zaśmiał, widząc, że Thorne z trudem pohamowuje śmiech.

– Mówiłeś Sophie, że znów zaczęłaś palić? – zapytał Thorne.

Holland pokręcił głową.

– Mam w samochodzie pudełko bardzo mocnych miętówek. – Pochylił głowę i splunął do otworu odpływowego. – To naprawdę głupie, bo jestem pewien, że ona i tak wie. Tylko nie chce wszczynać kłótni.

Holland i jego dziewczyna byli kolejną parą, która rozmawiała o wyniesieniu się z Londynu i odejściu detektywa z policji. Thorne zastanawiał się, czy był to kolejny temat, którego nie podejmowali, by nie wszczynać kłótni. Zawsze uważał, że Holland powinien zostać w policji, ale nigdy nie powiedział tego otwarcie. Gdyby Sophie domyśliła się, jakie było w tej kwestii zdanie Thorne'a, zaczęłaby walczyć wszystkimi sposobami, aby postawić na swoim. Dlatego nabrał wody w usta i cieszył się, że Holland wciąż z nim pracuje.

– Rano będziemy mieli oficjalną identyfikację zwłok – powiedział Thorne. – A potem sprowadź jej męża na posterunek, żebyśmy mogli z nim pogawędzić.

– Oczywiście.

– Nigdy nie wiadomo, może dopisze nam szczęście.

Holland parsknął i skinął głową w stronę mundurowego, który kawałkiem gałązki zdrapywał resztki tego, w co wdepnął.

– Tak jak jemu – mruknął.

Obaj unieśli wzrok, gdy wysoko nad nimi przeleciał mrugający światłami samolot kierujący się do Luton. Thorne patrzył, jak maszyna przemyka po niebie, i mocno przełknął ślinę. Osiem tygodni temu on i Louise wybrali się do Grecji na pierwsze wspólne wakacje. Większość czasu spędzili, leżąc przy basenie, czytając tandetne książki i nie robiąc nic bardziej konstruktywnego niż zamawianie kolejnych piw i ośmiornicy z grilla w pobliskiej tawernie. Oboje unikali rozmów o pracy i dużo się śmiali. Któregoś dnia Louise, wcierając krem w spocone od słońca plecy Thorne'a, powiedziała: „To wszystko, na co możesz liczyć z mojej strony, jeżeli chodzi o bliskość niemającą intymnych podtekstów. Nie zamierzam wyciskać ci wągrów ani nie podtarłabym ci tyłka, nawet gdybyś złamał obie ręce”.

Ostatniego dnia ich pobytu w Grecji kupiła test ciążowy. I zrobiła go, zanim wybrali się na ostatnią kolację.

Thorne siedział w samochodzie, kiedy Hendricks wyszedł.

Zerknął na komórkę i zadzwonił do obu mieszkań, ale Louise jeszcze nie wróciła i nie miał żadnych wiadomości. Przez chwilę słuchał radia, po czym zadzwonił znowu, ale bez powodzenia. Komórka Louise była wyłączona, a Thorne uznał, że jest za późno, by dzwonić do szpitala.

Hendricks podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki od strony fotela dla pasażera. Przebrał się już, zrzucając ochronny kombinezon, i miał na sobie czarne dżinsy, obcisły sweter i biały podkoszulek.

– Fajrant – powiedział.

Thorne burknął coś pod nosem.

– Wszystko gra?

– Taa... jasne.

Thorne odwrócił się i spojrział przez szybę. Pokiwał ręką i uśmiechnął się.

Większość swoich tatuaży Hendricks ukrywał pod ubraniem, widać było jedynie fragment czerwonogranatowych wzorów na jego szyi. Ku zadowoleniu przełożonych schował również większość swoich kolczyków. Thorne cieszył się, że przyjaciel oszczędził mu szczegółów, ale wiedział, że niektóre z nich zostały zrobione na cześć nowego chłopaka, kolejny kolczyk oznaczał jeszcze jedną zdobycz patologa. Jednak od jakiegoś czasu nie było nowych kolczyków. Mało kto spodziewałby się, że tak może wyglądać patolog, ale Hendricks był najlepszym specjalistą, z jakim Thorne miał okazję współpracować, i pomimo licznych utarczek – jego najbliższym przyjacielem.

– Miałbyś później ochotę na browarka? – zapytał Thorne.

– A co z Louise?

– Nie ma nic przeciwko temu.

– Nie o tym mówię – Hendricks uśmiechnął się. – Będzie zazdrosna.

– Jakoś jej to zrekompensujemy – odrzekł Thorne.

Prawdę mówiąc, to on był zazdrosny. Stanowili z Louise parę od prawie półtora roku – spotkali się, kiedy Thorne został jej przydzielony do sprawy uprowadzenia, nad którą pracowała – ale wystarczyło jej zaledwie parę tygodni, aby zakumplować się z Philem Hendricksem do tego stopnia, jak Thorne'owi udało się to w ciągu dziesięciu lat. Zwłaszcza na początku wydawało mu się to szczególnie niepokojące i oburzała go ich przyjacielska zażyłość. Któregoś wieczoru, kiedy byli we trójkę, mocno podpity Thorne nazwał Louise „ciotową jędzą”. Ona i Phil wybuchnęli śmiechem, a Phil stwierdził, że to zakrawa na ironię, bo przecież to Thorne zawsze zachowywał się jak „stary pedzio”.

– No dobra – rzucił Hendricks i spojrział w stronę domu, z którego dwójkami i trójkami wychodzili policjanci. – Zważywszy na to, że od rana będę sobie urabiał ręce po łokcie nad tą nieszczęśnicą, dobrze mi zrobi jedno małe piwko.

– Ja zamierzam strzelić sobie więcej niż jedno – oznajmił Thorne.

– Więc lepiej chodźmy do mnie. Podrzucę cię.

Hendricks pokiwał głową, odchylił ją do tyłu i zamknął oczy. Thorne zrezygnował ze znalezienia jakiejś przyzwoitej muzyki country i wybrał w radiu stację Magic FM. Dochodziła dziesiąta i akurat puszczano cały blok starych dobrych przebojów.

– Przyniósł własną reklamówkę – powiedział Hendricks.

– Co?

– Tę torbę, którą ją udusił. Wiedział, co robi. Nie udałoby mu się to, gdyby sięgnął po pierwszą z brzegu reklamówkę z kuchni, to byłaby strata czasu. Większość tych toreb ma specjalne otwory, żeby warzywa nie zaparowały czy coś takiego. Potrzebował czegoś szczelnego, znacznie mocniejszego, żeby ofiara nie była w stanie rozerwać tego paznokciami, gdyby je miała. – Hendricks stukał do taktu palcami w deskę rozdzielczą. – Poza tym przez przezroczystą reklamówkę ofiara widzi twarz osoby, która jej to robi. Myślę, że to może być ważne.

– A więc był zorganizowany.

– Przyszedł przygotowany.

– Ale nie przyniósł butelki z octem.

– Nie, domyślam się, że improwizował. Złapał pierwszą rzecz, która wpadła mu w rękę, żeby walnąć ją w głowę.

– A kiedy kobieta upadła na podłogę, wyjął reklamówkę.

Hendricks skinął głową.

– Możliwe, że cios był tak silny, że nie potrzebowałby reklamówki, żeby

z nią skończyć.

– Oby.

– Nie stawiałbym na to – rzekł Hendricks. – Jeżeli chcesz znać moje zdanie, użył butelki tylko po to, by za bardzo się nie rzuciła. Chciał udusić ją tą reklamówką. Zakładam, że chciał patrzeć, jak umiera.

– Jezu.

– Będę wiedział jutro.

Szyby zaparowały tak, że Thorne włączył nawiew. Przez kilka minut słuchali wiadomości. Nic, co usłyszeli, nie poprawiło im znacząco nastrojów, a w sporcie też nie zdarzyło się nic ekscytującego. Sezon piłkarski zaczął się zaledwie przed miesiącem, a ponieważ żadna z drużyn, którym kibicowali, akurat nie grała, wyniki spotkań nie miały dla nich większego znaczenia.

– Za sześć tygodni znów dołożymy waszym – powiedział Hendricks.

Jako zagorzały kibic Arsenalu wciąż napawał się sromotną porażką Spurs w meczach z Arsenalem w derby północnego Londynu w minionym sezonie.

– Taa, jasne...

Hendricks wybuchnął śmiechem i powiedział coś jeszcze, ale Thorne już go nie słuchał. Wpatrywał się w ekranik swojej komórki, przeglądając menu i sprawdzając, czy nie przeoczył wiadomości.

– Tom?

Thorne upewnił się, że wciąż ma zasięg.

– Tom? Wszystko gra, stary?

Thorne schował komórkę i odwrócił się.

– Czy z Louise wszystko w porządku? – Hendricks czekał i dostrzegł coś w wyrazie twarzy Thorne'a. – Cholera, coś z dzieckiem?

– Co? Skąd wiedziałeś...?



Thorne usiadł prosto na fotelu i spojrzał przed siebie. On i Louise postanowili, że przez pierwsze trzy miesiące nie powiedzą nikomu o dziecku. Jej bliska przyjaciółka poroniła całkiem niedawno.

– Nie wściekaj się – rzekł Hendricks. – Wycisnąłem to z niej.

– Jasne.

– Wydaje mi się, że bardzo chciała komuś o tym powiedzieć. – Hendricks spodziewał się, że Thorne choć trochę złagodnieje, ale na próżno. – Daj spokój, komu innemu miałyby powiedzieć?

Thorne spojrzał na niego i wycedził:

– Bo ja wiem, może swojej matce?

– Jej chyba też powiedziała.

– Niech to szlag!

– Ale chyba nikomu więcej.

Thorne wyłączył radio.

– Właśnie dlatego ustaliliśmy, że nikomu o tym nie powiemy. Na wypadek, gdyby to się stało.

– Cholera – mruknął Hendricks. – Opowiedz mi o tym.

Kiedy Thorne skończył, Hendricks zaczął mu tłumaczyć, że zwykle takie rzeczy nie dzieją się bez powodu i że lepiej, iż stało się to teraz niż później. Thorne przerwał mu. Powiedział, że słyszał to już od kobiety obsługującej aparaturę USG i że to ani trochę nie pomogło. Kiedy Thorne zobaczył wyraz twarzy Hendricksa, przeprosił go i dodał:

– Po prostu nie wiem, co jej powiedzieć, rozumiesz?

– Niewiele możesz powiedzieć.

– Chyba trzeba trochę z tym odczekać – ciągnął Thorne.

– Powiedz, że może do mnie zadzwonić, kiedy tylko zechce – rzekł Hendricks. – No wiesz, gdyby chciała o tym pogadać.

Thorne pokiwał głową.

– Będzie chciała.

– Ty też. – Hendricks zaczekał, aż Thorne na niego spojrzy – Jasne?

Siedzieli przez dłuższą chwilę z milczeniem. Przed domem wciąż był spory ruch – pojazdy podjeżdżały i odjeżdżały co parę minut. Kilkoro gapiów stało na chodniku po drugiej stronie ulicy, pomimo iż mundurowi starali się nie dopuścić ich bliżej.

Thorne zaśmiał się gorzko i uderzył otwartą dłońią w kierownicę.

– Powiedziałem Lou, że się tego pozbędę.

– Twojej wspaniałej beemki? – spytał Hendricks. – No nie, toż to szczyt poświęcenia.

Kanarkowożółte BMW Thorne'a, rocznik 1971, od dawno stanowiło obiekt bardziej lub mniej trafnych żartów i docinków wielu jego kolegów. Thorne mówił o swoim aucie „klasyk”. Dave Holland stwierdził, że to eufemistyczne określenie „zardzewiałego, starego rżęcha”.

– Obiecałem, że kupię coś praktyczniejszego – ciągnął Thorne i poprawił kołnierz kurtki. – Auto rodzinne, no wiesz?

Hendricks uśmiechnął się.

– Tak czy inaczej powinienes się go pozbyć – mruknął.

– Zobaczymy.

Hendricks wskazał ręką frontowe drzwi, przez które wytaczano właśnie wózek noszowy, by znieść go po schodach.

– Idziemy...

Wysiedli z auta i podeszli do furgonetki, która przyjechała z kostnicy. Hendricks zamienił kilka słów z jednym z pracowników kostnicy, ustalając grafik na następny ranek. Thorne patrzył, jak wózek noszowy podniesiono na składanych nóżkach i czarny worek na zwłoki został powoli przełożony do wnętrza furgonetki.

Emily Walker.

Thorne spojrział w stronę gromadki gapiów; nastolatek w czapeczce baseballowej przestępował z nogi na nogę, starsza kobieta gapiła się z rozdziawionymi ustami.

*Brak oznak życia.*

### 3

Louise zadzwoniła z aparatu w Whittington kilka minut po ósmej rano, kiedy Thorne akurat miał wyjść. Czuł lekkie wyrzuty sumienia, że tak dobrze mu się spało i nie czuł potrzeby, żeby zapytać, jak jej minęła noc.

Wydawała się bardziej rozdrażniona niż skonsternowana.

– Jeszcze nic nie zrobili.

– Co takiego?

Thorne upuścił teczkę, po czym wrócił do pokoju, jakby szukał czegoś, co mógłby kopnąć.

– W pierwszym ustalonym terminie coś im nie wypaliło, a potem uznali, że już jest za późno, więc stwierdzili, że nie ma sensu odsyłać mnie do domu.

– Więc kiedy?

– Praktycznie w każdej chwili. – Gdzieś obok niej rozlegały się jakieś krzyki. Louise zniżyła głos. – Chcę mieć to już za sobą.

– Wiem – odparł Thorne.

– A poza tym umieram z głodu.

– Jeżeli chcesz, mogę opowiedzieć ci, dokąd się wybieram dziś rano – rzekł Thorne. – To na jakiś czas powinno odebrać ci apetyt.

– Wybacz, właśnie miałam zapytać. Naprawdę jest aż tak paskudnie?

Thorne opowiedział jej o Emily Walker. Jako detektyw inspektor z Jednostki ds. Urowadzeń Louise Porter była dość niewzruszona. Zdarzało się, że ona i Thorne rozmawiali o gwałtownych zgonach i związanych z nimi zagrożeniach równie gładko jak inne pary o ciężkim

dniu w biurze. Bywały jednak pewne szczegóły związane z ich pracą, których nie chcieli przynosić z sobą do domu, i choć zwykle nawet z najbardziej ponurych przypadków można było zrobić czarną komedię, starali się oszczędzić sobie nawzajem tych najbardziej mrocznych i posępnych detali.

Teraz jednak Thorne nie próbował się hamować. Kiedy skończył, Louise powiedziała:

- Wiem, co robisz, i naprawdę nie musiałeś.
- Czego nie musiałem? – zapytał.
- Przypominać mi, że niektórzy mają gorzej niż ja.

Dwie godziny później możliwie jak najdyskretniej Thorne sięgnął do kieszeni, wyjął komórkę i upewnił się, że jest wyciszona.

- Chyba jesteśmy gotowi.

Były takie chwile, kiedy naprawdę każdy wolałby, aby jego komórka zadzwoniła.

Asystent koronera odgarnął prześcieradło i zaprosił męża Emily Walker, aby podszedł bliżej.

– Czy jest pan w stanie rozpoznać ciało jako należące do pańskiej żony, Emily Anne Walker?

Mężczyzna skinął głową jeden jedyny raz i odwrócił się.

- Czy mógłby pan to powiedzieć?
- Tak. To moja żona.
- Dziękuję.

Mężczyzna już stał przy drzwiach sali oględzin i czekał, by go wypuszczono. Zgodnie ze zwyczajem po formalnej identyfikacji zapraszano najbliższych – jeżeli tego zechcieli – aby spędzili kilka chwil z ukochanymi, ale Thorne zorientował się, że w tym przypadku nie wchodziło to w rachubę. Uduszenie zniekształcało twarz równie mocno jak kilka uderzeń

tępy narzędziem. Nie mógł winić Georgea Walkera za to, że wolał zapamiętać żonę taką, jaka była za życia. Zakładając, rzecz jasna, że to nie on był odpowiedzialny za jej śmierć.

Thorne patrzył, jak Walker odchodzi w głąb korytarza odprowadzany przez dwoje funkcjonariuszy. Zobaczył, że ramiona mężczyzny obwisły, a policjantka objęła go jedną ręką, i przypomniał sobie słowa, które o dzień wcześniej usłyszał od Hollanda. *Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co się wtedy czuje...*

Jak na zawołanie zza rogu wyłonił się Dave Holland i wyglądał na zaskakująco wesołego, choć musiał uczestniczyć przy autopsji. Dołączył do Thorne'a w chwili, gdy Walker dotarł do schodów i zszedł po nich wolno, kierując się do wyjścia na ulicę.

– Wiem, że chciał pan z nim jeszcze pogawędzić – rzekł Holland. – Ale może powinniśmy odłożyć to na później.

– Tak uważasz?

– Wciąż jest mocno przybity i powinniśmy dać mu trochę czasu, aby spędził go z rodziną.

W takich chwilach Thorne żałował, że nie potrafi unieść jednej brwi, jak to robił Roger Moore. Musiał zadowolić się sarkastyczną ripostą.

– Wobec tego, słucham, sierżancie.

Holland uśmiechnął się.

– Udało nam się wyciągnąć coś od wścibskich sąsiadów.

– Mów.

– Staruszek z naprzeciwka twierdzi, że widział, jak ktoś wychodzi stamtąd mniej więcej godzinę przed powrotem męża Emily do domu.

– I jest pewien, że to nie był mąż Emily?

– Otóż to. Zna George'a Walkera z widzenia. Twierdzi, że facet, którego widział, był o wiele szczuplejszy. I miał włosy innego koloru.

– Zdołałby opisać go na tyle dobrze, aby dało się sporządzić portret pamięciowy?

Holland pokiwał głową.

– Jeżeli chce pan znać moje zdanie, uważam, że mąż jest niewinny.

– Jeszcze nie skreślałam go z listy podejrzanych – rzekł Thorne. – Ale masz rację. Przesłuchamy go jutro.

Jedne z drzwi w głębi korytarza otworzyły się i pojawiła się w nich znajoma ogolona głowa.

– W swoim czasie – powiedział Hendricks.

Thorne pokiwał głową i poluzował krawat, który włożył na okoliczność identyfikacji zwłok. Holland nie był już taki wesolutki, kiedy zmierzali w stronę otwartych drzwi.

W przeciwieństwie do innych kostnica Finchley Coroner's miała wąski korytarz biegnący pomiędzy salą oględzin a salą sekcyjną, dzięki czemu ciała mogły być szybko i dyskretnie przewożone z jednej do drugiej. Jedno pomieszczenie było urządzone schludnie, z klasą, ściany pomalowano na pastelowe kolory, podczas gdy w drugim królowały białe kafelki i chromowana stal, a pociechy było tu jak na lekarstwo.

Choć tym, którzy tu docierali, i tak niewiele by to już dało.

Hendricks i Holland przystanęli na chwilę, bo ubiegłej nocy nie mieli nawet czasu na krótką pogawędkę. Hendricks zapytał o córkę Hollanda, Chloe, o której wiedział więcej aniżeli Thorne. To trochę przygnębiło Thorne'a. Nie czekał z zapartym tchem, kiedy Holland i jego dziewczyna decydowali, kto ma być ojcem chrzestnym małej, ale swego czasu kupował prezenty i wysyłał pocztówki na urodziny i święta.

Thorne przysłuchiwał się przez chwilę pogawędce tych dwóch – Holland mówił Hendricksowi, jak bardzo mała urosła, choć ma tylko cztery latka, a Hendricks stwierdził, że to wspaniały wiek, równocześnie

przysuwając do siebie przecinaki i piły do kości – gdy nagle coś sobie uświadomił. Wciąż próbował przypomnieć sobie datę urodzenia dziewczynki, kiedy Hendricks zajął się pozabawianiem Emily Walker ubrania.

Połowa września?

Podczas gdy Hendricks pracował i relacjonował swoje obserwacje do mikrofonu zawieszono nad głową, Holland sporządzał notatki. Ta analiza będzie wszystkim, czym mieli dysponować aż do sporządzenia pełnego raportu, często jednak okazywała się aż nadto wystarczająca dla ludzi takich jak Tom Thorne, dopóki eksperci tacy jak Phil Hendricks nie ujawnią szczegółów z sekcji podczas przesłuchania w sądzie.

Nauka i łacina...

– Spore rozcięcie skóry na potylicy, brak jednak pęknięcia czaszki czy oznak silniejszego uszkodzenia mózgu.

Kiedy Thorne nie musiał się skupiać, a jedynie mógł obserwować procedurę medyczną, którą widywał już wielokrotnie, zazwyczaj starał się myśleć o czymś innym. Wytłumić dobiegające odgłosy. Już dawno przywykł do smrodu – słodkomdłego fetoru mięsa – ale dźwięki zawsze go denerwowały.

– Uszkodzenie chrząstki tarczowatej i pierścieniowatej... rozległe wybroczyny podskórne... krwawa piana zaschnięta wokół ust ofiary.

W takiej sytuacji Thorne zwykle śpiewał w myślach. Piosenki Hanka Williamsa, Johnnycgo Casha, Williego Nelsona, co mu tylko przyszło do głowy. Parę zwrotek, nie więcej, aby wytłumić jęk piły do kości i suchy trzask nożyc do cięcia żeber. Aby uciszyć bulgot w tchawicy i poświst towarzyszący wyjmowaniu z klatki piersiowej serca i płuc.

Dzisiaj Ray Price: „My Shoes Keep Walking Back to You”.

– Żadnych oznak ciąży... Brak oznak niedawnego przerwania ciąży...



Śmierć nastąpiła wskutek uduszenia.

*Niektórzy mają gorzej niż ja.*

Pod koniec, kiedy organy zostały już zważone, a płyny spuszczone z ciała, Thorne zapytał o czas zgonu. Kiedy chodziło o odnalezienie głównego podejrzanego, zazwyczaj był to najistotniejszy czynnik.

– Późne popołudnie – odparł Hendricks. – To jedyne, co mogę stwierdzić.

– Przed piątą? – zapytał Holland.

– Przypuszczalnie między trzecią a czwartą, ale nie mogę powiedzieć tego na pewno.

– To pasuje. – Holland zapisał coś w notesie. – Mąż twierdzi, że wrócił do domu kilka minut po piątej. A więc możemy go wykreślić?

– Nie wykreślamy nikogo – odparł Thorne.

– Dobra.

Thorne spostrzegł wyraz twarzy Hendricksa i Hollanda, kiedy ten uniósł wzrok znad notesu.

– Przepraszam...

Popatrzył na rząd pojemników ze stali nierdzewnej, w których znajdowały się teraz główne organy Emily Walker. Stwierdził, że w końcu zdołała zrzucić tych kilka zbędnych kilogramów, którymi tak się przejmowała. Kiedy znowu się odezwał, choć wcale tego nie chciał, jego słowa brzmiały kąśliwie.

Holland spojrział na Hendricksa i teatralnym szeptem rzucił:

– Wstał dzisiaj lewą nogą.

Thorne z każdą chwilą był coraz bardziej rozdrażniony. Zmuszał się, by się uspokoić, ale mu się to nie udawało. Gdy dziesięć minut później on i Holland wyszli z sali, stwierdził, że trudno mu spłycić przyspieszony oddech i jest cały rozpalony. Niekiedy po wyjściu z sali sekcyjnej czuł się

kompletnie rozbity albo przygnębiony, ale nigdy jeszcze nie był aż tak rozwścieczony.

Zanim opuścił salę, włączył komórkę i jeszcze w kostnicy na Avondale Road zorientował się, że ma aż trzy nieodebrane połączenia od Louise.

Powiedział Hollandowi, że go dogoni.

Miała taki głos, kiedy płakała.

– Wciąż jeszcze tego nie zrobili.

– Rany boskie, chyba żartujesz!

– Nie wiem, co robić – odparła.

Odwrócił się, popatrując na drugą stronę North Circular i unikając spojrzeń pary, która stała na przystanku i usłyszała, jak krzyknął.

– Co powiedzieli?

– Nie mogę znaleźć nikogo, kto mógłby powiedzieć mi, co się dzieje.

– Będę za piętnaście minut.

Louise zalała się łzami, kiedy tylko zobaczyła, jak Tom wchodzi na oddział. Uciszył ją delikatnie, zaciągnął przy łóżku parawan, usiadł i przytulił czule.

– Ja tylko... chcę się tego pozbyć – powiedziała. – Rozumiesz?

– Tak, wiem.

Usłyszeli głos kobiety leżącej na łóżku naprzeciwko dochodzący zza parawanu.

– Wszystko w porządku?

– Jasne, że tak – odparł Thorne.

– Mam kogoś zawołać?

Thorne nachylił się do Louise:

– Ja po kogoś pójdę.

Przez pięć minut krążył po korytarzach, aż na sąsiednim piętrze zdybał jakiegoś lekarza i powiedział mu, co trzeba zrobić. Po parominutowej

pyskówce i wykazując niewzruszoną postawę, podczas gdy doktor odbył kilka rozmów telefonicznych, Thorne wrócił do Louise w towarzystwie pielęgniarki mówiącej z lekkim szkockim akcentem. Ta pomruczała trochę potakująco, po czym stwierdziła, że nic nie może zrobić.

– To za mało – powiedział Thorne.

– Przykro mi, ale to standardowa procedura.

– Czyli co?

– Obawiam się, że pańska partnerka miała po prostu pecha.

Pielęgniarka wertowała przyniesione przez siebie akta. Pomachała teczką w stronę Thorne'a.

– Za każdym razem, gdy wyznaczano jej termin, pojawiał się nowy nagły przypadek, który uznawano za priorytetowy. Pech, i tyle...

– Zapewniano ją, że zabieg zostanie przeprowadzony jeszcze wczoraj – powiedział Thorne. – A potem, że dziś z samego rana.

Louise położyła się i zamknęła oczy. Wyglądała na wyczerpaną.

– Dwie godziny temu powiedziano mi, że teraz to już moja kolej.

– To jakaś paranoja – warknął Thorne.

Pielęgniarka znów zerknęła w papiery i pokiwała głową, gdy znalazła stosowne wyjaśnienie.

– Tak, zgadza się, ale niestety przyjęliśmy pacjenta ze skomplikowanym złamaniem ręki, a więc...

– Ze złamaniem ręki?

Pielęgniarka spojrzała na Thorne'a jak na idiotę.

– Bardzo cierpiał.

Thorne odnalazł jej spojrzenie, po czym wskazał na Louise.

– A pani się wydaje, że ona świetnie się bawi?

Alex włożyła do ust ostatni kawałek tosta, kiedy Greg wszedł do kuchni. Pokiwał głową, wciąż wkładając koszulę do spodni. Mruknęła, pomachała

i wróciła do lektury artykułu w „Guardianie”.

– Mam nadzieję, że zostawiłaś trochę chleba – powiedział Greg, wstawiając czajnik.

Usłyszał kolejne mruknięcie, kiedy podchodził do pojemnika na chleb, przeprosił i podszedł do lodówki.

– Taa, no jasne, jakbyś mogła wtranzolić aż tyle...

Zajrzał do lodówki, na próżno szukając jogurtu, który był tam nie dalej jak wczoraj. Kieron, współlokator, który wyprowadził się pod koniec zeszłego roku, miał zwyczaj wyjadać wszystko, co zostało w lodówce ze wspólnych zapasów, i co gorsza, sięgał też po produkty, które do niego nie należały. Pod tym względem Alex była do niego bardzo podobna. Greg jednak był skłonny wybaczyć to siostrze, zwłaszcza że zostawiała łazienkę w lepszym stanie i bardziej pachnącą niż Kieron.

Odsunęła od siebie gazetę, kiedy podszedł do stołu z herbatą i tostami.

– Wcześniej skończyłaś.

– Wykład o dwunastej – powiedział Greg. – Cholerny Henryk Drugi. Poza tym reszta świata wcale nie powiedziałyby, że to wcześniej.

– Jak dla mnie to całkiem wcześniej.

– A ty o której wróciłaś?

– Nie wiem – odparła Alex. – Ale nie o jakiejś bezbożnej porze. Jednak grupka naszych wybrała się do pubu w Islington, gdzie podają te zabójcze harcerzyki z wódką.

– To harcerze piją?

Alex uśmiechnęła się.

– Niekiedy i owszem.

Wskazała na Grega, który pokręcił głową i upił łyk herbaty.

– Nie traktuj mnie jak młodszej siostry, braciszku. Nie po tym, co sam nieraz zmalowałaś.

Greg zaczerwienił się, co go zdenerwowało, i rozzłościł się jeszcze bardziej, kiedy Alex zachichotała znacząco, a on znowu się spleł.

– Chcę tylko powiedzieć, że jesteś tu zaledwie od paru tygodni. – Uciszył siostrę gestem, zanim zdążyła coś powiedzieć. – I nie mów, żebym się wychilloutował ani nic w tym stylu. Nie masz dwunastu lat.

– Poznają przyjaciół – powiedziała.

– Możesz trochę przystopować. No i możesz wziąć się też do roboty. – Uderzył się w pierś przesadnym, teatralnym gestem. – Wiem, to durny pomysł...

– Jak sam powiedziałaś, jestem tu zaledwie od dwóch tygodni. – Wyciągnęła rękę, ale nie zdołała dosięgnąć jego tosta. – Poza tym sam wiesz, jak jest sytuacja. Masakra. Nie ma pracy, kompletna porażka.

– Pamiętasz, jak stary się cieszył, że tu zamieszkas? Kiedy mu powiedziałaś, że wprowadzasz się do mnie?

Wzruszyła ramionami.

– Nie sądzisz, że wkurzyłby się, gdyby wiedział, że co drugi dzień tego balujesz?

Już mogło się wydawać, że Alex zacznie krzyczeć albo wyjdzie wzburzona, ale ona tylko uśmiechnęła się promiennie tym ujmującym, rozbrajającym uśmiechem, który trenowała od osiemnastu lat.

– Jesteś zazdrosny, bo masz nudny tok studiów i nudne wykłady – powiedziała. – Cholerny Henryk Drugi.

– Flaki z olejem – przyznał.

Oboje zaśmiali się, a ona znów, tym razem z powodzeniem, sięgnęła po tosta. Greg nazwał ją podstępna zdzirą. Alex odparła, że jest zgryźliwym sknerą, po czym wstała, aby zrobić jeszcze kilka tostów dla nich obydwójga.

– Wybierasz się dziś do Rocket?

Alex odwróciła się od kontuaru i zrobiła przesadnie skonsternowaną

minę.

- Po tym, co właśnie powiedziałaś?
- Informuję cię tylko, że zapewne tam będę.
- Tak. Jasne. Zapewne.

Wskazała na niego oskarżycielskim gestem nożem umazanym masłem i marmoladą. Kompleks Rocket przy Holloway Road stanowił siedzibę samorządu studentów północnolondyńskiego kampusu Uniwersytetu Metropolitan. Mieściły się tam również najmodniejsze kluby i jej brat do niedawna był tam częstym bywalcem.

- To już trzeci raz w tym tygodniu.
- No i?
- To ci zaczyna wchodzić w nawyk, nie uważasz?

Wzruszył ramionami.

- Browar jest tani.
- Tak, tylko o to ci chodzi, a nie o to, żeby sobie zapolować?

Greg znów się zaczerwienił i wstał. Powiedział jej, że już jest za późno, że nie zdąży zjeść kolejnego tosta, bo musi się szykować. Zawołała, że przecież mógłby zjeść po drodze.

- Pewnie, że tak, gdybym chciał się zabić – odkrzyknął.

Pięć minut później wyjechał rowerem na ulicę, próbując równocześnie dokończyć tosta, którego Alex wcisnęła mu do ręki jeszcze na schodach. Często tak się zdarzało. Choć ich ojciec uważał, że to Greg opiekował się młodszą siostrą, zwykle bywało na odwrót. Wciąż go kontrolowała, dbała o niego i pełniła rolę matki, której obojgu zabrakło.

Gdy wsiadł na rower i czekał na odpowiedni moment, by włączyć się do ruchu, uniósł wzrok i zobaczył, że pomachała do niego z okna swojej sypialni. Przyłożyła twarz do szyby jak dziecko. Odmachał jej i popedałował, kierując się w stronę Hornsey Road i Stadionu Emiratów,

którego ogromna sylwetka odcinała się na tle szarego nieba na wprost niego.

Greg uniósł rękę, aby raz jeszcze pomachać, na wypadek gdyby Alex wciąż patrzyła przez okno.

Nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go obserwował.

Że ktoś obserwował ich oboje.

## 4

Choć to, co działo się w ich umysłach, w większości pozostawało dla niego tajemnicą, Dave Holland miał okazję widzieć, jaki brutalna śmierć odmieniała ich fizycznie. Zupełnie jakby byli przez nią wydrążeni, a George Walker sprawiał wrażenie mniejszego, skurczonego. Walker był masywnym mężczyzną, miał ponad metr osiemdziesiąt pięć, ale kiedy siedział naprzeciwko niego, w pokoju przesłuchań na posterunku Colindale, Hollandowi wydał się niski i drobnej budowy.

– To nie zajmie dużo czasu – powiedział sierżant. – Naprawdę bardzo nam pomoże, gdy będziemy mieli to wszystko nagrane na taśmie, rozumie pan?

Wydział Zabójstw miał siedzibę o pięć minut od Peel Centre, ale brązowy, trzypiętrowy budynek, w którym znajdowały się biura, pełnił tylko funkcje administracyjne. Przesłuchania zlecano w Becke House, lecz funkcjonariusze, którzy chcieli skorzystać z pokoi przesłuchań, aresztu czy staroświeckich cel, przyjeżdżali w tym celu na posterunek Colindale.

– Jeżeli tylko to może jakoś pomóc – przytaknął Walker.

Holland pokiwał głową. Nie wiedział, jak brzmiał głos Georgea Walkera, zanim zamordowano mu żonę, ale teraz wydawał się cichy i słaby.

– A więc przedwczoraj wrócił pan do domu o zwykłej porze? -rozpoczął przesłuchanie.

– Około dwunastej czterdzieści pięć.

– I spędził pan tam godzinę, może trochę dłużej.

Walker skinął głową, po czym powiedział: „Tak, godzinę”, kiedy



Holland poprosił go, by wyraził to słowami na użytek nagrania. Był nauczycielem w szkole niedaleko domu, w którym mieszkał z żoną, a Holland zdołał już ustalić, że codziennie przychodził do domu na lunch.

– Szkolne obiady to nie to samo co domowe, prawda?

– Są całkiem niezłe – odparł Walker.

Wlepił wzrok w blat stołu i zaczął skubać jego brzeg paznokciem. Wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na Hollanda.

– Lubilem wracać do domu.

– Chciałbym móc powiedzieć to samo – odezwał się Holland. – Jedzenie w kantynie jest po prostu fatalne.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Thorne. Holland wymienił jego nazwisko dla potrzeb nagrania, po czym przerwał na chwilę nagrywanie, gdy Thorne przeproszał Walkera za spóźnienie, a tamten odparł, że nic się nie stało.

– Koszmarne korki – stwierdził Thorne.

Po drodze wpadł do Whittington i załapał się na końcówkę piątkowych godzin szczytu. Wczoraj po południu Louise poddano wreszcie zabiegowi, ale postanowiono zostawić ją na noc w szpitalu. Zjadła sute śniadanie i była w lepszym nastroju niż wtedy, gdy dowiedzieli się, że płód jest martwy. Thorne nie wiedział dlaczego, ale trochę go to zaniepokoiło.

– Chciałabym już wrócić do domu – stwierdziła.

Zapewnił, że postara się przyjechać po nią po lunchu, a w każdym razie dowie się, czy będą mogli ją wypisać.

Kiedy Thorne wreszcie usiadł, Holland szybko zrelacjonował mu, co do tej pory ustalili, po czym podjęli przerwane przesłuchanie George’a Walkera.

– Proszę opowiedzieć nam, co się stało, kiedy wrócił pan ze szkoły do domu – powiedział Thorne.

Walker odchrząknął.

– Kiedy tylko przestąpiłem próg, poczułem, że coś jest nie tak – zaczął.

– Coś jest nie tak?

– Było jakoś inaczej...

– Która mogła być wtedy godzina?

– Dochodziła piąta – odrzekł Walker. – W środy prowadzę w szkole po zajęciach kółko szachowe. Innego dnia wróciłbym wcześniej.

Thorne przeniósł wzrok na Hollanda, upewnił się że tamten zrozumiał, po czym skinął na Walkera, aby ten mówił dalej.

– Poczułem coś... najwyraźniej zapach krwi. Na podłodze w holu leżał wazon, wszędzie była woda. Musiała z nim walczyć, prawda?

– Wciąż to ustalamy – wtrącił Holland.

– Zawołałem Emily po imieniu i wszedłem do kuchni. I wtedy ją zobaczyłem.

– Zadzwoił pan do nas od razu, zgadza się? – Thorne zajrzał do swoich notatek, choć dobrze wiedział, o której godzinie przyjęto zgłoszenie. – Telefon alarmowy odebrano o czwartej pięćdziesiąt sześć. Wydawał się pan bardzo spokojny.

– Naprawdę? Mam wrażenie, że byłem w szoku. – Walker pokręcił głową, oddychał głośno przez dziesięć sekund, po czym rzekł: – Nawet nie pamiętam tego telefonu.

– Co było potem? – spytał Thorne. – Pamięta pan, jak wybiegł na ulicę? Jak pukał pan do sąsiadów? Krzyczał o krwi?

Przeczący ruch głową.

– Nie bardzo. – Głos Walkera zniżył się do szeptu. – Nie pamiętam, co mówiłem... ani co krzyczałem. Pamiętam, że później miałem schrypnięte gardło, choć nie wiedziałem dlaczego. Klęczałem wtedy przy Emily i czekałem, aż ktoś się pojawi. To trwało wieki.

Z jego oczu popłynęły łzy, ale Walker nie zwracał na nie uwagi. Zwiesił lekko głowę i jakby odruchowo wycierał oczy, nawet o tym nie myśląc.

– Chciałem jej dotknąć – powiedział. – Wiedziałem jednak, że nie powinienem, bo mógłbym przez to zatrzeć jakieś ślady i w ogóle. Chyba naoglądałem się za dużo seriali kryminalnych. Ale mimo to chciałem choć przez kilka minut potrzymać ją za rękę. I wsunąć rękę pod tę reklamówkę, żeby odgarnąć jej włosy za ucho.

Holland patrzył na Thorne'a tak długo, że ten skinął głową.

– Zechce pan poczekać kilka minut, panie Walker?

Holland odsunął krzesło i rzucił jakby mimochodem, że przyniesie chusteczki higieniczne.

– Właściwie myślę, że moglibyśmy na tym zakończyć – powiedział Thorne.

Walker pokiwał głową, a w jego oczach, zanim je zamknął, pojawił się wyraz wdzięczności.

Kiedy tylko Holland zatrzymał taśmę, Thorne wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi.

– Zobaczę, czy udałoby się zamówić dla pana taksówkę.

Walker podniósł się powoli.

– Najtrudniej było powiedzieć o tym ojcu Emily. Po tym, co stało się z matką Emily – Odwrócił się, by spojrzeć na Thorne'a. – Jak wiele tragedii może spaść na jedną rodzinę?

– Pan wybaczy, ale nie rozumiem – powiedział Thorne.

Walker wydawał się zbity z tropu. Popatrzył na Hollanda, który tylko pokręcił głową na znak, że on też nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Och, sądziłem, że panowie to wiedzą – rzekł Walker. – Matka mojej żony także została zamordowana, piętnaście lat temu. Panieńskie nazwisko mojej teściowej brzmiało Sharpe.

Thorne był w stanie rzucić tylko „przepraszam”.

Zgodnie z procedurą nazwisko Emily Walker zostało przepuszczone przez policyjną bazę danych, by ustalić jej ewentualną przeszłość kryminalną, ale niczego nie znaleziono. Rodzinna tragedia z przeszłości z całą pewnością nie została uwzględniona w jej aktach.

Walker wciąż wodził wzrokiem od Thorne'a do Hollanda i z powrotem, jakby spodziewał się, że to nazwisko coś im powie. Sięgnął po kurtkę, a gdy się odezwał, ton jego głosu świadczył wyraźnie o tym, że przywykł już do udzielania tego rodzaju wyjaśnień na zakończenie rozmowy.

– Była jedną z ofiar Raymonda Garveya.

Patrzyli, jak taksówka Walkera odjeżdża, po czym ruszyli w przeciwnym kierunku, ku Peel Centre. Nie było jeszcze dziesiątej. Poranek był przyjemny, ale trochę mżyło.

– Zadzwoń do szkoły, zanim przyszedł – powiedział Holland.

– Wrócił na lekcje przed drugą. Wyszedł dopiero za kwadrans piąta.

Jeśli pan chce, mogę jeszcze pomówić z Hendricksem, aby upewnić się co do przypuszczalnego czasu zgonu.

– To nie będzie konieczne – odparł Thorne.

Przyspieszyli kroku, żeby za bardzo nie zmoknąć.

– Myślałem o tym, jak Walker wracał do szkoły po lunchu – odezwał się Holland. – Wyobraziłem sobie zabójcę obserwującego, jak on wychodzi z domu, a potem podchodzącego i dzwoniącego do drzwi. Emily mogła otworzyć, gdyż pomyślała, że to jej mąż wrócił, bo czegoś zapomniał.

Thorne pokręcił głową.

– Pora się nie zgadza.

– Ale tak to sobie wyobrażałem.

Szli dalej, skręcili w lewo, w Aerodrome Road, i po kilku krokach znów maszerowali w równym rytmie.

– Myślę, że tamtego wieczoru miałaś rację – powiedział Thorne. – To ktoś, kogo znała. Nie za dobrze... a w każdym razie to nie było konieczne. Może facet pracuje w miejscowym sklepiku, zajmuje się ogrodem gdzieś niedaleko, coś w tym rodzaju.

– Znajoma twarz.

– To wszystko, czego potrzebował. Słyszałeś, co powiedział Walker, że gdyby stało się to innego dnia tygodnia... Wygląda na to, że ten, kto zabił Emily, obserwował ich i to już od jakiegoś czasu. Znał ich rozkład dnia i wiedział, kiedy jest najlepszy moment, żeby uderzyć.

– A więc upatrzył ją sobie jako ofiarę.

– Wygląda na to, że tak. Nie pukał od domu do domu i nie czekał, aż ktoś otworzy mu drzwi.

– Ale dlaczego właśnie Emily? – zastanawiał się Holland.

Thorne spojrzał na niego z ukosa, a sierżant uświadomił sobie, jak idiotyczne było to pytanie na tym etapie, kiedy praktycznie nic jeszcze nie było wiadomo. Kiedy mieli tysiące pytań i ani jednej konkretnej odpowiedzi. Obaj mieli świadomość, że prawdziwa odpowiedź, jeżeli na nią wpadną, niemal na pewno da im szansę na schwytanie zabójcy Emily Walker. Teraz jednak Thorne mógł jedynie mruknąć „Bóg raczy wiedzieć”, zanim obaj przebiegli przez ulicę i szybkim krokiem zbliżyli się do frontowej bramy.

– Czy jednak nie wydaje się panu dziwny ten związek ze sprawą Garveya? – Holland próbował zrównać się z Thorneem, ale wciąż był o parę kroków za nim. – To było, jeszcze zanim wstąpiłem do policji, ale, niech to szlag... o sprawie było głośno, no nie?

Przed nim Thorne machnął właśnie legitymacją do oficera dyżurnego na portierni.

– Pracował pan przy tym śledztwie?

Pół minuty później Holland czekał w strugach zacinającego, chłoszczącego twarz deszczu, aż oficer dyżurny sprawdzi jego legitymację, podczas gdy Thorne był już kilka metrów za szlabanem i szedł na ukos przez parking w stronę Becke House. Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał pytania Hollanda.

Thorne rzeczywiście uczestniczył w śledztwie w sprawie Raymonda Garveya, choć nie odegrał w nim znaczącej roli. Zapukał do paru drzwi, a jednego wieczoru pracował z ekipą od daktyloskopii przy zbieraniu odcisków palców. Było to największe dochodzenie tamtej dekady, setki śledczych usiłowały dopaść mężczyznę, który zamordował siedem kobiet. W policji nie było chyba funkcjonariusza, który w ten czy w inny sposób nie został zaangażowany w tę sprawę.

Po wejściu do Becke House Thorne udał się do windy, wcisnął przycisk trzeciego piętra i pogrążył się we wspomnieniach.

Był wtedy świeżo awansowanym, ambitnym i rzutkim detektywem konstablen. Pracował na posterunku w Kentish Town, niespełna pięć minut piechotą od miejsca, gdzie teraz mieszkał.

Drzwi windy wciąż uparcie nie chciały się zamknąć, więc Thorne ponownie nacisnął przycisk. Wstydził się, że wciąż pamiętał kolor i krój granatowego munduru, który wówczas nosił, i numer rejestracyjny radiowozu, którym jeździł, ale nie zapamiętał nazwiska żadnej z ofiar Raymonda Garveya.

Drzwi w końcu się zamknęły.

Ani jednego...

Upomniał siebie, że zawsze tak było, zwłaszcza w przypadku seryjnych zabójstw. Ile nazwisk spośród piętnastu ofiar Dennisa Nilsena potrafił wymienić albo spośród pięciu Colina Irelanda? Czy pamiętał nazwiska choć jednej z ponad dwustu ofiar Harolda Shipmana?

Po wyjściu z windy przeszedł korytarzem, mijając salę odpraw, i udał się w stronę małego gabinetu, który dzielił z detektyw Yvonne Kitson.

Oczywiście z jego sprawami było inaczej. Pamiętał każde nazwisko, każdą twarz i każde zdjęcie „przed” i „po”. Nazwiska panieńskiego mógłby nie przypomnieć sobie od razu, ale wiedział, że nigdy nie zapomni Emily Walker.

Kitson zostawiła mu na biurku kartkę z informacją o sprawie w sądzie, która miała się odbyć w następnym tygodniu, i dowodach, które trzeba było sprawdzić. Thorne odłożył liścik na bok i przysunął do siebie klawiaturę komputera. Przez całą drogę z Colindale zastanawiał się, gdzie przechowywano akta Garveya. Teraz uznał, że jest o wiele prostszy i szybszy sposób, żeby to sprawdzić. Postukał w klawisze i w Google wpisał hasło: Raymond Garvey.

Pojawiło się ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy trafień. Pomiął kilka pierwszych linków, ignorując większość i coś, co nazywało się serialkiller.com, aż znalazł stronę, która nie była reklamą czasopism ani programów kryminalnych w telewizji satelitarnej i wydawała się wiarygodna. Rzucił okiem na listę nazwisk. Susan Sharpe, lat czterdzieści cztery, była czwarta na liście. Została zaatakowana w drodze do domu z siłowni i zatłuczona na śmierć, podobnie jak inne ofiary, a jej ciało znaleziono nad kanałem w Kensal Green, niedaleko słynnego cementarza. Thorne kliknął na nazwisko i pojawiło się zdjęcie. Podobieństwo do Emily Walker było znikome, ale też nigdy nie widział Emily żywej.

Raymond Anthony Garvey w ciągu czterech miesięcy zamordował siedem kobiet. Mógłby zabić ich więcej, gdyby nie aresztowano go po zwykłej bijatyce przed pubem w Finsbury Park. Po tym incydencie pobrano od niego próbkę DNA i okazała się ona zgodna z materiałem biologicznym, jaki znaleziono u dwóch jego ofiar. Tego rodzaju zbieg okoliczności

w powieści kryminalnej mógłby zostać uznany za tani wybieg, przejaw osłabienia weny twórczej autora, ale szczęście odgrywa zwykle sporą rolę w rozwiązaniu podobnych spraw, co potwierdza większość starszych rangą funkcjonariuszy.

Garvey, który nigdy nie chciał zdradzić motywu swojego działania, został skazany na pięciokrotne dożywocie i w uzasadnieniu wyroku usłyszał od sędziego, że umrze w więzieniu. To stało się szybciej, aniżeli ktokolwiek się spodziewał, gdyż po dwunastu latach za kratkami zdiagnozowano u niego guza mózgu i sześć miesięcy później zmarł.

Thorne raz jeszcze popatrzył na zdjęcie Raymonda Garveya – tępe, błogie spojrzenie zwykłego psychopaty – zanim skoncentrował się na nazwiskach kobiet, które zabił ten seryjny morderca. Właśnie wcisnął opcję „drukuj”, kiedy otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Russell Brigstocke.

Nadinspektor posadził swoje dość masywne cztery litery na brzegu biurka i zerknął na obraz na ekranie komputera. Poprawił okulary.

– Holland wspominał mi o tym. Czy to możliwe, żeby to był zbieg okoliczności?

Brigstocke przeczesał palcami swoją niegdyś bujną, a teraz mocno już przerzedzoną czuprynę.

– Taa.

Thorne zdawał sobie sprawę, że on też bardzo się zmienił. Wciąż po jednej stronie miał więcej siwych włosów niż po drugiej, ale teraz było ich wszędzie sporo. Wylogował się z internetu i oblicze Raymonda Garveya zastąpił niebieski ekran oraz logo londyńskiej policji z uspokajającym hasłem: „Pracujemy wspólnie dla większego bezpieczeństwa Londynu”.

– Ta sprawa trwa już od trzydziestu sześciu godzin, Tom – powiedział Brigstocke. – Na czym stoimy?



Nadinspektor potrafił interpretować wyraz twarzy i mowę ciała Toma Thorne'a równie dobrze jak wszyscy. Wychwycił zdawkowe drgnięcie ramienia Thorne'a a znaczące „Na niczym” i wydęcie policzków mówiące „Jeżeli nasz zabójca sam nie odda się w nasze ręce, nie ma co liczyć na triumfalny występ podczas uroczystej konferencji prasowej przed posterunkiem Colindale”.

– A jak analiza materiałów zebranych przez ekspertów? – zapytał Thorne.

Eksperci policyjni i sądowi z laboratorium kryminalistyki w Victorii urabiali sobie ręce po łokcie, badając każdy skrawek materiału dowodowego pobranego na miejscu zbrodni: włosy, włókna, odciski palców. Analizowali ślad plamy krwi w nadziei na odtworzenie przypuszczalnego przebiegu zabójstwa. Próbowali zidentyfikować fragment celuloиду, który znaleziono w zaciśniętej dłoni Emily Walker.

– Poganiam ich – powiedział Brigstocke. – Jak zawsze zresztą. Przy odrobinie szczęścia jutro będą wyniki, ale spodziewałbym się ich raczej w niedzielę.

– A co z portretem pamięciowym?

– Widziałeś go?

Thorne pokiwał głową. Wścibski sąsiad najwyraźniej nie widział za wiele albo nie tak wyraźnie, jak początkowo twierdził.

– Nie liczyłbym na wiele – odparł.

– Tak. Ja też nie sądzę, aby wiele nam to dało, ale cóż począć? Jesmond dał tej sprawie priorytet i próbowałem ją jakoś przyspieszyć. Portret pamięciowy wydrukowano dziś w „Standardzie” i kilku krajowych dziennikach. A także pokazano w *London Tonight*.

Brigstocke również nie potrafił ukrywać emocji i Thorne wychwycił ruch jego gałek ocznych mówiących „To tylko strata czasu”. Oczywiście

nadkomisarz Trevor Jesmond chciał rozpropagować portret pamięciowy na jak największą skalę, aby zapewnić, że jego ekipa robi wyraźne postępy. Nie przejmował się tym, że portret przedstawiający zabójcę wyglądał tak, jakby narysował go szympan, że przez to wszystko zmarnuje się mnóstwo czasu i energii ludzi, bo ktoś przecież będzie musiał przyjąć te wszystkie bezsensowne zgłoszenia i telefony od rozmaitych szajbusów i osób, które choć działały w dobrej wierze, jednak się myliły, bo nie byłyby w stanie odróżnić mężczyzny przedstawionego na portrecie pamięciowym od Johnnynego Deppa.

Nadkomisarz najbardziej przejmował się tym, jak prezentował się na ekranie lub na zdjęciu w gazecie. Nieco później tego dnia miał wystąpić przed kamerami przy posterunku Colindale. Poda jedynie proste, wstrząsające fakty, podkreślając brutalność i zgrozę zbrodni, której ofiarą padła Emily Walker, oraz zapewni, że policja podejmie wszelkie kroki w celu schwytania jej zabójcy i postawienia go przed oblicze sprawiedliwości.

Thorne nie mógł się nadziwić swojemu przełożonemu. Nadkomisarz nie byłby w stanie schwytać nawet oszusta podatkowego w kręgach znanych z ratusza, ale jeżeli chodziło o pełne oburzenia słowa i chępliwe obietnice, nie miał sobie równych.

– To był ktoś, kogo znała – powiedział Thorne. – Ktoś, kto ich obserwował. Musiała go widywać, rozmawiać z nim, to pewne.

Brigstocke pokiwał głową.

– Poślij ludzi do każdego sklepu, który regularnie odwiedzała, do najbliższego supermarketu i na siłownię. Przyjrzyjmy się dobrze jej przyjaciółom i kolegom z pracy. Raz jeszcze przesłuchajmy wszystkich sąsiadów.

– Phil uważa, że on przyszedł na miejsce odpowiednio przygotowany –

Thorne wziął do ręki raport z autopsji, który Hendricks dostarczył wczoraj po południu, i przewertował go. – Odnoszę wrażenie, że przygotowywał się już od jakiegoś czasu.

– Jak długo się tym zajmujesz? – jęknął Brigstocke. – A mimo to za każdym razem, kiedy słyszę takie rzeczy, ogarnia mnie przygnębienie.

– Wstał od biurka i podszedł do okna. – Nie twierdzę, że byłoby lepiej, gdyby jej mąż przyłapał ją na figlach gdzieś na boku i dał za to czymś ciężkim po głowie. I byłaby martwa, ale... Jezu Chryste...

– To powinno przyprawiać cię o przygnębienie – powiedział Thorne. – Bo w przeciwnym razie...

– Wiem, oznaczałoby, że czas przejść na emeryturę.

– Zmieniłbyś się w Trevora Jesmonda.

Brigstocke uśmiechnął się. Sięgnął po kartkę, którą drukarka wypłula, kiedy wchodził do gabinetu. Zerknął na listę siedmiu nazwisk.

– Powinniśmy to sprawdzić?

– Nie wiem po co – odparł Thorne. – Garvey zmarł w więzieniu trzy lata temu.

Brigstocke poruszył kartką, jakby chciał się powachlować.

– To znów jedna z tych dziwacznych spraw.

Detektyw pokiwał głową ze zrozumieniem. Obaj od kilku miesięcy pracowali nad sprawą pobicia na śmierć mężczyzny, na oczach rodziny, po konfrontacji z hałaśliwym sąsiadem. Okazało się, że dwadzieścia lat wcześniej zaledwie dwie ulice dalej dokładnie to samo spotkało ojca ofiary.

– Jedna z wielu – powiedział Thorne.

Z powodu przedłużonej o dwadzieścia minut odprawy i mecenasa, który uparcie wisiał na telefonie, nie dając mu spokoju, Thorne nie mógł w porze lunchu wyrwać się z pracy. Ale do tego czasu było już po wszystkim i Louise zadzwoniła z informacją, że sama wróciła do domu.

Czuła się dobrze i chciała gdzieś wyjść.

Wracając z pracy pod koniec dnia, Thorne był zdenerwowany, jakby on i Louise się pokłócili. Przygotowywał się w duchu na serię rozmów, które mogli odbyć, ale wszystko wywietrzało mu z głowy, kiedy wszedł do pogrążonego w ciszy mieszkania. I gdy zobaczył ją leżącą na boku w ciemnej sypialni.

– Już dobrze – powiedziała. – Nie śpię.

Była dopiero ósma, ale Thorne rozebrał się i położył obok niej. Przez chwilę leżeli w bezruchu, wsłuchując się w odgłos motocykla przejeżdżającego pod oknem i dźwięki piosenki dochodzące z mieszkania piętro wyżej, której Thorne nie był w stanie rozpoznać.

– Pamiętasz morderstwa Garveya? – zapytał wreszcie.

Mruknęła coś pod nosem i zastanawiał się, czy jej nie obudził, ale odparła:

– Chyba byłam wtedy na studiach. Dlaczego pytasz?

Thorne opowiedział jej o Susan Sharpe. O tym, jak matka i córka zostały zamordowane, jedna piętnaście lat temu, a druga teraz. W mieszkaniu piętro wyżej zapadła cisza, a on zastanawiał się, co to była za piosenka, którą usłyszał przed chwilą.

– Znowu to robisz – powiedziała Louise. – Chcesz sprawić, abym poczuła się lepiej.

– Wcale nie, przysięgam.

– Ale udało ci się sprawić, że uświadomiłam sobie, jaki z ciebie stary ramol.

Thorne wybuchnął śmiechem po raz pierwszy od wielu dni. Przytulił się do niej z tyłu i położył rękę na jej brzuchu. Kilka sekund później poczuł się niezręcznie i zaczął się zastanawiać, czy Louise chce, żeby jej dotykał, i pospiesznie cofnął dłoń.

## 5

Zgodnie ze standardowym grafikiem pracy i dni wolnych Thorne zdecydowaną większość sobót spędzał w domu. Zazwyczaj wtedy sypiał dłużej niż zwykle, siedł po gazetę, a potem szykował nieprzyzwoicie sute śniadanie. Odkąd Louise wkroczyła do jego życia, pewnych rzeczy nie musiał robić w pojedynkę i na szczęście odnosiło się to również do seksu, który okazjonalnie dawało się upchać między kolacją a mecz.

W tę sobotę, dwa dni po zabójstwie Emily Walker, wszystkie dni wolne zawieszono i zalecano również branie nadgodzin. Thorne siedział w swoim gabinecie w Becke House, nie przeglądając zeznań, ignorując leżące przed nimi raporty, lecz zastanawiając się, czy w najbliższym czasie o seksie będzie mógł tylko pomarzyć.

Kiedy byłoby stosowne podjąć ten temat? I czy był skończonym egoistą, skoro o tym myślał?

Popatrzył w stronę biurka naprzeciwko, gdzie Yvonne Kitson pracowała znacznie ciężiej od niego. Zdjęto ją ze sprawy morderstwa w trakcie sprzeczki rodzinnej, która była już praktycznie zamknięta, i włączono do zespołu. Thorne cieszył się, że ma ją w swojej ekipie. Kitson była jednym z najlepszych ich śledczych, a jej osiągnięcia wydawały się imponujące, zważywszy na pewne okoliczności w jej życiu. Przez kilka lat była samotną matką dwójki dzieci, jej małżeństwo rozpadło się wskutek burzliwego romansu z przełożonym z pracy i to sprawiło również, że jej dotychczas rozwijająca się bardzo szybko kariera została brutalnie zahamowana.

Kitson uniosła wzrok znad biurka i zobaczyła, że Thorne na nią patrzy.

Znów spuściła wzrok i przewróciła stronę.

– Co?

Dawniej, kiedy oboje nie mieli partnerów i byli bardziej niż trochę podpici, flirtowali delikatnie ze sobą, ale to już należało do przeszłości.

– Sobota – powiedział Thorne.

– Nawet nie myśl o meczu cholernego Tottenhamu, porannych igraszkach z Louise czy za czym tam teraz tęsknisz – burknęła. – Niektórzy z nas powinni oglądać, jak nasi synowie grają w rugby. Jeżeli mam z tym wszystkim zdążyć, będę musiała dać zarobić firmie taksówkowej.

Przez chwilę Thorne miał ochotę powiedzieć jej, co spotkało Louise, i poznać kobiecy punkt widzenia na tę sprawę. Ale tylko się uśmiechnął i wrócił do leżących przed nim raportów. Minutę później papierowa kulka odbiła się od blatu jego biurka i spadła na podłogę. Schylił się, by ją podnieść, i spojrzał na Kitson. Wzruszyła ramionami, udając, że o niczym nie wie.

Thorne rozwinął kartkę, która okazała się zawierać spis porannych zgłoszeń odebranych w sali odpraw. Opublikowanie portretu pamięciowego spotkało się ze sporym odzewem i podczas gdy dział PR radził sobie jakoś z mediami, to do obowiązków zespołu należało przyjmowanie wszystkich zgłoszeń. Thorne i Brigstocke najwyraźniej nie docenili inwencji i zaangażowania zawsze skłonnych do życzliwej pomocy londyńskich świrów i popaprańców.

– Nie miałabym nic przeciwko przyjściu dzisiaj do pracy – powiedziała Kitson, wskazując na kartkę w dłoni Thorne'a – gdybym nie musiała od białego rana sortować tego szajsu.

– Ale trzeba to zrobić – odrzekł Thorne.

Wszyscy to wiedzieli. W całym zespole stale żartowano z procedur, papierkowej roboty i marnowania czasu na nikomu niepotrzebne czynności.

Zwłaszcza gdy dysponowali jedynie wątpliwej jakości portretem pamięciowym, który nie przyniesie żadnych wymiernych efektów, ale i tak każde zgłoszenie trzeba było przyjąć i sprawdzić, najlepiej kilka razy. Trop ukryty w gąszczu nic niewartych śmieci. W czasach, kiedy śledztwo w śledztwie było na początku dziennym, chronienie własnego tyłka stawało się wręcz drugą naturą. Zaczynało się, zanim jeszcze ofiara ostygła, i trwało aż do ostatniego uderzenia sędziowskiego młotka.

Ale nie powstrzymywało to narzekania ludzi.

– Ani jedno nazwisko się nie powtarza – rzekła Kitson.

– Mylisz się. – Thorne przesunął palcem w dół listy, przerywając tę czynność, by zawołać Hollanda do środka, kiedy sierżant zajrzał do gabinetu. – Aż trzy różne osoby zadzwoniły, by poinformować nas, że ich zdaniem ten mężczyzna wygląda jak facet z serialu *EastEnders*, ten, który prowadzi warsztat samochodowy.

– Akurat jego powinniśmy chyba aresztować – mruknęła Kitson. – Za rażący brak talentu aktorskiego.

Thorne uniósł wzrok i spojrzał na Hollanda.

– Odebrałem telefon, który, jak sądzę, może pana zainteresować – powiedział sierżant.

– Coś takiego. Zabójca wygląda jak ktoś z serialu *Emmerdale*.

Holland upuścił na biurko Thorne'a kartkę papieru z nagryzmołonym nazwiskiem i numerem telefonu.

– To numer detektywa inspektora z Leicester. Ktoś stamtąd oglądał wczoraj w telewizji Jesmonda, jak mówił o zabójstwie Emily Walker, i uznał, że to brzmi znajomo.

– Jak brzmi?

– Ten detektyw inspektor zadzwonił, żeby spytać o szczegóły, których nie wyjawiliśmy w prasie. Chciał sprawdzić, czy będą zbieżne

z przypadkiem morderstwa sprzed paru tygodni.

– To nie wróży nic dobrego – odezwała się Kitson.

Thorne już wybrał numer.

Po wstępnej wymianie uprzejmości detektyw inspektor Paul Brewer powiedział Thorne'owi, że przed trzema tygodniami odnaleziono ciało Catherine Burke, dwudziestotrzyletniej pielęgniarki, w mieszkaniu, które dzieliła ze swoim chłopakiem. Mieszkali przy spokojnej, zacisznej uliczce za boiskiem piłkarskim Leicester City. Uderzono ją w tył głowy ciężkim ornamentem, a następnie uduszono plastikową reklamówką.

– To właśnie sposób, w jaki uduszono ofiarę, zwrócił moją uwagę – powiedział Brewer z akcentem z East Midlands, słabszym jednak, niż spodziewał się Thorne. – Kiedy wasz nadkomisarz mówił o tym w telewizji. Nie oglądałem tego programu, ale kiedy tylko mi o tym wspomniano, pomyślałem, że warto pójść tym tropem. No wie pan, żeby mieć pewność. – Wydawał się zadowolony z siebie. – Wygląda na to, że trafiłem bez pudła.

– Mówi pan: trzy tygodnie temu?

– Dokładnie tak.

– I?

Chichot.

– I... ściana, kolego. Mamy rysopis faceta, który rzekomo rozmawiał z nią dzień wcześniej przed szpitalem, ale ni cholery nic to nie dało. Ta kobieta ćpała, od czasu do czasu łykała tabletki, podkradane, jak się okazało, ze szpitala, ale tym tropem nie doszliśmy do niczego konkretnego. Sprawa od tamtej pory utkwiała w martwym punkcie. Aż do waszego zabójstwa.

– I oto mamy przełom. Szczęśliwy traf – powiedział Thorne.

Brewer dodał coś jeszcze, ale Thorne był zbyt zajęty robieniem niewybrednych min do Kitson i Hollanda.

– A co stwierdzili technicy?



– To akurat było proste – odparł Brewer. – Wygląda na to, że go podrapała, kiedy zarzucał jej reklamówkę na głowę. Wydobyliśmy spod jej paznokci dość krwi i kawałków skóry, żeby wystarczyło do identyfikacji tego skurwiela, kiedy go tylko aresztujemy.

Thorne nabazgrał na kartce „Mamy DNA” i podsunął w stronę Hollanda i Kitson, aby to zobaczyli.

– Jest pan tam jeszcze?

– To co robimy z tym dalej? – zapytał Thorne.

– Nie mam pojęcia, kolego – odrzekł Brewer. – Wiem, że to nie zależy ode mnie, więc moje zdanie się tu nie liczy. Teraz pewnie mój przełożony debatuje z pańskim, żeby jakoś to ogarnąć. Polityka, budżet, cały ten szajs. Robimy, co nam każą, no nie?

– No...

– Żeby nie było wątpliwości... nie dbam o granice terytorialności ani nic z tych rzeczy – dodał Brewer. – Tym może się pan nie przejmować. Kwestię tego, kto zgarnie wszystkie zaszczyty, będziemy omawiać, kiedy już go złapiemy, może być?

Thorne wiedział, że niezależnie od tego, jakie zdanie wyrobił sobie na temat detektywa inspektora Paula Brewera – zmęczonego pracą, sfrustrowanego i zapewne nielubianego przez kolegów – on sam pewnie by się z nim zakumplował. Podziękował mu za pomoc, chwalać jego inicjatywę i stwierdzając, że zaszczyty przypadną w udziale temu, kto na nie zasłuży absolutnie sprawiedliwie. Wymawiał jego imię tak często, jak wymagała tego kurtuazja, i obiecał nawet wspólny wypad do pubu, którą to propozycję Brewer przyjął ochno.

– Nawiasem mówiąc, to fragment zdjęcia rentgenowskiego – rzekł Brewer.

– Ale co konkretnie?

– Ten kawałek plastiku w jej dłoni. – Brewer znów wydawał się zadowolony z siebie. Odczekał chwilę. – Miała coś w dłoni, prawda?

– Zdjęcia rentgenowskiego czego?

– Tego jeszcze nie wiemy. Są na nim jakieś litery i cyfry, ale trudno coś z tego wywnioskować. Jeżeli nam się poszczęści, może wasz kawałek coś wyjaśni.

Kiedy Thorne uniósł wzrok, wychwycił wyraz zakłopotania na twarzach Hollanda i Kitson, którzy słyszeli tylko część prowadzonej przez niego rozmowy.

– Zdjęcie rentgenowskie? – wyszeptała Kitson.

Thorne zakrył dłonią mikrofon słuchawki i powiedział, że zaraz im wszystko zrelacjonuje. Brewer stwierdził, że właśnie idzie na odprawę, ale postara się zadzwonić później. I że pija tylko szkocką z wodą.

– Zanim pan pójdzie – dodał Thorne. – Czy matka Catherine nadal żyje?

– Kto?

– Jej matka.

– Nie. Oboje rodzice nie żyją, a starszy brat zginął kilka lat temu w wypadku samochodowym. Odnalezienie najbliższej rodziny zajęło nam trochę czasu.

– Jak zmarła?

– Słucham?

– Jak i kiedy zmarła jej matka?

– Nie mam pojęcia – odparł Brewer.

– Czy mógłby pan się dowiedzieć i oddzwonić do mnie?

– Chyba tak.

– To wielkie dzięki, Paul, naprawdę jestem zobowiązany. Jaką szkocką pan lubi?

– O co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi?

– Zapewne o nic – odrzekł Thorne. Uniósł wzrok i spojrzał Kitson prosto w oczy. – Po prostu staram się ochronić własny tyłek.

Brewer zadzwonił kilka minut przed rozpoczęciem odprawy i przeprosił, że to trwało tak długo. Powiedział Thorne'owi, że rozmawiał z chłopakiem Catherine Burke, który potwierdził, że jej matka zmarła na raka, kiedy Catherine była jeszcze malutka. Thorne podziękował mu, nie wiedząc, czy powinien poczuć się rozczarowany, czy raczej odetchnąć z ulgą.

– A, i może być single malt – dodał Brewer.

Thorne przekazał wiadomości Brigstocke'owi przed drzwiami sali odpraw, gdy do środka wchodzili kolejni funkcjonariusze. Nadinspektor uniósł wzrok znad notatek, nad którymi pracował przez ostatnią godzinę.

– Warto spróbować – powiedział.

Thorne patrzył, jak mijają go kolejne nieznanymi twarze, skinął do jednego czy dwóch znajomych funkcjonariuszy z innych ekip.

– A więc jak to rozegramy?

– Teraz my przejmujemy tę sprawę – odparł Brigstocke.

– Naprawdę?

– To znaczy nieoficjalnie, ale jeżeli chodzi o fundusze i zasoby ludzkie, możemy działać więcej niż oni. Dlatego, choć nieoficjalnie, to my poprowadzimy tę sprawę.

– A tak między nami, co się stanie, jeśli nam się nie uda?

– Wówczas powiemy, że operację prowadziliśmy do spółki z naszymi kolegami i winę za niepowodzenie podzielimy pół na pół.

– Brzmi uczciwie – przyznał Thorne.

Wewnątrz wszystkie miejsca siedzące były już pozajmowane. W sali panowała cisza, jeśli nie liczyć sporadycznych, wymienianych szeptem

komentarzy. Jeden telefon diametralnie wszystko odmienił i atmosfera stała się napięta jak nigdy dotąd.

Niewiele było spraw takich jak ta.

Morderstwa nigdy nie traktowano ulgowo, pomijając czarny humor i niewybredne żarciki, które miały zatuszować to, co można było dostrzec w oczach ludzi pracujących na miejscu zbrodni. Thorne spotykał w swojej karierze różnych morderców, zarówno inteligentnych, jak i bezdennie głupich. Takich, którym puściły nerwy i wyładowywali swój gniew na tych, którzy znaleźli się w pobliżu, i takich, którzy rozkoszowali się cierpieniem innych. Bywali tacy, których sam miał ochotę zabić, i tacy, którym mógł jedynie współczuć.

Odmian zabójców było równie wiele jak sposobów zabijania, ale Thorne, do którego zadań należało chwytanie morderców, każdego z nich traktował śmiertelnie poważnie.

A kiedy morderca zabił więcej niż raz...

– No cóż, dziękuję, że zechcieliście zjawić się tak szybko – powiedział Brigstocke. – Mamy sporo do omówienia.

Z drugiego końca sali Thorne widział, jak otwierają się notesy, słyszał pstryknięcia wciskanych długopisów. Spojrzał w stronę drzwi, przez które do sali weszła pospiesznie grupka spóźnialskich, oczekując, choć bez wyraźnych nadziei, na przybycie budzącego inspirację, zawsze punktualnego nadkomisarza Trevora Jesmonda.

– Jak niektórzy z was zapewne wiedzą, dziś rano otrzymaliśmy telefon, który odmienił bieg śledztwa w sprawie Emily Walker. Od tamtej pory odbyłem co najmniej siedem rozmów telefonicznych z wysokiej rangi ofiarami z posterunku w Leicestershire...

Podczas gdy Brigstocke mówił, Thorne pomyślał o kontroli i o jej egzekwowaniu. Zabójca Emily Walker był bardzo skrupulatny w swoich

przygotowaniach, wyczekiwał na odpowiedni moment, by uderzyć i wykorzystać mocną reklamówkę do uduszenia ofiary. Teraz mieli powód przypuszczać, że na tym samym człowieku ciąży odpowiedzialność za śmierć Catherine Burke. Jej ciało także odnaleziono w domu i nic nie wskazywało na potencjalne wtargnięcie, tak więc i to morderstwo musiało zostać zaplanowane równie starannie jak w wypadku Emily Walker.

Ten mężczyzna czekał, obserwował, a potem zabijał – dwukrotnie w ciągu trzech tygodni.

– Dlatego też dochodzenie w sprawie tych dwóch zabójstw przez pewien czas będzie się toczyło odrębnie – powiedział Brigstocke. – Choć rzecz jasna będziemy współpracować z chłopakami z Leicester.

Thorne poczuł suchość w ustach. Dwa razy w ciągu trzech tygodni... a przynajmniej o tylu zabójstwach jak dotąd wiedzieli.

– ... jeśli się okaże, że sprawy są ze sobą powiązane, a wszystko na to wskazuje, wdrozymy odpowiednie procedury.

Później odprawa dotyczyła już tylko kwestii formalnych i technicznych konkretnych działań relacjonowanych przez Brigstocke a. Żadna jednostka nie chciała ryzykować, że ta druga pokpi sprawę, ustalono zatem, iż wspólnie będą mieć dostęp do systemu Holmes kontrolującego przebieg prowadzonych dochodzeń szczególnych, podległego Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Z ramienia ich zespołu osobą odpowiedzialną za wprowadzenie bieżących danych do systemu i utrzymywanie codziennego kontaktu z ich łącznikiem w Leicester został detektyw sierżant Sam Karim.

– Nie ma sprawy – rzekł Karim. – Zwłaszcza jeśli tym łącznikiem będzie kobieta – dodał ktoś.

Sytuacja była „delikatna”, jak nadmienił Brigstocke i „potencjalnie niebezpieczna”, ufał jednak, że jego ekipa da sobie radę.

Przekonany, że ekipa potrzebuje więcej powodów, aby ochoczo zabrać

się do pracy, Brigstocke zaczął z odkrywaniem ostatniej karty na sam koniec. Pokiwał głową, po czym odwrócił się do ekranu za nim, kiedy w sali zgaszono światła. Wielu spośród obecnych widziało zdjęcie Emily.

Walker, ale nikt poza Brigstockiem i paroma nadinspektorami nie widział zdjęcia Catherine Burke, które przesłano im mailem kilka godzin temu.

Fotografie wykonano pod różnymi kątami, lecz wyświetlone jedna przy drugiej nie przedstawiały najmniejszych wątpliwości – podobieństwo było aż nazbyt wyraźne... i przerażające. Choć ciała ułożone były inaczej i w jednej reklamówce było więcej krwi niż w drugiej, Thorne domyślał się, że teraz wszyscy obecni skierowali swoje spojrzenia na twarze. Rejestrowali wyraz szoku i desperacji odmalowany na kredowobiałej skórze, ledwie widocznej przez plastikową folię przesłoniętą mgiełką ostatniego tchnienia.

Kiedy Brigstocke skończył mówić, nie zapalił świateł, ale zaczął, aż wszyscy funkcjonariusze przejdą przed zdjęciami widocznymi na ekranie.

Thorne był ostatni.

– Fizycznie nie ma pomiędzy nimi większego podobieństwa – powiedział, a Brigstocke odwrócił się i obaj stanęli w półmroku, wpatrując się w ekran. – Tak więc, jeśli szukamy jakiegoś ogniwa łączącego, raczej nie chodzi o wygląd ofiar

– Jeżeli to faktycznie ten sam zabójca – powiedział Brigstocke.

– Myślisz, że może być inaczej?

– Mówię tylko, że nie wiemy tego na pewno.

– Daj spokój, Russell, spójrz na nie...

Brigstocke patrzył przez kilka chwil, po czym odwrócił się, przeszedł przez salę i zapalił światło.

– Dostałem raport od techników – powiedział. – Nie miałem czasu, aby dokładnie go przestudiować, ale powiedzieli, że fragment celulozowy

pochodzi z kliszy rentgenowskiej. – Zanim Thorne zdążył zadać nasuwające się z oczywistych względów pytanie, dodał: – Nie, oni także nie wiedzą z jakiego, ale są na nim dość wyraźne odciski palców i nie należą one do Emily Walker. Mamy również próbkę DNA. Na jej swetrze znaleziono kilka włosów. Oczywiście mogą nie należeć do zabójcy, ale męża już wyeliminowaliśmy, więc jeśli próbki będą pasować do tych znalezionych przy zwłokach Catherine Burke...

– Będą pasować – powiedział Thorne.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś na to czekał.

– Ten facet ma jakiś plan – odrzekł Thorne. – To zapewne nasza jedyna szansa, abyśmy go dopadli.

– Grunt, żeby się udało.

Thorne oparł się o ścianę i popatrzył na dziesiątki pustych krzeseł. Ludzie, którzy je przed chwilą zajmowali, zasiadali właśnie przy telefonach i komputerach, robiąc wszystko, co do nich należało. Thorne czuł jednak, że prawdziwy postęp w sprawie zależał od człowieka, którego ścigali, i od tego, czy da im więcej materiału do pracy.

– Mogę się mylić – powiedział. – Ta sprawa może być dziecinnie prosta. Może się okazać, że wystarczy tylko przejrzeć, czym dysponują chłopaki z Leicester, i wszystko samo się rozwiąże.

– Boże, oby tak było – westchnął Brigstocke.

Thorne też miał taką nadzieję, ale nie mógł wyzbyć się niepokojącego przeczucia, że była to jedna z tych spraw, w których przełom następował wraz z pojawieniem się kolejnego ciała.

## 6

Wracając do domu, Thorne kupił posiłek na wynos w Bengal Lancerze. Nie zadał sobie trudu, aby wcześniej zadzwonić i złożyć zamówienie, ale już nie mógł się doczekać na butelkę schłodzonego kingfishera, darmowe przegryzki i pogawędkę z szefem lokalu w oczekiwaniu na odbiór jedzenia.

Louise oglądała w telewizji program z gwiazdami tańczącymi na lodzie. Wydawała się mieć dobry humor i pomagała sobie w tym, opróżniając butelkę czerwonego wina.

– Nie ma tego złego. – Uniosła kieliszek, jakby wznosiła za coś toast. – Miło w końcu się napić.

Thorne wszedł do kuchni i zaczął nakładać potrawy. Zawołał w stronę salonu:

– Powinnaś.

Wrzucił puste pudełka do kosza na śmieci.

Kiedy się odwrócił, Louise stała w drzwiach.

– Co powinnam?

– Napić się... jeżeli masz ochotę. Rozluźnić się trochę.

– Chcesz powiedzieć „urznąć się”?

Thorne zlizął odrobinę sosu z palców i spojrzał na nią.

– Nie miałem nic zdrożnego na myśli, Lou.

Wróciła do pokoju i po chwili pomaszerował za nią z talerzami. Usiedli na podłodze, opierając się plecami o kanapę i stawiając sobie jedzenie na udach. Thorne nalał sobie resztkę wina – wyszło trochę ponad pół kieliszka.

– Ktokolwiek zabił tę kobietę w Finchley – powiedział – wygląda na to,



że robił to już wcześniej.

Louise przez kilka sekund przeżuwała w milczeniu.

– Ta sprawa Garveya, o której mi mówiłeś?

– Tak. Ta dziewczyna. Nie była jego pierwszą ofiarą.

– Cholera...

– Tak, tylko tego mi było trzeba.

Wzruszyła ramionami.

– Może właśnie tego było ci trzeba.

Jedzenie było pyszne jak zawsze: rogan josh i kremowa mutter paneer, bhaji z grzybami, pilaw z ryżem i peshwari – do podziału. Louise jadła szybko, pochłaniając lwią część chleba. Prawie skończyła i powoli gmerała widelcem wśród ostatnich ziaren żółtawego ryżu.

– Wygląda na to, że będziesz zajęty.

Thorne uniósł wzrok, na próżno usiłując się zorientować, co naprawdę czuła, w związku z tym zablefował.

– To się jeszcze okaże, mamy liczny zespół.

– Dobra...

– Posłuchaj, może otworzę następną butelkę wina?

– Czemu nie?

Thorne spojrzał raz jeszcze na Louise i znów nie spostrzegł niczego, co byłoby sprzeczne z treścią jej słów. Odniósł talerze do kuchni i przyniósł kolejną butelkę. Usiedli na kanapie i przez kilka minut w milczeniu oglądali telewizję. Louise śmiała się częściej aniżeli Thorne, gdy pewna znana była modelka parę razy wylądowała na lodzie. Kiedy program się skończył, Thorne zaczął przerzucać kanały aż w końcu stanęło na powtórce *Dzikich gęsi*, filmu, który uwielbiał. Patrzyli, jak Richard Burton, Roger Moore i Richard Harris organizują akcję w afrykańskim buszu, i choć wszyscy trzej nie byli już najmłodszy, całkiem przekonująco odgrywali role najemników.

– Rozmawiałem z Philem – rzekł Thorne. – Właśnie ci miałem powiedzieć.

– Mówiłeś mu, co się stało?

– Nie musiałem. – Thorne zaczekał, czy Louise podejmie ten temat, wspomni, że zwierzyła się Hendricksowi o ciąży. – Powiedział, żebyś do niego zadzwoniła, jeżeli, no wiesz, chciałabyś porozmawiać.

– Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem – odparła.

– Ach tak, no jasne.

– Był naprawdę uroczy.

Na ekranie Harris błagał Burtona, żeby go zastrzelił, zanim wrogowie posiekają go na kawałki, ale krzyki i huk wystrzałów stanowiły jedynie dźwięki w tle.

– Dlaczego wyjawiaś mu, że byłaś w ciąży? – spytał Thorne. – Przecież umawialiśmy się, że to będzie nasza tajemnica.

Louise zajrzała do swojego kieliszka.

– Wiedziałam, że by się obraził.

– Mieliliśmy nikomu nie mówić, na wypadek gdyby coś się stało.

– No i się stało, tak? W tej sytuacji nie ma sensu zastanawiać się, czy powinnam była komukolwiek o tym mówić, czy nie, prawda? – Odsunęła się od niego na kilkanaście centymetrów i zniżyła głos do szeptu: – Chryste, przecież Phil nie jest papłą, żeby wszystkim o tym rozpowiedział.

Na dywanie zostało kilka ziarenek ryżu i parę okruszków. Thorne nachylił się lekko i zaczął zbierać je na otwartą dłoń.

– Ja naprawdę nie miałabym ci za złe, gdybyś komuś o tym powiedział – ciągnęła Louise.

– Zastanawiałem się nad tym.

– Komu byś powiedział?

Thorne uśmiechnął się.

– Przypuszczalnie Philowi.

Znów zbliżyli się do siebie, a Thorne zapytał, czy może zgasić telewizor i włączyć jakąś płytę. Zazwyczaj wywróciłaby oczami i nalegała, żeby wybrał którąś z płyt z jej kolekcji, albo powtórzyła żarcik zasłyszany od Hollanda lub Hendricksa na temat wątpliwego gustu muzycznego Thorne'a. Dziś wieczorem jednak tylko pokiwała głową i wyciągnęła się wygodnie. Thorne sięgnął po antologię Grama Parsonsa i wrócił na kanapę, podnosząc nogi Louise i wślizgując się pod nie. Rozlał resztkę wina, kiedy słuchali kolejno *Hearts on Fire* i *Brass Buttons*.

– I co powiedział Phil?

– To, czego można się było spodziewać – odparła Louise. – Że zwykle takie rzeczy nie dzieją się bez powodu, że ciało wie, co robi. Wie, kiedy coś jest nie tak.

Upiła spory łyk wina, usiłując zachować pokerową twarz.

– Co takiego?

– Powiedział, że mogło się tak stać, bo dziecko miałoby być podobne do ciebie. – Zaśmiała się. – I że w tej sytuacji poronienie było najlepszym rozwiązaniem.

– Bezczelna łajza.

– Rozbawił mnie – przyznała Louise, zamykając oczy – Potrzebowałam tego.

Niedługo potem zaczęła przysypiać, podobnie zresztą jak Thorne. Zasnął na dobre, z nogami Louise na swoich udach koło wpół do jedenastej, kiedy Gram i Emmylou zaczęli śpiewać *Brand New Heartache*, podczas gdy z kuchni dobiegały odgłosy Elvis wylizującej resztki z talerzy.

Zespół grający w Rocket tego wieczoru był fantastyczny, równie dobry jak inne grające indie rocka kapele, których utwory Alex słyszała ostatnio na różnych listach przebojów. Mieli coś do powiedzenia, piosenki były

przyzwoite i prezentowali sobą coś więcej niż tylko markowe džinsy i zgrabne tyłki. Oczywiście to, że gitarzysta wyglądał kubek w kubek jak wokalista Razorlight, w niczym nie przeszkadzało, a wręcz przeciwnie.

Uwielbiała ten ferwor i hałas, to wrażenie bycia wśród tłumu. Za każdym razem gdy wychodziła na zewnątrz na papierosa, była cała spocona i rozdygotana, kiedy wracała na salę. Później, gdy kapela pakowała sprzęt i puszczano muzykę „z puszek”, kilkoro jej przyjaciół zostało dłużej i pewnie jeszcze bawili się w najlepsze, ale ona wracała już do domu.

Czy Greg nie mówił jej, że powinna trochę przyhamować?

Otworzyła drzwi do mieszkania i nasłuchiwała przez chwilę.

Alex wcześniej zauważyła swojego brata w barze, ale tylko przez kilka minut. To wystarczyło, aby powiedział jej, że wolałby umrzeć niż słuchać kapeli o nazwie Bastard Thieves i patrzeć, jak jego siostra mizdrzy się do facetów, wymieniając z nimi lubieżne uśmiechy i spojrzenia. Kiedy kapela zrobiła przerwę, już go nie było, co wcale jej nie zdziwiło.

Stwierdziła, że pewnie postanowił wcześniej się położyć. Na górze paliło się światło, ale nic nie usłyszała i zastanawiała się, czy aby w czymś nie przeszkodziła. I czy usłyszeli, jak weszła, a teraz leżeli w łóżku Grega, chichocząc i szepcząc do siebie nawzajem.

Weszła po schodach, nucąc cicho pod nosem i mocno przytrzymując się poręczy. Już na piętrze przerzuciła płaszcz przez barierkę i stała tam przez chwilę, podchmielona i w nastroju lekkiej głupawki.

Po czym podeszła ostrożnie do drzwi sypialni Grega. Spod drzwi nie sączyło się światło. Przyłożyła ucho do łuszczącego się z farby drewna, ale nic nie usłyszała; żadnego chichotu ani tym bardziej skrzypienia sprężyn. Sięgnęła i powoli przekręciła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Alex odwróciła się i wróciła do kuchni, idąc pewniejszym i nie tak cichym krokiem jak dotychczas. Zastanawiała się, czy ma zrobić sobie tosta

z serem, bo nagle poczuła się głodna.

Cieszyła się, że Gregowi udało się kogoś poderwać, i miała nadzieję, że nawet gdyby okazało się to tylko przygodą na jeden wieczór, to przynajmniej on naprawdę nieźle się dziś zabawiał. I że nareszcie wziął sprawy w swoje ręce.

Jej brat rzadko miał szczęście.

## MÓJ DZIENNIK

**28 WRZEŚNIA**

Jestem zmęczony, niemal cały czas tak się czuję, bo sporo się dzieje, trudno jest nad tym wszystkim zapanować, ale kiedy z powodzeniem stawiam czoło kolejnemu wyzwaniu, kiedy postawionemu ptaszkowi przyporządkowuje się nazwisko, pojawia się euforia, która sprawia, że zapominam o wyczerpaniu i każda kropla przelanej krwi, potu i łez okazuje się warta zachodu.

A będzie ich naprawdę sporo!

Rozmyślałem o tym, co powiedział mój ojciec.

Mówił mi kiedyś, że stawianie sobie celów i dążenie do ich osiągnięcia pomogło mu przetrwać najtrudniejsze chwile, już pod sam koniec. Przeczytanie książki do końca, rozwiązanie krzyżówki, cokolwiek. Oczywiście, zważywszy na jego stan, były to zwykłe drobiazgi, które wszyscy inni by pominęli, dla niego jednak wiele one znaczyły. Cele, które ja sobie wyznaczyłem, są wznioślejsze i mam tego świadomość. Trudniejsze do zrealizowania. Ale,

Bóg mi świadkiem, uczucie, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem, nie ma sobie równych. Kiedy jest już po wszystkim – nawet gdy już rozmyślam o innych miejscach, w których powinienem się znaleźć, i ludziach, którymi mam się stać, gdy tam dotrę – czuję się strasznie nabuzowany i przepełniony euforią. Tak bardzo mam już ochotę wrócić i zapisać to wszystko, opowiedzieć, jak mi poszło, że zasiadam do pisania, nie zadając sobie nawet trudu, by zmyć krew.

\* \* \*

Dziennik, nie pamiętnik, celowo tak go nazwałem. Zbiór myśli, idei i refleksji na temat tego dziwnego, cholernego świata. W jaki sposób stajemy się tym, kim jesteśmy. Któregoś dnia ktoś to przeczyta i mam nadzieję, okaże się zajmującą lekturą. Nie tylko informacją o tym, co jadłem na śniadanie czy oglądałem w telewizji, nic równie trywialnego.

\* \* \*

Z bratem i siostrą nie mogło mi pójść lepiej. Studenci są przeraźliwie prości, jeśli chcecie znać moje zdanie. Wiem, że narzekają na konieczność spłaty pożyczek i takie tam, ale większość z nich wydaje się zadowalać spędzaniem kolejnych wieczorów w knajpach i upijaniem się do nieprzytomności. Domyślałam się, że takie życie jest nieskomplikowane. Właściwie braciszek nie był zbyt rozrywkowy, nie tak jak niektórzy z nich, ale przecież nie przychodził do knajpy, żeby szukać pociechy w alkoholu.

Nietrudno było go skusić!

Od razu się zorientowałem, co go kręci.

Wystarczyło nieco dłużej popatrzeć mu w oczy. Od razu było widać, że lubi ostrą jazdę. Zanim zebrał się na odwagę, by podejść i powiedzieć cokolwiek, miałem go w garści, a wkrótce potem jechaliśmy już do jego domu.

Siostra przygotowała dla nas śniadanie. Później pod drzwiami jego sypialni znalazłem tacę z jedzeniem. Muszę przyznać, że to było słodkie. Najpierw zapukała, a potem usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi i odgłos jej bosych stóp na gołej drewnianej podłodze.

Leżał twarzą do dołu, a ja w poprzek łóżka, nagi, ale z prześcieradłem zakrywającym to, czego nie musiała zobaczyć. Wiedziałem, że się zatrzymała, próbowała ogarnąć to wszystko wzrokiem, zrozumieć, co właściwie zobaczyła, odpowiedzieć sobie na pytanie, co tu się stało. Naprawdę trudno mi było pozostawać w całkowitym bezruchu i kontrolować oddech. Usłyszałem, jak wymamrotała imię brata i kilka razy powtórzyła „O Boże”. Szeptem.

Najpierw podeszła do brata i dotknęła go, jego ramienia lub ręki. Wstrzymała oddech i zaczęła płakać, a kiedy zorientowałem się, że popatrzyła na mnie, otworzyłem oczy. BACH! Jak nieboszczyk, który nagle ożył.

Spojrzałem jej prosto w oczy, wilgotne i wielkie jak spodki. Otworzyła usta, żeby krzyknąć, wzięła głęboki oddech, ale moja dłoń zacisnęła się na jej szyi dostatecznie szybko, żeby odciąć jej dopływ powietrza.

Zanim wyszedłem z sypialni, herbata już wystygła i zjadłem zaledwie parę kęsów tosta. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, że oni wszyscy będą uwijać się jak w ukropie, żeby pobrać próbki mojego DNA ze śliny i śladów po zębach pozostawionych na tostach.

Bo przecież ostatecznie to nie będzie miało najmniejszego znaczenia.



## 7

Tak jak inni funkcjonariusze Thorne miał przykazane, aby nie zostawiał ważnych dokumentów na widoku, kiedy opuszczał swoje biuro. Ekipa sprzątająca miała surowy zakaz zbliżania się do stanowisk pracy. Jednak jako że ani jedni, ani drudzy niespecjalnie przestrzegali tych reguł, Thorne przez pierwsze pół godziny poniedziałkowego poranka w Becke House szukał kilku nader ważnych świstków z ledwie czytelnymi zapiskami, po czym starannie zabrał się do porządkowania papierów na biurku, tworząc z nich względnie stabilny stos, który jednak runąłby przy pierwszym silniejszym podmuchu powietrza, gdyby ktoś niebacznie zostawił w pokoju otwarte okno. Albo zbyt energicznie zamknął za sobą drzwi.

– Cholera!

– Przepraszam – powiedziała Kitson. Podeszła do swojego biurka, uśmiechając się na widok Thorne'a schylającego się, by podnieść z podłogi rozsypane papiery. – Może powinienes użyć zszywacza albo spinaczy do papieru? – Zdjęła zakiet i postawiła torebkę na podłodze, po czym mówiła dalej, jakby zwracała się do małego dziecka albo wyjątkowo tępego psa: – Mógłbyś też postąpić jak kompletny szajbus i wklepać to wszystko. Do komputera.

Thorne jęknął, prostując się, i raz jeszcze, gdy usadowił się na fotelu.

– Jesteś genialna – skwitował krótko.

– Przemawia przeze mnie zdrowy rozsądek.

Kitson zdjęła pokrywkę z kubka z kawą na wynos, którą przyniosła, zamieszała, po czym zebrała łyżeczką piankę i włożyła do ust.

- Niestety, większość mężczyzn cierpi na jego niedobór.
- No tak – mruknął Thorne. – Mówimy o mnie czy Ianie?

Thorne znał tylko imię chłopaka, z którym Kitson spotykała się od kilku miesięcy, ale po jej niesławnym popadnięciu w niełaskę wcale się nie dziwił, że próbowała zachować prywatne życie w tajemnicy.

- Biedaczysko na pewno wścieka się na spartolony weekend.

Jej śmiech uświadomił Thorne'owi, że trafił w dziesiątkę.

- Mówię tylko, że gdyby kobiety miały kontrolę nad wszystkim...

- Byłoby lepiej, no nie?

- ... na świecie nie panowałby aż taki chaos.

– Z wyjątkiem paru dni w miesiącu – dodał Thorne. – Kiedy wszystko, nad czym mają kontrolę, krew by zalała...

Kitson uśmiechnęła się, oblizując łyżeczkę.

- A jak tobie minęła niedziela, cwaniaczku?

Thorne spędził większość minionego dnia samotnie i w pełni mu to odpowiadało. Louise pojechała spotkać się z rodzicami w Sussex i choć Thorne świetnie się z nimi dogadywał, nie zapytała go, czy chce jej towarzyszyć. Jeżeli Hendricks miał rację i Louise powiedziała matce o ciąży, pewnie wolała być sama, kiedy poinformuje ją, że już nie jest.

Nie musiał jej nawet pytać.

Zrobił sobie tosta z szynką i kanapkę z serem na lunch, po czym obejrzał, jak Spurs wymęczają bezbramkowy remis z Manchesterem City. Louise wróciła do domu, zanim zdążył znudzić się raz jeszcze meczem dnia, a resztę wieczoru zmarnowali na kłótnię o to, kiedy powinna wracać do pracy.

Już pierwszego popołudnia zadzwoniła ze szpitala do biura, informując, że złapała grypcę żołądkową, i uznała, iż cztery dni chorobowego to aż nadto. Thorne nie zgadzał się z nią, uważał bowiem, że potrzebuje ona dłuższego

odpoczynku. Louise stwierdziła, że to jej ciało i ona podejmie ostateczną decyzję, czy czuje się dobrze i lepiej już nie będzie, a od poniedziałku wraca do pracy.

Dziś rano Thorne wyszedł z domu godzinę wcześniej niż zwykle, by uniknąć korków i powtórki kłótni. Spojrzał na zegar na ścianie, nad biurkiem Kitson. Louise powinna właśnie dojeżdżać do Scotland Yardu, gdzie miała swoją siedzibę Jednostka ds. Uprawadzeń.

*Moje ciało, moja decyzja...*

Thorne spuścił wzrok.

– Niedziela minęła mi wyjątkowo spokojnie – powiedział.

Kiedy zespół zebrał się na poranną odprawę, szybko stało się jasne, że inni powiązani z prowadzonymi równolegle dochodzeniami mieli więcej pracy niż Tom Thorne przez ostatnich trzydzieści sześć godzin.

– Udało się nam ustalić zgodność próbek DNA pobranych spod paznokci Catherine Burke w Leicester z DNA z włosów znalezionych na ubraniu Emily Walker. Dlatego odtąd szukamy tego samego sprawcy odpowiedzialnego za oba morderstwa – oznajmił Russell Brigstocke, po czym zrobił krótką przerwę i powiódł wzrokiem po twarzach zebranych.

– Jeden zabójca – powiedział.

Karim przestał opierać podbródek na dłoni i uniósł rękę.

– Upubliczniamy to? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparł Brigstocke.

– Czy wiemy, że chłopcy z Leicester też tego nie ujawnią?

– Wiedzą, że nie powinni. – Brigstocke wzruszył ramionami. – Posłuchajcie, śledztwo takie jak to oznacza, że istnieje podwójne ryzyko powstania przecieku. Jakiś matoł w mundurze może chcieć zaciągnąć do łóżka pojętną reporterkę i zacznie mleć ozorem, no sami wiecie.

– Uniósł rękę, by uciszyć słowa protestu. – W tej sytuacji możemy

jedynie pilnować, żeby od nas nic nie wypłynęło. Wszyscy wiemy, jak funkcjonuje prasa i że pismaki dostają świra, kiedy tylko zwęszą seryjnego zabójcę.

Brigstocke ponownie zlustrował wzrokiem twarze zebranych i przez sekundę lub dwie zatrzymał wzrok na twarzy Thorne'a, po czym odwrócił głowę.

Thorne wiedział, że Brigstocke miał częściowo rację. Tabloidy rozdmuchałyby tę sprawę. Dzienniki przyjęłyby zachowawczą postawę, zadowolając się niedopowiedzeniami i mglistymi sugestiami, brukowce zaś nie miałyby takich zahamowań. Podobnie rzecz miała się z telewizją: BBC przynajmniej starałaby się unikać sensacyjnego tonu, podczas gdy stacje pokroju Sky News i Channel 5 powtarzałyby te dwa słowa niemal jak mantrę.

Wiedział doskonale, dlaczego Brigstocke spojrział na niego tak wymownie. Domyślał się, że gdyby wpisał w Google swoje nazwisko, natrafiłby na nie w powiązaniu z co najmniej kilkoma stronami internetowymi, na które natknął się w ubiegłym tygodniu. Jego nazwisko przeplatało się na nich z nazwiskami mężczyzn i kobiet, których ścigał.

Palmer. Nicklin. Bishop.

Jeden, który odbierał życie nieznanym, bo bał się postąpić inaczej, mężczyzna, który zmuszał innych, aby zabijali dla niego, i morderca, którego najbardziej pechowa ofiara nie umarła...

Thorne przerwał rozmyślenia, kiedy zgasty światła i na ekranie pojawił się obraz.

– Technicy z Leicester przysłali nam fragment zdjęcia rentgenowskiego znalezione przy zwłokach Catherine Burke. – Brigstocke wskazał na ekran. – Jak widać, pasuje ono do kawałka, który trzymała Emily Walker.

Małe czarne kawałki celulozoidu zostały powiększone i choć wciąż nie

sposób było odgadnąć, co przedstawiało zdjęcie, na powiększeniu widać było, że pochodziły z jednej kliszy, bo po przystawieniu ich do siebie miejsce przecięcia stawało się prawie niezauważalne.

– Fakt, że zabójca zostawił je dla nas, może wskazywać na to, że chce, abyśmy złożyli je w całość. Choć jak na razie nie wiemy jeszcze, skąd pochodzą.

Brigstocke wskazał na ledwie czytelny ciąg liter i cyfr układających się w trzech rzędach w górnej części każdego kawałka, po czym skinął głową w stronę końca sali. Slajd został zmieniony i na ekranie pojawiła się jeszcze bardziej powiększona sekwencja liter i cyfr.

VEY 48

ADD

PHONY

– Zapiszcie to – nakazał Brigstocke. Począł, aż wszyscy zebrani zapiszą te inskrypcje w notesach. – Widać wyraźnie, że brakuje kilku fragmentów.

Kitson siedząca obok Thorne'a mruknęła pod nosem:

– To jak fragmenty puzzli.

– Tylko że nie wiemy, co ma się pojawić na obrazku – odparł Thorne.

– No właśnie, trzeba to rozgryźć. – Brigstocke jeszcze raz spojrzał na ekran. – Gdyby jednak ktoś chciał naprawdę się wykazać i jak na dobrego wazeliniarza przystało, poświęcić każdą chwilę wolnego czasu, by wyjaśnić tę zagadkę, byłbym szczerze zobowiązany.

– To lepsze niż cholerne sudoku – wtrącił Karim.

Brigstocke uśmiechnął się.

– Oczywiście jak wszyscy dobrze wiemy, mało kto z nas może liczyć teraz na choćby odrobinę wolnego czasu.

Gdy z sali dobiegły kolejne przesadnie głośne jęki niezadowolenia, Thorne wlepił wzrok w ekran. W sekwencji liter i cyfr.

*Na razie nie wiemy jeszcze, skąd pochodzą...*

Wyobraził sobie, że zabójca użył nożyczek do paznokci, a jego czoło przecięły zmarszczki świadczące o głębokim skupieniu. Wyobraził go sobie później spoconego i okrwawionego, starannie kładącego każdy z fragmentów na dłoni ofiary i zaciskającego wokół nich martwe palce.

*Widać wyraźnie, że brakuje kilku fragmentów.*

Thorne spojrział w miejsca, gdzie widniały luki.

Pół godziny później, kiedy zespół się rozszedł, Thorne i Kitson udali się do gabinetu Brigstocke'a na nieformalną naradę. Dla nadinspektora takie spotkania stanowiły okazję do szczerzej rozmowy ze starszymi rangą funkcjonariuszami ze swojej ekipy i do znalezienia sposobu, aby śledztwo ruszyło z miejsca. Do wyrażenia swojej frustracji albo do przedyskutowania pomysłów, które nie powinny być rozpatrywane w szerszym gronie, bo mogłyby zostać uznane za nazbyt kontrowersyjne. Rok czy dwa lata temu zostaliby poczęstowani papierosami, a jeszcze wcześniej, w czasach cortiny i wszechobecnych Irlandczyków, kieliszkiem wódki albo szklaneczką szkockiej.

Kiedy Thorne i Kitson dotarli na miejsce, drzwi do gabinetu Brigstocke'a były otwarte. Nadinspektor siedział przy telefonie, ale kiedy tylko ich zobaczył, zaprosił do środka i gestem dał Kitson znak, żeby zamknęła drzwi.

Thorne spostrzegł emocje na twarzy Brigstocke'a i nawet nie usiadł. Domyślał się, o czym będą rozmawiać, kiedy nadinspektor powiedział: „Jesteś pewien, bo to wygląda inaczej”. Wiedział, że Brigstocke rozmawiał o kawałkach celulozoidu oraz o blokadzie informacji dla prasy.

Thorne i Kitson wymienili spojrzenia i czekali cierpliwie. Brigstocke odłożył słuchawkę, po czym westchnął przeciągle, ze znużeniem.

– Kolejny kawałek układanki? – zapytał Thorne.

Twarz Russella Brigstocke'a wciąż jeszcze była blada jak płótno.  
– Tym razem aż dwa.

## 8

Ciała Gregory'ego i Alexandry Mackenów, lat dwadzieścia i osiemnaście, odkrył po wpół do dziesiątej rano właściciel wynajmowanego przez nich mieszkania w Holloway – Irańczyk Dariush, który zjawił się tam, by naprawić cieknący grzejnik. Zostały formalnie zidentyfikowane przez starszą kobietę z mieszkania piętro niżej, która stwierdziła, że słyszała, jak wrócili do domu w sobotę, dwa dni temu, ale od tej pory już ich nie widziała.

– Wrócili o różnych porach, a wcześniej słyszałam wyraźnie dwa męskie głosy – upierała się przy tym, choć dodała zaraz, że nie lubi wtykać nosa w cudze sprawy. Później, już zalewając się łzami, powiedziała: – Byli miłsi niż większość studentów.

Upewniła się, że mundurowy funkcjonariusz zapisał tę uwagę.

– Nie robili hałasu i zawsze się kłaniali. Karmili nawet mojego kota, kiedy wyjechałam na parę dni do siostry.

Obie ofiary znaleziono martwe w większej z dwóch sypialni. George leżał nagi na łóżku, podczas gdy jego siostra, ubrana w piżamę i szlafrok, na podłodze. Oboje mieli w rękach kawałki ciemnego celuloиду, a przez okrwawione reklamówki można było wyraźnie zobaczyć rany na ich głowach.

W ciągu godziny ekipa techników zabrała się do pracy. Mundurowa funkcjonariuszka z miejscowego posterunku starała się pocieszyć pana Dariusha, przygotowując się do spisania jego zeznania, podczas gdy innego mundurowego wysłano, by skontaktował się z krewnymi ofiar i powiadomił



ich, że nazajutrz będą musieli dokonać formalnej identyfikacji zwłok.

Jeżeli będą w stanie...

– Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego ktoś samemu się na to decyduje – powiedział Thorne. – To jasne, że większość z nas częściej lub rzadziej musi to robić, ale dlaczego ktoś z własnej woli decyduje się na pracę, w której musi stale stykać się z cierpieniem innych? Chłonać to wszystko.

– Może z powodu empatii?

– Czego?

– No, że ci zależy.

– Ale żeby tak przez cały czas? – Thorne pokręcił głową i przełknął łyk kawy. – Wolałbym raczej stawić czoło oprychowi ze spluwą.

– Może powinieneś pomyśleć o nowym przeszkoleniu – powiedział Hendricks. – Nieboszczycy są stosunkowo bezkonfliktowi.

Dochodziła szósta. Po ponad siedmiu godzinach na miejscu zbrodni Thorne i Hendricks wyszli o zmierzchu z mieszkania i pomaszerowali do kafejki przy Hornsey Road, odległej o kilkaset metrów, aby pogadać w oczekiwaniu na wyniesienie ciał.

– Jak myślisz, ile czasu upłynęło między śmiercią brata i siostry?

Zajęli stolik w rogu i zrobili to świadomie, bo obaj przywykli trzymać się z dala od reszty klientów, jeżeli chcieli przy okazji porozmawiać o swojej pracy.

– Dziesięć może dwanaście godzin – odparł Hendricks. – Siostra zginęła mniej więcej dobę temu, więc brata musiał zabić jakieś trzydzieści sześć godzin temu.

– A więc w nocy z soboty na niedzielę?

Hendricks pokiwał głową i upił łyk herbaty.

– To dobry film. Albert Finney wciąż świetnie wyglądał.

– Myślisz, że jest gejem? – zapytał Thorne.

– Albert Finney?

Thorne zignorował przyjaciela i czekał. Zastanawiał się nad tym, co powiedziała sąsiadka z dołu, i opracowywał widełki czasowe. Dziewczyna nie została zamordowana dlatego, że zaskoczyła mordercę, kiedy akurat zabijał jej brata.

Morderca na nią czekał.

– Jutro będę w stanie powiedzieć, czy doszło do aktu seksualnego – rzekł Hendricks. – Kto z kim, jak i ile to trwało. Macken był definitywnie gejem, jeżeli ci to pomoże.

– Gejowy radar działa?

– Miał na półkach Armisteda Maupina i Edmunda White a, a w kompakcie płytę Rufusa Wainwrighta.

Thorne słyszał o Rufusie Wainwrightcie.

– Wierzę ci na słowo.

– Zabójca też może być gejem – powiedział Hendricks. – Ale moim zdaniem to był tylko pretekst, żeby mógł dopiąć swego. Robi to, co konieczne, aby dostać się do domu.

– A kiedy jest już w środku, robi swoje. – Thorne dopił kawę i bardziej do siebie niż do Hendricksa dodał: – Potrafi się... adaptować.

– Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek dowiemy się, co naprawdę tam zaszło – odparł Hendricks. – Jak ściągnął tam tę dziewczynę czy się gdzieś ukrył. Ale tym razem przyniósł ze sobą dwie reklamówki.

– Dwie reklamówki, ale jedno tępe narzędzie – dodał Thorne.

Przy łóżku znaleziono ciężką szklaną misę. Na dnie miała warstwę roztopionego wosku ze świecy, a od spodu była pokryta czymś, co wyglądało jak tkanka mózgowa i zakrzepła krew.

– Starannie planuje swoje akcje i potrafi improwizować.

Hendricks pokiwał głową.

– Jest w tym dobry.

Podeszła do ich stolika kelnerka i zapytała, czy napiją się jeszcze czegoś. Hendricks podziękował, ale Thorne zamówił jeszcze jedną kawę, bo zamierzał trochę tam posiedzieć.

– Co robił przez dwanaście godzin? – zapytał.

– Ale kto?

– Nasz facet, po tym, jak już zabił tego chłopaka.

– Może spał – odparł Hendricks. – Czytał książkę. Albo marszczył freda.

– Wzruszył ramionami. – Wiem, jak wygląda od środka czaszka świra, ale za cholerę nie mam pojęcia, co im chodzi po głowie, więc nawet mnie o to nie pytaj.

Thorne rozsiadł się wygodniej na krześle.

– Marszczył freda?

– To ma podtekst seksualny, no nie? – uśmiechnął się Hendricks.

Zazwyczaj tak, ale Thorne uznał, że te zabójstwa nie miały podłoża seksualnego i bynajmniej nie tylko z braku dowodów. Brutalna śmierć nie była traktowana jak coś zwyczajnego, można było to przynajmniej do pewnego stopnia zrozumieć. Przeróżające stawało się, kiedy zaczynało brakować tych czynników.

A wówczas Thorne także zaczynał się bać.

Obaj drgnęli gwałtownie na dźwięk bębnienia w szybę, odwrócili się i zobaczyli pijaka, który już raz przemaszerował obok, a teraz przytknął swoją wielką czerwoną twarz do szyby. Thorne odwrócił wzrok, ale Hendricks uśmiechnął się i pomachał do mężczyzny. Kelnerka, która stała przy sąsiednim stoliku, przeprosiła i podeszła pod drzwi, jednak pijaczek po posłaniu ostatniego całusa swojemu nowemu najlepszemu przyjacielowi poczłapał dalej.

Thorne popatrzył na patologa, a ten uśmiechnął się i uniósł ręce.

– Jak już wspomniałem, to kwestia empatii...

Ktoś znów zapukał w szybę i tym razem Thorne ujrzał wchodzącego do kafejki Dave'a Hollanda. Thorne próbował pospiesznie dopić kawę, kiedy Holland dotarł do stolika.

– Wynoszą ich?

– Nie, ale może będzie pan jednak chciał tam wrócić – powiedział Holland. – Zjawił się Martin Macken i robi okropny raban. – Spojrzał na kubek z kawą w dłoni Thorne'a i uznał, że jemu też przydałoby się kilka łyków mocnej czarnej. – Ojciec.

Ulica została zamknięta dla ruchu, więc na sąsiednich zaczęły się tworzyć gigantyczne korki, a gromady schodzących się zewsząd gapiów bynajmniej nie poprawiły sytuacji. Gdyby na Stadionie Emiratów w północnej części Londynu odbywał się właśnie mecz, połowa miasta zostałaby sparalizowana.

Przed domem, w którym mieszkali Mackenowie, stały jeden za drugim pojazdy techników i radiowozy policyjne, dlatego granatowy saab prowadzony przez oficera łącznikowego zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, pomiędzy furgonetką zapewniającą zasilanie dla ekipy technicznej a małym busikiem, gdzie serwowano kanapki i gorące napoje.

Thorne domyślał się, że właśnie tego saaba miał wypatrywać, bo to właśnie stamtąd dochodził największy hałas. Gdy on i pozostali podeszli w tę stronę, zobaczył, że umundurowany funkcjonariusz i kilku innych ubranych po cywilnemu stara się uspokoić mężczyznę, który krzyczał i wrywał im się, próbując przebiec na drugą stronę ulicy.

Domyślił się, że tym mężczyzną jest Martin Macken.

Będąc już kilka metrów od auta, Thorne odprowadził Hendricksa na bok i kazał mu wrócić do mieszkania, aby opóźnić wyniesienie zwłok. Kiedy

patolog przebiegł przez ulicę, Thorne przedstawił się Martinowi Mackenowi i złożył mu wyrazy współczucia.

Macken nic z tego nie usłyszał, bo robił okropny hałas i po kolejnej próbie Thorne mógł jedynie stanąć obok i poczekać, aż tamten nabierze tchu albo zemdleje z wysiłku. Facet był po pięćdziesiątce i wyraźnie o siebie dbał, teraz jednak ewidentnie na oczach Thorne'a rozsypywał się w drobny mak. Włosy, zwykle starannie ułożone i zaczesane do tyłu, opadały mu na twarz zwichrzone, na szyi widać było napięte ścięgna. Na wąskich rozchylnych ustach dało się dostrzec kropelki śliny. Rozglądał się na wszystkie strony, wzrok miał dziki, oczy przekrwione, kiedy uporczywie wrywał się w stronę domu po drugiej stronie ulicy i nawoływał swoje dzieci, skowycząc jak zwierzę.

– Proszę, panie Macken...

Nagle uwagę zrozpaczonego ojca przykuł jakiś ruch przy drzwiach frontowych i przestał się wrywać. Thorne pokiwał głową i podszedł bliżej, podczas gdy funkcjonariusze, którzy wlepili wzrok w czubki swoich butów, cofnęli się, przez cały czas pozostając w gotowości do zapanowania nad mężczyzną.

– Panie Macken, jestem detektyw inspektor Tom Thorne.

Poczerwieniały na twarzy, ciężko oddychający Macken wskazał na postać podchodzącą do frontowych drzwi domu, gdzie mieszkały jego dzieci.

– Kto to?

Thorne przełknął ślinę, patrząc, jak Hendricks wchodzi do środka. *To człowiek, który rano będzie kroił pańskie dzieci.*

– To członek ekipy. Wszyscy robią, co do nich należy.

Macken przeniósł wzrok na okna na pierwszym piętrze, a z jego gardła wybuł się głośny jęk. Mundurowi znieruchomieli, jakby mieli lada chwila

pobiec za nim przez ulicę. Kiedy było już jasne, że to nie będzie konieczne, oficer łącznikowy, Szkot, detektyw sierżant Adam Strang, podszedł i stanął obok Thorne'a.

– Próbowałem przekonać go, żeby tu dziś nie przyjeżdżał – powiedział.  
– Że będziemy go potrzebować dopiero jutro, ale nie chciał o tym słyszeć. Po prostu wyszedł z domu i usiadł z tyłu w aucie. Musiałem wrócić i pogasić światła...

Thorne pokiwał głową z wyrozumiałością i postąpił kolejny krok w stronę Mackena.

– Może wróci pan do samochodu, bardzo proszę.

Nie odrywając wzroku od okna, Macken pokręcił głową.

– Naprawdę byłoby lepiej, gdyby został pan dzisiaj w domu.

– Chcę zobaczyć moje dzieci. – Głos mężczyzny był cichy, ochryply; facet sprawiał wrażenie wykształconego.

– Obawiam się, że to na razie niemożliwe. – Thorne położył rękę na jego ramieniu. – Może wrócimy lepiej do... – Rozejrzał się dookoła.

– Kingston – dokończył Strang.

– Ktoś mógłby zostać z panem... i z pańską żoną?

Thorne kątem oka zauważył, jak Strang kręci głową, ale już było za późno. Macken gwałtownie odwrócił głowę i spiorunował Thorne'a wzrokiem. Rozdziawił usta, jakby przypomniawszy sobie jakąś mrozącą krew w żyłach scenę, a w jego oczach pojawił się desperacki wyraz, błaganie, modlitwa.

– Nie po Liz – powiedział. – Nie po tym, co się stało z Elizabeth.

Thorne popatrzył na Stranga.

– Chyba chodzi o żonę pana Mackena – oficer łącznikowy zniżył głos. – Grzmiał na ten temat przez całą drogę z Kingston.

– Jezu, nie. Jezu, Jezu...

– Czy z pana żoną wszystko w porządku, panie Macken?

– Z partnerką, nie z żoną. Nigdy się nie pobraliśmy.

– Co się z nią stało?

– Liz została zabita – powiedział Macken ze smutkiem w głosie. – Piętnaście lat temu. Zamordowano ją tak jak jej dzieci.

Thorne odniósł wrażenie, że to się zaczęło, kiedy zadał pytanie i zobaczył wyraz twarzy Mackena. Nieprzyjemny dreszcz biorący swój początek u nasady karku zaczął się rozchodzić, zanim jeszcze Macken skończył mówić.

Gdzieś z tyłu Holland wymamrotał:

– A niech mnie kule biją!

Fakt, że nie byli formalnie małżeństwem, tłumaczył, dlaczego Thorne nie skojarzył wcześniej nazwiska Macken: dzieci przyjęły nazwisko po ojcu, a nie po ich zmarłej matce. Teraz przypomniawszy sobie siedem nazwisk z listy ofiar Raymonda Garveya. Elizabeth O'Connor była trzecia od góry.

Thorne niemal szeptem wymówił nazwisko zabójcy i mógł jedynie patrzeć, jak twarz Martina Mackena zapada się w sobie, a mężczyzna zatacza się w tył z jękiem i opiera o bok samochodu.

– Jezu... Jezu... Jezu...

Thorne już sięgał po telefon i ruszył szybkim krokiem, słysząc jeszcze za sobą Stranga, który pytał, co ma zrobić z Mackenem. Przeglądając listę kontaktów w komórce, minął Hollanda i powiedział, żeby lepiej zadzwonił do swojej dziewczyny i uprzedził, że wróci późno.

Chwilę potem Holland też zaczął do niego nawoływać.

Dodzwonić się do sali odpraw na posterunku Leicester nie było trudno, ale Thorne musiał się trochę nagimnastykować, żeby podano mu numer domowy Paula Brewera.

– Tak panu spieszo, żeby postawić mi tego kielicha? – spytał tamten.

– Wybieram się dziś wieczorem do Leicester – odparł Thorne. – Chcę pomówić z chłopakiem Catherine Burke. Chciałbym, żeby pan to dla mnie załatwił.

– Załatwił?

– Upewnił się, że zostanie uprzedzony o mojej wizycie. Żeby był w domu i czekał na mnie, kiedy przyjadę.

– Chryste, chodzi o matkę Catherine? – Thorne odniósł wrażenie, że tamten stłumił ziewnięcie. – Mówiłem, że już z nim rozmawiałem.

– Wiem, że pan z nim rozmawiał, Paul – rzucił Thorne. – Chodzi mi o to, że facet skłamał.



## 9

Przed domem, w którym w dwusypialniowym apartamencie jeszcze trzy tygodnie temu mieszkali wspólnie Jamie Paice i Catherine Burke, stała tablica z napisem „Na sprzedaż”. Thorne patrzył na nią, kiedy otworzyły się drzwi, a młody mężczyzna w dżinsach i koszulce Leicester City zaczął narzekać, że jest późno i nie rozumie, co mogło być aż tak ważne. I że ma po dziurki w nosie odpowiadania na pytania, bo dopiero co pochował swoją dziewczynę.

Thorne przedstawił siebie i Hollanda.

– Kawa byłaby mile widziana – dodał.

Weszli za Paice’em na górę, a kiedy ten udał się prosto do niewielkiej kuchni, Thorne i Holland skręcili do salonu, w którym królowała czarna skórzana kanapa i takie same fotele. Przed dużym telewizorem plazmowym siedziała blondynka po dwudziestce z butelką piwa w dłoni. Po krótkim pojedynku na spojrzenia nie bez wahania zgasiła telewizor i przedstawiła się jako Dawn Turner.

– Jestem tylko przyjaciółką – powiedziała bez pytania. – Byłam przyjaciółką Catherine.

Thorne pokiwał głową. Miała na sobie podkoszulek na ramiączkach, spod którego wystawały przezroczyste paski biustonosza. W pokoju było gorąco. Thorne i Holland zdjęli marynarki i usiedli na kanapie.

– To naprawdę było bardzo trudne dla Jamiego – powiedziała Turner. Odstawiła butelkę obok fotela. – Ostatnich kilka tygodni.

– Domyślam się – odparł Thorne.

Udało im się w miarę szybko wyjechać z Londynu, a BMW Thorne'a wytrzymało bez większego trudu prędkość stu kilometrów na godzinę i w półtorej godziny po opuszczeniu Holloway dotarli do Leicester. Dochodziła dziesiąta, kiedy Jamie Paice wszedł do salonu z dwoma kubkami kawy i piwem dla siebie i swojej „przyjaciółki”. Rozsiadł się w fotelu i wymownie spojrzął na zegarek.

– Szczerze mówiąc, wyświadczam wam przysługę – powiedział. – Więc lepiej niech to będzie ważne. Nie wygląda na to, że przyjechaliście tutaj, żeby powiedzieć, że schwytaliście skurwiela, który zabił Cath.

Thorne uśmiechnął się, jakby go w ogóle nie usłyszał.

– Sprzedajesz mieszkanie, Jamie?

Paice spojrzął na Turner i z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Przyjechaliście tu, żeby mnie o to zapytać? Chcecie złożyć ofertę?

– Tak mnie to po prostu zaciekawiło. Zobaczyłem tablicę.

– I tak zamierzaliśmy je sprzedać. Oglądaliśmy z Cath nowe mieszkania, kiedy zginęła.

– Policja sądzi, że to mogło mieć coś wspólnego z tym, co się stało – wtrąciła Turner. – Uważają, że ten, kto ją zabił, mógł dostać się do domu pod pretekstem obejrzenia mieszkania. Chyba sprawdzili to z agencjami handlu nieruchomościami.

– Nie wątpię – mruknął Thorne.

Holland przesunął się na brzeg kanapy i popatrzył na Paicea. Skinął głową w stronę Turner.

– Czy zaprosił pan tu przyjaciółkę, gdy dowiedział się pan, że przyjedziemy? – zapytał.

– Czemu miałbym to zrobić?

– Aby otrzymać z jej strony wsparcie moralne.

Paice tylko pociągnął z butelki.

– A więc po prostu tu była?

– Brewer powiedział, że chcecie o czymś ze mną pomówić. – Paice rozsiadł się w fotelu i rozłożył szeroko ręce. – Może przejdziemy do rzeczy?

– Kiedy Catherine została zabita, pan był w mieście na zakupach – rzekł Holland.

– Chryste, znów mamy przez to przechodzić?

– Mówił pan, że szukał jakiejś gry komputerowej, na której panu zależało. Ale w końcu nic pan nie kupił.

– Nie „mówiłem” tak. Po prostu tak właśnie „było”.

– To głupie – odezwała się Turner. – Przecież policja wszystko sprawdziła. Była w sklepach, które odwiedził Jamie.

– Zawsze możemy to sprawdzić jeszcze raz – mruknął Thorne.

– Róbcie, co chcecie – burknął Paice. – Może powinienem skontaktować się z adwokatem i dowiedzieć się, ile mógłbym zgarnąć, gdybym pozwał te łajzy.

– Adwokat to może być dobry pomysł – przyznał Holland.

– Co?

Paice wpadł nagle we wściekłość i zaczął z wolna kołysać się w fotelu. Kłykcie jego palców zaciśniętych na butelce piwa zbielały.

– Już dobrze, Jamie – powiedziała Turner.

Piorunując Hollanda wzrokiem, podeszła i przycupnęła na podłokietniku fotela, w którym siedział Paice. Położyła mu rękę na ramieniu i próbowała go uspokoić, mówiła, że gniew nic mu nie da ani nie zwróci Catherine.

– Ona mówi prawdę – przytaknął Holland. – I pan też powinien.

Thorne skwapliwie siedział z boku, pozwalając się wykazać Hollandowi. Podobnie jak sierżant wiedział, że alibi Jamiego było niepodważalne i nie dlatego przejechali ponad sto pięćdziesiąt kilometrów, bo byli przekonani, iż

to właśnie Paice zabił Catherine Burke lub zlecił jej zabójstwo. Jednak z jakiegoś powodu Jamie skłamał w rozmowie z Paulem Brewerem, nie mieli co do tego wątpliwości, a w tego rodzaju sytuacjach wszelkie niejasności należy wyjaśniać na bieżąco.

Holland świetnie sobie radził, skądinąd nie po raz pierwszy. Mniej więcej rok temu Thorne pochwalił go za skuteczność. Sierżant skwitował pochwałę śmiechem, po czym stwierdził, że jeżeli chodzi o pozbawienie ludzi poczucia komfortu, uczył się u najlepszego, prawdziwego mistrza.

– Nie mam na myśli tego, jak traktuje pan ludzi w pokoju przesłuchań i w ogóle – ciągnął Holland, świetnie się bawiąc. – Ale, no wie pan, to, jak w ogóle odnosi się pan do ludzi... cały czas.

– Pytano pana, w jaki sposób zmarła matka Catherine – rzekł Thorne. Zaczekał, aż Paice na niego spojrzy – A pan najwyraźniej w świecie skłamał.

– Wtedy kiedy zadzwonił Brewer?

Paice wydawał się szczerze zakłopotany. Turner ścisnęła go za ramię, próbując coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił.

– Powiedziałem mu. Nie zrozumiał.

– Powiedział pan, że matka Catherine zmarła na raka.

– Zgadza się, tak jak jej ojciec. Zmarł kilka lat temu, zdaje się, że na raka żołądka, a jej mama umarła, kiedy Cath była jeszcze dzieckiem. Nie jestem pewien, jaki to był...

– Dlaczego pan kłamie?

– Nie kłamie. Zmarła na raka.

– Nie – rzucił Thorne. – Wcale nie.

Był absolutnie przekonany, że matka Catherine Burke została zamordowana piętnaście lat temu, podobnie jak matki Emily Walker i rodzeństwa Mackenów. Na liście ofiar w kieszeni Thorne'a nie było nazwiska Burke, ale nie było też nikogo nazwiskiem Macken czy Walker.

Z wielu powodów rodzice i dzieci miewają różne nazwiska, ale więź łącząca cztery ofiary ostatnich morderstw wydawała się teraz niezaprzeczalna.

– To jakieś szaleństwo – burknął Paice.

Wychylił się do przodu, próbując wstać, ale delikatny nacisk zmusił go do pozostania w fotelu.

– To prawda, Jamie – powiedziała Turner. – Matkę Catherine zamordował Raymond Garvey.

Paice spojrział na nią i gdy tylko skojarzył to nazwisko, pokręcił głową.

– Żarty sobie stroisz? Przecież on był seryjnym mordercą! Zabił mnóstwo kobiet, prawda?

– Siedem – powiedziała Turner i popatrzyła na Thorne'a, a ten lekko skinął głową. – Mama Cath była trzecią lub czwartą ofiarą.

Paice pociągnął z butelki i przez kilka sekund trzymał piwo w ustach, zanim przełknął.

– Ale dlaczego mi nie powiedziała? Po co ta zmyślona historyjka o raku?

– Miała tego wszystkiego dość – wyjaśniła Turner. – Ludzi, którzy chcieli wiedzieć, jak się z tym czuła. A jak mogła się czuć? – Teraz kobieta zwracała się nie tylko do Paicea, lecz również do Thorne'a i Hollanda, odrywając fragmenty etykiety z butelki piwa i zwijając je w dłoni w kulkę. – Przywykła do tego, że zadręczali ją ludzie piszący książki i kręcący filmy dokumentalne na ten temat. Jeden facet, z którym się spotykała, miał nawet fiksację na tym punkcie... to go kręciło. Znaczą się świry. Dlatego kilka lat temu stwierdziła, że ma tego dosyć. Zmieniła nazwisko, przeprowadziła się do innej części miasta i nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Znałam Cath jeszcze ze szkoły, ale byłam jedyną osobą, z którą mówiła o tym, co ją spotkało w dzieciństwie. Oprócz mnie nikt o niczym nie wiedział. Nikt w pracy. Ani Jamie.

Thorne spojrział na Paicea.

– Jak długo byliście razem?

Paice wyglądał na kompletnie zdezorientowanego i wstrząśniętego.

– Półtora roku. – Uniósł butelkę do ust i popatrzył na nią. – Jezu...

– Dlaczego „Burke”? – zapytał Holland.

Turner wrzuciła zwinięte w kulkę kawałki podartej etykiety do wiklinowego kosza na śmieci stojącego w kącie.

– Tak brzmiało panieńskie nazwisko jej matki – odparła. – Kiedy zginęła, nic jej po niej nie zostało. Ojciec później tego popijał i skończył, bzykając wszystko, co tylko mógł mieć za pieniądze. Panieńskie nazwisko matki było jedyną pamiątką, jaką Cath mogła zachować po matce.

Thorne wiedział, że już właściwie skończyli. Spojrzał na kurtkę, którą rzucił na podłogę obok kanapy.

– Ile miała lat, kiedy to się stało?

– Jedenaście – odparła Turner. – Nasz pierwszy rok w zespole szkół. – Zamknęła oczy na pięć sekund... dziesięć, po czym wstała i wróciła na swój fotel. – To naprawdę ją zdruzgotało. Na zawsze, rozumiecie?

– Prochy, tak?

– Każdy zacząłby brać po czymś takim.

Sięgając po kurtkę, Thorne zauważył, że mężczyzna w fotelu wlepia wzrok w swoje stopy, i zrozumiał, iż Jamie Paice był bardziej niż rad z towarzystwa swojej przyjaciółki, mogąc uciec przed niewygodną prawdą o rzeczywistości wraz z nią dzięki prochom, które Catherine zdołała wynieść ze szpitala.

– Garvey zabił matkę Catherine, kiedy się opalała – powiedziała Turner. – Przelazł przez płot i w biały dzień zatłukł ją na śmierć. – Popatrzyła na to, co zostało w butelce, i pospiesznie dopiła. – Catherine znalazła ją w ogrodzie po powrocie ze szkoły do domu.

Kwadrans później, prawie dwa kilometry od M1, Holland powiedział:

- Przy odrobinie szczęścia powinniśmy wrócić przed północą.
- Chyba lepiej będzie, jeśli zostaniemy tu na noc – rzekł Thorne.
- Co?
- Wypijemy po parę piw, zdrzemniemy się i wrócimy z samego rana. Hollandowi niezbyt to się podobało.
- Nie uprzedziłem Sophie.
- Cóż, jedziemy na tym samym wózku.
- Thorne zwolnił i zaczął się przyglądać znakom drogowym.
- Po drodze tutaj minęliśmy zajazd. Łatwo byłoby z samego rana dotrzeć stąd do autostrady.
- Szlag... nic nie wziąłem ze sobą – rzekł.
- Kupimy ci gdzieś szczoteczkę do zębów – rzekł Thorne. – I nie mów mi, że nigdy nie nosiłeś tych samych slipek przez dwa dni z rzędu.
- Ale tak czy inaczej to szaleństwo – odparował Holland. – Jesteśmy tylko trochę ponad godzinę drogi od domu.
- Jestem zmęczony.
- Mogę poprowadzić, jeżeli chce się pan przespać.
- Chcę zostać na noc – powiedział Thorne.

★

Było to skrzyżowanie motelu z zajazdem; stylizowany na drewno plastik dominował na każdym skrawku powierzchni, dźwięki fletni Pana dochodziły z głośników zawieszonych zbyt wysoko, aby dało się je zerwać ze ścian, w holu zaś wyczuwało się niepokojącą woń. Szybko się zameldowali, starając się nie oddychać zbyt głęboko. Thorne robił co mógł, by sprawiać wrażenie miłego i sympatycznego, ale i tak nie zdołał skłonić kobiety w recepcji, aby się uśmiechnęła, podobnie jak ani on, ani Holland nie byli w stanie zajrzeć do swoich pokoi, nie wypiwszy wcześniej kufelka, więc nie zwlekając, przeszli z obskurnej recepcji do miejsca nazbyt

buńczucznie zwanego barem.

Było przed jedenastą, ale lokal – kilka stolików i jakieś sztuczne roślinki – był właściwie pusty. Przy stoliku pod oknami siedziało dwóch mężczyzn w średnim wieku, w garniturach, a przy końcu baru zajęła miejsce kobieta po trzydziestce, która przeglądała jakieś pismo. Ani śladu obsługi.

– Lokal pęka w szwach – powiedział Holland.

Po kilku minutach za barem zmaterializował się łysiejący pokurcz w śliwkowej kamizelce, a Thorne zamówił drinki: szklanekę blossom hill dla siebie i kufel stelli dla Hollanda. Chciał też zamówić kanapki, ale w odpowiedzi usłyszał, że kuchnia już nie pracuje. Przeszli z drinkami do stolika w rogu, a po drodze Thorne zgarnął na wpół pełną miseczkę orzeszków ziemnych z jednego z mijanych stolików.

– Są umazane moczem – stwierdził Holland.

Thorne wzruszył ramionami.

– Jestem głodny.

Holland też wziął garść orzeszków.

– Tak tylko informuję.

Dźwięki fletni Pana zastąpiła jakaś piosenka, przypuszczalnie z repertuaru Michaela Boltona, ale równie dobrze mogły to być odgłosy jakiegoś wielkiego, cierpiącego katusze zwierzęcia. Na szczęście wino okazało się smaczne, a Thorne z chęcią podjął spór z Hollandem, który nieopatrznie skomentował, że jego przełożony pije wino rosé. Thorne wyjaśnił, że to Louise zaczęła je kupować i że jak napisano w pewnym artykule, było ono bardzo modne.

– Nad wyraz gejowskie – skomentował Holland.

Thorne mógłby odparować, że tego typu komentarz był w stanie wytrącić z równowagi Phila Hendricksa, gdyby nie to, że właśnie od Hendricksa usłyszałby dokładnie to samo. Zamiast tego przesunął tylko



pusty kieliszek po blacie, przypominając w ten sposób Hollandowi, że teraz to on stawia. Kilka minut później Holland wrócił z kolejnym kieliszkiem wina, małym piwem i czterema niechrzczonymi moczem paczuszkami chipsów.

– Nie dręczą pana wyrzuty sumienia? – zapytał Holland. – Mam na myśli Paicea. Najwyraźniej nic nie wiedział o Garveyu.

– Najwyraźniej?

– Widział pan jego twarz?

Thorne odczekał kilka sekund.

– Może on i jego nowa dziewczyna wspólnie to wymyślili.

– Niby co?

– Skąd mam wiedzieć?

– Cóż, jeżeli tak, to zasługują na Oscara. – Holland dopił piwo i wlał do pustej szklanki zawartość mniejszej. – A poza tym kto twierdzi, że to jego dziewczyna?

– To chyba pierwsza rzecz, jaka przyszła mi na myśl – odparł Thorne. – Kiedy tylko tam wszedłem.

Holland pokręcił głową.

– A mnie jakoś nie. Najwyraźniej niektórzy ludzie są nieufni i podejrzliwi z natury.

– Trudno, żeby było inaczej.

– To czyni glinę dobrym gliną, tak pan uważa? – Holland uśmiechnął się, ale nic nie wskazywało na to, aby żartował. – Czy raczej złym?

– Raczej takim, który zbyt długo robi to, co robi – odrzekł Thorne.

Holland wychylił się do przodu, aby sprawdzić, czy zostało jeszcze trochę chipsów, ale paczuszki już były puste.

– Ile trwało, zanim przestał pan udzielać ludziom kredytu zaufania? – zapytał.

– To zadanie dla przysięgłych, nie dla mnie – odparł Thorne.

– Pytam poważnie.

– Nie sądzę, abym kiedykolwiek przestał... myślę, że nigdy tego nie robiłem. – Thorne napił się wina. Było nieco słodsze niż to, które Louise kupowała w Sainsbury's. – Jeżeli z założenia podejrzewasz, że wszyscy kłamią i oszukują na potęgę, możesz być pewien, że nie spotka cię niemiła niespodzianka. – Spojrzał w stronę baru i zobaczył, że kobieta patrzy w ich stronę. Uśmiechnął się i ponownie odwrócił do Hollanda. – No dobrze, może mam niewielkie wyrzuty sumienia. I jest mi głupio, że pomyślałem, iż kłamstwo Jamiego Paice'a może kryć drugie dno.

– Bo mogło – powiedział Holland i uniósł w dłoni szklankę. – A wtedy opijalibyśmy nasz sukces czymś szlachetniejszym i droższym. – Zakręcił szklanką i spojrzał w głąb piwa. – Musimy sprawdzać każdy trop, nawet ten najgłupszy, aż dopisze nam szczęście albo ten facet popełni błąd.

– Mam nadzieję, że już go popełnił – mruknął Thorne. – Nie chciałbym zobaczyć kolejnych kawałków tej kliszy.

Kilka minut później Holland zapytał:

– To po co tak naprawdę tu jesteśmy?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego siedzimy w tej obskurnej norze, zamiast leżeć we własnych łóżkach w swoich domach?

Sądząc po wyrazie twarzy, Holland spodziewał się usłyszeć, że Thorne pokłócił się z Louise albo próbował uniknąć nudnej kolacji z jej przyjaciółmi i znajomymi. Miał nadzieję usłyszeć coś, co mógłby skwitować śmiechem albo odrobiną współczucia, pełnym niedowierzania ruchem głowy na myśl o tym, w jakie cholerne bagno potrafiły ich wpędzić kobiety, z którymi się związali.

– No dobrze – powiedział. – Nie musi pan mówić.

Thorne zastanowił się nad odpowiedzią. Nie bez powodu nie chciał dziś wrócić do domu, ale nie potrafił ująć tego w słowa i miał przez to okropne wyrzuty sumienia. Nie czułby się swobodnie, zwierając się z tego Hollandowi czy komukolwiek innemu, nawet gdyby był w stanie wyrazić to słowami.

– Już mówiłem – odparł, siląc się na przesadne ziewnięcie. – Padam z nóg i tyle.

– No jasne – przytaknął Holland, wstał i oznajmił, że już się położy.

Umówili się na siódmą przy śniadaniu. Holland powiedział, że nastawi budzik w telefonie. Jednak Thorne, zamiast ruszyć z sierżantem w stronę windy, stwierdził, że zamierza wypić jeszcze kieliszek albo dwa.

– To pomoże mi zasnąć.

– Niech pan wypije dwa – odparł Holland. – Będzie pan spał jak niemowlę.

Thorne domyślał się, do czego zmierzała ta rada, ale tylko się uśmiechnął, dając Hollandowi szansę, aby przeszedł do puenty.

– Przez pół nocy będzie pan płakał, a rano obudzi się z mokrymi majtkami.

Thorne podszedł do baru i zamówił jeszcze jeden kieliszek wina. Kobieta siedząca na stołku nieopodal odłożyła czasopismo.

– Kolega pana opuścił?

– Bo nieufny i podejrzliwy ze mnie typ – odparł Thorne i skinął w stronę półek z alkoholami. – Mogę coś zaproponować?

Kobieta podziękowała i podeszła do niego. Poprosiła o rum z colą, a jej głos zdradzał, że nie był to jej pierwszy drink tego wieczoru. Była blada, miała długie do ramion, ciemne włosy i nosiła kremowy dżinsowy zakiet oraz brązową minispódniczkę. Barman w śliwkowej kamizelce, który jak wskazywała plakietka na jego piersi, miał na imię Trevor, przerwał

przygotowanie drinków i unosząc brwi, spojrzał na Thorne'a, kiedy kobieta nie patrzyła.

– Jestem Angie – powiedziała.

Thorne uściskał jej dłoń i nieco się zaczerwienił, kiedy podał jej swoje imię.

– Co cię tu sprowadza, Tom?

– Sprzedaję orzeszki – odrzekł Thorne. – Chrupki, chipsy, orzeszki... jestem obwoźnym sprzedawcą przegryzek.

Pokiwała głową, uśmiechając się pod nosem, jakby nie wiedziała, czy powinna mu uwierzyć. Kiedy barman podał im drinki, wzięła swoją szklankę i zaczęła, aż mężczyzna się oddali.

– Posłuchaj, Tom, dochodzi północ i jeżeli chcesz, możemy tu siedzieć w nieskończoność. Albo możemy pójść z tymi drinkami do twojego pokoju.

Nie odrywała od niego wzroku, upijając łyk alkoholu. Teraz Thorne naprawdę się zaczerwienił. Poczł przy tym, że krew spłynęła do innych części jego ciała, i cieszył się, iż siedział na stołku.

Wcześniej, jeszcze z parkingu, zadzwonił do Louise, a Holland do Sophie. Lou powiedziała, że nie ma sprawy, nie widzi problemu w tym, iż on nie wróci na noc do domu. Wydawała się nawet odrobinę zdenerwowana, że w ogóle mógł pomyśleć, iż będzie na niego zła. Stwierdziła, że chętnie wcześniej się położy, a kiedy zapytał, jak jej minął pierwszy dzień, odparła, że dobrze i niepotrzebnie się martwił.

– Ja... mam dziewczynę – powiedział Thorne.

Pokiwał głową, jakby to wszystko tłumaczyło, ale kobieta tylko patrzyła, najwyraźniej czekając na dalsze wyjaśnienia. Próbował przełknąć ślinę, ale zrobiło mu się sucho w ustach, w sumie przecież aż tak bardzo mu się nie podobała i zastanawiał się, co by zrobił, gdyby było inaczej.

– No wiesz, w przeciwnym razie...

Kobieta uniosła ręce i powoli odwróciła się na stołku.

– Nie ma sprawy.

Thorne wciąż kiwał głową jak przygłup. Powiedziała to w taki sam sposób jak Louise: chłodno i zdawkowo. Otworzył portfel i wyjął dziesięciofuntowy banknot, żeby zapłacić za drinki; odwrócił się, kiedy kobieta nagle zakłęła w głos. Wskazała na jego legitymację i pokręciła głową.

– Zwykle potrafię zwietrzyć was, łajzy, na kilometr.

Kątem oka Thorne zobaczył, jak Trevor uśmiecha się, wycierając szklanki przy drugim końcu baru. Kiedy uświadomił sobie, że propozycja kobiety miała charakter czysto komercyjny, Thorne starał się nie sprawiać wrażenia przesadnie zaskoczonego.

– Nic się nie martw, złotko – powiedział. – Nie jestem stąd, a jeśli to poprawi ci humor, powiem tylko, że mój zawodowy radar zawiódł tak samo jak twój.

Przez kilka sekund słuchał muzyki, bębniąc palcami w blat, po czym uniósł kieliszek.

– Zdrówko, Angie.

– Naprawdę mam na imię Mary.

– Nudny wieczór, co, Mary?

– Można popaść w pieprzoną katatonię – odparła.

## 10

Wyjeżdżając z Leicester, trafili w sam środek porannego szczytu, a potem stali w korku przy wjeździe do Londynu; to, że akurat padało, bynajmniej nie popsuło im humoru. Kiedy Brigstocke zadzwonił, tuż przed dziesiątą, wciąż byli o trzydzieści kilometrów od miasta i nadal żalowali obrzydliwie tłustego śniadania, które zjedli dwie godziny wcześniej.

– Powinienem był zamówić muesli – rzekł Holland.

Thorne wyłączył radio.

– I ty śmiesz pokpiwać sobie z wina rosé?

Wcisnął przycisk uruchamiający głośnik w jego komórce i podał ją Hollandowi. To było najlepsze rozwiązanie, aby mieć wolne ręce i równocześnie rozmawiać przez telefon.

– Jak poszło z Paice em? – spytał Brigstocke.

– Nie ma się czym podniecać – odrzekł Thorne. – Catherine po prostu nigdy nie powiedziała mu o swojej matce, to wszystko.

– Tak czy owak dobrze było to sprawdzić – powiedział Brigstocke.

– Rzecz jasna o ile nie przedstawicie zbyt wygórowanych rachunków za wydatki służbowe.

– Może trzeba będzie opłacić nasz pobyt w szpitalu w związku z zatruciem pokarmowym – wtrącił Holland.

Brigstocke powiedział im, że z samego rana Hendricks miał przeprowadzić autopsję pierwszego z dwojga Mackenów, później zaś, jako że otrzymali już potwierdzenie zgodności DNA, technicy mieli zbadać dwa najnowsze fragmenty zdjęcia rentgenowskiego w nadziei, że uzyskają dzięki

temu więcej informacji. To było zadanie priorytetowe.

– Trzeba wykorzystywać każdą szansę – rzekł Thorne.

– Zostawia je po to, żebyśmy je znaleźli, więc chce, abyśmy się dowiedzieli, skąd pochodzą.

– Albo żebyśmy marnowali czas, próbując to ustalić – zasugerował Thorne.

W tle zadzwonił inny telefon i zapadła cisza, kiedy Brigstocke odebrał; przez minutę lub dwie słychać było stłumione odgłosy rozmowy.

– Tak pan uważa? – Holland zwrócił się do Thorne'a. – Że po to je dla nas zostawia? Że nie chodzi o jakiś... rytuał?

Zanim Thorne zdążył odpowiedzieć, że nie ma pojęcia, jego uwagę odwrócił samochód jadący za nimi.

– Spójrz na tego kretyna, którego mamy na ogonie.

Thorne wlepił wzrok w lusterko wsteczne i kilka razy dał po hamulcach, aż uznał, że kierowca jadący za nim zrozumiał, o co chodzi.

Z komórki znów dobiegł głos Brigstocke'a, który pytał, jak daleko są od Londynu, i mówił, żeby nie przyjeżdżali do biura.

– Jedźcie od razu na Holloway Road. – Wyjaśnił, że funkcjonariusze chodzili od domu do domu i udało im się odnaleźć kilkoro studentów, którzy w sobotni wieczór byli w klubie Rocket. – Możemy równie dobrze zaoszczędzić na czasie i przesłuchać ich wszystkich naraz.

– To ma sens – przyznał Thorne.

Mieliby okazję zobaczyć miejsce, w którym ktokolwiek poza zabójcą mógł widzieć Grega lub Alex żywych.

Brigstocke podał im jeszcze ważniejszy powód:

– Kilkoro z nich twierdzi, że widziało, jak brat rozmawiał przy barze z mężczyzną, w którego towarzystwie mógł później opuścić klub.

– Brzmi obiecująco – uznał Holland.

– Cóż, nie wiem, do jakiego stopnia byli trzeźwi, ale może uda się nam na podstawie ich zeznań sporządzić rysopis podejrzanego. Przy odrobinie szczęścia... może nawet zdobędziemy coś więcej.

Thorne spojrział na Hollanda.

– Kamery – powiedział.

– Spryciarz – mruknął Brigstocke. – Tak. Yvonne jedzie tam, by sprawdzić, czy uda się zdobyć jakieś sensowne nagrania z kamer monitoringu.

– Pewnie trzeba będzie przejrzeć wiele godzin nagrań studentów zarzygujących schody i obściskujących się po kątach – wtrącił Holland.

– Jestem pewien, że znajdzie się wielu chętnych do tego zadania – zaśmiał się Thorne.

– Myślę, że oglądanie nagrań zarezerwuję dla siebie – stwierdził Brigstocke. – Zatrzymam je, żeby pokazać żonie, kiedy moje najstarsze pociechy zaczną nalegać, że chcą pójść na studia.

Kilka kilometrów dalej, przy zjeździe na M25, korek zgęstniał jeszcze bardziej, a Thorne zredukował bieg do jedyńki. Uderzał otwartą dłońią w kierownicę nieco szybciej, niż brzmiały takty piosenki puszczonej akurat w radiu.

– Dlaczego nie pojedziemy poboczem? – zapytał Holland.

Thorne wyjaśnił, że kiedy tylko miną zjazd, tłok na drodze zacznie się rozluźniać. Że studenci im nie uciekną i że nie ma ochoty dać się złapać przez którąś z kamer, aby potem tygodniami pisać listy z wyjaśnieniami, iż do złamania przepisów skłoniły go ważne powody natury służbowej.

– Tak mi tylko przyszło do głowy – powiedział Holland.

Thorne spojrział w lusterko i zjechał na wewnętrzny pas, a kiedy deszcz przybrał na sile, zwiększył prędkość pracy wycieraczek.

Niebo, z którego nagle lunęły strugi deszczu, miało barwę wilgotnego



cementu.

Zważywszy na to, jak wyglądali obecnie, bladzi, na wpół ubrani, z rozwichrzonymi włosami, Thorne nie mógł sobie wyobrazić, jak studenci siedzący na wprost niego musieli wyglądać, kiedy mundurowi policjanci zaczęli dobijać się do ich drzwi o wpół do ósmej rano. Wciąż o tym myśląc i patrząc, jak Holland zapisuje ich nazwiska, Thorne niemal usłyszał, jak Louise żartuje sobie z niego, że zaczynał stawać się taki sam jak jego ojciec. Naturalnie na długo przed chorobą i śmiercią, zanim jeszcze alzheimer zaczął czynić spustoszenie w jego umyśle. Kiedy staruszek był jeszcze w sta – nie wykrztusić z siebie kilka sensownych zdań, nikogo przy tym nie obrażając.

Louise nigdy nie poznała ojca Thorne'a, ale słyszała na jego temat dostatecznie dużo, by docinać mu i żartować sobie, że z swoimi nawykami i zachowaniem coraz bardziej przypomina ojca. Thorne próbował się bronić, ale robił to bez większego przekonania. Kilka tygodni temu Louise stwierdziła: „Teraz, kiedy zostaniesz ojcem, będzie z tobą jeszcze gorzej niż dotychczas!”.

– Greg rzadko tu bywał, prawie tu nie przychodził. – Te słowa padły z ust młodej, krótko ostrzyżonej dziewczyny z dolną wargą ozdobioną kolczykiem, którego nie powstydzilby się Phil Hendricks. – Przez cały ubiegły semestr chyba ani razu go tu nie widziałam.

– Ja go widziałem, raz – powiedział wysoki, chudy chłopak z gęstą brodą. – Ale nie sprawiał wrażenia, że dobrze się bawi.

Reszta grupy odpowiedziała zgodnymi potaknięciami. Cała siódemka zebrała się w kącie głównego baru w klubie Rocket – cztery dziewczyny i trzech chłopaków. Kilkoro wlepiło wzrok w kubki z kawą, a troje podawało sobie z rąk do rąk dużą butelkę z wodą. W barze cuchnęło piwem, a goła posadzka wokół baru aż się od niego lepiała.

– Greg wolał siedzieć w domu i zakuwać – powiedział Holland. – Zgadza się?

Chudy chłopak wzruszył ramionami.

– Tak, sporo się uczył, ale nie był kujonem ani nic z tych rzeczy. Chyba nie odpowiadała mu tutejsza muzyka.

– Lubił jazz – wtrąciła blondynka. – Dziwną skandynawską muzę. Nabijaliśmy się z niego, że słucha badziewia.

Thorne stłumił uśmiech cisnący mu się na usta. Gust muzyczny, uznawany przez innych za wątpliwy, był najwyraźniej czymś, co łączyło go z Gregiem Mackenem.

– A więc po co zjawił się tu w ubiegłą sobotę?

– I w poprzednią też – powiedział chłopak. – Bywał tu parę razy od początku semestru.

– No dobra. Co było inaczej?

Cisza trwała kilka sekund, słychać było tylko nieśmiałe szuranie stóp i siorbanie kawy. Pulchna Azjatka z fioletowym pasemkiem we włosach uśmiechnęła się smutno, sięgając po butelkę z wodą.

– Napalił się na tego kolesia – odezwała się wreszcie.

– Na mężczyznę, z którym widzieliście, jak rozmawia?

Kilkoro z nich potaknęło.

Thorne dobrze zrozumiał ich wahanie. To dziwne, ale rzeczy, o których na co dzień plotkowano, stawały się trudnym tematem do rozmowy, kiedy osoba, o której mowa, została zamordowana.

– Widziałś go tu z tym samym mężczyzną tydzień temu, w ubiegłą sobotę? – zapytał.

Azjatka odparła, że tak.

– Wcześniej bywał tu chyba po to, żeby pilnować siostry. Aż któregoś razu zobaczył tego faceta, który mu się spodobał, i zaczął przychodzić tu dla

niego.

– Widziałaś ich wcześniej, jak ze sobą rozmawiali?

– Nie, nie rozmawiali. Dopiero w tę sobotę.

– Co się stało w sobotę?

– Myślę, że dopiero wtedy Greg zdobył się na odwagę.

– Brakowało mu... pewności siebie – dodała dziewczyna z kolczykiem w dolnej wardze i zaczęła płakać. Brodac przysunął się z krzesłem nieco bliżej i objął ją ramieniem. – Pewnie musiał najpierw strzelić sobie kilka głębszych na odwagę.

Thorne pokiwał głową. Gej czy hetero, osiemnasto – czy osiemdziesięciolatek, wiedział jak to działa. Jednakże pomimo nieśmiałości Grega Mackena, którą zdołał przezwyciężyć dopiero w ostatnią sobotę, Thorne nie mógł nadziwić się pewności siebie i tupetowi zabójcy. Wystarczyło mu, że zwabił swoją ofiarę, a potem cierpliwie czekał, aż to on uczyni pierwszy krok.

– Uważasz, że Greg był pijany? – spytał Holland. – Zanim stąd wyszedł?

– Wypił trochę, ale nie tak, żeby się upić. – Azjatka pokręciła głową. – Rozmawiałam z nim na pół godziny przed tym, jak zauważyłam, że zniknął, i trzymał się całkiem nieźle. – Spuściła głowę. – Był bardzo... podniecony.

Autopsja powie im, ile Greg Macken wypił tego wieczoru, kiedy go zamordowano. Thorne nie mógł już się doczekać na wyniki raportu toksykologicznego. Sugerowano, że zabójca mógł dodać Mackenowi czegoś do drinka – rohypnolu albo ecstasy w płynie, choć Thorne zastanawiał się, po co wobec tego zabójca miałby rozbijać Mackenowi czaszkę przed zarzuceniem mu na głowę reklamówki.

– A więc czy ktoś widział, jak wychodzą razem?

Blondynka powiedziała, że nie może za to ręczyć.

– Ale wie pan, Greg zniknął i ten facet, z którym wcześniej rozmawiał,

też – dodała.

– Widziałem ich przy drzwiach – rzekł chudy chłopak. – A kiedy spojrzałem ponownie, już ich nie było, więc pomyślałem...

Thorne uniósł rękę, by dać im do zrozumienia, że to nie miało aż takiego znaczenia. Jeżeli nagrania z kamer okażą się przydatne, to w ogóle przestanie mieć jakąkolwiek wartość.

– Opowiedzcie mi o tym facecie.

– Był starszy niż większość osób, które tu zwykle przychodzą – powiedziała Azjatka. – Trzydzieści parę lat, jak sędzę.

Thorne zapytał, czy to było coś niezwykłego, a studenci wyjaśnili, że każdy mógł tu wejść, wstęp był płatny, zwłaszcza kiedy grały kapele na żywo. Poza tym bywali tu też starsi studenci.

– Wydawał się taki... pewny siebie – dodała blondynka.

– Szczerze mówiąc, sprawiał wrażenie zarozumiałego bufona – sprecyzował chudzielec.

Azjatka oświadczyła, że wyglądał na rozluźnionego, zadowolonego, wręcz szczęśliwego, a koniec końców stwierdziła, że gdyby Greg nie zainteresował się tym facetem, sama spróbowalaby go poderwać.

Studenci zaczęli podawać kolejne szczegóły rysopisu. Ta trójka, która przyjrzała mu się najlepiej, przysunęła się bliżej do stołu, kiedy Holland sporządzał notatki. Gdy zaczęli spierać się o kolor koszuli mężczyzny i długość włosów w stosunku do kołnierzyka, Thorne usiadł obok dziewczyny, która do tej pory nie odezwała się ani słowem.

Miała długie czarne włosy i nosiła niebrzydki płaszcz. Wyglądała na czternaście lat.

– Zakładam, że nie widziałaś za dużo – zagadnął ją.

– Nie było mnie tutaj – odparła dziewczyna. Mówiła cicho, spokojnie. – Jestem przyjaciółką Alex. Byłyśmy w sali obok, na koncercie.

Kiedy tylko wypowiedziała jej imię, wargi dziewczyny zaczęły drżeć, a Thorne sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki po chusteczki. Dziewczyna ubiegła go, wycierając zmiętą chusteczką higieniczną załamane oczy, i pomiędzy kolejnymi chlipnięciami wykrztusiła:

– Miałyśmy w niedzielę zjeść razem lunch. To były dość optymistyczne plany, zważywszy na to, jak mocno miałyśmy w czubie, kiedy wychodziłyśmy z klubu, ale tak się umówiłyśmy. Wielka niedzielna pieczeń w jakimś pubie. Alex potrafiła sporo zjeść. Uważała to wręcz za swój patriotyczny obowiązek. – Złożyła dłonie na udach i ścisnęła w palcach chusteczkę. – Następnego dnia tak fatalnie się czułam, że nawet nie zadzwoniłam do niej.

– Mów dalej – zachęcił ją Thorne. Nie pokwapił się, by powiedzieć jej, że i tak nikt nie odebrałby telefonu, nawet gdyby zdecydowała się zadzwonić.

– No a potem, w poniedziałek rano, już się nie pojawiła. I od tamtej pory nie rozmawiałam z nią.

Dziewczyna uniosła dłonie do twarzy, a kiedy je w końcu opuściła, pomiędzy jej nosem a palcami rozciągała się błyszcząca wilgotna nitka smarków. Nie poruszyła się, gdy Thorne sięgnął ręką i wytarł jej nos chusteczką.

Kiedy udało się osiągnąć jaki taki konsensus w kwestii rysopisu, studentom pozwolono odejść, prosząc, by zgłosili się na policję, gdyby przypomnieli sobie coś istotnego. Wychodząc z klubu, minęli się w drzwiach z wchodzącą właśnie Yvonne Kitson, a Thorne zauważył, że chudy brodacz obrzucił policjantkę bardziej niż tylko przelotnym spojrzeniem. Kitson także zwróciła na to uwagę, ale nie przejęła się tym zbyt.

– Uwaga – powiedział Holland. – To prawie podpada pod oskarżenie

o pedofilię.

– Czyżby? – Kitson popatrzyła na niego z niewinną miną. – Chcecie powiedzieć, że nie podobała się wam ta blondyneczka?

Żaden z nich nie odpowiedział.

Kitson uśmiechnęła się, usiadła i kontynuowała:

– No cóż, niestety w barze nie było kamer, ale są na wszystkich schodach, w głównym holu i przy frontowym wejściu. Jeszcze dziś przed południem powinniśmy dostać materiały do przejrzenia. – Sięgnęła do torebki i uszminowała wargi. – Mamy porządny rysopis?

– Coś mamy – odparł Thorne. – Inny niż ten, który przekazali nam chłopcy z Leicester, i inny niż ten podany przez sąsiada Emily Walker.

– Zatem wszystkie są niewiarygodne.

– Istnieje taka możliwość.

– Albo mamy do czynienia z kimś, kto potrafi zmieniać swój wygląd.

Holland spojrzał kolejno na dwójkę nadinspektorów.

– To o co mu właściwie chodzi? O ekscytację, którą przy tym czuje, czy jak? – Pokręcił głową, jakby sam odpowiedział sobie na to pytanie. – Może cierpi na rozszczepienie osobowości?

– Mowy nie ma – zaprzeczyła Kitson i wrzuciła szminkę z powrotem do torebki. – Niech jego ekipa obrońców spróbuje tej praktyki podczas procesu. Pewnie po prostu facet lubi nas wkurzać.

– Mnie to pasuje – powiedział Thorne, który właśnie pozbiierał puste kubki z podłogi i postawił na stole. – Tacy zwykle stają się nieostrożni.

– Jak Garvey – wtrącił Holland. – W końcu powinęła mu się noga.

– Tak, ale do tego czasu miał już na koncie siedem ofiar – zauważyła Kitson.

Thorne wstał i sięgnął do kieszeni po kluczyki do samochodu.

– Ten ma już tylko trzy ofiary mniej.

Louise wysłała mu SMS-a, kiedy był w połowie drogi między Leicester a Londynem: „Jedź ostrożnie, wypity alkohol mógł jeszcze nie wywietrzeć!”. Thorne zadzwonił do niej w porze lunchu, kiedy skończyli przesłuchania w klubie Rocket, ale była zajęta, więc mówiła krótko i zdawkowo. Kolejnego SMS-a otrzymał tuż przed piątą, kiedy on i Holland weszli do gabinetu Brigstocke’a, żeby obejrzeć nagrania z kamer monitoringu: „Przepraszam za wcześniej. Może zamówimy coś na wynos wieczorem? Albo wspólnie coś upichcimy, co ty na to?”. Zajmując miejsce obok Brigstocke’a, Thorne wysłał jej uśmieška niemal równie pogodnego jak ten, który opromienił jego twarz.

To było najlepsze, co spotkało go tego dnia...

Podczas gdy w Leicester rozmawiał z Jamiem Paice’em i w Holloway przesłuchiwał studentów, ekipa poszła tymi tropami, które stały się oczywiste, kiedy wyszło na jaw, co łączyło ze sobą poszczególne ofiary. Jak dotąd wyeliminowano w ten sposób wszystkich dawnych przyjaciół Raymonda Garveya i ustalono, że nie miał żadnych żyjących męskich krewnych, jeśli nie liczyć wujka, staruszka w domu opieki w Essex.

Rozważali kolejne możliwości, podczas gdy Kitson rozstawiała swój sprzęt.

– To co, mamy jakiegoś naśladowcę? – zasugerowała.

– To nie naśladownictwo – zaproponował Holland. – A w każdym razie niezupełnie. Garvey zatłukł swoje ofiary na śmierć.

– Wiesz, o co mi chodzi, Dave.

– Poza tym wszystkie zostały zabite poza domem.

– Wobec tego może to jakiś pokrętny, popapwany hołd... czy jak go tam nazwać?

– Tak, rodzaj oddania czci, to możliwe. Wydaje mi się, że nietrudno się dowiedzieć, kim były wszystkie ofiary Garveya.

– To betka – odezwała się Kitson. – Nakręcono na ten temat co najmniej dwa filmy dokumentalne i napisano wiele książek.

Kitson i Holland popatrzyli na Brigstocke'a. Ten spojrział na Thorne'a.

– Może – mruknął Thorne.

Widział wiele z tych książek, w krzykliwych czarno-czerwonych obwolutach, ulubionych kolorach dla tego rodzaju lektur – atakowały go, gdy zaczynał surfować w internecie po stronach poświęconych Raymondowi Garveyowi i innym takim jak on. Wrócił nawet na jedną z takich stron i zamówił kilka mniej sensacyjnych książek. Czy to mogło być aż tak proste? Czy mężczyzna odpowiedzialny za cztery brutalne i skrupulatnie zaplanowane morderstwa jest pospolitym psychopata pragnącym uczcić na swój sposób jednego ze swoich bohaterów? Zabójcą usiłującym sprawić, że i o nim ktoś napisze kolejną książkę w krzykliwej okładce... Może...

A teraz mieli go po raz pierwszy zobaczyć.

Kitson przez całe popołudnie przegrywała taśmy z klubu Rocket na DVD; przebijając się przez godziny nagrań, zaznaczając fragmenty, które mogły okazać się przydatne, a w końcu zgrywając je na oddzielną płytę. Kiedy Thorne i Brigstocke byli gotowi, sięgnęła po pilota leżącego na wózku, na którym wtoczyła tu telewizor i odtwarzacz DVD

– No dobrze, mamy trzy ujęcia Grega Mackena i mężczyzny, którego poderwał w barze w klubie Rocket w sobotę wieczorem.

– Myślę, że to Greg został poderwany – poprawił Thorne. – Tak czy



inaczej.

– Nie wydajesz się za bardzo podekscytowana – zauważył Brigstocke.

Kitson wcisnęła guzik i stanęła z boku.

– Niech pan sam zobaczy.

Nagranie było czarno-białe, bez dźwięku, u góry ekranu biegł pasek z oznaczeniem czasowym.

– To całkiem niezłe ujęcie – powiedział Holland.

– Właśnie unowocześnili cały sprzęt – odparł Kitson. – Obraz to żaden problem.

Patrzyli na fragment korytarza z krawędzią schodów po lewej stronie ekranu i kamienną balustradą biegnącą spiralnie w dół i znikającą poza kadrem.

– To główne schody prowadzące z baru na pierwszym piętrze – wyjaśniła Kitson. Cztery dziewczyny szły w stronę kamery, kiwały głowami i świetnie się bawiły. – Najwyraźniej muzyka dobiega z sali, gdzie grał zespół. – Dziewczyny wyszły na schody i zniknęły z kadru. – Teraz.

Patrzyli, jak Greg Macken i towarzyszący mu mężczyzna wyłaniają się z cieni przy końcu korytarza i idą prosto w stronę kamery. Thorne nie był w stanie dostrzec twarzy, ale domyślał się, że towarzysz Mackena coś do niego mówił. Macken zaśmiał się w odpowiedzi na jakiś jego komentarz. Thorne przysunął się z krzesłem bliżej ekranu w nadziei, że zaraz będzie mógł po raz pierwszy dobrze się przyjrzeć zabójcy.

– Nie podniecaj się za bardzo – powiedziała Kitson.

W tej samej chwili mężczyzna pochylił głowę, po czym odwrócił się od kamery.

– Kurwa...

– Będzie tylko gorzej – odparła Kitson.

Obraz został zatrzymany, na ekranie pojawił się teraz fragment holu

budynku i szeroka połać kamiennych schodów biegnących po obu stronach w kierunku kafejki, restauracji i barów na górze.

– Wychwyciliśmy ich, jak wychodzili do holu pięć minut po tym, jak widzieliśmy ich ostatnio.

– Gdzie byli przez te pięć minut? – zapytał Brigstocke.

– Może jeden z nich chciał skorzystać z toalety? Albo miał ochotę na małe macanko? Kto wie? O, już idą...

Na schodach po prawej pojawiła się szczupła sylwetka Grega Mackena i jego wyższego, lepiej zbudowanego przyjaciela zmierzających w stronę kamery. Mężczyzna miał ciemne włosy, nosił džinsy i džinsową kurtkę, ale Thorne znów nie był w stanie dostrzec rysów jego twarzy. Gdy dotarli do miejsca, gdzie twarz stawała się wyraźniejsza, mężczyzna położył rękę na ramieniu Mackena. Nachylił się, by coś do niego wyszeptać, i znów odwrócił twarz tak, że kamera jej nie wychwyciła.

– Wie, gdzie są zamontowane kamery – powiedział Thorne.

Kitson pokiwała głową i przeszła do ostatniego fragmentu nagrania. Kamera nad głównym wejściem wyłapała dwóch mężczyzn, gdy wyszli za zewnątrz niemal zaraz po tym, jak zgubiła ich poprzednia. Tym razem twarz mężczyzny była już odwrócona w kierunku przeciwnym do kamery i tak też pozostała, dopóki postać mężczyzny nie rozplynęła się w oddali. Ostatni obraz, który Kitson pozostawiła zatrzymany na stopklatce na ekranie, przedstawiał wyraźne ujęcie potylicy mężczyzny, kiedy on i Macken oddalali się ulicą.

Kitson odłożyła pilota na wózek.

Brigstocke wstał i podszedł do fotela za biurkiem.

– Bywał tam parę razy, tak twierdzi kilkoro z tych studentów, zgadza się?

– Tak – odparł Thorne. – Pozwolił, by Macken dobrze mu się przyjrzał,

a w tym czasie on sam zapamiętywał rozmieszczenie kamer monitoringu.

– Po co zadał sobie aż tyle trudu? – zapytał Holland. – Wiemy, że i tak zmienił wygląd.

Thorne uznał, że Holland najprawdopodobniej ma rację, ale nie mogli być tego pewni. Jak zasugerowała wcześniej Kitson, rozbieżności w zeznaniach świadków mogły wynikać po prostu z braku zdolności zapamiętywania szczegółów i wyglądu nieznanymi ludzi. Mało kto jest w stanie dokładnie zapamiętać twarz nieznaną osobę, tak więc policjanci nie przykładają zbyt dużej wagi do tego typu zeznań świadków. Thorne stracił już rachubę, ile razy mocno zbudowany, mierzący prawie dwa metry olbrzym okazywał się chudym jak tyka, wymoczkowatym kurdupłem.

Ale niezależnie od wszystkiego trzy rysopisy zgadzały się w dwóch kwestiach: facet miał trzydziestkę, albo niewiele więcej, i metr osiemdziesiąt wzrostu.

– Wie, że był widziany – powiedział Thorne. – I nie sądzę, żeby się tym przejął. Ale przyłapanie przez kamerę to co innego. Nie chce aż tak ryzykować.

– Z klubu Rocket do domu Mackenów jest jakieś dziesięć minut piechotą – wtrąciła Kitson. – Może uda się nam złapać go na którejś z kamer na tej trasie.

Brigstocke polecił jej, aby się tym zajęła. Kitson odparła, że już zaczęła, choć sądząc po tym, co uzyskali dotychczas, była to raczej strata czasu.

Thorne pokręcił głową, już wiedział, że tak będzie. Spojrzał na ekran.

– Myślę, że możemy zapomnieć o tym, co powiedziałem, że zaczyna się robić nieostrożny.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Karim, machając trzymaną w dłoni kartką papieru.

– Odezwali się technicy z laboratorium kryminalistyki – powiedział. –

Połączyli fragmenty zdjęcia rentgenowskiego Mackenów z tamtymi dwoma.

Thorne wyciągnął rękę po kartkę.

– Przeprowadzili drobiazgowy skan kliszy – kontynuował Karim, podając kartkę nadinspektorowi. – Wyniki powinni przesłać za godzinę, półtorej, a na razie przefaksowali nam to, co udało im się ustalić do tej pory, i mamy zadzwonić, gdybyśmy mieli jakieś pytania.

Thorne podziękował, przecisnął się obok Karima i wyszedł na korytarz, po czym skierował się do sali odpraw. Minutę później, gdy dotarł do miejsca, gdzie w rogu stał faks, skontaktował się z laboratorium kryminalistyki w Victorii i poprosił o połączenie z doktorem, którego nazwisko zapisał Karim.

– A niech to, ale szybcy jesteście. Nawet jeszcze nie zdążyłem tego przesłać.

Doktor Clive Kelly poprosił Thorne'a o odrobinę cierpliwości. Po szeleście papieru i paru dziwnych pomrukach Thorne usłyszał charakterystyczne popiskiwanie. Wreszcie znów w słuchawce rozległ się głos doktora.

– No dobra, już poszło.

– Stoję przy faksie – odparł Thorne.

– Nie powiem panu, jak długo potrwa przesyłanie – rzekł Kelly – Te urządzenia to dla mnie czarna magia.

Faks nagle ożył i zaczął wypluwać z siebie kartkę papieru.

– Powinien pan być naukowcem – stwierdził Thorne.

– To nie moja specjalizacja – zaśmiał się Kelly – Pan daje mi dokument, a ja mówię, skąd pochodzi papier, kiedy wyprodukowano tusz, a jak będę miał dobry dzień, dodam jeszcze, ile razy facet, który to pisał, przy tej okazji podrapał się w tyłek. Kiedy jednak mam włożyć pismo do urządzenia, nacisnąć guzik, a pan gdzieś tam, wiele kilometrów stąd, po wciśnięciu

jednego przycisku odbiera to pismo z innego urzędnienia... dla mnie to po prostu czarna magia.

Po odebraniu faksu Thorne sięgnął po kartkę i spojrzał na nową, wydłużoną sekwencję liter i cyfr:

VEY 48

ADD 597-86/09

SYMPHONY

– Co to jest? – zapytał.

– Zaczniemy od dołu – powiedział Kelly. – To akurat łatwe. Symphony to rodzaj urządzenia do rezonansu magnetycznego. Innymi słowy to nazwa maszyny, która wykonała zdjęcie rentgenowskie. Oczywiście nie jest to zdjęcie rentgenowskie sensu stricto, gdyż to urządzenie wykorzystuje rezonans magnetyczny, a nie promienie rentgenowskie, ale...

– Co przedstawia to zdjęcie?

– Niestety wciąż nie potrafię tego powiedzieć. Wiemy jednak, gdzie zostało zrobione. Widzi pan drugą linijkę?

– Widzę...

– Uznaliśmy, że te cyfry mogą się odnosić do systemu klasyfikacji medycznej, i okazało się, że stanowią oznaczenia kodowe państwowych placówek szpitalnych Uniwersytetu Cambridge. Te trzy litery – ADD – oznaczają szpital.

Kelly czekał, jakby się spodziewał, że Thorne zechce strzelić w ciemno.

– No więc...?

– Addenbrooke.

– W Cambridge?

– To łatwe, kiedy się zna odpowiedź, prawda? Niestety jak na razie nie jesteśmy w stanie powiedzieć panu nic więcej.

Thorne podziękował i powiedział, że teraz to mu w zupełności

wystarczy. Addenbrooke, oddalony o blisko sześćdziesiąt kilometrów, nie był placówką szpitalną położoną najbliżej więzienia Whitemoor, ale mógł się poszczycić światowej sławy reputacją w dziedzinie neurochirurgii.

Teraz Thorne wiedział już na pewno, z jakiego zdjęcia pochodziły pocięte fragmenty celuloidowej kliszy.

– Wciąż zachodzimy w głowę, co może oznaczać zapis w górnej linijce – kontynuował Kelly.

VEY 48

Thorne podziękował Kellyemu za pomoc, po czym dodał:

– Wydaje mi się, że 48 oznacza po prostu wiek pacjenta, kiedy zostało zrobione to zdjęcie.

*To łatwe, kiedy się zna odpowiedź.*

– A VEY to ostatnie trzy litery jego nazwiska.

**CZĘŚĆ DRUGA**  
**DECYDUJĄCE ZDARZENIA**

## PÓŹNIEJ

### Sally i Buzz

Sally odkłada telefon po raz trzeci tego dnia i powoli wraca na swój fotel. Buzz śpi przed kominkiem gazowym, podrygując, jakby śniło mu się, że goni koty, i ona musi nad nim przestąpić, aby dotrzeć do fotela. Sally pochyla się, by pogłaskać miękkie brązowe uszy, bo wie, że on to uwielbia, po czym siada.

Wydzwania każdego dnia, od kiedy to się stało, próbując wydobyć jakieś informacje.

– Tylko marnuję czas – zwierzyła się swojej koleżance Betty – Nikt nie chce mi nic powiedzieć.

Kilkakrotnie przy różnych okazjach rozmawiała z policją w następnych dniach po tym, jak to się stało, a na koniec złożyła pełne zeznanie, ale teraz rozmawiali z nią, jakby ich drażniła. Jakby mieli ważniejsze sprawy, co zawsze wywoływało u niej pusty śmiech.

Przecież nie pyta o nic, o czym nie mogliby jej powiedzieć, a w każdym razie ona tak właśnie uważa. Po prostu chce wiedzieć, co się dzieje. Czy szykuje się jakiś proces, bo ktoś musi odpowiadać za to, co się stało, prawda?

Zbywali ją. Częstowali frazesami w rodzaju starej śpiewki, że śledztwo jest w toku. Niemal słyszała westchnienie w głosie policjanta, który akurat tego dnia pełnił dyżur przy telefonie.

O Chryste, to znów ta stara szajbuska z parku...

Gdzieś na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu, a Buzz zrywa się i podbiega do drzwi, powarkując, podczas gdy ona przerzuca kanały



w telewizorze i mówi do niego, żeby się nie wygłupiał. Później pies wraca i opiera łeb o jej nogę, kołysząc energicznie ogonem.

– Wiem – mówi. – Przepraszam, Buzzy-Boy. Jeszcze nie, nie teraz, jasne?

Pies przybiera na wadze, zwróciła na to uwagę, i co więcej, to jej wina. Odkąd to się stało, nie wychodzi z domu, a Betty nie może wyprowadzać psa, nie z jej nogami. Córka Sally kilka razy wychodziła z Buzzem, ale psu wyraźnie brakuje codziennych wizyt w parku. Ona też za tym tęskni.

Kilka razy doszła aż do frontowej furtki, ale nogi zaczęły jej dygotać i musiała wrócić do środka.

– Nic dziwnego – mówi Betty – To ogromny szok być świadkiem czegoś takiego.

Ale Betty się myli. Nie chodzi o szok, lecz o poczucie winy.

Kobiecie się spieszyło, to nie ulegało wątpliwości, nie miała ochoty przystanąć i pogawędzić, ale Sally uważa, że musiał być jakiś sposób, aby ich tam zatrzymać. Gdyby tylko zdołała dłużej pomówić z tym chłopcem, choćby kilka minut, to w zupełności by wystarczyło. Gdyby nakłoniła go, żeby rzucił patyk Buzzowi, albo coś takiego. Wtedy pomyślała, że po prostu jest cichy, ot i wszystko. Dopiero kiedy później przeczytała gazety, dowiedziała się, że nie było w tym nic dziwnego. Że wszystko z nim było w porządku. Boże, pomyśleć tylko, że ten biedny chłopiec prawie przez całą noc nie dawał jej zasnąć.

A najgłupsze było w tym wszystkim to, że kilka minut po tym, jak zobaczyła ich oboje oddalających się szybkim krokiem, pomachano jej przed nosem policyjną legitymacją, a ona zaczęła bredzić jak stara wariatka. Powiedziała mu, że właśnie się z nimi minął, i pokazała, w którą stronę poszli.

Powinna była zorientować się, że coś jest nie tak, kiedy tylko ten

mężczyzna zaczął biec.

Sally wstaje i idzie do kuchni, robi sobie herbatę i wyjmuje z kredensu paczkę herbatników. Wraca na fotel z herbatą i herbatnikami na niewielkiej tacy, którą Betty kupiła jej w Southend, po czym przerzuca kanały w poszukiwaniu ulubionego teleturnieju.

Jutro spróbuje wyprowadzić Buzza na spacer, powtarza sobie, albo może pojutrze, gdyby jutro jej się nie udało. Zresztą prognoza pogody nie zapowiada się najlepiej.

Sadowi się w fotelu. Ogląda kolejny odcinek teleturnieju i pije herbatę. Wciąż czuje wyraźne dygotanie w nogach i w klatce piersiowej, a drżenie dłoni sprawia, że filiżanka leciutko stuka o porcelanowy talerzyk.

## 12

Kiedy samochód skręcił na podjazd przy szpitalu, Holland powiedział:

– Wciąż uważam, że wyprzedzamy go w tej rozgrywce.

To był ciąg dalszy rozmowy, którą prowadzili jeszcze w kolejce do taksówki, a ta z kolei wzięła swój początek z dyskusji, która wywiązała się, kiedy pociąg wjechał na dworzec Cambridge.

– Rozgrywka?

– Mam na myśli schwytanie tego typu.

– Rozumiem – odparł Thorne. – A więc to, że nie wiemy, kim jest, gdzie jest i dlaczego, do cholery, to robi, daje nam przewagę, tak?

– Wiemy, kim będą jego kolejne ofiary. To chyba przyzwoity wynik?

– Połowicznie.

Samochód przetoczył się po ogranicznikach prędkości, zmierzając w stronę głównego wejścia do szpitala, a Holland sięgnął do kieszeni po portfel, aby zapłacić za kurs.

– Możemy przynajmniej dopilnować, żeby nikogo więcej nie zabił.

– O ile zdołamy je odnaleźć – mruknął Thorne. – To, że jeszcze ich nie znaleźliśmy, nie świadczy raczej o naszej inteligencji, sam przyznasz?

Szybko ustalili, że było jeszcze czworo potencjalnych kandydatów: dzieci tych spośród ofiar Raymonda Garveya, które jak dotąd nie padły ofiarą obecnego zabójcy. Tego ranka zespół zdołał odszukać i porozmawiać z jedną z tych czterech osób, którą udało się zlokalizować tak szybko, ponieważ, jak się okazało, miała przeszłość kryminalną.

– Jedna z czterech? – Thorne nie posiadał się z oburzenia

i niedowierzania. – To zakrawa na jakiś żart, Russell. Musimy znaleźć pozostałą trójkę, i to szybko.

– Tak uważasz? – Ton głosu Brigstocke'a był równie ostry i oschły jak Thorne'a. – Może to ty powinieneś siedzieć po tej stronie biurka.

– Mówię tylko, że powinniśmy skoncentrować się na odnalezieniu ich, zapewnieniu im ochrony, wywiezieniu w bezpieczne miejsce...

– Nikt temu nie przeczy.

– To powinno być teraz dla nas zadaniem priorytetowym.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Tom, i właśnie dlatego zajmują się tym wszyscy poza ekipą sprząającą.

Thorne stał w drzwiach gabinetu Brigstocke'a i pokiwał głową, bo nagle uświadomił sobie, że posunął się trochę za daleko.

– Nie chciałbym krytykować...

– Dlaczego zatem nie przestaniesz zachowywać się, jakbyś był jedynym, któremu, do kurwy nędzy, zależy, i nie pójdziesz zająć się tym, co do ciebie należy?

Taksówka zatrzymała się, a Holland wręczył kierowcy pieniądze; dał mu hojny napiwek i poprosił o rachunek. Taksiarz wypisał rachunek, zerkając jednym okiem w lusterko wsteczne. Najwyraźniej przez całą drogę od posterunku przysłuchiwał się rozmowie, a gdy podał Hollandowi rachunek, zapytał, czy on i jego przyjaciel zamierzali kogoś aresztować.

Thorne wysiadł, trzaskając drzwiczkami.

– Ma pan jakichś kandydatów? – zapytał Holland, wystawiając jedną nogę z auta.

Kierowca uśmiechnął się.

– Mógłbym opowiedzieć panu to i owo, rzecz jasna wyłącznie samą prawdę i tylko prawdę.

Holland trzasnął drzwiczkami i pomaszerował za Thorneem, aż zrównał

się z nim przy niewielkiej grupce palaczy zebranej przy wejściu.

– Czy pańska szklanka zawsze jest w połowie pełna?

Przeszli przez automatyczne drzwi i minęli kiosk, w którym sprzedawano gazety, słodczyce, pluszowe zabawki i kwiaty, co sprawiało, że zwykły stragan wyglądał jak kwiaciarnia w Kensington.

– Uważasz, że powinienem bardziej optymistycznie patrzeć na świat?

– Przyznaję, że to mógłby być dobry początek – powiedział Holland.

Minęli recepcję bloku A i E, po czym przystanęli, by zapytać o drogę. W końcu odnaleźli tablicę ze strzałką wskazującą, gdzie znajdował się blok neurologii, i kilka minut później szli już w stronę windy.

– Masz miętówki czy coś takiego? – zapytał Thorne.

Holland pokręcił głową.

– Możemy zawrócić do sklepiku.

Thorne powiedział, że to nieważne. Po prostu nie przepadał za szpitalną wonią, to wszystko. Za zapachem wybielacza i całej reszty. Popatrzył na tablice informacyjne, które mijali po drodze. Onkologia. Psychiatria. Oddział prenatalny.

– To cholernie głupi zwrot – odezwał się. Próbował zachować zrównoważony ton głosu. – Ważniejsze jest to, co masz w szklance.

– No, raczej.

– A jeśli szklanka jest brudna i na wpół pełna szczyń?

W końcu dotarli do pokoju, którego szukali, na samym końcu gwarne oddziału, w głębi długiego korytarza z lśniąca szarą podłogą i obrazami na ścianach, które wyglądały, jakby były dziełem pacjentów przechodzących rekonwalescencję po ciężkich urazach głowy. Na drzwiach widniała tabliczka z napisem „Sekretariat neurochirurgii”, a gdy weszli, Thorne i Holland stanęli naprzeciwko trzech kobiet, które odwróciły się równocześnie i spojrzały na nich. Holland nieco cichszym głosem niż ten,

do którego przywykł Thorne, wytłumaczył im, że byli umówieni. Najstarsza z kobiet wstała, minęła go i podeszła do drzwi ukrytych za ogromną szafką z aktami. Zapukała i po kilku sekundach prowadzonej niemal szeptem rozmowy Thorne i Holland zostali zaproszeni do gabinetu doktora Pavesha Kambara.

Thorne skinął głową w stronę pokoju pielęgniarek.

– Wszystkie są pańskie? – zapytał.

– Dzielę się nimi – odparł Kambar. Głos miał jak spiker radiowy – Mamy tu określony porządek dziobania.

– Mówi pan o lekarzach czy o sekretarkach?

– O jednych i drugich. – Kambar skinął w tę samą stronę co Thorne. – Ale tam na zewnątrz jest prawdziwa dżungla.

Kambar był wysportowanym mężczyzną po pięćdziesiątce. Włosy miał gęste, przyprószone siwizną, podobnie jak starannie przystrzyżony wąsik, a jego ciemny garnitur i wypolerowane na glans buty, choć nie rzucały się w oczy, były z całą pewnością bardzo drogie. Dla kontrastu w jego gabinecie nie było okien, a samo pomieszczenie okazało się trzy razy mniejsze niż pokój pielęgniarek. Prócz fotela za biurkiem stało tu jeszcze tylko jedno krzesło. Thorne zajął je, a Holland stanął z tyłu i oparł się ramieniem o framugę drzwi. Na ścianie wisiał grafik; głowa Hollanda znalazła się na tym samym poziomie, co model ludzkiego mózgu stojący na jednej z półek regału: jego poszczególne części odwzorowano szczegółowo z jaskrawego plastiku w kolorze niebieskim, białym i różowym.

Thorne odwrócił się i przeniósł wzrok z Hollanda na model.

– Podejrzewam, że jest znacznie większy od twojego – zażartował.

Podczas gdy Thorne opowiadał Kambarowi, jak im się tu jechało, a doktor zaczął psioczyć na utrudnienia i zmiany w połączeniach kolejowych między Londynem a Cambridge, Holland sięgnął do aktówki

po kserokopię połączonych fragmentów kliszy rentgenowskiej. Podał ją lekarzowi.

– O tym właśnie rozmawialiśmy przez telefon.

Kambar pokiwał głową i przez kilka sekund patrzył na zdjęcie. Podeszedł do komputera i zaczął stukać w klawisze.

– A oto skąd to pochodzi...

Thorne poruszył się na krześle i wychylił się nieznacznie do przodu, po czym wlepił wzrok w ekran. Widniały na nim trzy obrazy, które w pierwszej chwili wydawały się identyczne: zdjęcia przekrojowe mózgu, szarego na czarnym tle, z białą, niemal idealnie okrągłą masą u dołu.

– Wydrukowałem jedno dla panów – rzekł Kambar. Otworzył szufladę i wyjął coś, co wyglądało jak duże zdjęcie rentgenowskie. – Obecnie wszystkie zdjęcia są wykonywane cyfrowo i przechowywane na dysku, ale jeśli to konieczne, od czasu do czasu korzystamy z tradycyjnej kliszy.

Przypiął zdjęcie do podświetlanej tablicy na ścianie nad biurkiem i przyjrzał mu się, jakby oglądał je po raz pierwszy.

– A więc co się stało z oryginałem? – zapytał Thorne.

– Nie było oryginału jako takiego – odrzekł Kambar. – Jak już wyjaśniałem, skany są przechowywane w komputerze.

Thorne spojrział na kserokopię leżącą na biurku Kambara.

– Więc skąd one się wzięły?

– Cóż, nikt raczej nie miał powodu, aby wywołać jedną z nich, zanim ja to zrobiłem – oznajmił Kambar. – Tak więc podejrzewam, że pochodzą z jednego ze zdjęć, które wywołałem i dałem Raymondowi Garveyowi na kilka tygodni przed jego śmiercią. Każdy z pacjentów ma prawo zatrzymać pełną kopię akt medycznych swojego przypadku. Ta biała masa to rzecz jasna guz – wyjaśnił doktor, widząc, jak Thorne wpatruje się w zdjęcie.

Holland podeszedł bliżej.

– Wydaje się olbrzymi – stwierdził.

Kambar, bawiąc się ołówkiem, opowiedział im w skrócie historię choroby Garveya, postawienia diagnozy, leczenia i koniec końców jego śmierci. Holland robił notatki, podczas gdy Thorne słuchał z uwagą, raz po raz wodząc wzrokiem w stronę podświetlanych zdjęć. Prosty biały cień, okrągły i gładki, takie nic.

– Mniej więcej trzy i pół roku temu Garvey przeszedł w swojej celi coś, co wyglądało jak atak epilepsji. Rozbił sobie głowę o krawędź pryczy. Okazało się, że miał kilka podobnych zdarzeń, więc przewieziono go do szpitala okręgowego w Peterborough, gdzie wykonano tomografię mózgu. To dało im tylko mgliste pojęcie o tym, z czym mają do czynienia, ale ponieważ mamy kontakt internetowy z większością szpitali, poproszono nas, abyśmy to sprawdzili. Mieliśmy... bardziej niż tylko podejrzenie, co to może być. Kilka tygodni później przywieziono go tu na rezonans.

Kambar wstał i zdjął z półki plastikowy model mózgu.

– Miał wielki guz u podstawy płata czołowego. Coś, co nazywamy łagodnym oponiakiem.

– Łagodnym? – wtrącił Holland. – Myślałem, że to te złośliwe zabijają ludzi.

Kambar obracał plastikowy mózg w dłoniach.

– Zabijają tylko trochę szybciej, i tyle. Jeżeli łagodny guz stanie się dostatecznie duży, ciśnienie wewnątrzczaszkowe z całą pewnością okaże się zabójcze. To dlatego musieliśmy operować. Tutaj... – Doktor uniósł model w jednej ręce, a drugą wskazał na parę wąskich równoległych bruzd w tylnej części mózgu. – To bruzdy węchowe.

– Odpowiadają za zmysł zapachu, tak? – zapytał Holland.

– Guz Garveya usadowił się właśnie tam. Wielki łagodny guz w bruzdzie węchowej. – Kambar pokiwał głową i popatrzył na Hollanda. –



Prawdę mówiąc, zaburzenia węchu u pacjenta stanowią zwykle jedno z najważniejszych symptomów choroby Garvey twierdził, że ma z tym problemy od wielu lat. Bez przerwy czuł woń benzyny lub spalenizny. Albo nie czuł nic. To doprawdy tragedia, że jego guz ujawnił się w pełni długo po tym, jak zaczęły się jego problemy, innymi słowy, kiedy było już o wiele za późno.

Thorne wziął model od Kambara i przez kilka sekund trzymał w rękach, dopóki nie poczuł się trochę głupio, a wówczas oddał model Hollandowi, aby ten odstawił go na półkę.

– A więc przeprowadził pan operację?

– Dopiero kilka miesięcy później – odrzekł Kambar. – Ciśnienie wewnątrzczaszkowe narastało, ale nie mieliśmy powodu przypuszczać, że groziło mu bezpośrednio niebezpieczeństwo. Poza tym potrzebował kilku tygodni, aby wyrazić zgodę na zabieg. To była bardzo ryzykowna operacja.

– Ale zdecydował się na nią.

– Długo nad tym rozmyślał. Poszedł za radą kilku osób, które były mu bliskie. Choć tych, z wiadomych względów, nie było wiele.

– I na pewno niewielu opłakiwało jego śmierć – dodał Holland.

– Otóż to.

– Zmarł na stole operacyjnym? – zapytał Thorne.

– Wkrótce potem – odrzekł Kambar. – Wskutek krwotoku zewnątrzoponowego. Nie obudził się po operacji.

Doktor zgasił podświetlony ekran, odpiął zdjęcie rentgenowskie z tablicy i podał Thorne'owi.

– Niech je pan zatrzyma, może jeszcze się przyda.

Thorne spojrział na trzy zdjęcia mózgu Raymonda Garveya i na guz, który się w nim zagnieździł. Garvey brutalnie zamordował siedem kobiet i choć spotkało go to wcześniej, niż mógłby sobie życzyć, dane mu było

umrzeć względnie spokojną śmiercią. Teraz, trzy lata później, ktoś znów zaczął zabijać. Ale dlaczego? W jego imieniu? Dla niego? Ktoś pozostawiał małe kawałki tego właśnie zdjęcia, aby policja mogła je odnaleźć, ale funkcjonariusze wciąż nie mieli pojęcia, w jaki sposób znalazło się ono w jego posiadaniu ani co łączyło go z Raymondem Garveyem.

– Z kim mógł rozmawiać? – zapytał Thorne. – Mam na myśli te bliskie mu osoby, o których pan wspominał.

Kambar zamyślił się przez chwilę, żując koniec ołówka.

– Wydaje mi się, że było kilku innych więźniów. Równie narażonych na ataki jak on.

– Pewnie nie pamięta pan ich nazwisk.

– Niestety.

Thorne odwrócił się do Hollanda.

– Może powinniśmy odwiedzić dziś po południu Whitemoor.

– Korci pana kolejna noc poza domem? – uśmiechnął się Holland.

– No i syn, ma się rozumieć – dodał Kambar.

– Wrócilibyśmy wieczó... – Thorne nie dokończył. Patrzył, jak Holland przenosi wzrok na Kambara, dostrzegł wyraz zakłopotania na jego twarzy, po czym odwrócił się na krześle. – Co pan powiedział?

– Teraz, kiedy się nad tym zastanowiłem, wydaje mi się, że wszystkie rzeczy należące do Garveya przekazano jego synowi – odrzekł Kambar. – Zdjęcia rentgenowskie i inne, już po pogrzebie.

– Garvey nie miał krewnych – powiedział Thorne. – Poza wujkiem starszym. Ale na pewno nie miał syna.

Kambar skrzywił się, jakby miał do rozwiązania wyjątkowo trudne hasło w krzyżówce.

– Cóż, wobec tego mamy do czynienia z kimś, kto twierdził, że jest jego synem. Ten ktoś zatruwał mi życie przez wiele tygodni po śmierci Garveya.

Zostawił mi mnóstwo wiadomości, nagrywał się na automatyczną sekretarkę, bredząc trzy po trzy. Jestem pewien, że podobnie zadręczał naczelnika Whitemoor. Nękał tego nieszczęśnika chyba od wieków.

– Jak się nazywał?

– Anthony Garvey.

– Anthony to było drugie imię Raya Garveya – powiedział Thorne.

– Brzmi to cokolwiek podejrzanie. – Usiadł prosto i pokręcił głową. –

Nie... to niemożliwe.

Spojrzał na Hollanda, który jedynie uniósł obie ręce w geście bezradności.

– Cóż, Garvey uważał, że jest jego synem – powiedział Kambar.

– Ten mężczyzna odwiedzał go kilka razy w tygodniu przez całe lata.

Dostawał też setki listów od Garveya.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że on zatruwał panu życie? – zapytał Holland. – Obwinił pana za to, co stało się z jego ojcem?

– Aż tak to nie – odparł Kambar. – Choć niewątpliwie nie był zadowolony z wyniku operacji. Nie, uważał natomiast, że należało powtórzyć proces.

Thorne wyprężył się jak struna.

– Co takiego?

– Chciał, żebym złożył zeznanie na korzyść jego ojca.

– Dlaczego, u licha, miałoby dojść do powtórzenia procesu? Przecież nigdy nie było nawet cienia wątpliwości co do tego, że Garvey jest winny.

– Nie było wątpliwości, że to on popełnił te morderstwa, to jasne.

– Nie bardzo rozumiem.

– Anthony Garvey był przekonany, że gdyby doszło do powtórzenia procesu, wina jego ojca zostałaby podważona. Rozmawiali o tym, odkąd Garveyowi postawiono pierwszą diagnozę. – Kambar szturchnął końcem

ołówka kliszę rentgenowską na udach Thorne'a. – Byli przekonani, że guz zmienił jego osobowość, a w efekcie Garvey nie był sobą, kiedy zabił te kobiety. Anthony chciał, żebym oczyścił imię jego ojca.

Thorne ponownie spojrzął na Hollanda, który robił pospieszne notatki. Sierżant uniósł wzrok, wzruszył ramionami i ponownie wrócił do swoich zapisków. Thorne znów popatrzył na Kambara, ale nie wiedział, co ma teraz powiedzieć. Wciąż próbował przyswoić sobie to, co właśnie usłyszał, poszczególne nitki informacji zaczęły się łączyć i splatać, w miarę jak podążał za nimi.

– Wciąż nie wyjaśniliście mi, panowie, o co właściwie chodzi – rzekł Kambar. – Raymond Garvey nie żyje od ponad trzech lat.

Holland przestał pisać.

– Z pewnością zrozumie pan, że nie możemy ujawniać żadnych szczegółów.

– Oczywiście. – Kambar wyglądał na nieco zakłopotanego i przez chwilę porządkował jakieś papiery – Po prostu byłem ciekaw, to wszystko. Miło byłoby wiedzieć, co się dzieje.

– Właśnie znalazł się pan na samym końcu bardzo długiej kolejki – skwitował Thorne.

## 13

Kantyna służbowa w Addenbrooke nie wyglądała bardziej zachęcająco niż jej odpowiednik w Becke House. Jedzenie było tu zapewne nieco lepsze, podobnie jak tematy rozmów prowadzonych podczas posiłków, ale nawet na najwyższym piętrze, które oddano do użytku administracji, nie dało się uciec przed szpitalną wonią.

Wybielacza i całej reszty.

Przeszli z tacami do stolika w kącie i przełożyli na blat talerze, sztućce, butelkę wody niegazowanej i puszkę dietetycznej coli. Obaj zdecydowali się na lazanie, choć doktor dobrał do tego sałatkę warzywną i niewiele brakowało, a nakłoniłby swojego gościa, aby zrezygnował z porcji frytek.

– A co zje na lunch pański kolega? – zapytał Kambar.

– Nie wiem – odparł Thorne.

Zadzwonili, żeby umówić się na natychmiastowe spotkanie z naczelnikiem Whitemoor, a kiedy tylko je potwierdzono, Holland wrócił taksówką na dworzec Cambridge. Stamtąd czekała go półgodzinna podróż pociągiem na niewielką stacyjkę w March, skąd do zakładu karnego powinien bardzo szybko dotrzeć kolejną taksówką.

– Może zdąży zjeść lunch z naczelnikiem więzienia – wyraził nadzieję doktor

– Może – przyznał Thorne.

Domyślał się, że Holland wybierze inną możliwość. Przykra woń pozostawała na ubraniach jeszcze długo po opuszczeniu danej placówki, ale różnice między szpitalem a więzieniem są w zasadzie niewielkie.

– Pewnie kupi kanapkę i zje w pociągu.

Thorne i Kambar zabrali się do pałaszowania posiłku.

– Czy to możliwe? – zapytał Thorne. – Mam na myśli ten pomysł ze zmianą osobowości.

– Och, zmiana osobowości jest jak najbardziej możliwa. Miałem do czynienia z kilkoma takimi przypadkami. Ale do takiego stopnia, żeby kogoś zabić?

– Żeby zabić aż siedem osób.

– Zupełnie jakbyśmy rozmawiali tu o przypadku doktora Jekylla i pana Hydea.

– A więc?

– Miałem... wątpliwości.

– Zatem uważa pan, że to raczej mało prawdopodobne?

– Kiedy w grę wchodzi mózg, nie możemy zakładać niczego na pewno – odparł Kambar. – I nie można tego wykluczyć, ale nie byłem gotów powiedzieć tego otwarcie przed sądem.

Thorne zaczął wyjadać frytki, wybierając je palcami.

– Chyba rozumiem – mruknął.

– Doskonale. Lazania jest lepsza niż zazwyczaj. Zwykle jest za sucha.

Thorne znał wielu lekarzy i uczonych, którzy z przyjemnością złożyliby zeznania przed sądem w nadziei na hojną gratyfikację. Którzy mogliby stwierdzić, że choć takie rzeczy nie zdarzały się często, nie można wykluczyć, że tak właśnie było akurat w tym wypadku. Ludzie tego pokroju – z których wielu było zawodowymi ekspertami występującymi w charakterze świadków – stanowili dar od losu dla szemranych mecenasów pragnących, by ludzie w rodzaju Raymonda Garveya uniknęli sprawiedliwości. Takie zeznanie niemal na pewno zasiałoby ziarno uzasadnionej wątpliwości w umyśle nawet najbardziej sceptycznego

ławnika. Krewni ofiar Garveya powinni być wdzięczni, że Pavesh Kambar podjął taką, a nie inną decyzję.

– Te sprawy, z którymi miał pan do czynienia – rzekł Thorne. – Jak przebiegały zmiany, o których pan wspomniał?

Kambar uniósł rękę i przez chwilę wydawało się, że zaraz dźgnie się w czoło, ale na szczęście zorientował się w porę i odłożył widelec.

– Płat czołowy odpowiada za naszą percepcję – oznajmił. – W nim znajdują się naturalne inhibitory mózgu, tam regulowane są wszystkie poziomy. To on sprawia, że jesteśmy tym, kim jesteśmy.

– A guz może to zmienić?

– Każde obce ciało albo rana w obrębie tego obszaru. Jeżeli mózg zostanie uszkodzony, może to wpłynąć na osobowość danego człowieka. Zmienić ją.

– Czytałem kiedyś w gazecie artykuł na ten temat – powiedział Thorne. – Kobieta odniosła ciężkie obrażenia głowy w wypadku samochodowym, a kiedy się obudziła, zaczęła mówić w zupełnie obcym języku.

Kambar pokiwał głową.

– Zetknąłem się z raportami o podobnych przypadkach. Ale nie przekonuje mnie to. Myślę, że tego typu historie po prostu dobrze się sprzedają.

– Z jakimi przypadkami zetknął się pan osobiście?

– Ludzi nieśmiałych, którzy nagle stali się wyjątkowo zuchwali. Zwykle to wynik usunięcia barier, wspomnianych inhibitorów. Podobnie działa alkohol, powodując osłabienie zahamowań i wpływając na obszary płata czołowego. Proszę wyobrazić sobie kogoś, kto jest mocno pijany, ale się nie przewraca ani nie bełkocze. Taka osoba potrafi być... niemiła, rozumie pan? Traci wszelkie hamulce, przekracza granice.

– Widywałem takie przypadki – odparł Thorne.

Kambar włożył do ust ostatni kawałek lazanii i czekał. Thorne przerwał jedzenie i opowiedział poznanemu zaledwie przed godziną mężczyźnie o alzheimrze, który zdruzgotał ostatnie lata życia jego i jego ojca. O dziwnych obsesjach ojca i jego stylu życia, który stawał się coraz bardziej nieprzewidywalny i niepokojący. Kambar wyjaśnił, że choroba oddziaływała na mózg ojca dokładnie w taki sposób, jak to opisał.

– Ludzie myślą, że chodzi tylko o zapominanie imion albo tego, gdzie chowane są klucze – rzekł doktor. – Ale najgorsze jest to, że się zapomina, jak należy się zachowywać.

Thorne odłożył sztucce. Ułożył je starannie.

– A co na to genetyka?

Kambar pokiwał głową, zrozumiał pytanie.

– Wie pan, nie ma jeszcze szeroko zakrojonych badań na ten temat, ale z tego, co wiemy, niespełna piętnaście procent pacjentów cierpiących na alzheimera miało rodziców dotkniętych tą chorobą, a nawet wówczas najsilniejsze ogniwa genetyczne są dotknięte jego najrzadszymi odmianami we wczesnym stadium. Nie mówimy o tym, prawda?

Thorne pokręcił głową.

– Fakt, że cierpiał na to pański ojciec, może nieznacznie zwiększyć pańską podatność na tę chorobę, ale nic poza tym. – Kambar uśmiechnął się. – Demencja jest jednak bardzo pospolita i są spore szanse, że dotknie również pana, więc może pan przestać się tym zamartwiać.

– Niekiedy to było nawet fajne – powiedział Thorne. – Z moim ojcem, znaczy się. Któregoś popołudnia wszyscy graliśmy w bingo na przystani, a jemu nagle odbiło. Zaczął kląć, krzyczeć, był naprawdę wulgarny i wszyscy się zdenerwowali, a ja tylko się śmiałem. A on wiedział, że to było zabawne. Zobaczyłem to w wyrazie jego twarzy.

– Dobrze, że nie miał depresji i nie bywał ponury, to też się zdarza –



powiedział Kambar. – A jaki był pod sam koniec?

Thorne nagle znów odzyskał apetyt. Dopiero niedawno odkrył, co spowodowało pożar, w którym ojciec stracił życie, i jaką rolę on sam odegrał w tej tragedii. Nie był nawet w stanie podzielić się tą prawdą z Louise. Usłyszał, że Kambar mówi do niego, że to nieważne i że nie zamierza go nakłaniać do zwierzeń.

Thorne drgnął nieznacznie, kiedy rozległ się sygnał pagera Kambara. Wstał i uścisnął dłoń lekarza, kiedy ten podał mu rękę.

– Bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

– Chciałbym móc powiedzieć, że wzywają mnie, abym przeprowadził operację mózgu niezbędną dla uratowania czyjegoś życia – odparł Kambar.

– Ale prawda jest taka, że umówiłem się na squasha. – Poklepał się po brzuchu. – Powinienem być zjeść lunch trochę wcześniej.

– To moja wina.

– Nic nie szkodzi.

– Ktoś zabija dzieci jego ofiar – powiedział nagle Thorne.

– Słucham?

Twarz Kambara znów przybrała wyraz, jakby doktor natrafił na trudne hasło w krzyżówce. Thorne dostrzegł małą kropelkę sosu przy wąsach doktora i drugie wąskie pasemko tuż poniżej jego kołnierzyka.

– Dzieci kobiet, które zamordował Raymond Garvey.

Thorne'owi nagle zakręciło się w głowie i stwierdził, że trochę za szybko się podniósł. Odczekał kilka sekund w nadziei, że Kambar uzna tę pauzę za zamierzoną.

– Ktokolwiek był w posiadaniu tych fragmentów zdjęcia rentgenowskiego mózgu Garveya, do tej pory zabił już cztery osoby.

Kambar sprawiał wrażenie, jakby żałował, że w ogóle zadał to pytanie. Wydał policzki i powiedział:

– O kurwa.

Na twarzy Thorne'a odmalowało się zdziwienie.

– To zwrot medyczny – wyjaśnił Kambar. – Używamy go, kiedy usłyszymy coś, po czym czujemy się jak durny konował z garścią pijawek w kieszeni.

– Używam go w podobnych sytuacjach – mruknął Thorne. – Tylko częściej.

– Jest wiele rzeczy, które potrafią namącić w mózgu, ale na większość z nich nic nie możemy poradzić. – Kambar pokręcił głową, a wokół jego ust pojawiły się zmarszczki rezygnacji. – Czasami uszkodzenia są... niewidzialne.

– Udanego squasha – powiedział Thorne.

Kiedy doktor się oddalił, Thorne podszedł do lady, by kupić kawę i gruby kawałek sernika, po czym wrócił z nimi do stolika. Z okna rozciągał się przepiękny widok na równinne zielone mokradła. Nieco na północ stąd znajdowało się Grantchester, kilka kilometrów na wschód można było dostrzec wieżyczki Cambridge, w połowie drogi do horyzontu zaś ciągnęła się pulsująca szara żyła M11.

Thorne rozkoszował się widokiem i deserem, próbując przypomnieć sobie, co dokładnie wykrzykiwał jego ojciec tamtego dnia na przystani. Z tego, co usłyszał od Kambara, wynikało, że jego ojciec mógłby popełnić morderstwo i uszłoby mu to na sucho. Wielka szkoda, że jego tato nigdy się o tym nie dowiedział. Niekiedy bywał naprawdę zgryźliwym starym tetrykiem, który nie znał litości, zwłaszcza w ostatnich latach życia. Przypuszczalnie zaraz sporządziliby długą jak stąd do wieczności listę osób, które miałyby ochotę sprzątnąć.

Syn Garveya uważa, że jego ojciec został niesprawiedliwie uwięziony i że guz mógłby zostać wykryty wcześniej, gdyby Raymond nie trafił do

więzienia. Dlatego obwinia cały świat za śmierć ojca.

– Wciąż nie mam pewności, że ten szajbus jest synem Garveya – powiedział Thorne.

– Ale najwyraźniej Garvey ją miał.

– No dobra, niech będzie...

– Wobec tego sprawa przedstawia się następująco: dziecko zabójcy zaczyna zabijać dzieci ofiar. Gdy się nad tym zastanowić, ma to pewien sens.

– Sens? – spytał Thorne.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Thorne spacerował powoli wokół sklepienia sieci WH Smitha przy dworcu Cambridge, czekając na pociąg o 15.28 do King's Cross, ale hulający na peronie wiatr skłonił go do powrotu do budynku dworca. Mówił, trzymając telefon blisko ust, dzięki czemu mógł zniżyć głos do szeptu, kiedy temat rozmowy stał się nazbyt bulwersujący.

– W Wielkiej Brytanii jest dwudziestu sześciu Anthonych Garveyów – powiedział Brigstocke. – Mogło być lepiej albo znacznie gorzej.

Thorne rozmawiał już dzień wcześniej z Brigstockiem, po pierwszym spotkaniu z Kambarem. Holland także skontaktował się z nadinspektorem po spotkaniu z naczelnikiem zakładu karnego Whitemoor, dlatego obecnie to Thorne czekał na zapoznanie się z nowinami.

– Myślę, że marnujemy czas – powiedział Thorne.

– Nie jesteś przekonany. Sam tak powiedziałeś.

– Nawet jeśli to faktycznie syn Garveya, myślę, że imię jest fałszywe. Gdyby było prawdziwe, mielibyśmy go w aktach. Wiedzielibyśmy o tym.

– Tak czy siak trzeba ich sprawdzić, Tom.

– Wiem.

Był pewien, że kimkolwiek jest ten mężczyzna i jakiegokolwiek ma pochodzenie, on sam wybrał sobie imię, którego użył, kiedy odwiedzał

Whitemoor i nękał Pavesha Kambara. Rozumiał przy tym, że tak jak w wypadku każdego śledztwa każdy musiał dbać o własny tyłek, a najłatwiej było krytykować funkcjonariuszom niższego szczebla, który nie musieli świecić oczami za podwładnych.

– Od naszej ostatniej rozmowy wyeliminowaliśmy połowę z nich – oznajmił Brigstocke. – To nie powinno zająć wiele czasu.

– A co z potencjalnymi ofiarami?

– Wciąż nie za dobrze. Nadal nie odnaleźliśmy tych trzech osób.

– Zaginęły?

– Jedna wyjechała na wakacje, ale żona tego faceta nie mogła albo nie chciała z jakiegoś powodu powiedzieć nam nic więcej. Dwie pozostałe jakby zapadły się pod ziemię. Prędzej czy później je znajdziemy.

– Obyśmy tylko to my znaleźli je pierwsi – powiedział Thorne i przystanął przed regałem z pisemkami dla mężczyzn, by przez chwilę rzucić okiem na „Mojo” i „Uncut”, „FourFourTwo”, a następnie przejść do okładek „Forum” i „Adult DVD Review” na wyższych półkach.

– Co sądzisz na temat tej sugerowanej zmiany osobowości?

– Zgadnij – odparł Thorne.

– Ale Kambar nie wyklucza, że to było możliwe?

– Wszystko jest możliwe.

– No tak.

– No tak i nie powinniśmy wykluczyć możliwości, że Garvey był w rzeczywistości wilkołakiem albo może Bogu ducha winną ofiarą cygańskiej klątwy. Russell, błagam cię...

– Posłuchaj, facet który jak dotąd zabił cztery osoby, najwyraźniej w to wierzy, więc nasze zdanie w tej kwestii nie ma znaczenia.

– Nie powiedziałaś, co ty o tym myślisz.

– Zachowuję otwarty umysł – odparł Brigstocke. – Też powinienes

kiedyś tego spróbować.

– Nie ty wpakowałaś Garveya za kratki, więc nie rozumiem, dlaczego bierzesz to do siebie.

– Wyluzuj, stary.

– Przepraszam...

– To nasz motyw, Tom, więc musimy traktować go poważnie, rozumiemy się?

Thorne sięgnął po egzemplarz „Uncut” i podszedł do lady. Była nieduża kolejka, a do przyjazdu pociągu miał ponad pięć minut.

– Ostatniej nocy niewiele spałem – powiedział.

– O której będziesz na King’s Cross?

– Wpół do piątej.

– Jedź prosto do domu – powiedział Brigstocke. – Jesteś od świtu na nogach, a dotarłbyś tutaj dopiero po piątej. Tylko zjaw się w biurze jutro z samego rana.

– Na pewno?

– To zależy od ciebie. Jeżeli masz ochotę spędzić kilka godzin na rozmowach telefonicznych z pozostałymi Garveyami z naszej listy...

– Do zobaczenia rano.

– Zadzwoń, gdyby pojawiło się coś nowego.

No tak, pomyślał Thorne. Dajmy na to zwłoki jednej z trzech zaginionych potencjalnych ofiar.

Thorne upił kolejny łyk piwa z puszki, na które mógł sobie z przyjemnością pozwolić dzięki Brigstocke’owi. Naprzeciw niego młoda blondynka o niezdrowej cerze przeglądała egzemplarz „Heat”. Od czasu do czasu unosiła wzrok znad błyszczących stronic i zerknęła na puszkę w dłoni Thorne’a, jakby picie alkoholu w pociągu było czymś równie karygodnym co palenie trawki czy obnażanie się w miejscu publicznym.

Siedzieli w jednym z „cichych” wagonów, a Thorne, pijąc piwo nie popijał przecież głośno. Unosząc puszkę do ust, ponownie wychwycił pełne oburzenia spojrzenie blondynki. Zastanawiał się, czy jej nie poczęstować. Albo czknać najgłośniej jak potrafił. Mógł też powiedzieć jej, co sądzi o zawartości przeglądanej przez nią kolorowego czasopisma i że jego zdaniem półmózgi lubiące napawać wzrok zdjęciami celebrytów znanych z tego, że są znami, przyłapanych przez paparazzi, jak wytaczają się z nocnych klubów, nie mając na sobie majtek, nie mają prawa kogokolwiek osądzać. Zaraz potem zastanowił się, co powiedziała by w tej sytuacji Louise. Przypomniał sobie, że ona również od czasu do czasu przeglądała „OK” i „Heat”, co prawda zwykle u fryzjera albo w poczekalni u lekarza.

Zaczekał, aż kobieta znów na niego spojrzy, a wtedy uśmiechnął się, a ona natychmiast wlepiła wzrok w kolorowe strony pisma.

To ma sens.

Ludzie umierali przez to, kim były ich matki; zabijano ich z powodu ich ojców. Thorne upił łyk słabego piwa i uznał, że miało to sens jak wszystko inne w świecie, gdzie bycie sławnym znaczyło tak wiele. I gdzie to, z jakiego powodu było się sławnym, nie ma żadnego znaczenia. W świecie, gdzie pary, które nie potrafiłyby zadbać nawet o chomiki, włączyły się po supermarketach, ciągnąc za sobą szóstkę dzieci. Gdzie jedne kobiety rodziły dzieci niemal taśmowo, podczas gdy dla innych nawet jedno było sporym problemem.

– Czy ktoś jeszcze dosiadał się w Cambridge?

Thorne za pierwszym razem rozminął się z konduktorem, bo stał w kolejce do bufetu. Kiedy tylko jego bilet został skasowany i mógł już zgodnie z prawem kontynuować podróż, zgniótł pustą puszkę najgłośniej jak potrafił, podnosząc się z siedzenia. A potem cisnął ją na stolik.

Przy końcu wagonu jakiś mężczyzna rozmawiał przez komórkę. Raz po

raz wybuchał śmiechem, parskał i rzucał komentarze w rodzaju „można się było tego spodziewać”. Nie dość, że hałasował, to w dodatku był irytujący. Thorne przystanął obok jego stolika, wyrwał mu z ręki komórkę i wskazał na znak przedstawiający przekreślony telefon w czerwonym kręgu. Wcisnął przycisk, aby przerwać połączenie, a drugą ręką sięgnął do kieszeni po portfel. Mężczyzna wydusił z siebie tylko: „Co jest, kurwa...?”, bo zaraz zamilkł, kiedy ujrzał policyjną legitymację.

Thorne już w lepszym nastroju pomaszerował do wagonu restauracyjnego.

Louise wróciła do domu godzinę po Thornie.

– Wiesz, jak jest – powiedziała. – Bierzesz kilka dni wolnego, a po powrocie nie wiesz, w co masz ręce włożyć, tyle jest roboty.

Stwierdziła jednak, że teraz potrzebuje nawału pracy, cieszyła się, że coś przez cały czas zaprzęta jej umysł. Była w dobrym humorze.

– Chodzi o nabranie dystansu do pewnych rzeczy – odparła. Przyrządziła spaghetti z bekonem, cebulą i pesto, a potem wspólnie oglądali przez chwilę telewizję.

– Chcę porozmawiać o tym, co się stało, no wiesz... Myślę, że powinniśmy.

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Nie, wcale nie. Nie o tym, jak to na nas wpłynęło. – Uśmiechnęła się.

– Prawdę mówiąc, miałam już tego serdecznie dość.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że obchodziłeś się ze mną jak z jajkiem.

Thorne nie odrywał wzroku od ekranu.

– A jak ty się z tym czujesz? – spytała.

– Nie wiem – odparł. – Tak jak można się było tego spodziewać. To mną wstrząsnęło.

– Nic nie powiedziałeś.

Thorne'owi nagle zrobiło się gorąco.

– Chyba nie miałem dość czasu, żeby... oswoić się z tym.

– Jasne. Racja.

Pooglądali jeszcze telewizję, a potem poszli do łóżka. Leżeli przytuleni, a kiedy Louise zasnęła, Thorne na pewien czas zajął się lekturą, przeczytał parę rozdziałów z kupionej przez internet książki o najsłynniejszych zbrodniach ostatnich lat w Wielkiej Brytanii. Raymond

Garvey kibicował Crystal Palace i jako chłopiec hodował króliki. Lubił pracować przy motocyklach, a pierwszą swoją ofiarę zatłukł na śmierć kawałkiem cegły.

Kiedy Thorne zgasił światło i ułożył się na boku, poczuł, że Louise przysuwa się i delikatnie całym ciałem przytula się do niego, a poczucie winy zaczęło wzbierać w jego wnętrzu jak gorzki żołądkowy refluks.



*Więzienie Jej Królewskiej Mości Whitemoor*

- Nie do wiary, jak ciężko się tu dostać.
- Jeszcze trudniej jest się wydostać.
- Wszystko ci zabierają, sprawdzają rzeczy. I te wszystkie drzwi, przez które trzeba przejść.
- Żebyś niczego nie przeschmuglował.
- Czyli czego konkretnie?
- Przede wszystkim papierosów. Prochów. Ale ludzie i tak je przemycają.
- Jasne.
- Przepraszam, że... tak się gapię. Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś.
- Nie uwierzyłeś, kiedy powiedziałem, że przyjadę?
- To się stało tak nagle, no wiesz? Nie spodziewałem się... nie sądziłem, że się dowiesz.
- Nie miałem się dowiedzieć. Nikt mi nie powiedział.
- Więc skąd...?
- Na strychu u ciotki znalazłem stare listy, urzędowe pisma. Zapytałem ją o to, a ona się rozplakała i wtedy już wiedziałem, że to prawda.
- I jak to przyjąłeś, kiedy się dowiedziałeś?
- Wkurzyłem się. Na nią... na mamę, że mi nie powiedziała.
- Mnie też nie powiedziała. O tobie.
- Wiem. Znalazłem list, który napisałeś do mojej ciotki. Wiem, dlaczego

robiłeś to, co robiłeś.

– O Jezu...

– Wszystko w porządku, naprawdę. Wiem, jak się przez to czułeś, Chryste...

– Nie mów, że wszystko w porządku.

– Myślę, że ja zrobiłbym to samo.

– Zawsze sądziłem, że mnie znienawidzisz. To dlatego nigdy nie próbowałem się z tobą skontaktować.

– Od kiedy skończyłem sześć czy siedem lat, mówiła mi, że nie żyjesz. Że mój ojciec nie żyje. Mówiła, że był inżynierem. Jak mogła mi to zrobić?

– Byłem inżynierem. W British Telecom. Zanim...

– Nie żałuję, że ona nie żyje. Nie musisz się martwić.

– Wyglądasz inaczej niż na zdjęciach, które mi wysłałeś.

– Boże, były takie stare. Jeszcze ze szkoły. Jeżeli chcesz, wyślę ci aktualne.

– Już się nie uczysz?

– A po co?

– O ile tylko nie ma to nic wspólnego ze mną, z tym, że dowiedziałeś się, kim jestem. Jeżeli masz egzaminy, jakieś zaliczenia, uważam, że powinieneś je zdać.

– Ty też wyglądasz inaczej. Widziałem kilka zdjęć w internecie i starych gazetach. Zwłaszcza jedno, to, które przedrukowali we wszystkich książkach.

– Tutaj wszyscy przybierają na wadze. Nie ćwiczę tyle co inni osadzeni... normalni osadzeni.

– To naprawdę nie w porządku.

– Tych szczególnych trzymają z dala od reszty. Byłych gliniarzy, pedofili i innych tego rodzaju.

- Ty nie należysz do tego rodzaju.
- Nic nie szkodzi, przywykłem.
- Dlaczego się uśmiechasz?
- To zabawne, nigdy nawet nie wspomniała mi o tobie, aż tu nagle, trzask-prask i nadaje ci imię po mnie. Mam tak na drugie.
- Nie, ona nadała mi kretyńskie imię. Zmieniłem je, kiedy tylko odnalazłem te listy. Nie zrobiłem tego urzędowo, ale chyba się zdecyduję.
- To zależy od ciebie.
- To bez znaczenia. Od tej pory tak czy inaczej jestem Anthony.
- To miło.
- Nazwisko też zmieniłem, na Anthony Garvey.
- Brzmi znajomo. Zbyt znajomo.
- Może być Tony. Nie mam nic przeciwko temu.
- Teraz lepiej. Młodziej.
- A więc nie pogniewasz się, jeżeli znów cię odwiedzę?
- Już musisz iść?
- Nie, nic się nie martw, mamy mnóstwo czasu. Chciałem tylko zapytać, czy nie będziesz miał nic przeciwko temu.
- Absolutnie. Będzie mi bardzo miło.
- Mnie również.
- Taak... Tony brzmi naprawdę nieźle...

## 15

Podczas porannej odprawy Brigstocke zachowywał wyjątkową powściągliwość, ale nie miał większego wyboru. Postęp, choć mało spektakularny, był aż nadto wyraźny, ale nawet bez niego nadinspektor zachowywałby się tak samo. Jako starszy oficer śledczy i szef zespołu nie mógł zacząć tłuc głową o ścianę i narzekać na podwładnych, że śledztwo utknęło w martwym punkcie i wszystko bierze w łeb.

To jedna z przyczyn, dla których Thorne unikał awansu i mimo zachęty Louise nie podszedł do egzaminu na nadinspektora. Podwyżka pensji byłaby mile widziana, ma się rozumieć, i miałby zagwarantowane miejsce parkingowe, ale robienie dobrej miny do złej gry w sytuacji, gdy wymagały tego okoliczności, nie było jego mocną stroną.

– Takich rzeczy można się nauczyć – twierdziła Louise.

Thorne jednak nie dał się przekonać.

– Nie chcę się tego uczyć – odpowiedział. – A gdyby ktoś zaczął zachowywać się wobec mnie protekcyjnie, najprawdopodobniej zdziesiąłbym go w pysk.

Po spotkaniu z Brigstockiem Thorne wrócił z Hollandem do sali odpraw. Zaczekał, aż sierżant zaparzy kawę dla nich obu, i przeniósł wzrok na dużą białą tablicę na jednej ze ścian.

Pod zdjęciami czterech dotychczasowych ofiar tablicę przedzielono na pół grubą, nie do końca prostą linią wykonaną czarnym mazakiem. Po lewej stronie umieszczono listę siedmiu kobiet zamordowanych przez Raymonda Garveya, po prawej ich dzieci. Czerwone linie łączyły nazwisko matek z ich

synami i córkami.

Thorne spojrział na listę nazwisk po prawej stronie tablicy, gdzie były także podane wiek oraz data śmierci ofiar.

Lista tych, którzy już umarli, i tych, którzy stanowili kolejne potencjalne cele zabójcy.

Catherine Burke (23 l.) 9 IX

(brat Martin, zabity w wypadku samochodowym)

Emily Walker (33 l.) 24 IX

Gregory i Alexandra Mackenowie (20 l... i 18 l.) 27 IX

Andrew Dowd (31 l.)

Deborah Mitchell (29 l.)

Graham Fowler (30 l.)

Simon Walsh (27 l.)

U dołu przywieszono trzy portrety pamięciowe sporządzone na podstawie zeznań sąsiada Emily Walker, świadka, który widział mężczyznę rozmawiającego z Catherine Burke, i studentów, którzy widzieli, jak Greg Macken został poderwany w klubie Rocket. Pod każdym z nich widniało nazwisko „Anthony Garvey”. Czy Thorne słusznie wątpił w jego prawdziwość, czy nie, było to jedyne nazwisko, jakim dysponowali, jeżeli chodziło o tożsamość głównego podejrzanego.

Holland podszedł do Thorne'a i podał mu kawę.

Thorne zajrzał do plastikowego kubka.

– Nie było mleka w lodówce, dlatego musiałem użyć mleka w proszku.

– Będziemy musieli zostawiać karteczki na kartonach z mlekiem – rzekł Thorne. – Jak studenci.

Holland skinął głową w stronę tablicy.

– Jak pan sądzi, co to za historia z Dowdem i jego żoną?

Andrew Dowd był mężczyzną, o którym Brigstocke wspomniał

poprzedniego dnia, a który, jak twierdziła jego żona, wybrał się na wycieczkę w okolice Lake District i od tej pory nie miała z nim żadnego kontaktu. Twierdziła, że nie wie, dokąd konkretnie się udał ani na jak długo. Nie знаła nazwy hotelu, w którym zamierzał się zatrzymać, ani daty powrotu męża. Rzecz jasna pojawił się zrozumiały niepokój o bezpieczeństwo Dowda, dopóki funkcjonariusze nie stwierdzili, że on sam najprawdopodobniej miał się świetnie, natomiast jego małżeństwo ewidentnie dogorywało. Żona powiedziała im, że Andrew rzadko mówił jej, dokąd się wybiera, że zabrał ze sobą komórkę, ale zapomniał ładowarki, i zadzwonił do niej odtąd tylko raz, pierwszego wieczoru, by poinformować, że bezpiecznie dotarł na miejsce. Używając technologii namierzania komórek, ekipa potwierdziła, że dzwoniono z Keswick i teraz to właśnie tam prowadzono szeroko zakrojone poszukiwania. Na komórkę Dowda wysłano SMS-a z prośbą o pilny kontakt i stawienie się na najbliższym posterunku policji, ale najwyraźniej po tamtym telefonie mężczyzna wyłączył aparat albo wyczerpała mu się bateria.

– Wygląda na to, że nielicho się posprzeczali – powiedział Thorne.

– Nie chciała przyznać, że wyniósł się z domu, więc udaje, że to nic wielkiego, że już mu się to wcześniej zdarzało. Że postanowił pobyć przez kilka dni sam, żeby odzyskać równowagę, czy coś w tym rodzaju.

– Powinien raczej poszukać nowej żony – odparł Holland. – Ta obecna to prawdziwa jędza.

– Nikt nie wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami. – Thorne wychwycił pytające spojrzenie Hollanda. – Charlie Rich, 1973.

– A co z pozostałą dwójką? – zapytał Holland.

– Jeżeli któryś spośród dwóch mężczyzn z listy miał komórkę, musiały to być aparaty na doładowanie, bo nie znaleziono ich nazwisk na listach abonentów. Kompletnie nic.

Simon Walsh przez ostatnie osiemnaście miesięcy siedmiokrotnie zmieniał adres zamieszkania, jego nazwisko pojawiło się w sześciu różnych biurach pomocy społecznej, aż w końcu znikło z obiegu. Jego jedyna żyjąca krewna, ciotka, stwierdziła, że nie miała z nim kontaktu od wielu lat, a przyjaciel, który widywał go w ciągu ostatniego pół roku, powiedział, że jego zdaniem Walsh mógł uzależnić się od środków antydepresyjnych. Dodał przy tym ironicznie, że jego zdaniem Simon któregoś dnia zostanie odnaleziony martwy w jakimś ciemnym zaułku.

Z kolei Graham Fowler, według słów jego pierwszej żony, sypiał na ulicy, gdzieś w południowo-wschodnim Londynie, od dobrych dwóch lat po tym, jak wskutek postępującej choroby alkoholowej stracił najpierw pracę, a potem rodzinę. W schroniskach ani dziennych przytuliskach nie zarejestrowano nikogo o takim nazwisku.

– Cóż, nie spodziewam się abyśmy zdołali odnaleźć któregoś z nich na podstawie rachunku z karty kredytowej – powiedział Thorne.

Kilka lat temu przez pewien czas prowadził tajną misję w terenie, żyjąc na ulicach West Endu i usiłując dopaść człowieka, który mordował bezdomnych. Spotkał wielu takich jak Simon Walsh i Graham Fowler, mężczyzn, którzy przypadkiem lub rozmyślnie spadli na samo dno.

– Obaj najwyraźniej nie chcą zostać odnalezieni.

– To może uratować im życie – wtrącił Holland. – No bo skoro my nie potrafimy ich odnaleźć...

Thorne spojrzał na pozostałe nazwisko zakreślone na czerwono mazakiem jakby w wyrazie rozdrażnienia.

– To, że nie możemy ich odnaleźć, nie jest jedynym problemem.

Jedyna osoba z listy potencjalnych ofiar, którą udało im się odnaleźć, jak na złość sprawiła im najwięcej kłopotów. Pomimo wielu rozmów i wizyt oficerów łącznikowych Debbie Mitchell uparcie odmawiała oddania się pod

opiekę policji.

– Ma coś nie tak z głową, prawda? – rzucił Holland.

– Ma mnóstwo kłopotów.

– No i ta sprawa z dzieckiem.

Debbie Mitchell była samotną matką wychowującą tak zwane trudne dziecko. Była trzykrotnie aresztowana za nagabywanie mężczyzn i jeszcze kilka razy za posiadanie narkotyków.

– Dziwna sprawa z tymi narkotykami – zauważył Holland.

– To znaczy?

– Catherine Burke ćpała, Debbie Mitchell też. Podejrzewam, że z Walshem i Fowlerem jest tak samo.

– Nic w tym dziwnego – odrzekł Thorne – kiedy pomyślisz o tym, co mieli ze sobą wspólnego. Jeżeli chcesz znać moje zdanie, dziwakami nazwałbym tych, którzy nie zostali narkomanami albo alkoholikami.

Wokół nich w sali zrobił się spory ruch, ale oni tylko pili kawę i patrzyli na tablicę, jakby wykonane mazakiem linie i zapisane słowa stanowiły symbole skomplikowanego równania, którego rozwiązanie mogłoby się im objawić, gdyby przyglądali mu się dostatecznie długo i zawzięcie.

Trzy godziny później Thorne stał pod inną tablicą, wpatrując się w listę potraw w karcie dań Royal Oak. Do niedawna to, co dla miejscowej ekipy było „specjalnością dnia”, mogło odnosić się do każdej jako tako jadalnej potrawy, ale nowy właściciel zadbał o gruntowną poprawę standardów lokalu. Sam będąc ekspolicjantem, wiedział, że nawet funkcjonariusze od czasu do czasu oczekują czegoś więcej niż szajsu z frytkami. Oczywiście do poziomu małej gastronomii było jeszcze daleko, ale przynajmniej dało się już zauważyć światełko w tunelu.

Thorne złożył zamówienie i zaniósł dietetyczną colę oraz cytronetę do stolika przy automacie. Usiadł obok Yvonne Kitson, stuknęli się szklankami



i wypili, a wyraz ich twarzy świadczył, że woleliby jedno duże piwo i kieliszek schłodzonego białego wina.

– Później – uznała Kitson.

Thorne sięgnął po podkładkę pod szklanę i metodycznie zaczął drzeć ją na kawałki.

– Sprawa nabrała przyspieszenia – powiedział. – Teraz zadajemy sobie pytanie: kto tego nie zrobił?

Kitson uśmiechnęła się i podchwyciła ton Thorne'a:

– No więc kto tego nie zrobił?

– Cóż, skoro pytasz... Na pewno nie był to nauczyciel z podstawówki w Doncaster, facet od naprawy kserokopiarek ani rzutki bokser amator z Wrexham, no i z całą pewnością nie siedemdziesięcioletni eksmarynarz pływający na jednostkach handlowych, który wyemigrował z żoną do Portugalii. Nawiasem mówiąc, mają tam dziś piękną pogodę, wspominał mi o tym kilkakrotnie. Zamierza z żoną zjeść dzisiaj lunch przy basenie.

– To trzech spośród twoich Anthonych Garveyów?

– Tak mam od rana.

– Trzeba to było zrobić.

– Przecież wiem – mruknął Thorne. – I uwielbiam każdą jakże ważną chwilę poświęconą temu istotnemu zadaniu. Zająłem się eliminowaniem osób z mojej listy, jakby jutro miało w ogóle nie nadejść. To skreślanie kolejnych nazwisk i odhaczanie ich z listy, jedno po drugim. Prawdziwy ze mnie eliminator! Kto by pomyślał!

Kitson upiła łyk napoju.

– To świetnie, ale nie przypominam sobie, abyś przedstawił dziś rano jakieś błyskotliwe pomysły na kontynuowanie śledztwa.

Thorne skończył drzeć podkładkę pod szklanę i ułożył z kawałeczków zgrabny stos. Nie miał nic do powiedzenia, a gdyby nawet, to kiedy

zobaczył Russella Brigstocke'a odwracającego się przy barze i machającego do nich, stwierdził, że najprawdopodobniej zachowałby to dla siebie. Używając podstawowych gestów mimicznych, on i Kitson dali do zrozumienia, że chcą zamówić jeszcze raz to samo, a kiedy Brigstocke zapłacił, dołączył do nich przy stoliku.

– Już zamówiliście?

Dwa potaknięcia.

Brigstocke wziął dla siebie wodę gazowaną.

– Właśnie straciłem kwadrans z mojego lunchu z powodu upierdliwej Debbie Debilki.

– Wciąż sprawia kłopoty? – spytała Kitson.

– Znacie oficera łącznikowego nazwiskiem Adam Strang?

Thorne pokiwał głową, przypominając sobie Szkota, którego spotkał pod domem Mackenów.

– Od rana próbował przemówić jej do rozsądku, ale ona jest uparta jak osioł. Odmawia przyjęcia naszej ochrony.

– Ile jej powiedziano?

– Na pewno nie wszystko. Ale wystarczająco dużo.

– Jakie są inne możliwości? – spytała Kitson.

Brigstocke pokręcił głową, jakby miał już dość myślenia na ten temat.

– Waham się, czy nie wystawić pod jej domem samochodu z obstawą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, tylko dlatego, że ta kobieta jest skończoną idiotką.

– Czy możemy zainstalować przycisk alarmowy?

– To za mało – odparł Thorne. – Wątpię, by Emily Walker czy Greg Macken mieli czas, aby go nacisnąć.

– Co wobec tego moglibyśmy zrobić? – spytał Brigstocke. – Aresztować ją?

Kitson przesunęła paznokciem pomalowanym jasnoczerwonym lakierem wzdłuż krawędzi szklanki.

– To nie powinno być specjalnie trudne, zważywszy na jej przeszłość.

Zjawiała się kelnerka z ich zamówieniami: casserole z jagnięciny dla Thorne'a i faszerowaną rybą dla Kitson. Brigstocke bez entuzjazmu spojrzał na porcję spaghetti, którą mu podano, po czym wskazał na talerz Thorne'a.

– Też miałem na to ochotę, ale ktoś zamówił ostatnią porcję.

– Kto pierwszy, ten lepszy – powiedział Thorne.

Przez chwilę jedli w milczeniu, aż Thorne w końcu się odezwał:

– Dlaczego nie włączymy w to prasy?

Brigstocke przełknął pospiesznie.

– Sądziłem, że już wcześniej to ustaliliśmy – uciął i spojrzał na Kitson, oczekując od niej potwierdzenia.

Skinęła głową.

– Mieliliśmy milczeć na temat sprawy seryjnego zabójcy.

– Otóż to – mruknął Brigstocke.

– Nie o tym mówię – rzekł Thorne. – Dlaczego nie wydrukujemy w gazetach albo nie pokażemy w telewizji zdjęć Dowda i tamtych? Niech dla odmiany choć raz media zrobią coś dla nas.

Brigstocke przełknął powoli i z namaszczeniem odpowiedział:

– To... ryzykowne.

Rozejrzał się wkoło. Przy sąsiednich stolikach jedli posiłek inni członkowie zespołu.

Thorne odsunął od siebie talerz i nachylił się do Brigstocke a w chwili, gdy jeden ze stażystów podszedł i przez pięć minut wrzucał monety do automatu typu jednoręki bandyta. Dopóki nie skończył, nie było mowy o dalszej dyskusji na temat śledztwa. Thorne rzucił jakby mimochodem, że automat jest trefny, i stażysta czym prędzej się oddalił. Thorne odwrócił się

do Brigstocke'a.

– Ryzykowne, powiadasz?

– Rozmawiałem z Jesmondem.

Thorne skrzywił się teatralnie na dźwięk nazwiska nadkomisarza.

– Współczuję.

– Ktoś musiał. Tak czy siak są silne naciski, że wykorzystanie prasy zgodnie z twoją sugestią to nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego nie?

– Bo to może zaalarmować zabójcę i uświadomić mu, że jesteśmy na jego tropie.

– To jakiś problem?

– Góra uważa, że tak, jeżeli chcemy go złapać.

– Nie rozumiem. Czy to oznacza, że bardziej nam zależy na schwytaniu go niż na ochronie życia ludzi, których próbuje zabić?

Brigstocke westchnął.

– Posłuchaj, ja wiem...

– To jakieś szaleństwo – mruknął Thorne. – Przecież on musi wiedzieć, że go ścigamy. Na miłość boską, sam zostawia dla nas te kawałki kliszy rentgenowskiej. Chce, żebyśmy poskładali to wszystko do kupy.

– Powtarzam tylko to, co mi przekazano, jasne?

– Poza tym nie spodziewam się, żeby ten facet spakował manatki i zwiął gdzie pieprz rośnie tylko dlatego, że zobaczy parę zdjęć w gazecie.

– Racja.

– Nie wygląda mi na kogoś, kto rezygnuje z osiągnięcia wyznaczonego celu.

– Posłuchaj, w pełni się z tobą zgadzam, nie musisz się na mnie wyżywać. Chcę tylko powiedzieć, że... góra... ma rozbieżne zdania... co do priorytetów.

– To chyba oczywiste, że podstawowym priorytetem powinna być ochrona życia potencjalnych ofiar? – spytała Kitson.

– Powiedz to Debbie Mitchell. – Brigstocke odwrócił się do Thorne’a. – Prawdę mówiąc, skoro tak ci na tym zależy, możesz to zaproponować nadkomisarzowi. Góra rozmawia właśnie o powołaniu sztabu kryzysowego w związku z tą sprawą.

– Wolałbym raczej wbić sobie w oczy igły – odparł Thorne.

Bywał już wcześniej kilkakrotnie na tego rodzaju zebraniach, udając zaniepokojenie, podczas gdy dyplomaci w mundurach pletli o strategiach medialnych, i poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie popełni tego błędu.

– Otóż to, a skoro tak, siedź cicho, rób, co do ciebie należy, i przestań truć. – Brigstocke dojadł spaghetti i wyprostował się na krześle. – Zgoda?

Ani Thorne, ani Kitson nie dokończyli jeszcze swoich porcji, kiedy Brigstocke już sobie poszedł, i pozwolili, by kelnerka zabrała ich talerze, kiedy znów do nich podeszła.

– Siedzi cicho?

– Jak trusia – dodała Kitson.

– Daj spokój, przecież miałem rację, sama powiedz.

– Nie twierdzę, że nie, i on też raczej się z tobą zgadza, ale niewiele na to może poradzić. Znalazł się między młotem a kowadłem, sam rozumiesz.

Mieli jeszcze kwadrans do powrotu do Becke House. Thorne opróżnił swoją szklankę.

– To jak, naprawdę masz ochotę przez resztę popołudnia wydzwaniać do ludzi, o których wiesz, że nikogo nie zamordowali, i pytać ich, czy kogoś zabili?

– Czyżby cię nagle olśniło?

– Co powiesz na aresztowanie Debbie Mitchell?

– Tak tylko zażartowałam.

– Pojedźmy tam. Nigdy nie wiadomo, jeśli ją przyciśniemy, może spowodujemy, że zaatakuje któreś z nas.

Kitson wyjęła z torebki puderniczkę i poprawiła sobie usta.

– W samochodzie rzucimy monetą i zobaczymy, na kogo wypadnie – zaproponowała.

## 16

Totteridge było pełnym zieleni przedmieściem na północy Londynu, z niewielką osadą w samym sercu leśnego zagajnika, gdzie ci, którzy albo byli właścicielami klubów piłkarskich, albo grali w piłkę, mieszkali ze swoimi podejrzanymi pozbawionymi wyrazu żonami. Jednak o kilka minut drogi stąd w kierunku Barnet można już się znaleźć w o wiele bardziej uczęszczanym zakątku niedaleko Great North Road, gdzie większość piłkarzy miała zwyczaj w niedzielne poranki tłuc się między sobą na murawie, palić papierosy w przerwie meczu i po ostatnim gwizdku szła do najbliższego pubu.

Debbie Mitchell mieszkała na najwyższym piętrze w trzypiętrowej kamienicy przy Dollis Park Estate, smętnej pamiątce z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, kryjącej się w cieniu stadionu klubu piłkarskiego Barnet. Z okna niewielkiego mocno zadymionego salonu Thorne widział reflektory Underhill, narożnej trybuny stadionu.

– Kiedy są mecze, muszą tu być spore tłumy – zauważyła Kitson.

– Ejże, ejże, mówimy tu o Barnet – rzucił Thorne. – Oni pewnie uważają, że nasza czwórka to już tłum.

Tylko Kitson się uśmiechnęła, kiedy Thorne odwrócił się do okna. Spoglądając w drugą stronę, mógł zobaczyć główną szosę i pas zieleni ciągnący się za stacją benzynową i ogromnym gmachem filii Carpet Express.

– Vision Express jeszcze bym zrozumiał – stwierdził, wskazując ręką. – Nawet Shoe Express od biedy. Gubisz but i spóźniasz się na imprezę, coś w tym rodzaju. Ale komu ekspresowo potrzebny... dywan?

– O czym on mówi?

– Zastanawiam się, jak komuś może się spieszyć z zakupem czegoś takiego?

Jedna z dwóch kobiet siedzących blisko siebie na kanapie skinęła głową w stronę Thorne'a, po czym zwróciła się do Kitson zajmującej krzesło przy drzwiach:

– Rozumiem – powiedziała. – Nie udało im się z wrażliwymi ani takimi, którzy wparowali tu, pokrzykując na całe gardło, więc teraz przysyłają gliniarza, który myśli, że jest cholernym komikiem.

Nina Collins była dobrych parę lat starsza od Debbie Mitchell, zapewne po czterdziestce, i to ona mówiła najczęściej, kiedy zjawili się Thorne i Kitson. Otworzyła drzwi, powiedziała, że jest przyjaciółką Debbie, jej najlepszą przyjaciółką, i że Debbie właśnie próbuje uspokoić Jasona. Że jest roztrzęsiona, bo kto by nie był, skoro gliny wydzwaniały co dziesięć minut, mówiąc, że powinna wynieść się z domu.

– Przypuszczam, że przyjechaliście na kolejną rundę – rzuciła, wydmuchując dym papierosowy w ich stronę, zanim odwróciła się i weszła do środka.

Thorne odwrócił się od okna i wzruszył ramionami.

– Właściwie – mruknął – wielu ludzi mówiło mi, że jestem całkiem zabawny.

Collins zgasiła papierosa.

– Mylą się – stwierdziła.

Thorne przystawił sobie podnózek i usiadł przed telewizorem. Popatrzył na dwie kobiety. Collins była niższa, biuściasta, z czarnymi, ułożonymi na sztorc włosami, których końce przy odpowiednim oświetleniu wydawały się czerwone. Nosiła obcisłą pasiastą koszulkę do rugby opinającą jej piersi, a dziwna łagodność malująca się na jej twarzy



tworzyła zaskakujący kontrast w stosunku do mowy ciała i dość szorstkiego, ochryplego głosu. (Później, kiedy będą zajmować się nowymi dochodzeniami, Thorne po kilku kuflach wyzna Kitson w sekrecie, że Nina Collins bardzo mu się spodobała).

– On ma rację – powiedziała kobieta siedząca obok Collins. – To kretyńska nazwa. Ale dywany i wykładziny są tanie jak barszcz, muszę im to przyznać.

Debbie Mitchell była wyższa i szczuplejsza od swojej przyjaciółki. Włosy miała długie, ciemnoblonde, przycięte równo po obu stronach wymizerowanej twarzy. Cerę miała niedoskonałą, a fluid nie maskował wągrów rozmieszczonych wzdłuż skrzydełek nosa. Była boso, podkuliła nogi, a jedną rękę zwiesiła ponad krawędzią kanapy, aby mieć stały kontakt z chłopcem bawiącym się obok niej na dywanie.

– Wygląda na szczęśliwego – zauważyła Kitson.

Collins odwróciła się, jakby zapomniała, że policjatka tam siedzi.

– Jest szczęśliwy. Jak zawsze, kiedy jest przy mamie.

– Czy ma jakąś... opiekunkę?

– Tylko mnie – odparła Debbie. – Jesteśmy tylko my dwoje.

Jason był wysoki jak na swój wiek – osiem lat, zgodnie z tym, co widniało w aktach jego matki – a piżama, którą miał na sobie, wydawała się ciut przymała. Bawił się dużym, plastikowym pociągiem – takim, w którym mniejsze dzieci mogłyby jeździć – przesuwał nim w przód i w tył przy kanapie. Najwyraźniej często tak się bawił, bo na brązowym dywanie widniały wyżłobione ślady kół.

– A co ze szkołą? – spytał Thorne.

– Trzy razy w tygodniu chodzi do szkoły specjalnej – odparła Debbie. – W Hatfield. Ale muszę z nim zostawać, bo jeśli mnie nie ma, wpada w histerię.

Collins uniosła dwa palce.

– Dwukrotnie opieka społeczna odbierała jej Jasona i za każdym razem to był dla niego koszmar.

Debbie pokręciła głową, ale Collins znów uniosła rękę, aby dokończyć to, co zaczęła:

– Rzekomo robili to dla jego dobra, odbierając go matce, a on tego nie cierpi.

Ścisnęła Debbie za rękę.

– Za każdym razem udało jej się pójść na odwyk, wróciła czysta i uporządkowała swoje życie, prawda, kochanie?

– Już jest wszystko w porządku – powiedziała Debbie.

– Żeby dotrzeć do Hatfield, trzeba jechać trzema cholernymi autobusami i pociągiem – ciągnęła Collins. Pokręciła głową z niesmakiem. – Rada miasta mogłaby wyłożyć fundusze na transport, co nie? Ale oni wolą sfinansować budowę centrów rozrywki dla lesbijek i tego typu szajs.

– Nie mamy nic przeciwko temu – wtrąciła Mitchell. – To zawsze jest przygoda, o ile tylko pogoda dopisze. – Popatrzyła na Kitson. – On się nie nudzi jak inne dzieci, wie pani?

– Czy to autyzm? – spytała Kitson.

Debbie wzruszyła ramionami.

– Uważają, że nie. Wydaje mi się, że nie wiedzą, co mu jest, a prawdę mówiąc, przestaliśmy się już tym przejmować. Cokolwiek to jest, nikt nie potrafi nic na to poradzić, więc staramy się jakoś żyć.

Thorne patrzył, jak chłopiec przesuwając pociąg w przód i w tył, a jego podbródek drga w rytmie wydawanych przez niego „sapiących” odgłosów. Miał takie same szeroko rozstawione niebieskie oczy jak jego matka, ale usta pełniejsze, bardziej czerwone. Kiedy się uśmiechał, a robił to bez wyraźnego powodu co kilka chwil, opuszczał górne zęby na dolną wargę i przesuwiał

nimi z boku na bok. Nie sposób było stwierdzić, czy Debbie Mitchell robiła tak samo, bo jak dotąd ani razu się nie uśmiechnęła.

– Jak dużo rozumie? – zapytał Thorne.

Nina Collins znów się zaperzyła:

– Do cholery, jesteście z policji czy z opieki społecznej?

– Nie chcę go zdenerwować – odrzekł Thorne – kiedy zaczniemy.

Mitchell pokręciła głową, jakby dawała do zrozumienia, że nic nie szkodzi, ale wciąż dłonią przeczesywała włosy synka.

– Opowiedzcie nam teraz znowu o tym mężczyźnie? – spytała Collins.

Thorne pokiwał głową.

– Co wam do tej pory powiedzieli ci wrażliwi i ci wrzaskliwi gliniarze?

– Mówili o świrze, który może chcieć mnie skrzywdzić z powodu tego, co się stało z moją mamą – powiedziała Debbie.

– Otóż to i domyślam się, że powiedzieli również: „Mamy powód przypuszczać, że grozi pani niebezpieczeństwo”. – Thorne znów pokiwał głową.

– Coś w tym rodzaju.

– No właśnie. To nie podejrzenia. To pewność. Dopóki pani tu zostanie, nie będzie pani bezpieczna.

Kitson przesunęła się z krzesłem do przodu.

– Nie możesz lekceważyć mężczyzny, o którym teraz mówimy, Debbie.

– Przez całe życie kręcili się wokół niej różni wariaci – wtrąciła Collins.

– Chcieli wiedzieć, co się stało z jej mamą, jakby się tym podniecali czy coś takiego.

– Ten konkretny świr zabił już cztery osoby – powiedział Thorne.

– Czworo ludzi, których matki zginęły w ten sam sposób co twoja.

Collins poprawiła palcami sterczące szpikulce włosów.

– Nie mówili o czterech...

– Mowa była o dwóch – przerwała przyjaciółce Debbie. – I że to być może robota tego samego człowieka.

Thorne spojrzał na Kitson. Zastanawiał się, kto podejmował decyzję, ile i co można było powiedzieć tej kobiecie. Czy zastanawiali się, o ilu zabójstwach wolno im było wspomnieć? Czy dwa były dopuszczalne, a trzy już nie? To zakrawało na absurd nie tylko dlatego, że już wzmianka o jednym powinna skłonić wszystkich do poszukania bezpiecznego schronienia. Bez względu jednak na to, że coś powstrzymało Debbie Mitchell przed podejmowaniem rozsądnych działań, niezależnie od konsekwencji, jakie mogły mu grozić za powzięcie decyzji bez skonsultowania się z przełożonymi, Thorne nie zamierzał owijać w bawełnę.

– Chciałaby pani wiedzieć, jak to zrobił? – spytał.

– Nie. – Collins wyraźnie zbladła.

– W jaki sposób śledził i zamordował cztery osoby, czego użył dla popełnienia morderstwa? Czy dzięki temu zaczęłaby pani traktować tę sprawę poważnie? Wzięła tyłek w troki i zaczęła się pakować?

– To niczego nie zmieni – powiedziała Mitchell, podnosząc głos. – Musimy tu zostać.

Kobiety zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej. Thorne zauważył, że Jason przestał się bawić pociągiem i klęczał obok kanapy, szarpiąc matkę za rękę, aby pogłaskała go po policzku.

– Martwisz się o Jasona? – spytała Kitson. – O to chodzi? Bo nie wolno was rozdzielić.

Mitchell zaczęła kręcić głową, ale trudno było uznać, czy to miała być odpowiedź na pytanie, czy raczej nie wierzyła w słowa Kitson.

– Mamy specjalne miejsca przeznaczone dla rodzin.

– Nie.

– Musisz wynieść się z...

– On wchodzi do domów swoich ofiar – przerwał jej Thorne. – Oni wszyscy sądzili, że są bezpieczni, a on dostał się do środka i ich pozabijał.

– Będę nad nimi czuwać – zaoferowała się Collins.

Thorne spojrział na nią z ukosa.

– Jak to, nawet w nocy, Nino? Przecież będzie pani wtedy w pracy, zgadza się?

Thorne przejrzał akta Collins i dowiedział się, że miała na koncie więcej aresztowań za oferowanie swoich usług seksualnych niż Debbie Mitchell. Zauważył, że zamrugała, i odwrócił wzrok, by ujrzeć grymas, jaki przemknął po twarzy Kitson, a zaraz potem zrobiło mu się głupio. Poczucie winy i wyrzuty sumienia odebrały mu chęć do kontynuowania tej prowokacji. Te kobiety były uparte i głupie, ale nie ulegało wątpliwości, że Nina Collins jest bardzo przywiązana do Debbie Mitchell i jej syna i darzy ich uczuciem silnym i bezwarunkowym.

– Chciałem tylko powiedzieć, że...

Kiedy Collins znów się odezwała, jej głos brzmiał znacznie łagodniej. Zdenerwowanie dało się odczuć w sposobie, w jaki paliła papierosa i wydmuchiwała dym.

– A wy nie możecie nas ochraniać?

– To właśnie staramy się robić – odrzekł Thorne.

– Nie możemy nigdzie jechać – ucięła Debbie. Patrzyła na Jasona i jego zęby przesuwające się po dolnej wardze, kiedy ścisnął ją za rękę.

– Nie rozumiecie. On potrzebuje rutyny. Obydwojgu nam tego potrzeba. To jedyny sposób, aby utrzymać względną stabilizację, rozumiecie? To jedyne, co powstrzymuje przed rozsypaniem się wszystkiego w drobny mak.

Choć na jej twarzy pojawiła się maska desperacji, Thorne zdołał

dostrzec, co tak naprawdę nią kierowało. Zauważył zgrozę, która ogarnęła ją, kiedy uświadomiła sobie powagę zagrożenia – przerażający strach przed zmianą, który mógł popchnąć ją na równię pochyłą ku narkotykom, a w efekcie ku ponownej utracie prawa do opieki nad dzieckiem. Ten lęk był silniejszy niż obawa przed mężczyzną, który chciał ją zabić.

– On byłby nieszczęśliwy – powiedziała.

Thorne zrozumiał nie bez trudu, ale to nie miało znaczenia.

– A czy będzie szczęśliwy, jeśli umrzesz?

Mitchell nagle krzyknęła z bólu i cofnęła dłoń od ust Jasona, jej kłykcie zahaczyły o zęby chłopca, kiedy ten ścisnął i ucałował jej palce. Na jej twarzy przez chwilę odmalował się wyraz szoku i czym prędzej wstała z kanapy, żeby go pocieszyć, ale on już zaczął pochlipywać i ponownie skupił swoją uwagę na plastikowym pociągu.

Collins też wstała.

– Myślę, że już wystarczy – powiedziała.

Odprowadziła Thorne'a i Kitson do drzwi.

Przy końcu korytarza Kitson przystanęła i odwróciła się.

– Proszę, Nino, spróbuj przemówić jej do rozsądku.

Collins wyciągnęła rękę i otworzyła drzwi.

– Najrozsądniej byłoby, gdybyście przestali się obijać i złapali tego świra. Prawda, kochanie? Wtedy ta rozmowa nie byłaby w ogóle konieczna, co nie?

– Dla dobra Jasona – odezwał się Thorne.

Collins nieomal wypchnęła ich za próg, a potem, kiedy odzyskała dawną swadę, spojrzała buńczucznie na Thorne'a.

– Bardziej mi się podobało, kiedy opowiadał pan te swoje kretyńskie dowcipy.

A potem zatrzasnęła im drzwi przed nosem.

– Wygląda na to, że bez aresztowania się nie obejdzie – mruknęła Kitson, gdy szli z powrotem do samochodu.

Thorne pokręcił głową i nieznacznie ją wyprzedził.

– Ostatnia szansa – stwierdził.

Otworzył drzwiczki BMW, sięgnął do środka po dużą brązową kopertę i zawrócił w stronę domu, gdzie mieszkała Debbie Mitchell.

Nie odezwał się ani słowem, kiedy Nina Collins otworzyła drzwi. Wcisnął jej do ręki kopertę i odwrócił się. Był w połowie drogi do samochodu, gdy usłyszał za sobą trzask zamykanych drzwi.

Kitson popatrzyła na niego, kiedy przekręcał kluczyk w stacyjce.

– Czy to było to, co myślę, że było?

– Nie potrafię powiedzieć – odrzekł Thorne. Uniósł dłoń, aby ją uciszyć, jakby to mogło pomóc w uruchomieniu szwankującego silnika. – Nie mam pojęcia, o czym akurat pomyślałaś.

Po powrocie do biura wciąż mieli kilku Anthonych Garveyów do wyśledzenia i wyeliminowania. Czekala ich robota papierkowa dla Wydziału Ewidencji Pojazdów i agencji zajmującej się sprawdzaniem płatności kartami kredytowymi, co stanowiło element poszukiwania Grahama Fowlera i Simona Walsh, a także połączenie się z jednostkami z północy w celu odnalezienia Andrew Dowda. Tak więc z powodu czekających ich emocji nic nie mogło przebić niewielkiej kwoty, o jaką założyli się Thorne i Kitson w drodze z Whetstone.

– Obstawiam, że do końca dnia – powiedziała Kitson.

– Mowy nie ma.

– Mówię ci. Collins jest z tych, co lubią mieć ostatnie słowo.

Zapewne Kitson miała rację, ale Thorne był w nastroju do sprzecznania się, że czarne jest białe.

– Jutro – stwierdził. – W najlepszym razie, jeżeli w ogóle.

– O dychę?

Kłótniwa natura to jedno, ale tu stawką była żywa gotówka. Thorne czytał kiedyś, że w hazardzie chodziło nie tyle o prawdopodobieństwo wygranej, ile o nerwy związane z możliwością przegranej, a ponieważ ostatnio zarzucił grę w pokera przez internet, szukał czegoś, co przyspieszyłoby mu tętno.

– Zgoda.

Na piętnaście minut przed rozejściem się do domu do gabinetu zajrzał Sam Karim i powiedział, że Brigstocke chce zamienić z nim słówko, a serce



Thorne'a zabiło żywiej, choć nie z tego powodu, co powinno.

– Na co wydasz tę kasę? – spytał Kitson, idąc w stronę drzwi.

– Oszczędzam na buty – powiedziała. – Podwyższymy dwukrotnie czy mówisz pas?

– Ale o co?

– Kolejna dycha na to, że Spurs jutro przegrają.

U siebie, z Aston Villą. To powinno gwarantować im przynajmniej jeden punkt. Ale to przecież Spurs.

– Myślę, że ktoś właśnie przerznął flaszkę – skwitowała Kitson.

Karim wciąż stał w drzwiach.

– Szef mówił natychmiast.

– Cmoknijcie mnie – warknął Thorne. – Oboje.

– Może powinieneś jeszcze raz spotkać się z tym lekarzem od głowy – powiedział Brigstocke i oparł się o krawędź biurka, splatając ramiona.

Thorne milczał. Zwykle najlepiej było siedzieć cicho i nie wychylać się.

– Powiedz mu, żeby rzucił okiem, może coś znajdzie.

Brigstocke przeszedł od zwykłego wrzaskliwego opieprzu – co uczynił podczas zrelacjonowania trwającej kwadrans rozmowy telefonicznej z Niną Collins – do sarkazmu. Ostatniej fazy Thorne nie lubił najbardziej – tej, kiedy nadinspektor zniżał ton i w jego głosie pojawiały się nuty smutku i rozczarowania, jakby czuł się zraniony tym, co się działo. Thorne wiedział, że postawy zawiodłeś mnie, siebie i całą ekipę Brigstocke nauczył się od Trevora Jesmonda, który opanował tę sztukę do mistrzostwa. Thorne nieraz był ochrzaniany i on z kolei do perfekcji opanował przyjmowanie pełnego pokory wyrazu twarzy i spojrzenia zbitego psa albo szczeniaka proszącego, by zabrać go do domu. Jednak wobec Jesmonda zawsze robił to świadomie, zgodnie z zasadą, że jeśli zdoła wkurzyć nadkomisarza, zrobi coś dobrego.

– Mitchell była przerażona – rzekł Brigstocke. – Ta biedaczka umiera ze

strachu, a przynajmniej tak twierdzi jej przyjaciółka.

– I o to chodziło!

– Bogu dzięki. Już myślałem, że pokazałeś jej ściśle tajne zdjęcia ofiar wszystkich zabójstw, bo jesteś nieczułym idiotą, któremu spieszno wrócić do służby mundurowej. Masz jeszcze kask?

– Nie wszystkich ofiar – rzucił Thorne.

– Co takiego?

– To nie były zdjęcia wszystkich ofiar. Tylko Mackenów.

– Ach, wobec tego w porządku.

Thorne nie mógł się powstrzymać przed ironicznym uśmiechem.

– Tylko mała próbka...

– Jezu, Tom...

– Podziałało?

Brigstocke patrzył na niego przez kilka sekund, jakby miał ochotę na kolejną porcję oczyszczającego wrzasku, po czym przeszedł za biurko i usiadł.

– Debbie Mitchell wprowadza się do Niny Collins – oznajmił. – To tylko kilka ulic dalej...

– Grunt, żeby wyniosła się z domu.

– Twierdzi, że chce zostać blisko parku. To ulubione miejsce jej dzieciaka.

– Cóż, na pewien czas może o tym zapomnieć.

– Poza tym dzieciak zna Ninę, więc obejdzie się bez kłopotów i spieć.

Rozumiem, że on nie reaguje za dobrze na... gwałtowne zmiany.

Thorne potwierdził przypuszczenia Brigstocke'a. Przypomniał sobie uśmiech chłopca, to, jak łatwo się pojawiał i jaki był zdumiewający zważywszy na fakt, że od dłuższego czasu żył w stresie.

– A więc mogę uznać, że ujdzie mi na sucho?

Tym razem to Brigstocke się uśmiechnął.

– Bez obawy, jeśli Collins albo Mitchell zechcą wnieść oficjalną skargę, dowiesz się pierwszy.

– To się nazywa przyjaciel – mruknął Thorne.

– Się wie. – Brigstocke wlepił wzrok w papiery na swoim biurku, jakby w ten sposób dawał Thorne'owi do zrozumienia, że może już odejść. – W przeciwnym razie już byś za to beknął.

Thorne zrozumiał aluzję i ruszył w stronę drzwi, ale Brigstocke zatrzymał go.

– Myliłeś się co do Anthony'ego Garveya – powiedział.

– Tak?

– Nie wiem, jak z nazwiskiem, ale jesteśmy prawie pewni, że to jest syn Raymonda Garveya.

Thorne pokiwał głową.

– DNA...

– Mieliśmy w aktach próbkę Garveya i porównaliśmy ją z próbką pobraną spod paznokci Catherine Burke. Mamy dziewięćdziesiąt pięć procent pewności, że to próbki ojca i syna.

– Dziewięćdziesiąt pięć procent?

Brigstocke wiedział, że Thorne rozumiał, dlaczego nie mogą się pokusić o stuprocentową zgodność, ale i tak to powiedział, ciesząc się chwilą:

– Aby mieć absolutną pewność, musimy znać matkę.

Wyraz twarzy Brigstocke'a, zanim wlepił wzrok w papiery, mówił wyraźnie: „I na tym na teraz zakończymy”.

Wychodząc z parkingu, Kitson, bogatsza o dziesięć funtów, powiedziała:

– Pamiętasz kłótnię z Brigstockiem w pubie? Chodziło o napięcie pomiędzy potrzebą schwytania zabójcy a koniecznością ochrony potencjalnych ofiar.

– Myślę, że właśnie od tego momentu zaczął miewać humory – mruknął Thorne. – A może ma mi za złe, że zjadłem ostatnią porcję jagnięciny.

– Ale tak na serio.

– To znaczy?

– Trochę się nad tym zastanawiałam. Czy nie odnosisz wrażenia, że nikt tak naprawdę nie przyłożył się, żeby wywieźć Debbie Mitchell z tego domu?

– O ile wiem, bardzo się temu sprzeciwiała.

– Ale tobie się udało. Jak to możliwe, że wszyscy inni zawiedli?

Było zimno i zaczęło padać. Zaczekali pod betonowym okapem przy tylnym wyjściu z Becke House. Samochód Thorne'a stał pięćdziesiąt metrów po lewej, a Kitson jeszcze dalej, tyle że w drugą stronę.

– Chcesz powiedzieć, że pozwolili jej tam zostać na przynętę?

– Nie wydaje mi się, żeby mieli w związku z tym jakieś plany. Ale skoro nie chciała opuścić domu, może ktoś pomyślał: wykorzystajmy to na naszą korzyść.

– A w razie gdyby coś poszło nie tak, nie my ponosilibyśmy za to winę.

– Otóż to – powiedziała Kitson. – Rozstawiliby kilka nieoznakowanych aut wokół domu, urządzili punkt obserwacyjny z kamerami...

Thorne pokiwał głową, myśląc intensywnie.

– A góra wścieka się na mnie nie dlatego, że dałem Debbie te zdjęcia, ale dlatego, że mieli kolejną ofiarę czekającą spokojnie na zabójcę, a ja popsułem im zabawę.

– Może i tak. – Kitson naciągnęła kaptur szarej bluzy, którą miała pod skórzaną kurtką. Poprawiła kaptur i spojrzała w deszcz. – Tylko głośno myślę. To był długi dzień.

– Miewałaś głupsze pomysły – zauważył Thorne.

– Tak uważasz?

– Tak. – Thorne odwrócił się do niej i popatrzył dłużej, aby zrozumiała, że nie żartował, zanim pozwolił sobie na uśmiech. – Z całą pewnością jutro ugramy z Villą przynajmniej jeden punkt.

– Wobec tego powinieneś być przyjąć zakład – ucięła Kitson.

Rozległ się sygnał komórki Thorne'a. Wyjął aparat z kieszeni. SMS od Louise: „Po pracy imprezka z ekipą, nie wrócę późno. X”.

– Masz ochotę na drinka? – zapytał Thorne.

Kitson spojrzała na zegarek, ale był to zwykły gest, nic więcej.

– Na jednego w Oak?

– Lepiej nie. Dzieciaki, no wiesz.

– To dlaczego jeszcze ze mną rozmawiasz?

– Do zobaczenia jutro.

– Nie wiem, czy będę – odparł Thorne. Wykasowywał SMS-a od Louise. – Mam rano spotkanie w centrum, zobaczymy, jak się ułoży.

– No to do poniedziałku...

Thorne mruknął „tak” i patrzył, jak Kitson biegnie truchtem do auta. Po chwili wyszedł na deszcz i począpał w stronę swojego BMW

Później, gdy usadowił się na kanapie, zlustrował wzrokiem pokój i dostrzegł wilgotną plamę pod oknem i drobinki na dywanie, które nie były plamkami w utkany splocie. Nie po raz pierwszy rozważał wynajęcie ekipy sprzątającej. Słuchał, jak Charlie Rich śpiewa *A Sunday Kind of Woman* i *Nothing in the World*, przymykając powieki i błędząc myślami, a dźwięki muzyki zlały się w jedno z mniej melodyjnymi głosami Russella Brigstocke'a, Yvonne Kitson, ochrypłym rżeniem Niny Collins i wrzaskiem Martina Mackena, tworząc jazgoczący podkład dla słodkich dźwięków gitary.

Thorne pomyślał o Jasonie Mitchellu i cichym „ciuch, ciuch”, kiedy

chłopiec bawił się lokomotywą. I ten uśmiech, nagły jak siarczysty policzek. Nie miał pojęcia, czy chłopiec wiedział, że się uśmiecha, i zastanawiał się, w której części mózgu krył się jego problem.

Białej, różowej czy niebieskiej?

Czy ktoś taki jak Pavesh Kambar mógłby, trzymając w ręku plastikowy model mózgu, powiedzieć: „O, właśnie w tym miejscu to wszystko ma swój początek, to stąd biorą się te zaburzenia, tu dochodzi do wad w przewodzeniu”. Może jednak wcale nie powiedziałby, że to wady, a raczej że inny rodzaj przewodzenia, o którym go nie uczono albo którego nie jest w stanie pojąć. Chwila, gdy czujesz się bezużyteczny. Gdy zaczynasz zwyczajnie kłąć.

Biała, różowa czy niebieska.

Ceglana czerwień na tle czarno-białej szachownicy. Brązowe plamy na dywanie i tapecie przy oknie, pożółkłej i tłustej jak wewnętrzna strona plastra, kiedy zedrze się go z ciała.

Płyta się skończyła, więc Thorne wstał, wyjął ją z odtwarzacza i schował do pudełka. Telefon stał przy drzwiach frontowych, na stoliku. Thorne sięgnął po portfel, wyjął wizytówkę i wybrał nagryzmołony na niej numer.

– Halo? – Głos był niepewny, pełen wahania i niepokoju.

Thorne spojrział na zegarek – po dziewiątej, jeszcze nie za późno na dzwonienie do kogokolwiek. Zastanawiał się, czy jest sama.

– Mówi Tom Thorne.

– Czego pan chce?

Słowa zabrzmiały, jakby wypowiedano je ze sporym wysiłkiem, jakby kobieta dopiero co się obudziła albo piła. Popatrzył na puszkę piwa, którą trzymał w ręku, i odegnał od siebie tę myśl.

– Nie chciałem pani przestraszyć – powiedział. – Tymi zdjęciami.

– Ale zrobił pan to.

– Tylko trochę, żeby opuściła pani mieszkanie.

– Tylko trochę? Czy strach da się zmierzyć pana zdaniem?

– Przepraszam.

– Na ich widok zrobiło mi się niedobrze. A gdyby Jason je zobaczył? Ma pan pojęcie...?

– Nic innego nie przyszło mi do głowy – odparł Thorne. – Jeżeli to poprawi pani humor, powiem, że miałem przez to spore kłopoty.

Chwila ciszy.

– Poprawiło. Troszeczkę.

Thorne zaśmiał się, spodziewając się podobnej reakcji z jej strony, lecz bez powodzenia.

– Kiedy przenosi się pani do Niny?

– Jutro z samego rana. Właśnie próbuję się spakować.

– To istny koszmar, prawda?

– Na pewno nie dwa tygodnie na Majorce.

Thorne zaczął żałować, że zadzwonił, i pytał sam siebie, co go do tego podkusiło. Nie spodziewał się, że Debbie Mitchell potraktuje go ulgowo.

– Jest pani sama?

– Tak. Nina jest... w pracy.

– On się zjawi, wie pani? – Thorne napił się piwa. – Jeżeli go nie złapiemy. Postępuje pani właściwie.

Usłyszał trzask zapalniczki i ciszę, kiedy Debbie zaciągała się dymem.

– Pewnie tak.

– Proszę posłuchać, może pani zawsze zadzwonić, gdyby...

– Złapicie go? – Jej głos nie wydawał się już zmęczony – Powiedział pan „jeśli go nie złapiemy”. Jakie są pana zdaniem szanse, że może wam się wymknąć?

– Robimy, co możemy.

– W skali jeden do dziesięciu.

Thorne zamyślił się nad tym. Pięć? Więcej?

– Co z pani ręką? – zapytał.

– Słucham?

– Wcześniej krwawiła. – Thorne uniósł wzrok na dźwięk klucza przekręcanego w zamku. – Chyba Jason zahaczył panią zębami.

– Nic mi nie jest.

– Chciałem powiedzieć, że może pani dzwonić, gdyby cokolwiek się pani zamartwiała.

– Ale jak to? Do pana czy w ogóle na policję?

– Do mnie. Gdyby coś panią niepokoiło... cokolwiek.

Skrzypnęły otwierane wewnętrzne drzwi, kiedy podawał Debbie

Mitchell numer swojej komórki, po czym usłyszał, jak drzwi się zamykają, i zaczekał, aż zapisała i dla pewności odczytała jego numer na głos.

– W każdym razie...

– Nie będę pani przeszkadzał w pakowaniu – rzekł Thorne.

– W porządku.

Louise weszła do mieszkania. Thorne uniósł palec wskazujący i szepnął bezgłośnie: „Chwileczkę”, gdy minęła go, idąc w stronę kuchni. Zastanawiał się, czy nie dodać „Proszę pozdrowić ode mnie Jasona”, ale zabrzmiałoby to sztucznie i nieszczerze, więc powiedział tylko:

– To na razie, Debbie.

Wszedł za Louise do kuchni i już miał powiedzieć „Przyłapałaś mnie, jak dzwoniłem do mojej dziewczyny”, ale wtedy odwróciła się, trzymając w dłoni butelkę wyjętą z lodówki, i zobaczył wyraz jej twarzy.

– Co jest?

– Nic, wszystko gra.



– Myślałem, że wrócisz później – powiedział Thorne. – Najwyraźniej imprezka nie za bardzo wypaliła.

– Najwyraźniej.

Podsunęła butelkę w jego stronę, jakby zadając pytanie.

W odpowiedzi uniósł puszkę.

– Ta zadufana nadinspektor znów obchodziła czterdziestkę?

Louise uniosła kieliszek do ust, jakby miała wielką ochotę się napić.

– To nie miały być urodziny.

Thorne pokręcił głową.

– Sądziłem, że...

– Lucy Freeman jest w ciąży – powiedziała Louise. Kolejny łyk i niepewny uśmiech. – Ale nie afiszowała się z tym. Tak jak ty trzymała język za zębami.

– Cholera.

– Nie, wszystko w porządku. Cieszę się z jej szczęścia. – Popatrzyła gdzieś w dal, zakręcając trzymanym w ręku na wpół pełnym kieliszkiem. – Muszę być szczęśliwa. Potrzebuję tego.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie żartuję. Muszę to w sobie przełamać, rozumiesz? Nie mogę wariować za każdym razem, kiedy widzę pod sklepem wózek albo mijam kobietę w ciąży.

– No wiem – mruknął Thorne bez przekonania.

– Tylko że to... trudne. Czuję się jak nastolatka, którą ktoś rzucił, a każda piosenka w radiu wydaje się mówić właśnie o nim.

Thorne pokiwał głową. Kiedy miał piętnaście lat, piosenka *All By Myself* Erica Carmena rozdzierała mu serce. Dziesięć lat później to było *I Know It s Over The Smiths*. *I'm So Lonesome I Could Cry* Hanka Williamsa rozczuliła go po dziś dzień.

– Uporam się z tym – rzekła Louise. – Muszę, prawda? Siedzi o biurko ode mnie, na miłość boską. Mam mnóstwo pisemek dotyczących dzieci, które mogłabym jej dać.

– Nie rób tego.

– I parę śpioszków też. Nie powinnam ich była kupować, ale nie mogłam się oprzeć.

Thorne podszedł i wyłuskał z jej dłoni kieliszek.

– Chodź tu.

Kilka sekund później w sąsiednim pokoju rozdzwonił się telefon. Uniosła głowę znad jego ramienia. Już miała się od niego odsunąć, ale Thorne ją przytrzymał.

– To twoja komórka.

– Nieważne – mruknął.

– Odbierz.

– Niech dzwoni.

Louise wyrwała się z jego objęć i poszła do pokoju. Thorne zgrabnie wrzucił pustą puszkę do kosza. Usłyszał, jak Louise odbiera telefon i mówi:

– Chwileczkę.

Minęli się w drzwiach do kuchni, Thorne wziął od niej telefon. Rozpoznał głos dzwoniącego, brzmiącą w nim precyzję.

– Właśnie o panu myślałem – powiedział.

Pavesh Kambar zaśmiał się.

– Ja również o panu myślałem, inspektorze. Dlatego też dzwonię. Wielkie umysły i tak dalej.

Thorne czekał. Jediną znaną mu osobą, która używała zwrotu „dlatego też”, był Trevor Jesmond. *Dlatego też ważne jest przestrzeganie określonej procedury. Dlatego też zawieszam was w obowiązkach...*

– Pomyślałem o kimś, z kim powinien pan porozmawiać – powiedział

Kambar. – To pisarz.

– Dobra.

– Nazywa się Nicholas Maier.

– Sięgnę po pióro...

Znalazł długopis na stoliku przy drzwiach i wyjął z portfela świstek papieru. Kambar powtórzył i przeliterował nazwisko. Thorne je zapisał. Doktor wyjaśnił, że pisarz skontaktował się z nim dwa lata temu, mniej więcej rok po śmierci Raymonda Garveya, twierdząc, że chce przeprowadzić research.

Kolejny błyskotliwy bestseller z gatunku prawdziwe zbrodnie, pomyślał Thorne. Nazwisko nic mu nie mówiło. Choć nie pamiętał nazwisk autorów dwóch książek, które zamówił przez internet i które właśnie czytał, był pewien, że żaden z nich nie był Nicholasem Maierem.

– Ten facet pisał książkę albo uaktualniał to, co już napisał wcześniej. Dzwonił do mnie kilka razy, był też u mnie w szpitalu, i to kilkakrotnie. Najwyraźniej wiedział wszystko o stanie zdrowia Raymonda Garveya i chciał znać moją opinię w tej sprawie.

– Pańską opinię?

– Czy uważam, że oponiak mógł zmienić jego osobowość.

– To samo, co uparcie sugerował jego syn?

– O to mi właśnie chodzi. Dlatego zadzwoniłem – rzekł Kambar. – Twierdził, że ma informacje bezpośrednio od syna.

– Był z nim w kontakcie?

– Tak twierdził. Mówił tak, jakby został namaszczony na oficjalnego biografę Raymonda Garveya.

Thorne podkreślił podane nazwisko kilka razy.

– I co, odmówił pan? Nie chciał pan z nim rozmawiać?

– Oczywiście – odparł Pavesh, jakby to było głupie pytanie. – Kiedy

tylko dowiedziałem się, o co mu chodzi. Proponował też wynagrodzenie finansowe, ale powiedziałem mu, co może zrobić z tymi pieniędzmi. Był pewien, że w końcu się zgodzę. Ten typ tak ma, zgadza się? Zostawił mi swoją wizytówkę. Podać panu szczegóły?

Thorne zapisał numer telefonu i adres e-mailowy, a następnie podziękował Kambarowi, że zechciał do niego zadzwonić.

– To żaden kłopot – odpowiedział Kambar. – Kiedy się spotkaliśmy, wydawał się pan przekonany, że mężczyzna podający się za syna Garveya to ktoś bardzo ważny. Może okaże się, że to człowiek, którego pan szuka.

– Wszystko na to wskazuje.

– Wobec tego koniecznie powinien pan pomówić z tym literatem.

– Maier powiedział panu, że go zna? – spytał Thorne. – Że z nim rozmawiał?

– O tak, absolutnie – odrzekł Kambar. – Pan Maier dał mi wyraźnie do zrozumienia, że jest najlepszym przyjacielem Anthonyego Garveya.

## MÓJ DZIENNIK

### 3 PAŹDZIERNIKA

Nie zawsze jest łatwo, zwłaszcza w mieście takim jak Londyn, gdzie niemal każdy nie wiadomo kiedy może się zagubić, może stać się anonimowy, ale większość ludzi pragnie kontaktu z innymi. Łakną tej intymnej bliskości. Ja zapewne też pożądam jej tak jak wszyscy, ale odpuściłem to sobie dawno temu. To, że wszyscy inni zdają się tego pragnąć, tylko ułatwia mi zadanie. To właśnie chciałem powiedzieć. Dzięki temu łatwiej mi zbliżyć się do innych, wejść w ich życie. Wystarczy jedynie patrzeć i czekać na odpowiedni moment. Trzeba też wymyślić odpowiedni sposób, w jaki tego dokonać.

Na przykład można podejrzewać, że pielęgniarka troszczy się o ludzi. Wystarczy wpaść na nią parę razy. Udajesz ćpuna, który próbuje zerwać z nałogiem, i wiesz, że będzie ci współczuła. Stajesz się dla niej znajomą twarzą, kimś, komu zaczyna ufać aż do chwili, kiedy widzi kamień czy inny twardy przedmiot opadający w kierunku jej głowy. A ty obserwujesz. Poznajesz rutynę, schematy. O której godzinie mąż wraca ze szkoły do domu na lunch. Kiedy nadchodzi czas, żeby odwiedzić żonkę, jesteś dla niej tym facetem, z którym rozmawiała parę razy w supermarkecie czy gdzieś indziej. Nie jest wobec ciebie nieufna, jak mogłaby być, gdyby wcześniej cię nie spotkała. Jesteś twarzą zapamiętaną ze studenckiej siłowni albo facetem, który raz w tygodniu myje rodzinne auto. W końcu zaprasza cię na kawę i dowiadujesz się, że facet, o którego ci chodzi, i jego

żona żyją ze sobą jak pies z kotem.

Znajdujesz sposób, aby zrealizować swój plan.

Teraz staje się to coraz trudniejsze, ale zawsze wiedziałem, że tak będzie. Znalazłem tych, których najłatwiej było odszukać, i usunąłem ich pierwszych; przeszedłem na wyższy poziom. Rozkręciłem się. Najwyraźniej policja do tego czasu zaczęła już składać wszystko do kupy (a niektóre kawałki to nawet dosłownie, jak miemam) i domyślać się, co się dzieje.

No i dobrze. Teraz niech oni odwalą za mnie najcięższą robotę. Niech znajdą tych, których ja nie byłem w stanie odszukać. Mam nadzieję, że jeszcze nie wpadli na to, że o to mi właśnie chodzi.

\* \* \*

Znow sięgnąłem po pieniądze i wprowadziłem się do nowego, schludnego mieszkania, kawalerki w pobliżu dworca, takiej samej jak inne, dzięki czemu łatwiej mi się przemieszczać. Tym razem King's Cross. Nawet jeśli to potrwa tylko parę tygodni, lubię za każdym razem poznawać okolicę i sporo spaceruję po pobliskich uliczkach. King's Cross nie ma dobrej renomy, sporo tu prostytutek i narkotyków, ale mnie się podoba. Nikt specjalnie nikomu się nie przygląda, a mnie to odpowiada.

Jest dokładnie tak jak wcześniej, kiedy mówiłem o potrzebie anonimowości. O tym, że ludzie stają się anonimowi. Tak właśnie jest tutaj. To kolejna rzecz, która sprawia, że moje życie staje się prostsze.

\* \* \*

Facet w kiosku dziś rano zagaił do mnie o sprawie zabójstwa Mackenów, kiedy poszedłem kupić fajki. Wciąż sporo o tym trąbią w gazetach. Rodzinne zdjęcia i takie tam. Ale ani słowa o związkach z innymi, co zapewne oznacza, że policja trzyma karty mocno przy orderach. Facet w sklepie był cały nabuzowany. Przepełniał go, w jego mniemaniu, słuszny gniew. Byli tacy młodzi, powtarzał, mieli przed sobą całe życie. Dlaczego wiek miałby mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Zupełnie tego nie rozumiem. Jakby młodzi mieli większe prawo do życia od innych. Jakby to, co ich spotkało, było większą tragedią, niż kiedy jakiś staruszek zwali się ze schodów.

„Świetlana przyszłość” – tak napisali w gazetach. Facet z kiosku raz po raz wskazywał na artykuły w „The Sun”, „Mirror” czy innej bulwarówce i kręcąc głową, powtarzał, że to nieuczciwe, nie do pomyślenia. Że to nie w porządku.

Że w tak brutalny sposób wszystko zostało im odebrane.

Ukradzione.

Jak lata przesiedziane w więzieniu za czyn, którego nie popełniłeś. Jak zwyczajne życie.

Jak prawo do swobodnego poruszania się bez obawy, że ktoś spleunie ci w twarz albo cię pobije.

Kiedy nie musisz przez dwadzieścia godzin na dobę walczyć z uporczywymi bólami głowy i wić się w swojej celi, powoli odchodząc od zmysłów.

Koniec końców tylko pokiwałem głową, zabrałem swoje papierosy i czym prędzej się oddaliłem.

Z przekonaniem, że ten facet nie ma pojęcia, co znaczy „uczciwe” albo „nie w porządku”.

Myślałem o roli, jaką miałem odegrać w przyszłości w życiu kilkorga innych ludzi, niezależnie, czy ich przyszłość miała być świetlana, czy nie. Myślałem o wszystkich, którym mogło zostać ukradzione życie.



Thorne umówił się z Carol Chamberlain w Starbucksie przy Oxford Circus, precyzując, którą z niezliczonych kafejek tej sieci miał na myśli. Z powodu Northern Line spóźnił się piętnaście minut i kiedy Chamberlain dopiła kawę, poszli na spacer. Był pogodny, bezdeszczowy, sobotni poranek i na Oxford Street panował spory tłok. Do pierwszego października zostały jeszcze cztery dni, ale najwyraźniej wielu ludzi chciało mieć z głowy gwiazdkowe zakupy. Sklepy przyozdobiono już świątecznie, a z wnętrza dobiegały znajome melodie.

Slade, Wizzard, Pogues, cholerny Cliff Richard.

– To jakiś absurd – rzuciła Chamberlain.

– Nie prowokuj mnie – ostrzegł Thorne.

Thorne poznał Carol Chamberlain przed czterema laty, kiedy jej ingerencja w zahamowane śledztwo przyniosła pożądany przełom. Pięć lat wcześniej przeszła na emeryturę, ale od tej pory pracowała w Wydziale Spraw Zamkniętych, nowym zespole, który dysponował niezbędną wiedzą i doświadczeniem, składał się z emerytowanych funkcjonariuszy i zajmował się rozwiązywaniem dawnych, nigdy nierozwikłanych spraw. Wydział Sztywniaków, tak ich nazywano. Thorne również myślał o nich jak o wydziale geriatrycznym, dopóki nie spotkał Chamberlain. Z włosami po płukance i w miękkich papuciach albo z płóciennym kraciastym wózkiem na zakupy, z którym przechadzała się ulicami Worthing, gdzie mieszkała, mogła wydawać się niegroźna, ale on widział ją w akcji. Miał okazję zobaczyć, jak wyciągała informację od mężczyzny o połowę młodszego od

niej, co przyprawiło go o mdłości. Podobnie jak fakt, że choć był tego świadkiem, nie próbował interweniować, bo pomimo iż czuł woń przypalanej skóry tego człowieka, wiedział, że to konieczne.

Od tamtego zdarzenia nie rozmawiali ze sobą.

Wiele się u nich zmieniło od tamtej sprawy, która dotknęła ich oboje, choć każde z nich inaczej, a w ostatecznym rozrachunku kosztowała życie ojca Thorne'a. O tym także nie rozmawiali. Choć to tkwiło pomiędzy nimi jak cień, próbowali udawać, że go nie ma, jak zrobiłaby to każda inna para gliniarzy pomimo dzielących ich różnicy wieku oraz doświadczenia.

Przedzierając się przez tłumy, Thorne opowiedział Chamberlain o dochodzeniu, o tym, co łączyło dwie serie morderstw, które dzieliło piętnaście lat. Ona doskonale pamiętała sprawę Garveya, gdyż przez wiele lat pracowała w Wydziale Śledczym. Uczestniczyła nawet w kilku pierwszych przesłuchaniach.

– Nigdy nie powiedział, dlaczego to robił, prawda? – spytała Chamberlain. – Tak jak Shipman. Nigdy nie podał powodu swoich morderstw. Tacy są zawsze najgorsi.

– Może nie było żadnego powodu. Może po prostu to lubił.

– Ale zwykle jest jakiś powód. W przypadku większości z nich. Głos Boga popycha ich do działania. Albo odkrywają w piosence Britney Spears przesłanie od szatana. Cokolwiek.

– Cóż, ten z pewnością ma motyw – mruknął Thorne. – A w każdym razie tak właśnie uważa. Chce, żebyśmy wiedzieli doskonale, dlaczego to robi.

– Dobra, zapomnij, co powiedziałam. Tacy są najgorsi.

Zmierzali w stronę Tottenham Court Road, przechodząc przez

Oxford Street, bo Chamberlain zależało na spacerze w słońcu. Thorne opowiedział jej o poszukiwaniach trzech zaginionych synów ofiar

Raymonda Garveya i o telefonie od Pavesha Kambara.

Trochę poszperał i odkrył, że Nicholas Maier napisał książkę o sprawie Garveya, która została wydana drukiem na rok przed śmiercią zbrodniarza. Kupił egzemplarz *Pobitych na śmierć – zbrodnie Raymonda Garveya* w miejscowej księgarni w Camden, zanim zszedł do metra. Na pierwszy rzut oka książka wyglądała tak samo jak te, które nabywał przez internet. Te same zdjęcia i ten sam sensacyjny bełkot na tylnej stronie obwoluty. Wyjął książkę z teczki i pokazał Chamberlain.

– Kiedy się z nim widzisz? – spytała.

– W poniedziałek. Wysłał mi maila ze swojego „objazdowego cyklu wykładów” po Stanach. Wraca jutro.

Chamberlain zrobiła minę.

– Wiem – Thorne potwierdził, że zrozumiał jej niemy komentarz. – Takie rzeczy wyklada się tam na uniwersytetach. Lektorat z seryjnych morderców, czy jakoś tak. W mailu napisał, że za honoraria z tych wykładów zamierza wyjechać na wakacje. I że z przyjemnością się ze mną spotka.

– To mi się nie podoba.

Thorne zaśmiał się, bo doskonale wiedział, o co jej chodzi. On też zawsze patrzył podejrzliwym wzrokiem na kogoś, kto wydawał się z przyjemnością spotykać się z funkcjonariuszem policji. Praca, której się podjął, nie przysparzała mu sympatii.

– Przecież ja cię znam – dodała Chamberlain. – I nawet dla mnie spotkanie z tobą nie jest przyjemnością.

Przeszli przez ulicę i przecięli Soho Square. Choć nie było zbyt ciepło, na ławeczkach i na trawie rozłożyło się sporo osób z książkami w dłoniach. Przysiedli na ławce obok nerwowego kuriera, który właśnie kończył kanapkę. Mężczyzna wstał i oddalił się, zanim jeszcze przełknął ostatni kęs.

– To czego potrzebujesz? – spytała Chamberlain.

– Musimy wiedzieć, skąd pochodzi ten typ. Wydaje się, że to syn Garveya, więc zacznijmy od ustalenia, kim jest jego matka. Nie wygląda na to, żeby kontaktowała się z Garveyem.

Chamberlain wciąż trzymała książkę. Uniosła ją w dłoni.

– Dlaczego nie zapytasz o to swojego nowego przyjaciela?

Thorne wziął od niej książkę.

– Przejrzałem ją, ale nie ma w niej ani słowa o synu. Myślę, że Anthony Garvey skontaktował się z nim już po śmierci swojego ojca.

– Myślisz, że on chce, żeby Maier napisał kolejną książkę? Aby zajął się tą sprawą z guzem mózgu?

– Dowiem się w poniedziałek – odparł Thorne. – A tymczasem możesz zacząć grzebać, może uda ci się coś znaleźć. Zgodnie z opisami powinien być koło trzydziestki, więc urodził się jakoś piętnaście lat przed tym, jak Garvey zaczął zabijać. Zajmiesz się tym?

Chamberlain pokiwała głową.

– Mam do wyboru to albo uprawę ogródka. Doprawdy trudny wybór.

– Nie rozpieszczają cię zleceniami?

– Nie stać ich na mnie i na hipnoterapeutę.

– Słucham?

– Góra uznała, że dobrze byłoby przeprowadzić sesję regresji hipnotycznej u kilkorga świadków, aby przekonać się, co zapamiętali.

– Jasne. Chyba byłem Marią Antoniną i takie tam.

– Uważają, że świadek dzięki temu może przypomnieć sobie fragment numeru rejestracyjnego pojazdu. Sama nie wiem.

– Jezu. – Thorne'a nigdy nie przestało dziwić, z jaką łatwością w służbach marnotrawiono ciężkie pieniądze. – Sytuacja zrobiła się dość napięta, odkąd zdjęto cię ze sprawy dla Paula McKenny.

Chamberlain uśmiechnęła się. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując, co dzieje się wokół nich. Chudy nastolatek o szczurzej twarzy przechodził od jednej grupki do drugiej, prosząc o pieniądze, ale wszyscy zbywali go z gniewnymi spojrzeniami. Desperat. Spojrzał na Thorne'a, ale nie zaryzykował, żeby podejść.

– To ktoś, kto z całą pewnością nie miałby ochoty cię widzieć – stwierdziła Chamberlain.

Zapytała, jak idą poszukiwania Andrew Dowda, Simona Walsh'a i Grahama Fowlera i dlaczego policja nie zwróciła się o pomoc do mediów. Thorne powtórzył to, co usłyszał od Brigstocke'a o konieczności schwytania sprawcy i o teorii Kitson, że gliny używały Debbie Mitchell jako przynęty.

– Nic mnie nie zdziwi – rzekła Chamberlain. – Chodzi przede wszystkim o wynik, zgadza się?

– Jeżeli nie będą ostrożni, uzyskają go, choć nie taki, jakiego sobie życzą – powiedział Thorne.

Wyjaśnił, że robili co w ich mocy, by odnaleźć zaginionych mężczyzn konwencjonalnymi metodami – poprzez karty kredytowe, rejestr połączeń komórek i staroświeckie działania w terenie – ale jak dotąd bez rezultatu.

– Dowd wyjechał, aby odnaleźć siebie, tak przynajmniej twierdzi jego żona, jeżeli jej wierzyć. A dwaj pozostali jakby się zapadli pod ziemię. Może są bezdomni, na pewno gdzieś się włóczą. Wszyscy mają... problemy.

– Wydaje się, że mają raczej jeden wielki problem.

Thorne pokiwał głową, patrząc, jak cywilny ochroniarz klóci się z nastolatkiem o szczurzej twarzy, by go przepędzić.

– W sumie nic w tym dziwnego, prawda? Wszyscy oni są w większym lub mniejszym stopniu zwichrowani.

– Wszyscy dźwigamy ze sobą naszą przeszłość – powiedziała Chamberlain.

– Tak, może ten hipnoterapeuta ma jednak rację.

– Nosimy ją ze sobą jak grudki łąjna poupychane w kieszeniach. – Usiadła prosto, układając torebkę na udach. – My wiemy to lepiej niż inni, prawda?

Thorne nie patrzył na nią. Chudy nastolatek oddalał się, pokrzykując i wymachując rękami. Cywilny stróż porządku zaśmiał się i powiedział coś do jednej z osób leżących na trawie.

– A co u Jacka? – zapytał Thorne.

– Obawialiśmy się, że może mieć raka – wyjaśniła Chamberlain. – Ale wyniki są pomyślne.

Popatrzyła na Thorne'a i znów się odezwała, widząc, że trudno mu coś powiedzieć:

– A co u Louise? Jakoś mnie nie przekonałeś, że odpowiednio powetowałeś jej tę stratę.

Chamberlain i Louise nigdy się nie spotkały. Thorne nie widział Chamberlain od ponad roku, choć starał się dzwonić możliwie jak najczęściej. Poczł dziwne wyrzuty sumienia.

– Jest zajęta – odparł. – Wiesz, jak to jest.

– Dwoje gliniarzy razem. To zawsze jedna wielka pomyłka.

Nagle Thorne uświadomił sobie, że nie wie, czym się zajmował mąż Chamberlain, zanim przeszedł na emeryturę. Nie mógł o to zapytać, żeby się z tym nie zdradzić.

– Pewnie masz rację – przyznał.

Siedzieli tak jeszcze przez kilka chwil, pokiwali głowami, po czym wstali i przechodząc przez plac, udali się w stronę Greek Street i w głąb Soho.

– Później prześlę ci materiały – powiedział Thorne. – Wraz z kopią oryginalnych akt Garveya.

– Niezła lektura do poduszki.

– A co zwykle czytasz, Catherine Cookson?

Chamberlain uśmiechnęła się z przekąsem, po czym zwolniła, by zajrzeć przez witrynę do zakładu jubilerskiego. Nachyliła się, zerkając na ceny biżuterii, a następnie odwróciła się do Thorne'a i powiedziała:

– Nawiasem mówiąc, dzięki.

– Nie ma za co.

– Wiem, że mogłeś znaleźć kogoś bliżej domu.

– Nie przychodził mi do głowy nikt lepszy od ciebie.

– Przyjmuję to za komplement.

– Chcesz, żebym cię odprowadził?

– Nie wygłupiaj się.

Chamberlain zatrzymała się w małym hoteliku w Bloomsbury, gdzie policja stale wynajmowała dla swoich pracowników kilkanaście pokoi. Korzystali z nich przyjeżdżający z daleka funkcjonariusze z innych wydziałów, krewni ofiar, którzy nie mieli gdzie się zatrzymać, oraz od czasu do czasu wysocy rangą oficerowie, którzy z tego czy z innego powodu nie mieli ochoty wracać do domu.

– Miło pomieszkać przez pewien czas w hotelu – rzekła.

– Dobrze wykorzystaj ten czas – powiedział Thorne. I nagle się zaczerwienił, wspominając ostatnią noc spędzoną w hotelu, nieporozumienie w barze.

– Przynajmniej się wyśpię – odparła Chamberlain.

– Nigdy nie wiadomo, a jak cię poniesie?

– Jack tak chrapie, że doprowadza mnie to do szału.

– Przy odrobinie szczęścia znajdziesz w minibarku ovaltine.

– Zamknij się.

Na piętrze Grafton Arms przy stole bilardowym obowiązywała zasada, że wygrywający zostaje, i prawie godzinę trwało, zanim Thorne i Hendricks

mogli zagrać razem partyjkę. Przy stole rządził tępy osiłek w koszulce do rugby, który z łatwością ograł ich obu, aby następnie przerznąć z Hendricksem, wbijając czarną bilę do luzy w połowie rozgrywki. Hendricks pokonał kumpla rugbisty, a potem bezlitośnie ograł nastoletnią gothkę, która z podziwem wgapiła się w kolczyki patologa i sprawiała wrażenie, jakby nie odróżniała jednego końca kija od drugiego.

– Nie masz ani krzty litości – powiedział Thorne, kiedy Hendricks zgarnął wygraną.

– Chyba mnie polubiła – rzekł Hendricks. – Bo na bilardzie nie znała się ani trochę.

– Bilard to nie jedyna rzecz, o której nie miała pojęcia.

– To jak, piątaka za grę?

Thorne przyniósł dwa kufle guinnessa z baru na dole, podczas gdy Hendricks ułożył bile w ramce. W barze był tłok nawet jak na sobotni wieczór, ale knajpa znajdowała się zaledwie o dwie minuty piechotą od domu Thorne'a i znajoma okolica znacznie poprawiała mu nastrój. Oak był pubem dla pracowników policji, a co za tym idzie, Thorne nigdy nie mógł się tam odpowiednio wyluzować. W Grafton chyba nikt nie znał jego nazwiska, a przy barze brakowało typów skłonnych do filozoficznych dywagacji, jednak Thorne z radością przyjął skinienie głowy barmana i to, że ten bez słowa zrealizował jego zamówienie na guinnessa.

– Robię nie w tym fachu, co powinienem – powiedział Hendricks, nachylając się do rozbicia. – Pieprzona seria wykładów?

Thorne opowiedział mu o mailu od Nicholasa Maiera.

– Ty też dajesz wykłady, prawda?

– Tak i to, co zarabiam miesięcznie, nie wystarczyłoby na weekend w Weston-Super-Mare.

– Robisz to, bo to kochasz.



Hendricks wykonał rozbicie. Obszedł stół, nacierając kredą koniec kija.

– Może powinienem napisać rozprawę na temat tego przypadku. *Facet zabija dzieci ofiar swojego ojca, patologiczne implikacje wtedy i dziś*. Na pewno wydaliby mi ją wszędzie, a w Stanach to już na pewno.

– Śmiało – zachęcił Thorne.

Wiedział, że Hendricks tylko żartuje. Spojrzał na mocno wytatuowane przedramię przyjaciela, kiedy ten składał się do uderzenia, i przypomniał je sobie wciśnięte boleśnie w krtań bezdusznego technika.

– Gdybyś podczas tej objazdowej tury wykładów potrzebował kogoś do noszenia walizek, to, sam wiesz...

Teraz przyszła kolej na Thorne'a. Hendricks zajął się piwem i uśmiechnął się do gothki, która siedziała w rogu sali z dwójką przyjaciół.

– Dobra ta jego książka?

Thorne poświęcił całe popołudnie na lekturę *Pobitych na śmierć*, słuchając przy okazji sprawozdań z meczów.

– Nie odnalazłem w niej nic, z czym nie zetknąłbym się już wcześniej. Wszyscy, z którymi przeprowadził wywiad, wypowiedzieli się już w innych książkach na ten temat. Zdjęcia też takie same: Garvey i jego cholerne króliki. Tak to już jest z większością tych książek – zawierają ten sam materiał, tyle że odpowiednio przemielony. Skok na kasę.

– Nie ma co liczyć na nagrodę literacką?

Thorne spudłował i wrócił po swoje piwo.

– Po cholerę ludzie czytają takie rzeczy?

Hendricks wbił kilka bil.

– To tak jak z pamiętnikami pełnymi bólu i cierpienia – powiedział, nie odrywając wzroku od stołu. – Idziesz do księgarni, a tam cały regał z książkami z dziedziny literatury faktu, o dzieciakach, które zamykano w piwnicy, o ludziach, którzy mieli osiemnaście odmian raka, i tego typu

rzeczy.

– Nie rozumiem.

– Ludzie są zadowoleni, gdy widzą, że innym wiedzie się gorzej niż im. Dzięki temu czują się... bezpieczniej...

– Moim zdaniem to tylko tania sensacja – powiedział Thorne. Patrzył, jak Hendricks celnie wbija do łuzi przedostatnią bilę. – Ty cholerny farciarzu.

– To po prostu zręczność, stary.

Hendricks przestrzelił ostatnią bilę, pozostawiając czarną bilę pośrodku stołu. Mając jeszcze cztery do rozegrania, Thorne próbował wymyślić coś sprytnego i wybić czarną bilę na trudne pole. Bez powodzenia, za to ułatwił zadanie Hendricksowi.

– Może ludzie czytają te książki, żeby dowiedzieć się dlaczego – powiedział Hendricks. – Mam na myśli książki o Garveyu, Shipmanie i całej reszcie. Chcą wiedzieć, dlaczego takie rzeczy w ogóle się dzieją.

– Chyba dajesz im zbyt wielki kredyt zaufania.

– Nie twierdzę, że oni wiedzą, iż to właśnie robią, ale to ma sens, jeżeli się nad tym zastanowić. Z tego samego powodu zmieniają tych ludzi w potwory, mówią o złu i w ogóle. Dzięki temu łatwiej zapomnieć, że ci ludzie byli zwykłymi budowniczymi, lekarzami i sąsiadami. To nie samych zabójców tak naprawdę się obawiamy. Raczej tego, że nie wiemy, co ich do tego popchnęło, dlaczego to zrobili i gdzie może się pojawić następny. To nas przeraża najbardziej.

Hendricks nie wykonał jeszcze swojego uderzenia.

Thorne miał świadomość, że kolejny gracz, chłopak z postawionymi na żel włosami, siedzący przy stoliku gothki, słał w ich stronę gromy, czekając, aż wreszcie zakończą swoją rozgrywkę.

– Mogą sobie czytać o Raymondzie Garveyu, ile tylko chcą – rzekł

Thorne i przypomniał sobie rozmowę z Carol Chamberlain. – W jego wypadku nie ma mowy o „dlaczego”. Nawet nie zabił żadnego swojego królika.

Kiedy Hendricks wbił ostatnią ze swoich bil, chłopak z nastroszonymi włosami postąpił naprzód i położył pieniądze na krawędzi stołu. Hendricks odstawił kij, powiedział chłopakowi, że robi sobie przerwę, po czym wrócił z Thorneem do stolika, pozwalając, by jego miejsce zajął kolejny gracz czekający w kolejce.

– A więc może winę za to, co się stało, ponosi guz? Zamiana osobowości? – podsunął Hendricks.

– Kamar mówi, że nie.

– Ale hipotetycznie.

– To bzdury.

– Powiedzmy, że masz silny tik, coś, co sprawia, że tracisz nad sobą panowanie.

– Myślę, że w końcu ci odbiło, stary.

– Przypadkiem uderzasz kogoś w zatłoczonym pubie. Ten ktoś upada, uderza głową o podłogę, rozbijając sobie czaszkę, i umiera wskutek krwotoku wewnątrzczaszkowego. Ale to przecież nie twoja wina, że tak się stało, prawda?

– To nie to samo.

– Wiem. Tak tylko mówię. Ale z punktu widzenia prawa byłoby to... interesujące.

– Jeżeli przez „interesujące” rozumiesz, że gromada cwanych prawników nabiłaby sobie dzięki temu kabzy, to tak, zapewne. Jakby nie dość nam już uprzykrzali życie.

Thorne napił się i przez pół minuty obserwował grę w bilard.

– Tak czy siak, Kamar uważa, że to bzdury.

– Cóż, on jest specem od mózgu – przyznał Hendricks.

Chłopak z nastroszonymi włosami odszedł od stołu. Jego miejsce zajął rugbista, wziął kij od przegranego i bez słowa wyłożył kasę na stół.

– Nawet gdyby coś w tym było, syn Garveya nie ma pieprzonego oponiaka.

– Może myślisz, że ma – odparł Hendricks.

– Słucham?

– Jest wiele badań sugerujących, że niektóre czynniki wpływające na rozwój niektórych odmian raka mogą być dziedziczne.

– Wkręcasz mnie.

Hendricks pokręcił głową i dopił piwo.

– Zauważ, że prowadzono również badania, zgodnie z którymi takim czynnikiem może być leworęczność, więc...

– Tylko tego nam trzeba – mruknął Thorne. – Jakiegoś śliskiego adwokacika domagającego się uniewinnienia jego klienta od zarzutu o morderstwo, bo facet jest mańkutom.

Hendricks zapłacił za następną kolejkę, skoro i tak Thorne stracił już pieniądze, przegrywając do niego w bilard. Zjedli chipsy i prażynki pieprzowe, obserwując, jak rugbista wbija kolejno dwie trudne bile.

– Byłem w tym niezły – powiedział Thorne.

– Zardzewiałeś, stary. Tak bywa, kiedy masz w domu stabilną sytuację.

Po raz pierwszy w ich rozmowie pojawił się temat Louise. Hendricks spędził z nią popołudnie, krążąc po sklepach w Hampstead i Highgate przed lunchem w Pizza Express. Thorne pozostał w domu z książką Maiera i Five Live do towarzystwa. Spurs przegrali z powodu zupełnie zbędnego karnego w ostatniej minucie, a frustrację Thorne'a tylko nieznacznie osłabiła wiadomość, jaką nagrał na automatycznej sekretarce Yvonne Kitson, podczas której przyznał się do nieroztropnie przyjętego zakładu.

– Ty i Lou dobrze się dziś bawiliście? – spytał Thorne.

Hendricks spojrzał na niego.

– Nie zapytałeś jej?

– Owszem, powiedziała, że świetnie się bawiła.

– Więc dlaczego...?

– Kiedy wróciła, nie mieliśmy czasu pogadać. A w każdym razie bez szczegółów. Powiedziała, że jest zmęczona i chce się położyć.

– Trochę się nachodziliśmy – przyznał Hendricks.

– Jak sobie radzi?

Hendricks znowu na niego spojrzał.

– Jezu. – Thorne stuknął pustą szklanką o blat stolika. – Nie do wiary, że siedzę tu i pytam cię o to, jak się czuje Louise.

– Nie musisz. Możesz zachować się jak kompletny wariat i samemu ją spytać.

– Zrobiłem to.

– I...?

– Twierdzi, że czuje się świetnie, ale jej nie wierzę. Ta ciężarna kobieta w pracy musiała podzielać na nią jak płachta na byka, ale ona udaje, że nic się nie stało.

– Może faktycznie jakoś sobie radzi – powiedział Hendricks. – Lou to twardy kawał cholery. Zresztą sam wiesz.

– Chyba nic już nie wiem – odparł Thorne i dopił piwo. – Co o tym myślisz, Phil?

– Myślę, że... minął nieco ponad tydzień, zgadza się? Uważam, że potrzeba jej trochę swobody. I przestań ją traktować, jakby była śmiertelnie chora.

– Mówiła coś?

– Tak, mniej więcej to, co właśnie usłyszałeś.

– Jezu.

– To samo powiedziała o tobie. Że mówisz, że wszystko gra, ale ona ani trochę ci nie wierzy.

Chłopak z nastroszonymi włosami wbił rozbijającą bilę do luzu. Rugbista triumfalnie uniósł zaciśniętą pięść, sięgnął po białą bilę i ustawił do pierwszego z dodatkowych wbić.

– Przepraszam, trochę się zapatrzyłem – powiedział Thorne.

– Nie ma sprawy, stary – Hendricks podał puste szklanki przechodzącemu pracownikowi baru. Odwrócił się do Thorne'a. – Wszystko u ciebie w porządku?

Thorne pokiwał głową, ale spojrzenie, jakie w odpowiedzi posłał mu przyjaciel, sugerowało, że trochę się pospieszył. Nie mógł odpowiedzieć szczerze, a przynajmniej nie do końca. Nie mógł powiedzieć Hendricksowi ani nikomu innemu tego, co czuje, i że to wypełnia jego usta smakiem spalenizny, goryczy i złości.

– Jakoś trzeba dawać radę, no nie?

– Raczej – mruknął Hendricks.

– A co z tobą? Jakies nowe kolczyki na horyzoncie?

Hendricks milczał przez kilka sekund. Od pewnego czasu to był między nimi dość drażliwy temat – od pewnej sprawy sprzed roku, która prawie zdruzgotała ich przyjaźń. Hendricks stał się celem człowieka, którego Thorne usiłował schwytać, i omal nie zginął, szukając przygodnego seksu w kolejnych gejowskich barach. Dzięki Louise udało się złagodzić tę sytuację i to w miarę szybko, ale życie erotyczne Hendricksa wciąż pozostawało drażliwą kwestią.

– Żadnych stałych kolczyków – uśmiechnął się. – Tylko klipsy przypinane od czasu do czasu.

Zapytał, czy może jeszcze napiją się po jednym, ale Thorne odparł, że na

dziś to mu wystarczy.

– Ty zostań i walnij sobie jeszcze jednego – powiedział. – Ja wrócę i już się położę. Może Louise jeszcze nie śpi...

Hendricks znów spojrzał w stronę stołu bilardowego, gdzie rozgrywka właśnie dobiegła końca, a zwycięzca szukał kolejnego chętnego, który chciałby się z nim zmierzyć. Powiedział Thorne'owi, że nie zamierza zostać długo.

– Ale nie odmówię sobie przyjemności, żeby jeszcze raz spuścić łomot temu dupkowi w koszulce do rugby.

– Po cholere masz się męczyć i w ogóle grać w bilard – odparł Thorne. – Wrzuć dwie bile do skarpety i daj mu nimi po łbie.

– Poważnie się nad tym zastanawiam – powiedział Hendricks, wstając. – Posłuchaj, jeżeli nie wrócę za godzinę, to znaczy, że pojechałem do domu z tą dziewczyną, która wygląda jak Marilyn Manson.

Nicholas Maier mieszkał w Islington na parterze georgiańskiego domu z tarasami usytuowanego przy spokojnym placu za Upper Street. Thorne zaparkował w zatoczce dla rezydentów i pozostawił na desce rozdzielczej BMW plaketkę „Policja”. Pogoda wciąż dopisywała.

Thorne i Holland zostali wprowadzeni do dużego salonu, podczas gdy Maier poszedł po kawę. Dywan był krzykliwie kolorowy, ale ewidentnie drogi, a regały po obu stronach kominka ugięły się od książek, lecz zawierały jedynie egzemplarze książek Maiera. Pokój wyglądał nieskazitelnie. W dużych chińskich wazonach na narożnych stolikach puszyły się wykwintne aranżacje kwiatowe, a wielki telewizor plazmowy zawieszony nad kominkiem aż lśnił czystością i nie miał na sobie ani drobinki kurzu. Poza dużym rudym kotem śpiącym na krześle przy drzwiach nic nie wskazywało na to, aby Maier dzielił z kimkolwiek mieszkanie.

– I miał już zaparzony dzbanek kawy – rzekł Holland. – Podoba mi się, kiedy ludzie zadają sobie pewien trud.

– To żaden trud – powiedział Maier, otwierając stopą drzwi i podchodząc z tacą do niskiego stolika. Głos miał głęboki i doskonale modulowany jak u prezentera nocnego programu radiowego. – Wczoraj w nocy wróciłem ze Stanów, więc nie miałem za dużo czasu, aby trochę tu ogarnąć. Mój gabinet wygląda nieco gorzej, ale ogólnie rzecz biorąc, nie lubię bałaganu.

– Miło tu – przyznał Holland.



Maier zaprosił ich, aby usiedli na kanapie, po czym zaczął nalewać kawę.

– Pisanie odgania demony – powiedział.

– Najwyraźniej. – Thorne pokiwał głową.

Był pod wrażeniem i wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Hollandem. Trochę poszperał i wiedział, że Nick Maier odziedziczył nieruchomość po ojcu, zamożnym biznesmenie, który zmarł, kiedy jeszcze Maier studiował dziennikarstwo.

Maier spytał, czy smakuje im kawa, i podsunął w ich stronę talerzyk z biszkoptami. Miał na sobie spodnie khaki, łososiową koszulkę polo, a do tego brązowe sztruksowe mokasyny nałożone na gołe stopy i trochę za dużo złotej biżuterii. Wyglądał jak agent nieruchomości z przedmieścia.

– Bardzo pan opalony – zauważył Holland.

– Pogoda dopisywała, o ile rzecz jasna nie musiałem przesiadywać w cholernych salach wykładowych.

– Gdzie?

– Na Zachodnim Wybrzeżu – odrzekł Maier. – W L.A., Santa Barbara, San Diego. Był pan?

Holland pokręcił głową.

– Dzięki, że zechciał pan spotkać się z nami tak szybko – powiedział Thorne.

Maier sięgnął po biszkopta i usiadł wygodnie.

– Trudno sobie wyobrazić, żeby kogoś, kto robi to co ja, nie zaciekawiloby to. – Popatrzył na Thorne'a i Hollanda i uniósł rękę. – A więc...?

Thorne opowiedział mu o rozmowie z Paveshem Kambarem, telefonach i wizytach, o których dowiedział się od lekarza. I o tym, że zdaniem Pavesha Maier musiał znać Anthony'ego Garveya.

– Nie wydaje mi się, żebym go nękał – rzekł Maier. – Ale z punktu

widzenia tego, o czym próbowałem pisać, doktor Kambar był dla mnie bardzo ważną osobą i dlatego... byłem nieustępliwy. Taką mam pracę.

I taką pracę macie wy, panowie, jak sądzę.

– Proszę opowiedzieć nam o Garveyu – powiedział Thorne. – Juniorze.

– O mojej największej pomyłce, znaczy się.

– Słucham?

Maier znów uniósł dłoń, jakby dawał do zrozumienia, że dojdzie do tego wkrótce. Dokończył biszkopt, strzepując okruchy z przodu koszuli.

– Napisałem książkę o zbrodniach Raymonda Garveya.

Thorne wskazał na swoją aktówkę.

– Mam egzemplarz.

– Mogę dać panu autograf, jeśli pan zechce, choć domyślam się, że nie po to pan tu przyjechał. Na e-Bayu kosztuje co najmniej piąta. – Maier zaśmiał się, ale jego próba umniejszenia własnych dokonań była równie przekonująca jak sztuczny uśmiech Thorne'a. – Człowiek, o którym dowiedziałem się później, że jest synem Raymonda Garveya, przeczytał ją i skontaktował się ze mną.

– Kiedy to było?

– Mniej więcej pół roku po śmierci Garveya, czyli jakieś dwa i pół roku temu.

– Jak się z panem skontaktował?

– Wysłał maila na moją stronę internetową. Z kafejki, jeżeli to pana interesuje. Sprawdziłem. Wymieniliśmy kilka maili, a on powiedział, że może mieć dla mnie coś ciekawego, więc podałem mu domowy numer. Zadzwoił i niebawem powiedział mi, czego chce. Oczywiście miał rację. Bardzo mnie to zainteresowało.

– Spotkał się pan z nimi?

– Niestety nie. Kontaktowaliśmy się przez maile i telefonicznie.

– Opowiadał panu tę dziwną teorię o guzie mózgu, prawda? -zapytał Holland. – O zmianie osobowości...

Maier pokiwał głową, jakby spodziewał się tego pytania.

– Anthony w to wierzył i to jest najważniejsze.

– Nie ma znaczenia, że pan w to nie wierzy? – spytał Thorne.

– Ja tylko opowiadam pewną historię – odrzekł Maier. – I niezależnie od tego, co panowie myślą, to była cholernie mocna historia. Prawdopodobieństwo, że jeden z najbardziej osławionych zabójców w ostatnich pięćdziesięciu latach nie był odpowiedzialny za swoje czyny, to prawdziwa sensacja. Jak mogłem przejść obok takiego tematu obojętnie?

– Zakładam, że poprosił pan o dowód? – wtrącił Thorne. – Że Anthony jest tym, za kogo się podaje.

– Wysyłał mi listy albo kopie listów, które otrzymał od Raymonda Garveya przez lata, kiedy odwiedzał go w Whitemoor. – Maier zauważył spojrzenie Thorne'a. – Z przyjemnością je panom pokażę. Ray Garvey uważał, że Anthony to z krwi i kości jego syn.

Holland wychylił się do przodu i ostrożnie odstawił filiżankę na tacę.

– A zatem... zwrócił się do pana, proponując napisanie kolejnej książki, która... ujawniłaby jego nowe odkrycie w związku ze sprawą?

– Zgadza się.

– Czy naprawdę liczył na ponowne otwarcie śledztwa? Kiedy jego ojciec już nie żył?

– Powiedział, żeby chce, aby prawda ujrzała światło dzienne.

Holland pokręcił głową.

– Jestem pewien, że zamierzaliście porozmawiać z niektórymi krewnymi ofiar Garveya. No wie pan, skoro chodziło o ujawnienie prawdy i była ona tak ważna...

– Nie zaszliśmy aż tak daleko – odparł Maier.

Thorne popatrzył na Hollanda, dając do zrozumienia, że chce przejąć kontrolę nad rozmową.

– Co się stało, kiedy zgodził się pan napisać tę książkę?

– To oczywiste, poszedłem z tym pomysłem do wydawcy. Ten dosłownie jadł mi z ręki. I nawet się nie zawahał, gdy miał sięgnąć do kieszeni.

– Do kieszeni?

– Anthony chciał czterdzieści pięć tysięcy funtów za historię. Za udostępnienie więziennych listów ojca, wywiadów z nim i w ogóle. Niestety radość była przedwczesna, bo doktor Kambar odmówił współpracy. Nie pokusił się nawet o stwierdzenie, że guz mógł zmienić osobowość Garveya. Bez poparcia tej tezy przez specjalistę w dziedzinie neurochirurgii zabrnęliśmy w ślepią uliczkę. Później wszystko zaraz się posypało i nie muszę chyba dodawać, że straciłem przychylność mojego wydawcy.

– Przykro mi – Thorne starał się, aby to zabrzmiało szczerze.

Maier wzruszył ramionami.

– Później przez jakiś czas musiałem robić za ghostwritera. Napisałem autobiografie kilku znanych oficerów policji. Każdy ma jakieś historie do opowiedzenia. Domyślałem się, że pan również ma ich kilka, inspektorze.

– Nie pomyślał pan, aby pomówić z Kambarem, zanim przekazał pan pieniądze?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– To nie były moje pieniądze. Poza tym trzeba kuć żelazo, póki gorące. Facet mógł się zwrócić do kogoś innego.

Thorne wychwycił pewien trop.

– Domyślałem się, że wpłacił pan pieniądze na jakieś konto?

– Niestety nie. Płatność została dokonana gotówką.

– Co? W brązowej papierowej torbie pełnej używanych banknotów?

– W torbie sportowej przy kasach na dworcu Paddington. Szczerze mówiąc, myślę, że wydawcy spodobała się ta atmosfera tajemnicy rodem z powieści płaszcz i szpady. Poza tym wszyscy wiedzieli, że to mogłoby stanowić fascynujący wstęp do książki: ze zdjęciami potajemnego odbioru gotówki przez tajemniczego syna seryjnego mordercy, materiał pierwsza klasa.

– Zrobił pan zdjęcia?

– Wysłano fotografa, który ukryty pośród podróżnych na dworcu czekał z aparatem. Mam je gdzieś w moim gabinecie, gdyby zechciał pan rzucić na nie okiem.

– Mógłby pan...?

– Tak, oczywiście. – Maier wstał i podszedł do drzwi. Mijając Thorne'a, uśmiechnął się. – Znalazłem je, zanim panowie przyszlście.

Thorne milczał.

– Ale nie obiecywałbym sobie po nich za wiele. To nie Anthony Garvey odebrał pieniądze.

Holland zaczekał, aż Maier wyjdzie z pokoju, i rzekł:

– Straszny samolub.

– Skoro pokwapił się o wyszukanie tych zdjęć – powiedział Thorne – musiał wiedzieć, po co chcemy się z nim spotkać.

– Niczego mu pan nie sugerował?

Thorne pokręcił głową.

– Powiedziałem tylko, że chcemy z nim pomówić o sprawie związanej z jego pracą zawodową. Aby pomógł w prowadzonym przez nas śledztwie. Zwykły kit.

Zjedli jeszcze po biszkopie, czekając na powrót Maiera. Ten wchodząc ponownie do pokoju, powiedział:

– Oczywiście nie mogliśmy nic zrobić wtedy, gdy pieniądze były odbierane. Jak już wspomniałem, nie chcieliśmy, aby uciekł do kogoś innego. Ale później zapytałem go, kim była ta dziewczyna.

Thorne wziął od Maiera zdjęcia. Kilka czarno-białych fotografii dwadzieścia na piętnaście. Kobieta po dwudziestce, w dżinsach i puchowej kurtce. Wyglądała na zdenerwowaną. Fotograf uchwycił ją, kiedy się odwracała, podchodząc do torby pozostawionej przy okienku kasowym. Kolejne zdjęcia: ostatni raz upewnia się, że nikt nie zwraca na nią uwagi, schyla się, żeby podnieść torbę, zarzuca ją na ramię i rusza w stronę wyjścia.

– Kto to miał być jego zdaniem? – zapytał Thorne.

Maier stał za krzesłem, wpatrując się w zdjęcia ponad ramieniem Thorne'a.

– Jakaś dziewczyna, z którą się spotykał. Powiedział, że zapłacił jej sto funtów, żeby odebrała torbę, bo domyślił się, że przyjdziemy z obstawą, a on wolał pozostać anonimowy. Szkoda, ale nie byłem zbyt rozczarowany, bo zdjęcia wyszły całkiem nieźle. Zapytałem go, jak ona się nazywa, ale odpowiedział, że to bez znaczenia. Że już wypadła z obiegu.

Thorne podał zdjęcie Hollandowi.

– Co się stało, kiedy nie udało się panu dogadać z Kambarem?

Maier wrócił na swoje krzesło.

– Cóż, chociaż wiedzieliśmy, że to drugi najlepszy specjalista w kraju, skontaktowaliśmy się z wieloma innymi neurochirurgami, ale reakcje były podobne. Nie udało się nam nakłonić ich do wyrażenia...

oficjalnego stanowiska. I koniec końców musiałem powiedzieć Anthonyemu, że bez poparcia jego tezy przez eksperta wydawca zmuszony jest zrezygnować z książki.

– Jak to przyjął?

– Nie za dobrze – odparł Maier. – Było sporo krzyku, parę gniewnych

maili, co tylko zaogniło sprawę, bo byłem równie wzburzony jak on. Wykonałem już sporo pracy, jeśli chodzi o przygotowanie gruntu pod tę książkę, zacząłem nad nią pracować. I okazało się, że to wszystko na darmo.

– Jak się rozstaliście?

– Gdy rozmawiałem z nim ostatni raz, wydawał się o niebo spokojniejszy. Chyba dlatego, że nie było sposobu, abyśmy odebrali mu pieniądze. Powiedział, że rozważa inne możliwości. Wszystko to brzmiało bardzo tajemniczo, ale życzyłem mu powodzenia w jego planach. Co innego mogłem powiedzieć?

Maier wygładził fałdy na spodniach i poprawił mankiety, aż uznał, że prezentują jak należy. Usiadł prosto i założył nogę na nogę, a na jego twarzy pojawił się grymas zaciekawienia.

– To jak... ile osób zabił do tej pory Anthony? Cztery, zgadza się?

Thorne był zbity z tropu. Próbował odpowiedzieć błyskawicznie, ale jego zakłopotanie potęgowała radość, jaką ewidentnie Maier czerpał z jego wahania.

– Proszę posłuchać, to żadna tajemnica – rzekł Maier. – Dostatecznie długo zajmowałem się zabójstwami Raymonda Garveya, że bez trudu wychwytyję w gazetach nazwiska ofiar, mimo iż donoszono o nich jako o niepowiązanych ze sobą zabójstwach. O ile mnie pamięć nie myli, brat Catherine Burke zginął rok temu w wypadku samochodowym, a co za tym idzie – policzył szybko na palcach – Anthonyemu została jeszcze czwórka. Zakładam, że ostrzeżliście ich wszystkich?

– Nie bardzo wiem, co chciałby pan ode mnie usłyszeć. – Thorne wzruszył ramionami, jakby to nie było nic wielkiego. – Domyśla się pan, że nie mogę powiedzieć więcej ponad to, co już pan wie.

– Jeśli jest coś więcej.

– Poza tym byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan zatrzymać to, co pan

wie, dla siebie.

– Ma pan na myśli, żebym nie szedł z tym do prasy?

– Do nikogo.

– Rozumiem, dlaczego nie włączacie w to mediów – rzekł Maier. – Przynajmniej w kwestii tego, co łączy te dwie serie zabójstw. Ale ktoś w końcu to zwęszy, zdaje pan sobie sprawę? Dobry materiał o seryjnym zabójcy może znacznie podnieść sprzedaż gazet.

– I książek – dodał Holland.

Maier chyba zrozumiał aluzję.

– Miejmy nadzieję.

– A więc rozumiemy się? – zapytał Thorne.

– Cóż, ja z pewnością rozumiem pana, ale musi pan zrozumieć, że ja też chcę z czegoś żyć.

Thorne tylko zgrzytnął zębami i czekał w milczeniu.

– Chodzi mi o to, że kiedy będzie pan już mógł rozmawiać swobodnie albo gdyby nastąpił znaczący przełom w sprawie dalszych poczynań Garveya, liczę, że będę pierwszą osobą, do której pan się zwróci. A w każdym razie pierwszą bez policyjnej odznaki. – Sięgnął po ostatniego biskopka. – Co pan na to?

Thorne patrzył, jak Maier przeżuwa, jak pracuje jego słabo zarysowany podbródek, i uznał, że taka twarz prowokuje do zadania więcej niż jednego uderzenia pięścią. Powiedział:

– Ja na to, zgoda.

Maier pokiwał głową i znów sięgnął w stronę tacy.

– W dzbanku jest jeszcze sporo kawy.

Dziesięć minut później, sunąc wolno na północ Holloway Road, Holland powiedział:

– Zastanawiałem się nad tym, jak żyje Anthony Garvey.



Thorne zaklął szpetnie na korki, po czym spojrział na podwładnego.

– Chodzi mi o to, że nie może mieć żadnej normalnej pracy, zgadza się? Musiałby pozostawiać przez to jakieś ślady, a przecież musi sporo się przemieszczać, aby móc wytropić swoje ofiary. Domyślam się, że właśnie w tym celu wykorzystuje fundusze, które wycygał od Maiera.

– Jak to ujął Maier – dodał Thorne – Garvey rozważa inne możliwości.

– Niech to szlag, oni go zwyczajnie sfinansowali. – Holland przez pół minuty spoglądał przez boczną szybę. – A ten dupek wyjdzie na tym najlepiej, bo zgarnie kontrakt na kolejną książkę.

Thorne prawie go nie słuchał. Myślał o dziewczynie ze zdjęcia i o czymś jeszcze, co powiedział Maier. O słowach, jakich użył Garvey.

*Ona już wypadła z obiegu.*

*Więzienie Jej Królewskiej Mości Whitemoor*

- Co to za ślad na twojej twarzy?
- Nic mi nie jest.
- Chryste, sądziłem że będziesz tu... chroniony. Jako więzień szczególny.
- Niestety w tym skrzydle siedzą nie tylko pedofile. Są też różni osadzeni, trzeba ich trzymać osobno. To akurat pamiątka po ekspolicjancie. Ale też mu dołożyłem zdrowia, będzie mnie czule wspominał przez dobrych parę dni. I innych też.
- Tu jest jak w dżungli!
- Wczasy to nie są, bez dwóch zdań. Zwróć uwagę, mamy tu nawet playstation...
- Myślałem o tym, no wiesz, jak będzie, kiedy stąd wyjdiesz.
- Mówiłem ci, Tony, nie licz na to.
- Ale nie zaszkodziłoby pomarzyć, jak mogłoby być.
- Masz na myśli nas dwóch w parku kopiących cholerną piłkę?
- Odrobina optymizmu by ci nie zaszkodziła.
- Gadasz bzdury.
- Mówię tylko, że nigdzie się nie wybieram.
- Dobrze, to bardzo dobrze.
- Muszą być miejsca, które chciałbyś odwiedzić, coś, co chciałbyś zobaczyć.
- O tak. Miło byłoby zobaczyć pub od środka. I parę solidnych

buforów, które nie są cyckami ważącego ponad sto kilo oprycha.

– Nie wiedziałem, że masz poczucie humoru.

– Trzeba się czasem pośmiać.

– Jakoś tego w tobie nie dostrzegałem. Poczucia humoru znaczy się. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz coś mnie szczerze rozbawiło. Widzę ludzi oglądających telewizję, zaśmiewających się do rozpuku przy jakimś durnym sitcomie czy komedii, ale... nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Miałeś ostatnio trudny okres, to wszystko.

– Czy śmiałem się, jak byłem mały?

– Skąd mógłbym wiedzieć?

– Nie całkiem mały, ale kiedy mnie widywałeś?

– Nie pamiętam. To było tylko parę razy.

– Obaj wiemy, czyja to wina.

– Nie zaczynaj od nowa.

– O co chodzi?

– Głowa zaczyna mnie boleć, kiedy mówisz o swojej matce. Naprawdę.

Ostatnim razem zaraz po twoim wyjściu puściłem pawia.

– Już ci mówiłem, że doskonale to rozumiem. To nie była twoja wina.

– Oczywiście, że to była moja wina. Wszystkie te kobiety. Żadnych wymówek.

– Oto co dostajesz za dochowywanie tajemnic.

– Czy możemy porozmawiać o czymś innym?

– Czemu nie?

– Spotykasz się z kimś?

– Masz na myśli z dziewczynami?

– Z dziewczynami, z chłopakami, bo ja wiem.

– Spadaj, tato.

– A więc?

- Od przypadku do przypadku. Żadnych stałych związków. A bo co?
- Wciąż to do mnie nie dociera. Kiedy tak się do mnie zwracasz. Kiedy mówisz do mnie „tato”.

## 21

Jeżeli założyć, że nowina o wygranej na loterii to szczyt szczęścia, a wiadomość, że ma się raka, to szczyt nieszczęścia, telefon, jaki otrzymał Thorne ubiegłego wieczoru, mógłby z łatwością przyćmić wagę tej drugiej wiadomości. Brigstocke mówił szybko i bez wahania, nie chcąc dać Thorne'owi okazji, aby zaczął krzyczeć albo się rozpłakał, dopóki nie skończy:

– Pamiętasz, że wspominałem o możliwości zwołania sztabu kryzysowego? Zaplanowano go na jutro o dziesiątej. Życzę sobie, abyś tam był, i może powinieneś wyciągnąć z szafy garnitur. Tak, dobrze usłyszałeś, garnitur.

– Czy mam jakiś wybór?

– A jak ci się zdaje?

– Nie uważasz, że mógłbym poświęcić ranek na coś bardziej produktywnego? Na przykład próbując odnaleźć tę dziewczynę ze zdjęcia Maiera? Tak mi tylko wpadło do głowy.

– Tom...

– Kręci cię to?

– Nie wyzywaj się na posłańcu.

– Myślałem raczej, żeby go udusić.

– Tylko nie wkurz zbyt wielu z nich, dobra?

– Teraz to już przesadziłeś.

– Miłego wieczoru.

– Aż do tej pory był miły – mruknął Thorne.

Teraz, dwanaście godzin później, Thorne siedział przy gładko polerowanym stole z jasnego drewna w dusznej sali konferencyjnej Scotland Yardu. A wraz z nim jeszcze sześć innych osób, każda zaopatrzona w notes i parę świeżo zaostrzonych ołówków. Na blacie stały też dzbanki z wodą i szklanki. Thorne uśmiechał się podczas zdawkowej pogawędki, zastanawiając się, jak zareagowałiby ci ludzie, gdyby oparł się czołem o blat i poprosił o zimne piwo, i czekając, aż nagrzane powietrze w sali stanie się tak gęste, że można by w nim zawiesić siekiere.

Związek Komendantów Policji był odpowiedzialny za zwoływanie tego rodzaju zebrań, a przewodniczył mu komendant danego wydziału zabójstw. Alistair Johns był niskim, krępy męczyzną po pięćdziesiątce, o wiecznie skrzywionym wyrazie twarzy, jakby stale musiał maszerować w strugach deszczu. Rozpoczął zebranie, upewniając się, że wszyscy obecni znali się nawzajem. Poza Trevorem Jesmondem i Russellem Brigstockiem był tam jeszcze ponury detektyw sierżant nazwiskiem Proctor z sekcji PR i niejaka Paula Hughes, którą Thorne uznał za rzeczniczkę prasową policji. Inna kobieta, funkcjonariuszka mundurowa, której nazwisko przeoczył, tłumiąc ziewnięcie, sporządzała raport z zebrania. Thorne wychwycił jej spojrzenie. Wyglądała, jakby już miała dość albo może myślała o czekającej ją pracy, przepisywaniu notatek, niekończących się maili i przygotowaniu raportu dla wszystkich od komisarza po burmistrza.

– Potrzeba nam przełomu – powiedział Johns – zwłaszcza w obecnie prowadzonym śledztwie i jestem wdzięczny, że nadinspektor Brigstocke oraz detektyw inspektor Thorne znaleźli czas, by do nas dołączyć.

Thorne zerknął na Brigstocke'a, którego nagle zafascynował jakiś szczegół na blacie stołu.

– Musimy jednak liczyć się z licznymi problemami, zwłaszcza w kwestii informowania opinii publicznej o szczegółach prowadzonego dochodzenia,

i w związku z tym musimy już teraz podjąć kilka kluczowych decyzji. Zaczniemy przygotowywać odpowiedzi na pytania, które padną, niezależnie od tego, czy osiągniemy jakieś wyniki, czy też nie.

– Wyniki będą – odezwał się Jesmond.

Skinął na Brigstocke'a, którego zainteresowanie fascynującym fragmentem blatu wzrosło jeszcze bardziej. Pewność siebie Jesmonda była pożądana, Johns nie miał najmniejszej ochoty usłyszeć w głosie nadinspektora żadnego powątpiewania. Odrobina zawadiackiej pewności siebie zawsze była przez górę mile widziana.

Podobnie jak wazelinarstwo.

Kiedy Thorne po raz pierwszy usłyszał o zebraniach sztabu kryzysowego, podejrzewał, że powoływano je wskutek zamachów terrorystycznych itp., ale szybko odkrył, iż stanowiły jedynie rodzaj forum przeciwko złej prasie. Dyskutowano na nich o sprawach, które mogły okazać się źródłem zmasowanej krytyki ze strony mediów lub opinii publicznej. Chodziło w nich zazwyczaj o ograniczenie strat. A niekiedy o wyprzedzenie ataku.

– Musimy porozmawiać o mediach – rzekł Johns. – Jak mamy je wykorzystywać lub ich nie wykorzystywać, kiedy śledztwo ruszy z miejsca. Oczywiście kwestię seryjności zbrodni należy utrzymywać w tajemnicy możliwie jak najdłużej.

– Po ptakach – odezwał się instynktownie Thorne i ze spokojem spojrzał na Jesmonda, którego wzrok mówił mu wyraźnie, że powinien milczeć. – Przynajmniej jeden dziennikarz już zdołał to rozgryźć.

Johns zajrzał do swoich notatek.

– Nicholas Maier. Ale zapewnił, że zdaje sobie sprawę z konieczności zachowania dyskrecji.

– Spodziewa się, że będziemy mu dostarczać informacji o sprawie

w zamian za milczenie. Jeżeli dopisze mu szczęście, może zdoła napisać z tego książkę.

– Na to raczej nic nie poradzimy – wtrącił Brigstocke.

Jesmond rozpoczął tyradę o Nicholasie Maierze i jemu podobnych, którzy żyją, żerując na cierpieniu innych. Nazwał ich sępami i pijawkami, dodając przy tym, że w łańcuchu pokarmowym znajdowali się niewiele wyżej od samych morderców. Zebrani przy stole zareagowali na to potaknięciami głowy. Wszyscy oprócz jednego. Komentarz Jesmonda brzmiał przekonująco, ale Thorne wiedział, że nadkomisarzowi zależało jedynie na własnym tyłku i, ma się rozumieć, dalszej karierze. Dwaj mężczyźni znów wymienili spojrzenia, a Thorne uśmiechnął się, jak na grzecznego chłopca przystało. W głębi duszy zastanawiał się, która z tych pijawek napisze za kilka lat autobiografię Jesmonda.

– Będziemy mieć pana Maiera na oku – zapewnił Johns. – Ale dziś rano naszym głównym tematem są poszukiwania trzech potencjalnych ofiar zabójcy – Zerknął do notatek. – Andrew Dowda, Simona Walsh i Grahama Fowlera.

– W obecnej sytuacji jesteśmy skłonni zacząć rozpropagowywać ich zdjęcia – powiedział Brigstocke.

Thorne spojrzał z ukosa na nadinspektora i ogarnął go podziw dla tego człowieka. Przed spotkaniem zachowywał się podejrzanie obojętnie i Thorne nie postawiłby złamanego gorsza na to, jaką obierze strategię działania.

– Czy to da się szybko zrealizować? – zapytał Johns.

Brigstocke skinął głową.

– Zdjęcia Fowlera i Walsh, jakimi dysponujemy, nie są aktualne, ale to jedyne, co mamy – starą fotografię Walsh z jego prawa jazdy i nieco nowsze, które zdołał wyszukać dla nas ojciec Fowlera. Powinniśmy



otrzymać kilka aktualnych zdjęć Andrew Dowda od jego żony kiedy tylko o nie poprosimy.

– O ile go z nich nie powycinała – wtrącił Jesmond. – To najwyraźniej jędba jakich mało.

Johns spojrział w stronę Pauli Hughes. Miała kręcone brązowe włosy i zdanien Thorne'a pokazywała zbyt wiele zębów, kiedy się uśmiechała.

– Jutro możemy opublikować zdjęcia w gazetach w całym kraju – powiedziała. – Albo nawet zaprezentować je jeszcze dziś w wiadomościach o szóstej, jeżeli się sprężymy.

Johns pokiwał głową i coś zanotował.

– Wciąż się wahamy – rzekł Jesmond – czy powinniśmy w ten sposób informować Garveya, że jesteśmy na jego tropie.

Westchnienie Thorne'a musieli usłyszeć wszyscy zebrani przy stole. Głowy odwróciły się w jego stronę.

– Myślę, że on doskonale zdaje sobie z tego sprawę – stwierdził. – I że ani trochę się tym nie przejmuje. W przeciwnym razie po co miałby zostawiać te fragmenty kliszy rentgenowskiej?

Jesmond spiorunował go wzrokiem.

– To wyjątkowo niebezpieczne wysuwać jakiegokolwiek przypuszczenia, gdy chodzi o człowieka takiego jak Anthony Garvey. Nie mamy do czynienia z racjonalnym umysłem.

– Tym bardziej nie należy ryzykować.

– W pełni się z tym zgadzam. Dlaczego zatem mamy upowszechniać zdjęcia ludzi, których zamierza zabić?

– Żebyśmy mogli ich znaleźć. *Ty tępy idioto.* – Te ostatnie słowa zabrzmiały pod czaszką Thorne'a tak wyraźnie, że przez moment zastanawiał się, czy nie powiedział ich głośno. Zauważył spojrzenie policjantki sporządzającej notatki. Najwyraźniej wcale nie musiał.

– Trzeba liczyć się z ewentualnością, że w ten sposób mu pomożemy.

– Myślę, że on wie, kogo ściga. – Thorne starał się, by jego ton nie zabrzmiał sarkastycznie. – A jeżeli nie uczynimy, co w naszej mocy, aby odnaleźć ich już teraz, najprawdopodobniej on dopadnie ich przed nami.

– Jak miałby tego dokonać?

– Szuka ich o wiele dłużej niż my – Thorne upewnił się, że zdołał zwrócić uwagę Johnsa. – A jeżeli nie użyjemy tych zdjęć, może wyjść na to, że on stara się jeszcze bardziej niż my.

Jesmond poczerwieniał i zaczął stukać ołówkiem w brzeg blatu. Thorne bardzo się ucieszył, stwierdzając, że jasne włosy tamtego wydawały się nieco bardziej przerzedzone, a na jego twarzy widniało więcej żyłek.

– Przepraszam – mruknął Thorne. – Po prostu nie rozumiem, skąd tyle obaw.

– A jeśli wykorzystamy te zdjęcia, opublikujemy je w prasie, a Garvey znowu zabije?

– A jeśli tego nie zrobimy i on znowu zabije?

– Cóż, obu tych scenariuszy staramy się uniknąć. Musimy jednak się zastanowić, który z nich jest bardziej... problematyczny.

– Problematyczny?

Thorne, patrząc na Jesmonda, przypomniał sobie, że czytał kiedyś o amerykańskiej firmie produkującej auta, która odkryła w jednym swoich modeli potencjalnie groźną usterkę. Po rozważeniu wielu możliwości zarząd firmy postanowił nie informować opinii publicznej. Z ich kalkulacji wynikało bowiem, że więcej kosztowałoby zorganizowanie ogólnokrajowej akcji wycofywania wadliwych aut niż wypłata odszkodowania rannym i rodzinom osób, które poniosą śmierć w wypadkach.

*Bardziej problematyczny...*

– O tym właśnie mamy pomówić – powiedział Johns. – Nie chcemy, by

oskarżono nas, że nie uczyniliśmy wszystkiego, co mogliśmy, gdyby ta informacja przeniknęła do opinii publicznej.

– A przeniknie – mruknął Thorne.

Jesmond pokręcił głową.

– Dopóki uda nam się ukryć związek pomiędzy ofiarami, taką falę krytyki zawsze zdołamy zdusić w zarodku.

– Gazety dokopią się do tego – powiedział Thorne. – Za dużo jest różnych cwaniaków skorych do mówienia i pismaków wymachujących książeczkami czekowymi. Zresztą cała sprawa i tak wyjdzie na jaw, kiedy Maier opublikuje kolejną książkę.

Thorne'owi wydawało się, że dostrzega mroczny cień przepływający przez oblicze Jesmonda, ale to trwało tylko przez chwilę. Jesmond wiedział, że najprawdopodobniej zanim pojawią się kłopotliwe opinie, on znajdzie się już poza ich zasięgiem. To jego następca będzie musiał się z tym zmierzyć. Thorne był przekonany, że Johns uważał tak samo.

Thorne wciąż będzie wtedy w tym samym miejscu, podobnie jak rodziny Catherine Burke, Emily Walker i Mackenów.

Jesmond zdjął okulary i zaczął przecierać szkła chustką.

– Wyzaczyliśmy kolejną grupę funkcjonariuszy do udziału w poszukiwaniach Andrew Dowda i pozostałych. Współpracujemy ściśle z miejscowymi służbami, których jednostki do spraw osób zaginionych zarzuciły na razie prowadzenie innych spraw.

Ponownie włożył okulary i rozejrzał się wokoło, odnajdując spojrzenia wszystkich prócz Thorne'a.

– Dopniemy swego.

– Przydzielę ci jeszcze kilku, Trevorze – odezwał się Johns i popatrzył na rzeczniczkę, która skrzętnie to zapisała.

Thorne wiedział, że tę informację wszyscy chcieli zobaczyć na łamach

gazet.

– A skoro o tym mowa, mamy drugi trop w naszym śledztwie – powiedział Jesmond.

Johns przekreślił stronę.

– Tę dziewczynę ze zdjęcia Maiera?

– Zgadza się. – Jesmond odwrócił się do Brigstocke'a. – Ten trop wydaje mi się bardzo mocny, Russellu. Jeśli uda nam się ją odnaleźć, może zdołamy dotrzeć do Garveya, zanim on dopadnie Dowda i resztę.

– Moi ludzie pracują nad tym – zapewnił Brigstocke.

– Czy moglibyśmy upowszechnić przynajmniej jej zdjęcie? – zapytał Thorne.

Wyciągnął rękę po dzbanek z wodą, ale zrezygnował, bo nie zdołał go dosięgnąć, a nikt nie pokwapił się, aby mu go podać. Popatrzył na Proctora z sekcji PR, który dotąd nie odezwał się ani słowem.

– A czym pan się w ogóle zajmuje? – zapytał.

Johns wychylił się do przodu.

– Nikt nie twierdzi, że w którymś momencie nie zaczniemy upowszechniać tych zdjęć. Na razie rozważamy opcje, to wszystko. – Spiorunował Thorne'a wzrokiem. – Jestem pewien, że dobrze rozumie pan naszą sytuację, inspektorze. Nie jest pan naiwny. Radziłbym zatem, aby przejął się pan bardziej tymi zaginionymi mężczyznami, zamiast bić pianę o tak dla zasady.

– Myślę, że zależy mi po trosze na jednym i drugim – odezwał się Thorne.

Brigstocke odchrząknął.

– Tom...

Jesmond podsunął dzbanek z wodą w stronę Thorne'a.

– Nie widzę większego problemu, jeżeli chodzi o upublicznienie zdjęcia

tej dziewczyny – powiedział. – To może być doskonały kompromis.

Otóż to. Jedno z ulubionych słówek nadkomisarza. Thorne zdziwił się, że usłyszał je dopiero teraz.

– Dobrze, pójdziemy tym tropem – rzekł Johns. – I miejcie na uwadze kwestię możliwości opublikowania innych fotografii.

– Oczywiście – odparł Jesmond, przymknął oczy i uśmiechnął się jak zawsze.

Thorne nalał sobie, a potem upił łyk wody. Była ciepła i miała metaliczny posmak.

– A jeśli sytuacja się zmieni?

– Potrafimy działać szybko – odezwała się rzeczniczka.

Thorne w to nie wątpił. Wiedział, że nikt tak jak oni nie potrafi zamknąć drzwi stajni zaraz po tym, jak uciekł z niej ostatni koń.

Brigstocke został jeszcze na rozmowę w cztery oczy z Jesmondem, ale Thorne się nie skarżył. Cieszył się, że może wyjść z tej sali i znów znaleźć się na ulicy, by odetchnąć cudownym, czystym inaczej powietrzem.

Wracając metrem do Colindale i czytając ogłoszenia nad głowami pasażerów naprzeciw niego, poczuł, że napięcie nieznacznie słabnie. Pozwolił, by obrazy zaczęły przepływać leniwie przez jego umysł, a towarzyszące im pomysły zagłuszyły panujący w wagonie gwar; dał upust swojej wyobraźni.

Wyobraził sobie oblicze Jesmonda ociekającego strugami wody z dzbanka i wyraz twarzy policjantki przepelniony pożądaniem i podziwem, gdy rozpięła guziki śnieżnobiałej koszuli i zaczęła błagać, aby wziął ją na tym pięknym stole z jasnego drewna.

Wyobraził sobie, jak mówi Martinowi Mackenowi, że człowiek, który zamordował dwójkę jego dzieci, trafił za kratki, albo jak przekazuje bardziej przerażające wieści ojcu, którego do tej pory jeszcze nie poznał.

Wyobraził sobie Louise uśmiechającą się do niego przy stole, przy łóżku, w pokoju jakiegoś cudownego domu, gdzie na ścianach wisiały obrazy, a w chińskich wazonach stały kwiaty, których nazw nie znał.

Wyobraził ją sobie, jak zaczyna się przed nim rozbierać.

Odebranie komuś życia wydawało się prostsze, jeśli ofiara była pijana, dokładnie tak jak z portfelem. I tak właśnie było w wypadku Grega Mackena – jego reakcje okazały się mocno przytępione, prawie się nie bronił, wrażenie, że coś jest nie tak, odmalowało się w jego oczach tuż przed tym, jak zaczęło w nich gasnąć światło. Teraz, kiedy obserwował mężczyznę wracającego z pubu, nie potrafił stwierdzić, czy tamten jest pijany, czy nie, ale nawet kufel lub dwa musiały spowolnić jego reakcje. Przeszedł przez ulicę i ruszył za nim. Gdy ktoś miał dostatecznie mocno w czubie, można mu było odebrać praktycznie wszystko, nie mając w ręku nic groźniejszego od kebabu z budki na rogu. Rzecz jasna nawet z osobą po alkoholu nie zawsze było tak łatwo i on wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Jego ojciec miał ciężką rękę i był skory do bójki, gdyby nie to, zapewne nie wdałby się w bijatykę przed knajpą w Finsbury Park i zapewne nie zostałby aresztowany.

I kto wie, może nadal by żył.

Mijając popadający w ruinę mur, pochylił się, by podnieść kamień wielkości pięści. Nie spuszczał wzroku z postaci oddalonej o pięćdziesiąt metrów od niego, obserwując, jak mężczyzna schodzi z chodnika, by ominąć sporą błotnistą kałużę. Przyspieszył kroku, sprawdzając kieszenie po raz ostatni, by upewnić się, że miał w niej reklamówkę i inne niezbędne drobiazgi.

Kiedy znalazł się kilka metrów za nim, sięgnął do kieszeni kurtki po papierosy, uśmiechnął się jak przygłup, bo mężczyzna obejrzał się przez ramię, i wykonał gest, jakby zapalał zapałkę – podziękował, kiedy tamten

pokiwał głową, po czym podbiegł kilka kroków, aby się z nim zrównać.

– A w zamian za ogień mogę dostać fajkę? – zapytał mężczyzna.

Jeszcze lepiej...

Pomyślał o ojcu w ciągu tych kilku sekund, zanim zamachnął się kamieniem, o poźółkłych palcach zaciskających się i splatających na metalowym blacie stołu i jak zapadały mu się policzki za każdym razem, gdy zaciągał się dymem ze skręta. Jak widać mu było pieńki popsutych zębów, kiedy mówił: „Tam na zewnątrz wszystkiego zakazują, no nie? Tylko prowokują ludzi. To idiotyczne, że pudło jest jedynym miejscem, gdzie wciąż wolno palić”.

Kamień odbił się od ramienia mężczyzny – przypuszczalnie je łamiąc – kiedy tamten uniósł rękę, by osłonić twarz, ale krzyk bólu został zaraz uciszony przez drugie uderzenie.

Ukląkł na trawie obok mężczyzny, odwrócił go i docisnął kolanem jego klatkę piersiową, po czym zadał mu jeszcze kilka ciosów, aż tamten przestał stawiać opór.

Nie, nie był pijany, ale w słabym świetle sprawiał takie wrażenie, pomyślał, spoglądając w miejsce, gdzie powinny znajdować się oczy mężczyzny, i równocześnie sięgając po reklamówkę.

Nie sposób było to stwierdzić. Z twarzy została bowiem już tylko krwawa miazga.

Raz jeszcze uderzył kamieniem w tę pulpę i jeszcze parę razy dla pewności, aż kamień zaczął wyslizgiwać mu się z rąk mokry od krwi.

Kiedy ujrzał światła reflektorów kierujące się w jego stronę, sturlał ciało z nasypu i czekał obok z ciężko bijącym sercem i twarzą wtuloną w wilgotną trawę, aż ciężarówka przejedzie. Potem podniósł się i stał błoto z dzinsów. Zapalki tamtego leżały przy poboczu drogi i skorzystał z jednej, aby zapalić papierosa, gdy wracał do miejsca, w którym zaparkował

samochód.



Środa rano: dwa tygodnie po tym, jak nauczyciel wrócił do domu i znalazł zwłoki żony; odkąd mężczyzna nazywający siebie Anthonym Garveyem postanowił się ujawnić.

Carol Chamberlain zastanawiała się, czy nie jest jeszcze za wcześnie na kieliszek wina. Pomimo żarciku Thorne'a o ovaltine, nie był to hotel tej klasy, aby w pokojach znajdowały się minibarki, ale przez ostatnie wieczory wypila półtorej butelki pinot grigio, które kupiła w miejscowym supermarkecie i schłodziła w umywalce.

Wiedząc, co powiedziałby na to Jack, postanowiła poczekać do kolacji i powróciła do notatek na temat sprawy Anthony'ego Garveya.

To jak polowanie na duchy, skwitował Jack. Opowiedziała mu, o co ją poproszono, nie wymieniając jednak nazwiska Raya Garveya, bo uznała, że to nie jest konieczne, ale on wciąż nie podzielał jej entuzjazmu.

– Jakim cudem miałyby ci się udać to, co nie udało się gliniarzom? – zapytywał.

Bo jestem policjantką, miała ochotę odpowiedzieć. W środku. I jestem w tym cholernie dobra.

– Jak długo cię nie będzie?

Tego rodzaju zadanie mogło ucieszyć prywatnego detektywa i stać się impulsem do rozwoju kariery, na jaki czekała kilka lat temu, kiedy odeszła z policji. Kiedy zmuszono ją do tego. Wiedziała jednak, że znienawidziłaby siedzenie całymi godzinami w aucie z pustymi opakowaniami po chipsach pod nogami, obserwowanie nijakich domów w nadziei na zrobienie paru

zdjęć niewiernej żonie lub mężowi. Podeszła na luzie do sprawy z hipnoterapeutą, ale wtedy to wcale nie wydawało się zabawne, i była szczerze wdzięczna Tomowi Thorne'owi, że wyciągnął do niej pomocną dłoń. Dzięki temu mogła wyrwać się z rutyny składającej się z wyprowadzania psa i rozwiązywania krzyżówek. Może ten styl życia będzie jej odpowiadał za pięć, dziesięć lat, ale jeszcze nie teraz.

Chryste, nie miała jeszcze sześćdziesięciu lat.

Uznała, że kiedy spotkali się w sobotę, Thorne wydawał się trochę nieobecny. Trudno powiedzieć, czy to mogło oznaczać coś niepokojącego, bo szczerze mówiąc, nie znała go na tyle dobrze, by móc stwierdzić, co w jego wypadku stanowiło normę. O tak wielu rzeczach nigdy nie rozmawiali, a przecież wystarczyła jej drobna aluzja, aby wychwycić reakcję.

Niekiedy, patrząc, jak pies ugania się po plaży, albo pomagając Jackowi przy pracach w ich maleńkim ogródku, miała wrażenie, że to wszystko przydarza się komuś innemu. Nie wstydziła się jednak tego, co zrobiła. Wtedy liczyło się przede wszystkim osiągnięcie właściwego rezultatu – choćby jeden sukces był w stanie przyćmić sprawy, których nie udało się rozwikłać i które przepełniły ją frustracją. To ją napędzało i było czymś, co łączyło ją z Tomem Thorneem. Nawet teraz, wpatrując się w stertę papierkowej roboty i małych przyklepanych karteczek porozrzucanych na łóżku na wprost niej, poczuła narastające podniecenie, którego nie potrafiła pohamować.

Muszę częściej wybywać z domu, pomyślała.

Dzień po spotkaniu z Thorneem poświęciła na przejrzenie akt ze śledztwa w sprawie Garveya. Nie spodziewała się żadnych rewelacji, ale brutalność tych zbrodni raz jeszcze nią wstrząsnęła. Podobnie jak Thorne nie potrafiła pojąć, że zostały popełnione przez człowieka, którego osobowość uległa potwornej przemianie; człowieka, dla którego tak straszne

czyny były czymś niepojętym i niespodziewanym. Na przemian korzystała z komórki lub laptopa, kontaktując się z dawnymi kolegami, którzy kiedyś byli mocno zaangażowani w tę sprawę. Nie wahała się prosić o wyświadczenie jej przysługi albo o rewanż w zamian za dawną pomoc, opowiadając tym, którzy zechcieli zapytać, czym się obecnie zajmuje.

– No wiesz, trzeba trzymać rękę na pulsie – mawiała zwykle.

Kiedy go aresztowano, Raymond Garvey był od siedemnastu lat mężem swojej ukochanej, którą znał od dzieciństwa. Po nagonce prasy, szykanowana i zaszczuta Jenny Garvey, mając dość wrzucanych do domu poprzez otwór na listy psich odchodów, wyjechała z Londynu i zaszła się gdzieś, czekając, aż mężczyzna, o którym sądziła, że go znała, trafi do więzienia, a później na przeprowadzenie sprawy rozwodowej. Chamberlain dotarła jej śladem do mieszkania w Southampton. Kobieta przez telefon wydawała się pełna obaw i rezerwy, ale trochę się uspokoiła, kiedy Chamberlain zapewniła ją, że nie zamierza rozdrapywać zbyt wielu starych ran.

Następnego dnia z samego rana wybierze się pociągiem na południowe wybrzeże i przekona się, co uda się jej wyciągnąć z rozmowy z byłą żoną mordercy. Oczywiście wiedziała, że Anthony Garvey nie jest dzieckiem Jenny, ale ponieważ nie ma innych tropów, musi zadowolić się tym, czym dysponuje. Może zdoła dostrzec choćby cień ducha, o którym mówił Jack.

Zadzwonili znowu, za kilka godzin. Rozmawiali trzy razy dziennie albo nawet częściej. Jack dzwonił nawet wtedy, gdy za długo nie wracała z zakupów, ale nie miała mu tego za złe. Nigdy się nie złościła.

Później pogadają sobie jak zwykle.

Wczoraj wieczorem spytała go, jak sobie radzi, a on odparł, że jakoś się trzyma, choć biodro daje mu się trochę we znaki, no i brakuje mu jej obiadków. Westchnęła ze współczuciem, ale wiedziała doskonale, że jak na

słomianego wdowca radzi sobie doskonale, chodząc po domu w podkoszulku i żywiąc się potrawami na wynos popijanymi suto piwem. To było drobne kłamstwo, ale w sumie miłutkie. Ona jednak musiała głowić się nad mniej przyjemnymi kłamstwami, które serwowała sobie samej, jemu i innym w ostatnich dniach. Zastanawiała się nad wspólnymi latami, które wciąż mieli przed sobą, i nad tym, że nie ma nawrotu nowotworu.

– Tylko trochę to dziwne, kochanie – mawiał Jack – że cię tu nie ma.

Chamberlain postarała się możliwie jak najlepiej uporządkować papiery i zrobiła miejsce na łóżku, żeby się położyć.

Skoro już opuściła dom na dłużej, to mogła przy tej okazji zachowywać się inaczej niż zwykle. Dlaczego nie? Sięgnęła po kieliszek stojący na stoliku przy telewizorze i poszła z nim do łazienki.

Pomimo zakresu i skali śledztwa w sprawie Anthony’ego Garveya Thorne, jak każdy policjant z Wydziału Zabójstw, miał na tapecie inne sprawy. Ci, którzy mieli ochotę pozbyć się żony albo sprzedać kosę komuś, kto krzywo spojrział na ich nowe sportowe buty, nie hamowali się, ponieważ w mieście akurat działał seryjny morderca. Wiele spraw było także w stadium po aresztowaniu sprawcy. Trzeba było starannie sprawdzić i przygotować materiały dowodowe, które miały zostać przedstawione w sądzie, a współpraca z prokuraturą nie należała do najłatwiejszych. Gdy zbliżał się termin procesu, przedstawiciel prokuratury potrafił wydzwaniać do detektywów co godzinę, przekazując myśli i życzenia tych, którzy starali się, by ich klienci nie trafili do więzienia.

Ponieważ Thorne nie mógł pomóc w poszukiwaniach Dowda, Fowlera i Walsh, a dziewczyną ze zdjęcia Maiera zajmowała się Kitson, poświęcił cały ranek na przejrzenie zaległych spraw: pobicie na śmierć trzynastolatka przez gang nieco starszych od niego dziewcząt w parku w Walthamstow

i śmierć pewnej pary, która zginęła w pożarze podpalonego przez nieznaną sprawców domu w Hammersmith. Po lunchu zadzwonił do niego prawnik z prokuratury, niejaki Hobbs, aby przekazać nie najlepszą nowinę. Osiem miesięcy temu młoda kobieta zginęła podczas próby kradzieży auta w Chiswick. Po zakupach wróciła do samochodu i zobaczyła dużą kartkę papieru przyklejoną do tylnej szyby. Kiedy wysiadła i podeszła, żeby ją zdjąć, zza samochodu wyskoczył mężczyzna, usiadł za kierownicą i ruszył. Kobieta próbowała zatrzymać złodzieja, ale wpadła pod koła i tydzień po tym zdarzeniu mąż podjął decyzję o odłączeniu jej od aparatury podtrzymującej życie.

– obrońcą jest Patrick Jennings – powiedział Hobbs. – I uważa, że zdoła zmienić kwalifikację czynu na wypadek ze skutkiem śmiertelnym.

– Mowy nie ma – zaproponował Thorne.

– Twierdzi, że to pestka. Upiera się, że winę za to, co się stało, ponosi kobieta. Zamierza zaprezentować na poparcie swoich słów policyjny materiał reklamowy, w którym ekspert zachęca ofiary, aby napadnięte nie stawiały oporu, tylko oddały napastnikowi to, czego chce.

– Wkręcasz mnie.

– Jest w tym naprawdę niezły. W zeszłym miesiącu bronił dzieciaka, który próbował ukraść samochód kobiecie, sadowiąc się na tylnym siedzeniu, kiedy płaciła za benzynę.

– Szlag, to był Jennings?

– Rozumiesz, do czego zmierzam?

Proces wywołał spore zamieszanie w prasie, nie mówiąc już o przepychankach na schodach przed gmachem sądu. Pracownik stacji benzynowej zobaczył, jak dzieciak wsiada do auta, i zatrzymał kobietę w budynku, podczas gdy sam zadzwonił na policję. Potem okazało się, że chłopak miał na koncie napaści o charakterze seksualnym, ale nie

znaleziono przy nim broni i obronie udało się obniżyć kwalifikację czynu do bezprawnego wtargnięcia, co skończyło się grzywną w wysokości dwustu funtów.

– Musimy być ostrożni, to wszystko – rzekł Hobbs. – Nie wolno dać bubkowi niczego, co mógłby wykorzystać.

– Tak się nie stanie.

– Oby – mruknął Hobbs. – Za jego plecami nazywają go już Jennings Cudotwórca.

Pomimo wiążących się z tym obowiązków i koniecznością choćby pobieżnego przejrzania całej góry papierów, Thorne nie mógł zapomnieć o sprawie Anthony’ego Garveya. A przynajmniej nie dłużej niż na kilka minut. Wciąż pamiętał jej mroczny rytm i pokrętną melodię. Brzmiała jak przerwana piosenka, która usłyszana rano w radiu, przez cały dzień nie daje spokoju.

Usta Martina Mackena jak postrzępiona rana buchająca krwią.

Kartka przyklejona na lodówce Emily Walker.

Synek Debbie Mitchell bawiący się lokomotywą na dywanie.

I przez cały czas on i reszta zespołu siedzieli beczynn timer, czekając, aż coś się wydarzy, obawiając się, że mogliby zrobić coś, na co właśnie liczył Anthony Garvey.

Pod koniec dziewięciogodzinnej zmiany, gdy powrót do domu o sensownej godzinie wydawał mu się prawdopodobny, Thorne natknął się na wychodzącą z toalety Yvonne Kitson.

– Chyba znalazłam tę dziewczynę ze zdjęcia – powiedziała.

W pierwszej chwili pomyślał, że Louise miała rację i wspólna kolacja to zbyt wiele, aby mógł na nią liczyć. Ale to była dobra nowina.

I wtedy spostrzegł wyraz twarzy Kitson. *Cholera...*

– Przejrzałam wszystkie zgłoszenia o zaginionych z okresu pół roku od

dnia, kiedy wykonano to zdjęcie. Znalazłam dziewczynę odpowiadającą opisowi. Odnalazła się dwa tygodnie później. A raczej... została odnaleziona.

– Gdzie?

– W tym samym miejscu, gdzie wysłano ją po pieniądze, a właściwie niedaleko tego miejsca – odparła Kitson. – Na tyłach dworca Paddington. Wygląda na to, że Garvey ma poczucie humoru.

– Pękam ze śmiechu.

– Skontaktowałam się z Wydziałem Śledczym. Mam adres jej rodziców.

– Mówiłaś o tym Brigstocke owi?

– Nie ma go, więc...

– Ja się tym zajmę. – Wyjął komórkę, a kiedy Kitson ruszyła z powrotem w stronę sali odpraw, powiedział: – Dobra robota – i wybrał numer. Włączyła się poczta głosowa Russella Brigstocke'a. – To ja. Na wypadek gdybyś grał akurat w golfa z Trevorem Jesmondem, pomyślałem, że nagram wiadomość. Przekaż mu, że jego nowy obiecujący trop zaprowadził nas właśnie w ślepią uliczkę.

## 23

W jednej chwili Alec Sinclair, postawny mężczyzna po pięćdziesiątce, o mocno przerzedzonych włosach i niespokojnych rękach, nagle zamilkł. Opowiadał o swojej córce Chloe, której ciało znaleziono w nieużywanym składziku na narzędzia na tyłach dworca Paddington prawie trzy lata temu.

Szukając odpowiednich słów, odwrócił się do żony, która siedziała obok niego w zagraconym salonie tarasowego domu w Balham. Miriam Sinclair była zapewne o kilka lat młodsza od męża, ale wśród farbowanych włosów nad jej czołem dało się dostrzec pasemka siwizny, a Thorne doszedł do wniosku, że nakłada już mocniejszy makijaż niż kiedyś.

– Miło o niej porozmawiać – powiedziała. Uśmiechnęła się do Thorne'a i Kitson. – Ale nagle uświadamiasz sobie, co się stało. O takich rzeczach nie sposób zapomnieć.

– Czasami śni mi się – powiedział Alec. – A kiedy się budzę, zawsze jest tych kilka sekund... zanim uświadomię sobie, że jej już nie ma.

– Na pewno niczego się państwo nie napijecie?

– Dziękujemy – zapewnił Thorne.

Natychmiast jak Kitson zadzwoniła ubiegłego popołudnia, państwo Sinclairowie – choć ten telefon nimi wstrząsnął, bo przecież dochodzenie w sprawie zabójstwa ich córki zakończyło się dawno temu – bardzo chcieli się dowiedzieć, czy miał miejsce jakiś przełom. Kitson powiedziała im, że zabójstwo Chloe mogło mieć związek z ich obecnym śledztwem, po czym zebrała się w sobie i dodała, iż dochodzenie w sprawie zabójstwa Chloe wciąż jeszcze pozostawało otwarte i będzie tak, dopóki sprawca nie zostanie



aresztowany.

„Już dobrze, kochana – powiedziała przez telefon Miriam. – Wiem, że jesteście zapracowani, wystarczy sięgnąć po gazetę, aby zobaczyć, ile nowych morderstw zostało popełnionych. Inne rodziny nie są pogrążone w żałobie tak długo jak my”.

– Znaleźliście go? – zapytał obecnie Alec.

– Jeszcze nikogo nie zatrzymaliśmy – odparła Kitson. – Ale mamy sporo nowych tropów i...

– Chłopak. – Miriam popatrzyła na męża. – My wiemy, że to jej chłopak.

– No jasne – powiedziała Kitson.

Oficer prowadzący obławę na mordercę Chloe trzy lata temu potwierdził, że ich głównym podejrzanym był mężczyzna, z którym się wówczas spotykała. Pomimo szeroko zakrojonej akcji nie zdołano go jednak odnaleźć.

– Mamy nazwisko – wtrącił Thorne. – Rysopis. – Nie powiedział, że ani jedno, ani drugie nie jest dostatecznie wiarygodne. – Robimy, co w naszej mocy, aby podążać za tymi tropami, no i rzecz jasna przekazaliśmy te informacje nadinspektorowi Speddingowi.

Mężczyznę, który nadzorował tamto śledztwo, ucieszyła wiadomość od Kitson i obiecał, że z przyjemnością podzieli się wszelkimi informacjami, które mogą doprowadzić do uwolnienia go od sprawy zabójstwa Chloe Sinclair

Alec Sinclair zwrócił się do żony:

– Dave Spedding wciąż odzywa się od czasu do czasu, prawda?

– Przysłała pocztówki na Boże Narodzenie – odparła Miriam. – I dzwoni w dniu urodzin Chloe.

– Pod koniec bardzo się z nami zaprzyjaźnił. Chloe w pewnym sensie

stała mu się bliska.

– Domyślam się, że dla niego to też było trudne – dodała Miriam.

Thorne pokiwał głową. Powinno być, pomyślał. Właśnie kiedy to przestaje być trudne, należy rzucić tę robotę i podjąć pracę w jakimś miłym pubie. Stwierdził, że Spedding wydawał się porządnym facetem i dobrym gliniarzem.

– To może zabrzmieć głupio – powiedziała Kitson – ale czy jest coś, co chcieliby państwo dodać od czasu tamtego śledztwa? Może coś się państwu przypomniało?

– Powiedzielibyśmy Dave’owi Speddingowi – rzekła Miriam.

– Wiem i naprawdę nie chcemy tego drażnić.

– Czy mieliby państwo coś przeciw temu, żebyśmy jednak do tego wrócili? – zapytał Thorne.

Na regale pod ścianą dostrzegł kolekcję zdjęć w metalowych ramkach: Sinclairowie na plaży z dwójką małych dzieci; Chole i jej braciszek z małą małpką u wjazdu do parku safari; młody mężczyzna z dumą pozujący przy swoim zapewne pierwszym samochodzie. Brat, który stracił siostrę, syn, który został jedynakiem.

– Zrobiła sobie rok przerwy w nauce – powiedział Alec. – Oszczędzała, żeby podróżować, zanim wybierze się na studia. Od jakiegoś czasu wykonywała dla mnie prace zlecane z biura, ale śmiertelnie ją to nudziło i znalazła sobie pracę w pubie. Właśnie tam poznała Tonyego.

– Dużo państwu o nim mówiła? – spytała Kitson.

Miriam pokręciła głową.

– Powiedziała, że był od niej kilka lat starszy, i chyba uważała, że go nie zaakceptujemy.

– Może gdybyśmy byli nieco bardziej... liberalni czy coś takiego, sprawy potoczyłyby się inaczej. – Alec przez kilka sekund wpatrywał się

w przestrzeń. – Ja nie chciałem tylko, żeby za bardzo się z kimś związała, zwłaszcza że wybierała się na studia. Okazało się, że w ogóle zamierzała z nich zrezygnować, chciała podróżować z tym Tonym albo z nim zamieszkać.

– Było z tego powodu sporo kłótni – dodała Miriam.

Thorne powiedział, że to zrozumiałe, nie dziwiło go, iż troszczyli się o córkę.

– Ale nigdy go państwo nie poznali?

Poranek był ciepły, lecz Miriam nieco mocniej otuliła się wełnianą kamizelką i pokręciła głową.

– W tej sprawie zachowywała się bardzo tajemniczo. Mówiła, że to jej życie i tak dalej... – Uśmiechnęła się ze smutkiem, jej dolna warga leciutko zadrżała. – Zdawałam sobie sprawę, że przez takie zachowanie możemy ją stracić, więc poprosiłam, żeby go przyprowadziła.

– Odparła, że już na to za późno – rzekł Alec. – Że Tony wiedział, co o nim myślimy, i nie chciała go narażać na niepotrzebny stres.

– To głupie, jeżeli się teraz nad tym zastanowić – powiedziała znowu Miriam. – Choć to trwało zaledwie kilka miesięcy, była w nim zakochana po uszy. Jednego dnia opowiadała nam o wszystkich miejscach, które pragnęła zobaczyć, a zaraz potem nie pokazywała się przez wiele dni.

Oblicze Aleca spochmurniało.

– To dlatego przez kilka dni nie wiedzieliśmy, że coś się stało.

– Czy zechcieliby państwo... – zaczął Thorne.

Alec odchrząknął, ale to jego żona się odezwała:

– Coraz częściej pomieszkiwała u niego.

– Czyli gdzie? – spytała Kitson.

– Chyba w Hanwell. A przynajmniej kilka razy wspominała o Hanwell i pamiętam, że potrzebowała karty miejskiej na czwartą strefę. Ale

dokładnego adresu nigdy nie poznaliśmy. W przeciwnym razie przekazalibyśmy go policji. – Miriam zaczęła skubać kawałek nitki wystającej z podłokietnika kanapy – A kiedy nie wróciła do domu w czwartek wieczorem, pomyśleliśmy, no wiecie państwo...

– Zaczęliśmy się martwić w sobotę rano – dodał Alec.

– No bo choć się kłóciliśmy, ona zawsze dzwoniła co dwa, trzy dni. Wiedziała, że się o nią martwimy.

Miriam pociągnęła i urwała nitkę, po czym utoczyła z niej kulkę i ścisnęła w dłoni.

– W sobotę powiadomiliśmy policję – powiedziała. – A trzy tygodnie później mieliśmy wizytę.

– Było ich dwoje – teraz mówił Alec. – Zrozumiałem, o co chodzi, kiedy kobieta spróbowała się uśmiechnąć, ale to się jej nie udało.

– Czy wiecie dlaczego? – zapytała nagle Miriam. – Wiem, że znacie już jego nazwisko, więc może domyślacie się, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Ponieważ Anthony Garvey miał już plan. Bo potrzebował państwa córki, aby zdobyła pieniądze na jego realizację. A kiedy zrobiła to, czego chciał, musiał się jej pozbyć. Nie mógł sobie pozwolić na pozostawienie niewygodnego świadka, gdy uruchamiał swój Wielki Plan Zabójstw, więc upchnął ciało państwa córki za stertę zardzewiałego metalu i zakurzonych worków, zwiniętą w kłębek w kałuży odchodów i wśród rybików, ze zmiażdżoną potylicą i plastikową reklamówką zaciągniętą wokół głowy.

Bo musiał na kimś potrenować.

– Za wcześnie jeszcze, by o tym mówić – odezwał się Thorne, mając nadzieję, że to nie zabrzmiało jak wykręt, choć tego się właśnie obawiał.

Kitson spojrzała na niego, ale unikał jej wzroku.

– Wrócimy tu, jeżeli tylko dowiemy się czegoś więcej – obiecał.

Thorne widział wyraźnie, że małżeństwo miało już dosyć. Podziękował

za poświęcony czas i przeprosił, że był zmuszony podjąć tak bolesny dla nich temat. Miriam zapewniła, że nic nie szkodzi, że są gotowi znieść wszystko, gdyby tylko mogło to dopomóc w odnalezieniu człowieka, który zamordował ich córkę. Powiedziała, że to ona powinna przeprosić, że nie jest lepszą gospodynią.

– Czy Chloe pisała pamiętnik?

– Tak, ale zapisywała tylko daty spotkań i tego typu drobiazgi – odparła Miriam. – Przejrzałam go później... w nadziei, że może coś w nim znaleźć. Policja też go przeglądała, ale są tam tylko zapisy w rodzaju „spotkanie z T”, „wyjście na drinka z T”. Jeżeli państwo chcą, mogę przynieść ten pamiętnik.

– Może przyda się do sprawdzenia pewnych dat – powiedział Thorne. – A co z komórką?

– Policja też ją zbadała – wyjaśnił Alec. – Znaleźli ją w jej torebce.

– Macie ją państwo jeszcze?

Miriam pokręciła głową.

– Kiedy policja zwróciła wszystkie rzeczy Chloe, Alec zaniósł ją do punktu recyklingu.

– Nie znoszę marnotrawstwa. – Alec delikatnie pogłaskał dłoń żony. – Po prostu nie znoszę.

Thorne pokiwał głową i rozejrzał się za swoją aktówką. Wiedział, że tamtemu wcale nie chodziło o komórkę.

Jenny Duggan, dawniej Jenny Garvey, nie miała ochoty przyjąć Carol Chamberlain w domu, spotkały się więc przed niewielkim pubem w centrum handlowym. Chamberlain dotarła na miejsce jako druga, bo pociąg z Waterloo spóźnił się piętnaście minut, i kiedy tylko skorzystała z toalety, a potem zamówiły coś do picia, wyszły na zewnątrz, by usiąść przy stoliku na świeżym powietrzu. Znajdowały się o niespełna sto metrów od Bargate, starego pomnika przy północnym krańcu średniowiecznego

mur. Podczas drugiej wojny światowej mieściła się tam komenda policji, a obecnie galeria sztuki współczesnej, ale osiemset lat wcześniej była to główna brama wjazdowa do miasteczka Southampton.

– Wszystko pięknie i ładnie – powiedziała Duggan, gdy Chamberlain przystawiła sobie krzesło – ale ruch tu taki jak w piątkowy wieczór.

Chamberlain wyjęła z torebki okulary przeciwsłoneczne, mniejsze od tych, jakie nosiła Jenny Duggan. Zastanawiała się, czy nawet teraz, po piętnastu latach, w innym mieście, kobieta boi się, że może zostać rozpoznana.

– Nie sądziłam, że wolno wam pić na służbie – powiedziała Duggan. – A może tak tylko się mówi w serialach?

– Właściwie to nie jestem na służbie – odparła Chamberlain. – Jestem na emeryturze i tylko pomagam przy śledztwie.

– Jak przy sprawach zamkniętych? Jak w *Budząc zmarłych*?

– Coś takiego.

– Zawsze podobał mi się główny bohater tego serialu – powiedziała Duggan. – Zna pani takich gliniarzy jak on?

– Nie za dużo – odparła Chamberlain.

Siedziały przez dziesięć minut albo nawet dłużej, rozmawiając o serialach, pogodzie i pracy w księgowości dla firmy meblarskiej, którą Duggan niedawno udało się dostać. Chamberlain wiedziała, że jest co najmniej dziesięć lat starsza od swojej rozmówczynie, ale uważny obserwator dałby jej nawet piętnaście. Duggan dbała o siebie, zachowała niezłą figurę, a włosy upinała w zgrabny kok, jak to robiły młodsze kobiety. Chamberlain zastanawiała się z pewnym zażenowaniem, czy okulary przeciwsłoneczne mogą skrywać ślady drobnych operacji plastycznych.

Duggan była rozmowna i rozluźniona. Chamberlain wiedziała, że powinna skierować tok rozmowy na Garveya, ale nie chciała robić tego na

siłę, nie tylko dlatego, że chciała nawiązać z rozmówczynią dobry kontakt. Czerpała przyjemność z uroczej pogawędki o niczym. Słońce grzało, wino było niezłe, a przechodnie pewnie myśleli o nich jak o dwóch przyjaciółkach, które wybrały się na lunch albo na popołudniowy spacer po sklepach.

– A więc nie wyszła pani ponownie za mąż? – spytała Chamberlain.

– Słucham?

– Wciąż używa pani panieńskiego nazwiska.

Duggan zaśmiała się.

– Szkoda, że odeszła pani z policji. Znów wyszłam za mąż i ponownie się rozwiodłam.

– Ach tak.

– Bez obawy, to nie był żaden seryjny zabójca. – Napila się wina. – Tylko zwykła egoistyczna świnią.

Chamberlain nie wiedziała, jak ma zareagować, milczała więc, wpatrując się przez chwilę w przechodniów i auta, aż Duggan dodała:

– Wie pani, że Ray nigdy nie podniósł na mnie ręki?

Chamberlain znów nie potrafiła nic na to powiedzieć.

– To zdumiewające, prawda? Zważywszy na to, co okazało się potem. Był w sumie dobrym mężem. I był dobry w tym, co robił. – Odwróciła wzrok. – Czyli w zabijaniu.

Chamberlain pomyślała o guzie i teorii, zgodnie z którą miał on zmienić osobowość Garveya. Czy ona i Thorne mogli się mylić, odrzucając z miejsca tę hipotezę?

– Czy zatem uważa pani, że to, co zrobił, nie pasowało do niego?

– Cóż... nie byłam tym zszokowana – odparła Duggan. – Kiedy zdarzy się coś takiego, ludzie, sąsiedzi, mówią zwykle, że nie mogą w to uwierzyć, bo wydawał się taki spokojny i takie tam. Ale kiedy dowiedziałam się, co

zrobił Ray, tylko pokiwałam głową. Przypomniałam sobie twarze policjantów i to, jak wymienili między sobą spojrzenia, jakby uważali, że musiałam wiedzieć, co on robił, rozumie pani? Gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że było w nim coś... jakaś mroczna strona, o której istnieniu zawsze wiedziałam, ale nie chciałam przyjąć tego do siebie. Oczywiście nie spodziewałam się, że może dojść do czegoś takiego.

– Nie mogła pani.

Duggan uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Jak już wspomniałam, wielu uważało inaczej, ale co oni mogli wiedzieć? No bo słyszy się o tych okropnych przypadkach, mężczyznach przetrzymujących dzieci w piwnicy swoich domów czy coś takiego i trudno mi, podobnie jak komukolwiek innemu, pojąć, że żony tych mężczyzn nie zdawały sobie sprawy z tego, co się tam działo. Nie ma dymu bez ognia, tak?

– Wiedziała pani, że miał syna?

Duggan milczała przez chwilę. Chamberlain spojrzała na nią i wychwyciła krótki przebłysk zaskoczenia. Zorientowała się, że to było echo reakcji sprzed piętnastu lat, kiedy Jenny Duggan poinformowano, że jej mąż brutalnie zamordował siedem kobiet. Potrafiła zrozumieć, dlaczego policjanci byli wówczas bardziej podejrzliwi.

– Wiedziałam, że zawsze były inne kobiety – odezwała się w końcu Duggan. – Wiedziałam... choć udawałam, że jest inaczej. Wmawiałam sobie, że jestem głupia. – Zdjęła okulary i położyła na stoliku. – Rozumie to pani, prawda?

Chamberlain skinęła głową. Mniej przyjemne kłamstwa, jakimi częstowali siebie nawzajem.

– Cokolwiek złego można było o nim powiedzieć, jedno było pewne. Zawsze wracał do domu.



– Szukamy mężczyzny, który urodził się jakieś trzydzieści lat temu – ciągnęła Chamberlain – więc...

– Tuż po naszym ślubie.

– Tak.

Duggan pokiwała głową, zamyśliła się i spojrzała na resztkę wina w swoim kieliszku.

– Kiedy staraliśmy się o dziecko.

Chamberlain czekała.

– Było kilka kobiet, z którymi pracował w British Telecom – kontynuowała Duggan. – Kilka z nich wyszło za mąż, ale to były straszne wywłoki. Wychodziliśmy kilka razy wspólnie, lecz od razu stało się jasne, że partnerki raczej nie są mile widziane. Zastanawiałam się już wtedy, czy nie kręcił na boku z którąś z nich.

– Pamięta pani jakieś nazwisko?

Duggan odparła, że nie, kiedy Chamberlain zaczęła naciskać. Powiedziała jednak, że zna kogoś, kto mógłby pomóc, i opowiedziała Chamberlain o przyjacielu Garveya z czasów, kiedy zaczął pracę w BT.

– Malcolm Reese był palantem – stwierdziła. – Przesiadywał u nas, podczas gdy ja obsługiwałam jego i Raya, robiąc kanapki i przynosząc piwo z lodówki. Niekiedy dostrzegałam jego ironiczny uśmiezek, jakby wiedział o czymś, o czym nie miałam pojęcia, i raz tak mnie zdenerwował, że wylałam mu herbatę na uda. – Uśmiechnęła się na to wspomnienie, ale trwało to tylko przez chwilę. – Nawet wtedy wmawiałam sobie, że zmyślam, że wcale nie ma innych kobiet. Przekonywałam samą siebie, że tylko Malcolm byłby zdolny do czegoś takiego. To był tupeciarz. Raz, kiedy Ray nie patrzył, złapał mnie za tyłek.

– Uroczy typ – przyznała Chamberlain.

Duggan skinęła głową i opróżniła kieliszek.

– Malcolmowi nigdy nie brakowało kobiecego towarzystwa. – Usiadła wygodnie, unosząc twarz ku słońcu. – Jeżeli ktokolwiek może wiedzieć, z kim kręcił wtedy Ray, to na pewno on.

Chamberlain zapisała to nazwisko i nazwę ulicy, przy której mieszkał Malcolm Reese w latach osiemdziesiątych. Podziękowała Duggan za poświęcony czas, zwłaszcza że musiała w związku z tym zwolnić się rano z pracy.

– Powiedziałam, że przyjdzie ktoś naprawić bojler – odrzekła Duggan. – Przez lata nauczyłam się łączyć jak z nut.

Chowając notes do torebki, Chamberlain spytała:

– Dlaczego pani i Ray nie mieliście dzieci?

– Chcieliśmy. Ale ja nie mogłam – odparła rzeczowo Duggan, lecz Chamberlain dostrzegła ból w jej oczach, zanim kobieta wlepiła wzrok w blat stolika. Nawet po tylu latach, wiadomość, że Raymond Garvey spłodził dziecko z inną, sprawiła jej ból.

Chamberlain nie dodała, że inne osoby zapłaciły o niebo wyższą cenę za niewierność jej byłego męża.

– Ma pani ochotę na lunch? – spytała Duggan. Wskazała na niedużą włoską restaurację naprzeciwko. – No bo rozumiem, że musi pani niedługo wracać.

– Aż tak mi się nie spieszy – rzekła Chamberlain, która była głodna i zawczasu kupiła bilet powrotny bez określonej godziny wyjazdu.

I choć właściwie nie miało to większego znaczenia w tej sprawie, wciąż dostrzegła wyraz bólu w oczach Jenny Duggan.

Kitson umówiła się na spotkanie z Dave'em Speddingiem, nadinspektorem prowadzącym kiedyś sprawę zabójstwa Chloe Sinclair. Był teraz nadkomisarzem z gabinetem w Victorii, więc po opuszczeniu domu Sinclairów w Belham Thorne podwiózł Kitson, a potem ruszył z powrotem

do Peel Centre.

Jadąc na północ przez centrum, nie mógł przestać myśleć o strasznej mieszance emocji, z jakimi Miriam i Alec Sinclairowie mówili o córce. Stykał się ze smutkiem i żalem dostatecznie często, by wiedzieć, że czas w końcu leczy rany i że dobre wspomnienia przyćmiewają te złe. Powoli, lecz nieuchronnie, tak właśnie było – nadal – w wypadku jego ojca. Nadejdzie dzień – choć człowiek odpowiedzialny za jej śmierć wciąż przebywał na wolności, o czym nie był w stanie poinformować jej rodziców – kiedy imię Chloe przestanie być wymawiane szeptem, a jej wspomnienie nie będzie bolesne jak cios zadany zniemacka w spłot słoneczny.

Kiedy w ciepłe dni nie trzeba będzie szczelniej otulać się wełnianą kamizelką.

Sunąc wolno Euston Road, Thorne przerzucał kanały w radiu, aby znaleźć coś, co za bardzo go nie zdenerwuje. Zatrzymał się na stacji z muzyką klasyczną, jego palec zawisł nad przyciskiem, ale zaraz cofnął rękę. Prawie nie potrafił odróżnić Beethovena od Black Sabbath, ale muzyka była przyjemna, a kiedy samochód w ślimaczym tempie toczył się naprzód, Thorne zaczął błądzić myślami.

Ale nie za daleko...

Myślał o mężu Emily Walker i nic niewartym chłopaku Catherine Burke. O ojcu Grega i Alex Mackenów i rodzicach Chloe Sinclair.

O innych ofiarach Anthony'ego Garveya.

Z bliżej nieokreślonych powodów Thorne wyobraził ich sobie zawieszonych jak paciorki żywego naszyjnika. Wiszących i obracających się pośród zimna i mroku, a martwe ciała ich ukochanych znajdowały się obok nich. Jedno martwe, jedno żywe, martwe, żywe, jak niekończący się naszyjnik uginający się pod ciężarem ciał. Spinająca go lina trzeszczała pod ich naporem.

Thorne podkreślił muzykę i mocniej docisnął stopą pedał gazu, gdy na drodze zrobiło się nieco luźniej.

Jakiegokolwiek były ich reakcje na ponoszoną stratę, czy zachowywali się przesadnie uprzejmie, czy obcesowo, czy wyli z bólu, czy wydawali się otepiali, Thorne wiedział, że krewni ofiar Anthony'ego Garveya patrzyli w jego stronę, oczekując od niego szczególnego pocieszenia.

O silne ręce i ciepłe słowa nie było trudno, ale znalezienie człowieka, który był odpowiedzialny za ich cierpienie, skłaniało do pracy jego i innych policjantów. To byłby zaledwie jeden krok, ale pierwszy na drodze do uwolnienia ich od splątanego węzła bólu i cierpienia.

Przejechał przez Camden i Archway i wjechał do Highgate, kiedy się rozpadało, po czym skręcił do Finchley i minął kilka uliczek, gdzie nieco ponad dwa tygodnie temu odnaleziono ciało Emily Walker.

Dziesięć minut później, zbliżając się do Barnet, zjechał z Great North Road, a niedługo potem znalazł się w uliczce, przy której mieszkała Nina Collins.

Thorne pokazał legitymację funkcjonariuszom w radiowozie, który stał pod domem, odkąd Debbie Mitchell wprowadziła się do koleżanki, a następnie nacisnął dzwonek. Collins podeszła do drzwi i spojrzała na niego.

– Co jest?

– Wszystko w porządku?

Wskazała ruchem głowy na radiowóz i pstryknięciem wyrzuciła niedopałek papierosa w krzaki przy wąskiej ścieżce.

– Poza tym, że muszę konsultować się ze Starskim i Hutchem za każdym razem, kiedy chcę kupić paczkę fajek, to tak.

– Już dobrze, Nino.

Za plecami Collins pojawiła się Debbie Mitchell. Nina westchnęła i po

chwili zniknęła w głębi domu.

– Akurat przejeżdżałem w pobliżu – powiedział Thorne.

– To miło z pana strony.

– Pomyślałem, że sprawdzę... jak sobie pani radzi.

– Cóż, w ogóle nie wychodzę z domu, a Jason nie chodzi do szkoły. Ale nic na to nie można poradzić, prawda?

– Przykro mi, ale gdy ktoś decyduje się przyjąć ochronę policji, zawsze jest coś za coś. Zapewne to najlepsze rozwiązanie.

Debbie Mitchell pokręciła głową.

– Może pani dzwonić, gdyby o cokolwiek się pani martwiła, zgoda?

Skinęła głową i zaplotła ręce na piersiach.

– A jakieś dobre wieści? – zapytała.

Thorne odczekał parę chwil.

– Obiecuję, że damy pani znać.

*Zapraszamy wszystkich do udziału w katastrofie.*

Zadzwoniła komórka Thorne'a. Wyjął ją z kieszeni.

– Przepraszam. – Zerknął na wyświetlacz, aby zorientować się, kto dzwoni, i cofnął się kilka kroków od drzwi. – Muszę odebrać.

Holland był nieco zdyszany, mówił z wnętrza szybko jadącego samochodu, podnosząc głos, aby można go było usłyszeć pośród rozmów innych policjantów w aucie.

– Gdzie? – zapytał Thorne, kiedy Holland powiedział, co się stało.

Słuchając, zerknął na Debbie Mitchell, a wyraz jej twarzy przypominał jego własny i zobaczył, że opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Przepraszam, Dave, powtórz.

Lało coraz bardziej, a kiedy Thorne otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zapytała:

– Kolejne morderstwo?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, podczas gdy Holland wyjaśniał mu szczegóły, i dostrzegł Jasona Mitchella, który stanął w holu za matką i próbował się zorientować, co się dzieje.

– Panie inspektorze? – rzucił do telefonu Holland, a Debbie Mitchell powiedziała coś jeszcze i cofnęła się za próg, żeby nie stać na deszczu.

Thorne milczał przez kilka chwil. Nie mógł oderwać wzroku od chłopca w czerwono-białej piżamie, z wytrzeszczonymi oczami, wilgotnymi ustami i przesuwającego z boku na bok zębami po dolnej wardze.

## MÓJ DZIENNIK

### 10 PAŹDZIERNIKA

Nie jestem pewien, czy już go znaleźli, ale jeżeli nie, z pewnością stanie się to niebawem. Stawiam na kogoś, kto wyjdzie na spacer z psem. Ile razy czyta się o takich przypadkach? Albo o dzieciach bawiących się tam, gdzie nie powinny. Pomyślałem, że gdyby udało mi się odgadnąć, w jaki sposób i kiedy to się stanie, mógłbym zajrzeć i popatrzeć z bliska na ten cyrk. Choć jeśli masz telewizor i nie mieszkasz w jaskini, nietrudno jest domyślić się, jak to musi wyglądać. Dziesiątki ludzi krzątających się wokół tego miejsca w plastikowych maskach i papierowych kombinezonach, światła, namioty i taśma, a z boku detektyw odpalający jednego papierosa od drugiego i pokrzykujący na swojego podkomendnego albo narzekający na szefa. Nie mogę oprzeć się przeświadczeniu, że gdyby piętnaście lat temu bardziej się postarali, mogliby znacznie szybciej zorientować się, co się dzieje. Mogliby ocalić życie kilku kobiet i może nawet odkryliby, że „brutalny zabójca” to człowiek, który nie odpowiada za swoje czyny.

Że to także ofiara, tak jak one wszystkie.

Mogliby zapobiec tym tragediom.

Nawet gdybym miał możliwość pójść tam i dołączyć do tłumu gapiów, i tak raczej nie zdołałabym zobaczyć, jak wynoszone jest ciało, ale jestem pewien, że poradzą sobie z tym lepiej niż ja. Dopiero kiedy próbujesz dźwigać zwłoki, uświadamiasz sobie, co naprawdę oznacza zwrot „martwy ciężar”. Wciąganie ich do auta, a następnie wywleczenie z niego było prawdziwym

koszmarem, ale za to cudownie było patrzeć, jak zwłoki osuwają się do wody jakiś czas później, kiedy znalazłem odpowiednie miejsce. Wydają się prawie nieważkie, gdy zanurzają się w mętną toń.

I robią to z gracją.

Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, po co chciałym tam pójść. Przecież nie po to, żeby napawać się tym widokiem. Chyba chodzi mi raczej o to, żeby poczuć, że jestem tego częścią. To może zabrzmieć dziwnie, zważywszy na to, że gdyby nie ja, to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło, ale tak łatwo jest poczuć się... oderwanym od tego. Wiem, że stwierdzam tylko to, co oczywiste, ale muszę być o jeden krok przed ścigającymi, a przecież nie mogę otworzyć się przed jakimś nieznanym w pubie, prawda?

Zawsze chciało mi się śmiać, gdy słyszałem o „szalonych samotnikach”. No cóż, tak, zwykle jest po temu jakiś ważki powód! Zwykle jednak stanowi to spory atut, gdy trzeba przenieść gdzieś kolejny „martwy ciężar”, ale to chyba akurat rozumie się samo przez się.

Nie pragnę popularności. Mam tego świadomość, dlaczego więc przelewam to wszystko na papier? Pewnie dlatego, że kiedy wreszcie to wszystko się skończy, chciałbym, żeby było jasne co, jak i dlaczego. Choć szczerze mówiąc, nie zamierzam się co do tego łudzić. Nie oczekuję, że zostanę zrozumiany. Zawsze znajdą się świry, uczeni i religijne oszołomy, które będą bredzić o wybaczeniu. Ale mniejsza o nich; reakcja będzie tak historyczna, że mało kto będzie przejmował się przyczynami i motywami.



Tym bardziej powinienem wyłożyć to wszystko czarno na białym. Poza tym kiedy Nickowie Maierowie tego świata zasiądą, by napisać swoje bestsellery, będą mieć więcej materiału źródłowego niż zazwyczaj. Miejmy nadzieję, że spiszą się lepiej niż ostatnim razem.

\* \* \*

Szok, zgroza. W tych dniach kioskarz jest wyjątkowo cichy i milczący. Za bardzo przejmuje się tym, żeby wywalić dzieciaki ze swojego sklepiku, a zbyt wiele się dzieje i nietrudno jest trafić na pierwszą stronę w gazecie. Za dużo dzieciaków zarzyna się nożami, wszyscy pieprzą się ze wszystkimi. Skandal z udziałem jakiejś celebrytki albo przyzwoita historia z terroryzmem w tle usuwa w cień stare dobre morderstwo.

Ale kiedy odnajdą tego ostatniego, kioskarz znów wpadnie w słuszny gniew, wymachując zwiniętym w rulon brukowcem jak mieczem sprawiedliwości i utyskując, że na ulicach już nie jest bezpiecznie. Chyba powinienem zajrzeć jak najszybciej do kiosku i kupić fajki. Jak się tak będzie denerwował, to temu furiatowi kioskarzowu pęknie naczynie krwionośne w mózgu, gdy będzie mi podawał paczkę bensonów.

## 24

– Co więcej, wydaje się, że ofiara przeszła niedawno operację zmiany płci i została zamordowana z użyciem bezcennej, inkrustowanej drogimi kamieniami kuszy.

– Co?

– Świetnie, a więc wciąż jesteś z nami?

– Wybacz, Phil.

Thorne zaczął odczuwać zgubne skutki niedoboru snu. Ostatniej nocy wrócił z miejsca zbrodni bardzo późno, a Louise zasnęła już kamiennym snem i wciąż spała w najlepsze, kiedy wyszedł po cichu z domu na ulicę równie czarną, wilgotną jak przed czterema godzinami.

O jedenastej rano był już gotów wrócić do łóżka; nogi i ramiona miał ciężkie jak z ołowiu. Zimne metalowe stoły sekcyjne kostnicy w Hornsey wydawały się równie kuszące jak miękkie łóżka w ekskluzywnym hotelu.

– Dobrze robi tiger – powiedział Hendricks. – Albo red bull, choć nie polecałbym picia ich razem.

– Nie pomagasz mi, chyba że akurat masz puszczkę lub dwie w którejś ze swoich lodówek.

– We Francji jest zakazany, wiedziałeś?

– Co takiego?

– Red bull. W Norwegii i Danii również.

– Francuzi pijają absynt. Czy to nie jest zabójczy trunek?

– Bóg raczy wiedzieć, ale potrafi nieźle sponiewierać.

Thorne potrzebował chwili, żeby zrozumieć żarcik, ale nawet wówczas

tylko uśmiechnął się sarkastycznie.

Po wyjściu z sali sekcyjnej kontemplował przez chwilę rozwieszone na ścianach plakaty popularyzujące bezpieczeństwo i opiekę zdrowotną. Ziewnął, aby zatuszować puszczenie cichego bąka, i zerknął na ulotki o sposobach uniknięcia AIDS i WZW, podczas gdy Hendricks zdjął ochronny fartuch i rękawiczki chirurgiczne, po czym wrzucił je do kosza. Następnie przeszli wąskim korytarzem w stronę gabinetu koronera, z którego patolog mógł korzystać podczas swojej bytności w tym budynku.

– Cichy zabójca – rzekł Hendricks.

Przez kilka sekund Thorne sądził, że jego przyjaciel mówi o wirusowym zapaleniu wątroby, ale zaraz dostrzegł uśmiech na jego twarzy.

– Przepraszam.

– Parszywy drań.

Gabinet był nieco większy niż ten, w którym urzędował Pavesh Kambar, ale panował tu gorszy nieład. Na jednym z trzech biurków piętrzył się stos zielonych teczek, a na każdym z ekranów komputera przyklepiono karteczki z zapiskami. Hendricks przystawił krzesło dla Thorne'a i drugie dla siebie. Kalendarz z legendami lat siedemdziesiątych drużyny Arsenalu wiszący nad biurkiem stanowił jedyną linię demarkacyjną tego wspólnego terytorium, a Thorne wiedział, że za dwa tygodnie Hendricks będzie uczestniczył w seminarium na temat „regulacji genowej”. Data była obwiedziona na czerwono, pod zdjęciem Charliego George'a cieszącego się po strzeleniu zwycięskiego gola w finale rozgrywek pucharowych w 1971 roku.

Hendricks wskazał w stronę innych biurków.

– Większość osób, które tu pracują, ma pewne preferencje, jeżeli chodzi o „klientów”, a ja na przykład nie cierpię wszystkiego, co dotyczy wody. Tego, co robi z ciałem. Wolę pierwszego z brzegu skoczka albo ofiarę wypadku samochodowego niż topielca.

Thorne nie pamiętał zbyt wielu miłych miejsc zbrodni, ale gdy zjawił się na nasypie kanału wczoraj po południu, cieszył się, że nie zdążył zjeść lunchu.

Ciało wydobyto z wody w pobliżu Camden Lock, tuż obok sklepików i barów pobliskiego targowiska, choć nie sposób było stwierdzić, gdzie je wrzucono. Leżało na brzegu pod pospiesznie postawionym namiotem: jedna dłoń zaciśnięta w pięść, w której tkwił, jak można się było tego spodziewać, odcięty kawałek kliszy rentgenowskiej; druga ręka rozwarta, uniesiona, koniuszki palców pociemniałe, jakby ofiara była czarna, ale nosiła białe rękawiczki bez palców; brakowało jednego buta, wokół kostki stopy owinęło się pasmo jakiegoś zielska, brzuch, nabrzmiały od wzbierających w nim gazów, nieomal rozsadzał przemoczoną drelichową kurtkę.

W plastikowej reklamówce wciąż zostało trochę wody, a folia przywierała do twarzy mężczyzny, jeszcze bardziej ją zniekształcając. Zdaniem Thorne'a wyglądała jak stara poduszka. Wyłaziło z niej stare wypełnienie, materiał był postrzępiony i przegniły.

– Musiał poleżeć w wodzie około trzydziestu sześciu godzin – powiedział Hendricks. – Choć już wcześniej raczej do przystojnych nie należał.

– Uważasz, że już nie żył, kiedy wrzucono go do wody?

– Widziałeś jego twarz, stary? To nie robota ryb. – Hendricks usiadł wygodniej na krześle. – I domyślam się, że nie żył już wtedy od kilku godzin. Obawiam się, że jakieś cztery, może pięć.

– A więc zabito go gdzieś indziej?

– Nie przypuszczam, by zabójca dał mu po łbie, zarzucił na głowę reklamówkę, a potem stał sobie nad brzegiem kanału, machając do przechodniów.

Thorne potwierdził absurdalność tego pytania skinieniem głowy,

uznając, że odpowiedzi na to, gdzie zginął ten człowiek, być może zdołają im udzielić eksperci medycyny sądowej. Ale jak na razie to była ślepa uliczka, trzydzieści sześć godzin leżenia w wodzie zniweczyło o wiele więcej aniżeli tylko wątpliwą urodę denata. Zamrugał, by odegnać od siebie wspomnienie zmasakrowanej twarzy przestoniętej foliową reklamówką.

– Będzie kłopot z identyfikacją ciała – powiedział. – Żadnych znamion ani nic, nie spodziewam się, aby ktokolwiek go rozpoznał.

Hendricks pokręcił głową.

– Na szczęście to nie będzie konieczne.

– Po raz pierwszy uśmiechnęło się do nas szczęście – stwierdził Thorne.

– Weź pod uwagę, że to musi być jeden z tych trzech mężczyzn.

To, w jaki sposób została potraktowana twarz nieboszczyka, podawało w wątpliwość skuteczność identyfikacji dzięki kartotekom dentystycznym, a szanse na zdobycie odcisków palców albo próbek DNA z wiarygodnego źródła, by porównać je z tymi z ciała denata, były prawie zerowe. W tej sytuacji musieli zdać się na to, co zdołali znaleźć w kieszeniach ubrania ofiary Anthony’ego Garveya, i dzięki temu ustalili, że jest nią niejaki Simon Walsh; świadczyło o tym stare prawo jazdy, które miał w tylnej kieszeni dzinsów, i prawie nieczytelny list od ciotki wetknięty w jedną z przegródek portfela.

– Ciotka to jego najbliższa krewna?

Thorne pokiwał głową.

– Jak to zniosła?

– Miał się tym zająć Brigstocke. To śmierdząca sprawa.

– Wciąż nie pojmuję, jak to robicie – rzekł Hendricks. – W porównaniu z tymi rozmowami krojenie ludzi to pikuś.

– Ja jednak wolałbym codziennie mieć do czynienia z pogrążonymi w żałobie wdowami i rodzicami.

Hendricks niewzruszenie pokręcił głową.

– A ja zawsze wiem, jakiej reakcji mogę się spodziewać po nieboszczyku.

Thorne już miał powiedzieć „Bo przywykłeś”, ale Hendricks za dobrze go znał. Wiedział, że jest inaczej.

– Myślę, że jego ciotka ucieszyła się, że Walsh wciąż miał list od niej. Że o niej myślał, rozumiesz?

Rozległ się głośny turkot i przy wtórze pisku podgumowanych kółek na korytarz wytoczono wózek noszowy. Ten dźwięk szybko rozmył się w oddali pośród echa rozmów pracowników kostnicy i innych, codziennych dźwięków.

Hendricks odwrócił się do komputera i przejrzał pocztę. Thorne obserwował go; misterny tatuaż z motywami celtyckimi okalający jego biceps poruszał się, gdy patolog posługiwał się myszką.

– Miałbyś ochotę spędzić parę dni w Göteborgu? – zapytał Hendricks, zerkając na ekran. – Mają tam seminarium „Analiza obrazu w toksykopatologii”. No i możesz zjeść tyle wędzonych śledzi, ile zdołasz.

– Dlaczego zmienił sposób zabijania? – zapytał Thorne. – Dlaczego Walsh dostał w głowę z przodu? I dlaczego tym razem zabójca był tak brutalny?

Hendricks odwrócił się od komputera.

– A więc nie masz ochoty na śledzie?

– Daj spokój.

– Może zhardział, myśli, że jest dobry w tym, co robi.

– Nikt temu nie zaprzecza.

– I dlatego uznał, że nie musi się już z tym kryć, tak myślę. A może mu się spieszyło, albo nie miał czasu na zwabienie ofiary, tak jak to zrobił z Mackenem. – Hendricks zamyślił się przez chwilę. – Albo zwyczajnie ogarnia go coraz większa wściekłość.

– To dlaczego zabija go gdzieś indziej, a potem porzuca ciało? -zapytał Thorne. – Nigdy dotąd nie przejmował się tym, że ktoś znajdzie zwłoki.

– Nikt nie twierdzi, że nie chciał, żeby znaleziono ciało. Obstawiałbym raczej, że skoro zabił go poza domem, to właśnie dlatego porzucił go „pod chmurką”. Niby gdzie miałby go podrzucić?

– No tak...

– Nawet gdyby chciał jak dotychczas zabić go w zamkniętym pomieszczeniu, mogłoby się to okazać niemożliwe, bo Walsh mógł już nie mieć domu.

– Tak... pewnie masz rację – przyznał Thorne.

Wydał policzki i powoli wypuścił powietrze, zmuszając się, żeby wstać, choć z przyjemnością posiedziałby tak jeszcze kilka godzin. Podchodząc do drzwi, powiedział, że zadzwoni później, i poprosił o przefaksowanie raportu, kiedy tylko będzie gotowy; wiedział, że Hendricks mu się przygląda. Thorne dobrze znał ten wyraz twarzy patologa – zwężone w szparki oczy za szklami okularów – i zdawał sobie sprawę z tego, że Hendricks martwi się o niego i Louise, nie był pewny o co konkretnie, ale nie zamierzał zapytać.

Ostatecznie Hendricks dodał tylko:

– Na pewno nie dasz się namówić na ten wyjazd do Göteborga? W Szwecji mają naprawdę dobrą wódkę. No i nie ma u nich zakazu sprzedaży red bulla.

Po powrocie do Becke House Thorne stwierdził, że w sali odpraw panuje dziwna atmosfera, wszyscy uwijali się jak w informacji telefonicznej, którą to miejsce przypominało teraz bardziej niż kiedykolwiek, a zapał do pracy próbowano podsycać obietnicą nagrody, o którą jednak nikt nie kwapił się powalczyć, bo nie była warta zachodu. Odkrycie ciała zawsze mobilizowało zespół, nawet jeśli wszyscy już do tego przywykli, ale zapał

wydawał się ciut przygaszony. Daremny trud, takie właśnie przekonanie wyczuwało się tu na każdym kroku, wystarczyło tylko dobrze się rozejrzeć – w spojrzeniach, jakie wymieniali między sobą funkcjonariusze, w sposobie, w jaki uderzali w klawiatury komputerów czy podnosili słuchawkę telefonu.

Jako kierownik zespołu detektyw sierżant Samir Karim nadzorował działania ekipy od wezwania do Camden ubiegłego popołudnia. Odnalazł Thorne'a przy automacie z kawą, bezskutecznie rozglądając się za biskoptami.

– Jak bezgłowe kurczaki – powiedział Karim.

Thorne trzasnął drzwiczkami szafki nad lodówką.

– Niewiele więcej możemy zdziałać.

Tak jak się tego spodziewał, magicy z Wydziału Ekspertyz Medycyny Sądowej siedzieli z założonymi rękami, bo woda zniszczyła wszelkie dowody. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że zadzwoni jakiś prawy obywatel, który był świadkiem zajścia, czy to w Camden Lock, czy na miejscu zbrodni, gdziekolwiek do tego doszło, i wielu funkcjonariuszy chodziło od domu do domu, przepytując mieszkańców, jednak poza paroma eleganckimi apartamentowcami oddalonymi sto metrów od miejsca, gdzie znaleziono ciało, nie była to gęsto zamieszкана okolica.

– W Stanach był kurczak, który żył bez głowy przez osiemnaście miesięcy – powiedział Karim.

– Co takiego?

– Serio. Jakies pięćdziesiąt lat temu. Jeden z moich dzieciaków pokazał mi to w internecie. Cudowny bezgłowy kurczak Mike. Karmili go przez pipetę wprost do otworu w szyi i jeździli z nim po festynach i jarmarkach. Przeżył półtora roku bez głowy.

– Nie mamy aż tyle czasu – skwitował Thorne.

Do sali wszedł Brigstocke i przywołał go do siebie. Thorne pozostawił



Karima, aby dalej szukał biskoptów, i wszedł za nadinspektorem do jego gabinetu.

– Odbylem właśnie przemiłą rozmowę z ciotką Simona Walsh – oświadczył Brigstocke. – Typowe bzdety i dyplomacja. Powiedziałem, że jej bratanek padł ofiarą przypadkowej napaści, i próbowałem ją przekonać, że nie musi jeszcze przyjeżdżać, żeby go zobaczyć.

– A ja rozmawiałem o cudownych kurczakach – odrzekł Thorne.

Brigstocke zamrugał, na co Thorne pokręcił głową, dając do zrozumienia, że to nieistotne. Nadinspektor przeszedł za biurko.

– Tak więc kiedy tylko zdołamy znaleźć choć kawałek szczęki tego nieszczęśnika z nienaruszonymi zębami, zaczniemy przeglądać archiwa stomatologiczne, żeby potwierdzić tożsamość. Oczywiście musimy najpierw znaleźć jego dentystę, więc raczej nie czekałbym na to z zapartym tchem.

Nagle drgnął, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z obecności Thorne'a.

– Niech to szlag, ja mam troje dzieci. Jak to możliwe, że wydajesz się taki wypluty?

– Zmęczenie psychiczne – odrzekł Thorne. – Eksploatowanie mózgu o takich rozmiarach jak mój wiele mnie kosztuje, ale ty dobrze o tym wiesz. To nieco trudniejsze niż odrobienie pracy domowej z geografii albo dopilnowanie, żeby dzieciaki nie zapomniały zabrać do szkoły drugiego śniadania.

– Zaczekaj, aż ty będziesz miał dzieci, stary – zaśmiał się Brigstocke.

Thorne zaczął kontemplować wgniecenia na metalowej krawędzi biurka i kurz na plastikowych tacach na korespondencję. Kiedy znów uniósł wzrok, Brigstocke podsunął w jego stronę plik gazet.

– Co jest?

– W końcu mamy zdjęcia – rzekł Brigstocke i wskazał ręką, kiedy Thorne zaczął wertować egzemplarz „Evening Standard”. – Strona piąta... i opublikowano je również we wszystkich krajowych dziennikach. Mają być pokazane w dzisiejszym *London Tonight*.

Thorne spojrział na czarno-białe zdjęcia Grahama Fowlera i Andrew Dowda. Ponad nimi zamieszczono podpis: „Policja poszukuje zaginionych mężczyzn”, poniżej zaś krótki, mętny komentarz o prowadzonym śledztwie i numer telefonu. Pierwsze zdjęcie było rozmazane i od dawna nieaktualne, drugie zaś dostarczone tego dnia przez żonę Dowda też trudno było nazwać portretowym. Thorne zastanawiał się, czy do czegokolwiek się przydadzą. Choć z drugiej strony, pomijając śluby, niewielu ludzi miało robione profesjonalne fotografie i gdyby Louise musiała dostarczyć jego zdjęcia, miałyby do wyboru jedynie kilka fotek paszportowych i z wakacji.

Odłożył gazetę na biurko.

– Miło, że nadkomisarz w końcu przejrzał na oczy. Choć niestety odrobinę za późno dla Simona Walsh.

– Prawdę mówiąc, Jesmond wciąż był temu przeciwny.

– Żartujesz.

– I kilku jego przydupasów też. W ich mniemaniu publikacja zdjęć teraz, po śmierci Walsh, stanowi niemal jawne przyznanie się do porażki. Coś, na co ludzie mogą zwrócić uwagę, kiedy będzie już po sprawie.

– Do naszej porażki?

Brigstocke uniósł rękę.

– Na szczęście to Johns podjął ostateczną decyzję, więc teraz możemy się rozluźnić i trzymać kciuki.

– To wszystko, co możemy zrobić?

– Nowych tropów nie znajduje się codziennie. Po zabójstwie Walsh śledztwo nie ruszyło naprzód, a dyskusowanie o tym z twoją koleżanką

Carol też do niczego nie prowadzi.

Chamberlain zadzwoniła godzinę temu. Kiedy Thorne powiedział jej o odnalezieniu kolejnego ciała, zrelacjonowała mu swoje spotkanie z byłą żoną Raya Garveya i opowiedziała o Malcolmie Reesie, starym przyjacielu, którego próbowała już zlokalizować. Thorne powiedział, że pojedzie do hotelu i porozmawia z nią, jeżeli tylko znajdzie czas. Najdelikatniej jak umiał, zachęcał ją, aby się pospieszyła.

– Może powinieneś mi więcej płacić – rzuciła z przekąsem Chamberlain. – Albo przydzielić mi kogoś do pomocy.

– Z funduszami jest krucho – odrzekł Thorne. – Mieliśmy do wyboru: ty albo hipnoterapeuta...

Brigstocke wstał i wyszedł z biurka. Skinął w stronę pliku gazet.

– Zakładam, że po południu będziemy mieli sajgon z telefonami.

– Miejmy nadzieję, że nie zaczną dzwonić same świry.

– Powinniśmy zjeść porządny lunch – rzekł Brigstocke. – To może być długi dzień.

Thorne pokiwał głową. Nie jadł śniadania i musiał zagęścić czymś litry kawy, którą dziś w siebie wlał.

– Przy odrobinie szczęścia w Oak znów mogą mieć casserole z jagnięciny – Brigstocke otworzył drzwi. – Jak to, które zwędziłeś mi ostatnio sprzed nosa.

Thorne odparł, że to brzmi zachęcająco, ale uznał, iż powinni zjeść coś mniej treściwego. Poprzestać na czymś, co można by podać przez pipetę, wpuszczając kropla po kropli do przetyku.

Tego popołudnia odebrano mnóstwo telefonów i pomimo najgorszych obaw Thorne'a niektóre z nich wydawały się obiecujące. Co najmniej kilka osób stwierdziło, że widziało Grahama Fowlera w obrębie zaledwie jednego kilometra, pomiędzy Piccadilly a Covent Garden. Kobieta, która prowadziła

pensjonat w Ambleside, osadzie targowej piętnaście kilometrów na południe od Keswick w Lake District, oznajmiła, że człowiek, który mógł być Andrew Dowdem, mieszkał u niej przez kilka dni na początku tygodnia, po czym nagle się wyprowadził. Bardziej niż czymkolwiek innym przejmowała się raczej nieuiszczonym rachunkiem.

Pracy nie brakowało, nastroje w biurze były nieco bardziej optymistyczne, ale Thorne'owi udało się jakoś wrócić do Kentish Town przed siódmą i ucieszył się, że Louise dotarła do domu niedługo po nim. Była pogodniejsza i rozmowniejsza niż w ostatnich dniach. Opowiedziała mu o nowych szczegółach w sprawie, nad którą pracowała, podczas gdy on ugotował dla nich jajka w koszulkach i otworzył butelkę wina kupionego w drodze do domu.

Przy jedzeniu obejrzelili pół odcinka *Zawodowców* na G.O.L.D, a potem posłuchali *The Essential* Georgea Jonesa – to był jej wybór – podczas gdy Thorne pozmywał, a Louise przejrzała parę raportów na następny dzień. Jeżeli wciąż czuła się słabo, nie dawała tego po sobie poznać. Nuciała pod nosem *Why Baby Why* i *White Lightning*, ale chyba najbardziej podobał się jej *The Door*, jeden z niewielu kawałków George'a Jonesa, którego Thorne był w stanie wysłuchać, nie czując przy tym zimnej guli zatykającej mu gardło.

Kiedy już mieli się położyć, powiedziała:

– Odbyłam dziś długą pogawędkę z Lucy Freeman.

Z tą kobietą w ciąży z biura Louise. Thorne wrzucił koszulę do kosza na brudną bieliznę i usiadł na brzegu łóżka, żeby zdjąć spodnie.

– Powiedziałam jej, że mam przyjaciółkę, która właśnie straciła dziecko.

– Po co to zrobiłaś?

Louise wzruszyła ramionami. Usiadła przed niewielkim lustrem na toalecie w samych tylko majtkach i podkoszulku.

– Lucy była... naprawdę miła.

– To dobrze. – *Dobrze, że tamta kobieta była miła. Dobrze, że Louise z nią porozmawiała i to poskutkowało.*

– Później zaczynają buzować hormony i dlatego byłam taka nerwowa, chimeryczna, jakkolwiek to nazwać.

– Miałaś prawo być zdenerwowana.

– Tak tylko gadam. O tym właśnie mówiła Lucy. Ona też ma przyjaciółkę, która straciła dziecko.

– Jedna na cztery ciąży, tak wynikało z ulotki...

– I nie czuła się dobrze aż do dnia planowanego rozwiązania.

– Słucham?

– A w każdym razie nie całkiem. Lucy powiedziała, że to się zmienia dopiero wtedy, kiedy minie dzień spodziewanego rozwiązania. To trochę jak po naciśnięciu guzika. Dopiero wtedy można... iść w życiu dalej.

Thorne pokiwał głową, w myślach robiąc rachunki i zdejmując slipki.

– Trzydzieści jeden tygodni i będę jak nowo narodzona.

Thorne usłyszał coś w jej śmiechu, to wystarczyło, aby do niej podszedł.

– Chodź tu...

Wstała, a on objął ją mocno, kiedy się do niego przytuliła. Czuł jej napięcie, niewiele brakowało, aby się rozkleiła.

– To moja wina – powiedziała. Nieomal muskała wargami jego tors. – Ona tylko próbowała pomóc.

– Ale nie pomogła.

– Nie za bardzo.

Znów ten cichy niepewny śmiech, a zaraz potem uniosła głowę i zaczęła mocniej wtulać się w Thorne'a i kiedy oboje wylądowali na łóżku, Louise już ściągała podkoszulek przez głowę.

– Tam, na dole jestem jeszcze... wrażliwa – powiedziała. – Będziemy musieli poradzić sobie jakoś inaczej.

Thorne uśmiechnął się.

– Nie tak – rzekła Louise.

W tym, co zrobili, aby sprawić sobie nawzajem rozkosz, nie było nic delikatnego czy subtelnego i pomimo emocji, jakie ich połączyły tej nocy, raczej uprawiali seks, niż się kochali.

Jakby im obojgu właśnie to było teraz potrzebne.

★

Sygnal komórki Thorne'a wyrwał go ze snu, w którym śmigał z obłądną prędkością po powierzchni błękitnej wody. Zerknął na zegarek: 6.12 rano. Na wyświetlaczu telefonu zobaczył nazwisko Russella Brigstocke'a.

– Wczesnie wstajesz.

– Czasami warto zerwać się bladym świtem – odparł nadinspektor.

– Nastrój mam tak dobry, że zastanawiam się, czy nie wskoczyć z powrotem do łóżka i nie sprawić pani Brigstocke porannej niespodzianki.

Thorne pomyślał o wczorajszym wieczorze i poczuł, że mu staje. Miał nadzieję, że poczucie winy minie, ale wciąż je czuł, uporczywie dławiące go w piersiach.

– No dobra, wal.

– Graham Fowler wszedł na dworzec Charing Cross o jedenastej wczoraj wieczorem z egzemplarzem „Standarda”, którym zamierzał się przykryć.

– Ożeż ty!

– To nie wszystko – ciągnął Brigstocke. – Jakies pół godziny temu zadzwonił do nas Andrew Dowd. Wygląda na to, że w końcu włączył komórkę i odsłuchał naszą wiadomość.

– Gdzie jest teraz?

– W Kendal – odparł Brigstocke. – Tam, skąd pochodzą ciasta miętowe. Ktoś właśnie po niego pojechał.

Ostrożnie, aby nie obudzić Louise, Thorne odgarnął koc i stanął nagi przy łóżku w ciemnościach.

– A więc wygląda na to, że Jesmondowi i jego przydupasom tym razem się upiecze.

– Nam wszystkim, jak dobrze pójdzie.

– Parszywe łajzy.

Brigstocke zaśmiał się.

– My czy oni?

– Mówiłem o Fowlerze i Dowdzie – mruknął Thorne.

**CZĘŚĆ TRZECIA**  
**GRA ZRĘCZNOŚCIOWO-**  
**STRATEGICZNA**



# PÓŹNIEJ

## Nina

W najgorszych momentach, kiedy ma ochotę tłuc co jej podejdzie pod rękę, wie, że za to, co się stało, jest odpowiedzialny tylko jeden mężczyzna, ale trudno nie obwiniać także tych dwóch statystów z „The Bill” siedzących w samochodzie na zewnątrz. Albo tego palanta Thorne’a i jego koleś, którzy przesiadują tu dwadzieścia cztery godziny na dobę, odkąd wprowadziła się do niej Debbie z Jasonem.

Gdy ktoś trudni się tym co ona, policyjny radiowóz przed domem nie wpływa dobrze na notowania.

Zawsze wolała pracować w swoim domu, podobnie jak większość dziewczyn, które znała. Czuła się bezpieczniej we własnych czterech ścianach, odnosiła wrażenie, że nad wszystkim panuje. Nie mogła jednak oczekiwać, że któryś z jej stałych klientów zechce tu przyjść, mijając po drodze dwóch niebieskich, a przecież pieniądze nie spadną jej z nieba. Dlatego musiała teraz częściej odwiedzać tandetne hoteliki i obskurne mieszkania. Zaspokajać klientów ręką w ich samochodach zaparkowanych na tyłach stadionu. Musiała bardziej ryzykować.

I prawie nie pracowała po południu, co było głupie! Rzadko się na to decydowała, bo wolała dłużej pospać po długiej nocy. Dni miała dla siebie i powoli szykowała się, by zaliczyć możliwie jak najwięcej klientów następnego wieczoru. Łysiejący podtatusiały biznesmen przyjeżdżający z Manchesteru na konferencję czy zjazd, oto powód, dla którego nie było jej tam, kiedy to się stało. Choć nawet gdyby była w domu, i tak niczego by to

nie zmieniło. Bez większego trudu ominął tych dwóch gliniarzy.

Koniec końców ten chory pojeb okazał się sprytniejszy od nich wszystkich.

A najgorsze było w tym wszystkim to, że tydzień czy dwa, zanim to się stało, złożyła Debbie obietnicę. Przysięgła, że pójdzie na odwyk i zrobi ze sobą porządek. Rozmawiały o planach na przyszłość, o tym, że gdy tylko zbiorą wspólnie dość pieniędzy, wyjadą gdzieś we trójkę na kilka tygodni. Do jednego z tych zacisznych miejsc, gdzie nie musieliby się przejmować pogodą. Gdzie byłby porządny klub dla niej i Debbie, aby mogły się zabawić wieczorem, i basen, huśtawki oraz plac zabaw dla Jasona.

– Grunt, aby w pobliżu była linia kolejowa – stwierdziła Debbie. – Żeby mógł pogwizdać na pociągi.

Chryste...

Teraz to wszystko na nic, te obietnice i plany.

Prawie wszystko, co zarobiła, przepuściła na towar od tamtego dnia, kiedy pojawił się Anthony Garvey. Nie potrzebuje więcej towaru niż do tej pory, ale częściej ma teraz zjazdy. Nie potrafi myśleć logicznie i martwić się tym, co przyniesie ze sobą przyszłość. Ale niezależnie od tego, jak często bierze, nie pozostaje na haju dostatecznie długo.

Bywają takie dni, kiedy akurat obrabiana przez jakiegoś spoconego klienta ma wrażenie, że... budzi się nagle, przypomina sobie, co się stało, i ostatkiem sił pohamowuje się, by nie zacząć krzyczeć i nie wbić facetowi paznokci w szyję. Ostatnio ryzykuje bardziej niż dotychczas. Wsiada do podejrzanych aut, których powinna unikać, i pozwala temu czy owemu dupkowi, żeby potraktował ją brutalnie. Czuje się lepiej, kiedy boli.

Czuje, że na to zasłużyła.

Nina staje przed lustrem przy frontowych drzwiach. Przed wyjściem „do pracy” poprawia jeszcze makijaż: czeka na nią nauczyciel, który lubi, aby

mówiła mu sprośne rzeczy, i który miał przyjechać po nią na stację benzynową.

Zagląda do torebki, aby sprawdzić, czy ma gumki, mentosy i chusteczki higieniczne. Przegląda się w lustrze.

Nieźła z ciebie dupa, myśli, wiedząc, że gdyby powiedziała to wcześniej głośno, Debbie zaraz by się roześmiała. I potwierdziłaby, że wygląda naprawdę świetnie, a ten, kto byłby gotów zapłacić za możliwość rozkoszowania się jej towarzystwem tego wieczoru, powinien być jej, kurwa, wdzięczny.

Przeczesał palcami postawione na sztorc włosy, wysiła się na jeszcze jeden uśmiech. Mówi: „Z Bogiem”.

Sięgając do torebki po chusteczkę higieniczną, Nina odwraca się w stronę frontowych drzwi.

## 25

Thorne jechał na południe w kierunku Euston, usiłując przebić się przez mniejsze po tej stronie miasta korki w porannym szczycie. Ból głowy, z jakim się obudził, ani myślał zelżeć, a zażarty spór na temat braku formy drużyny Spurs na Five Live bynajmniej nie poprawił mu nastroju. Poniedziałek rano. Nie lubił poniedziałków.

Większą część weekendu spędził, całe szczęście, samotnie, jeśli nie liczyć godziny czy dwóch w Grafton z Philem Hendricksem w niedzielę, w porze lunchu. Louise postanowiła zostać przez parę dni u rodziców, poprzedniego wieczoru wróciła późno i wyjechała z samego rana.

- Dochodzi do siebie – rzekł w pubie Hendricks.
- O tak – odrzekł powoli Thorne, starając się, by akcent położony na „tak” nie powiedział jego przyjacielowi za wiele.
- Powinniście gdzieś wspólnie wyjechać, i to możliwie jak najszybciej.
- Łatwo ci mówić.
- Może by ci się udało. Teraz, kiedy sprawa Garveya nie stanowi już takiej sensacji.
- Może dla ciebie.

Hendricks miał rację. Wszystko powoli zaczynało się uspokajać. Mieli pięć nierozwiązanych morderstw – sześć, jeśli włączyć w to Chloe Sinclair – no i zabójca wciąż pozostawał na wolności, ale policja nieco zmieniła kierunek swoich działań, zwłaszcza teraz, kiedy dwaj ostatni mężczyźni z listy Anthony’ego Garveya zostali odnalezieni cali i zdrowi.

Niewielki zespół specjalnie wyszkolonych funkcjonariuszy przez

ostatnie dwa dni rozmawiał z Andrew Dowdem i Grahamem Fowlerem. W praktyce to oznaczało możliwie jak najdelikatniejsze wytłumaczenie im zagrożenia, w jakim się znajdowali, z naciskiem na to, że byli teraz absolutnie bezpieczni, i nakłonienie, aby w pełni przystali na pozostanie w nowym lokum. To nie poszło jednak tak gładko, jak opisano w raportach, które przesłano Thorne'owi. Żaden mężczyzna nie okazywał chęci do współpracy, obu określono na papierze mianem „trudnych”, a jeden z oficerów łącznikowych w rozmowie telefonicznej z Thorneem nazwał ich „nie całkiem normalnymi”.

– Przypuszczam, że to rozumiałe. – Oficer najwyraźniej cieszył się, że miał już ten dzień pracy za sobą. – Ich matki zamordowano, jakiś świr próbuje zrobić z nimi to samo, a w dodatku obaj sprawiają wrażenie, jakby byli na jakichś prochach.

– Będą problemy?

– Mamy paralizatory.

Thorne zaśmiał się, ale wiedział, jakie spustoszenie mogą poczynić smutek, strach i narkotyki. W połączeniu stanowiły groźną mieszankę wybuchową.

*Przypuszczam, że to rozumiałe.*

Skręcił w szeroką, niedawno wyasfaltowaną uliczkę, na tyłach dworca Euston, nieco zaniepokojony rozmowami, które miał niebawem odbyć z dwoma nieznanymi mu jeszcze mężczyznami. Żałował, że nie ma z nim Kitson albo Hollanda. Oboje lepiej niż on umieli uspokajać ludzi, jego umiejętności były dokładnie odwrotne.

Zatrzymał się za volvo z tablicami policyjnymi, które zapewne było szybsze, niż się wydawało. Przebiegając przez ulicę, wyjął z kieszeni legitymację.

Pomyślał: Cali, ale nie całkiem zdrowi.

To był nijaki budynek składający się z ośmiu słuźbowych mieszkań, każde oddzielne, a do środka wchodziło się przez strzeżony hol główny. Radiowozy nie mogły zbliżyć się do tego miejsca bliżej niż dwie przecznice, lokalnym gliniarzom nakazano, aby omijali je szerokim łukiem, a z zewnątrz nic nie wskazywało na to, aby ten budynek pełnił jakąś szczególną funkcję. Choć rachunki mieszkańców płaciła policja stołeczna, ich poczynania były monitorowane dokładniej niż gości w hotelu, w którym zatrzymała się Carol Chamberlain. Kamery na każdym korytarzu przekazywały obraz do dyżurki na parterze, jednostki szybkiego reagowania stacjonowały w pobliżu, a dwaj policjanci po cywilnemu przebywali w budynku dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pomimo braku jawnej obecności policji nikt, kto się tu zatrzymał, nie musiał się obawiać, że zostanie okradziony.

Budynek został zakupiony przez policję, by umieszczać w nim świadków w procesach wysokiego ryzyka, zwłaszcza tych, którym w zamian za zeznania miano zagwarantować nietykalność, lub tych, którzy z uwagi na to, przeciwko komu zeznawali, mogli nie doczekać nietykalności. Rok wcześniej podczas dużej sprawy związanej z narkotykami miejsce to zaczęto nazywać Plantacją Trawki, a jedyną zmianą od tamtego czasu była księga gości opatrzona stosownym logo. Wtedy zajęte były wszystkie mieszkania i wielu funkcjonariuszy całymi nocami przesiadywało tu, grając w karty i zamawiając dania na wynos z pobliskich knajpek. Obecnie jednak Plantacja Trawki miała tylko dwóch rezydentów.

Thorne wprowadził podany mu kod i otworzył drzwi do holu. Dwaj mężczyźni, którzy rozmawiali w dyżurce, odwrócili się, gdy podszedł. Jednego nie znał, ale z drugim, detektywem sierżantem, pracował już kilka lat wcześniej.

– Wyciągnąłeś najkrótszą słomkę, Brian?

Brian Spibey miał około trzydziestu lat, był wysoki i pochodził z południowego zachodu. Jeżeli nawet drażniło go, że przedwcześniełysiał, nie dawał tego po sobie poznać, a Thorne podziwiał każdego, kto potrafił zaakceptować to, co nieuchronne, i tak jak Brian zgolił resztki fryzury zamiast wysłuchiwać drwiących docinków, na które naraziłby się, gdyby używał żelu albo, co gorsza, cesał się na pożyczkę.

– Nie jest tak źle – odparł Spibey – Mamy skuteczny system dyżurów i w tygodniu przypadają mi tylko trzy nocki.

– A jak oni sobie radzą?

Thorne ruchem głowy wskazał na górę, gdzie, jak wiedział, na najwyższym piętrze przebywali Fowler i Dowd.

– Całkiem nieźle. Chyba się zakumplowali, co mi pasuje. Dzięki temu nie musimy ich specjalnie zabawiać.

– Są teraz spokojniejsi? – zapytał Thorne.

– Wcześniej było trochę krzyków i wrzasków. Myślę, że to dlatego, iż Fowler nie przywykł do przebywania w jednym miejscu. Daliśmy mu kolejną paczkę fajek i od razu się uspokoił.

Drugi funkcjonariusz wybuchnął śmiechem.

– Rzecz jasna na tyle, na ile potrafi być spokojny taki szajbus.

Spibey przedstawił swojego kolegę jako Roba Gibbonsa. On i Thorne uścisnęli sobie nawzajem ręce.

– To jak, zaprowadzicie mnie? – zapytał Thorne.

To było na drugim piętrze, dwa ostatnie pokoje na końcu idealnie prostego korytarza. Nylonowy dywan był szary i strzelał iskrami elektryczności statycznej. U szczytu schodów stała duża plastikowa roślina, a ktoś postanowił przełamać monotonię bladożółtych ścian kilkoma reprodukcjami, takimi, jakie można nabyć w Ikei za 4,99 funtów i włożyć w antyramę.

Thorne uznał, że gdyby miał spędzić tu więcej czasu, sam zacząłby wrzeszczeć i awanturować się.

Spibey skinął w stronę przedostatnich drzwi.

– Chce pan może herbaty?

– Macie herbatę w pokojach?

– Pewnie sam będzie pan musiał sobie zaparzyć.

Spibey wstukał czterocyfrowy kod do zamka elektronicznego, po czym zapukał.

– Czego?

– Jesteś ubrany, Graham?

Rozległo się burkliwe potwierdzenie, a Spibey skrzywił się drwiąco, kiedy Thorne pchnięciem otworzył drzwi.

– Proszę krzyknąć, kiedy będzie pan gotowy na następnego – powiedział.

Fowler siedział w fotelu zwróconym w stronę okna i prawie nie zauważył pojawienia się Thorne'a. Miał na sobie dzinsy i przydużą bluzę od dresu, które dostarczyła mu policja, choć najwyraźniej skarpety i buty nie zyskały jego uznania. Palił papierosa, a w popielniczce na stoliku przed nim piętrzył się stos niedopałków. Thorne przedstawił się i przeprosił, że nie zjawił się wcześniej. Usiadł na niedużej kanapie.

– Ostatnie dni były dość nerwowe. Wiem, że wytłumaczono panu sytuację.

Fowler odwrócił się i spojrział na Thorne'a. Włosy miał ciemne, sięgające do kołnierzyka, a mniej więcej tygodniowy zarost nie był w stanie zamaskować zapadniętych policzków ani ziemistej cery.

– Tak, wyjaśniono mi.

Thorne rozejrzał się po pokoju i starał się udawać, że jest pod wrażeniem.



– A więc nie jest tak źle, prawda?

– Jest dobrze.

– Na pewno lepsze niż to, gdzie pan przebywał ostatnio.

– Co pan może o tym wiedzieć?

Thorne odchylił się do tyłu, starał się zachować nastrój do rozmowy. Zauważył, że Fowler jest nerwowy, zdezorientowany, rozkojarzony.

– Cóż, przyjechałem tu, żeby się tego dowiedzieć, ale wiem, że od jakiegoś czasu mieszkał pan na ulicy. Wiem co nieco o tym, jak dochodzi do takich zdarzeń.

– Tak?

– Troszeczkę.

Fowler uśmiechnął się krzywo, najwyraźniej nieprzekonany. Zgasił papierosa, pozostawiając w popielniczce tłący się niedopałek.

– Może powinien pan wprowadzić się tutaj – powiedział.

– Słucham?

– Skoro pan wie.

– Tego nie powiedziałem.

– Jako dziecko widzieć, jak matka została zamordowana. – Fowler pokiwał głową z przesadną powagą. – Ten facet prawdopodobnie poluje także na pana.

Thorne przechylił głowę, jakby przyznawał mu rację, i zapytał Fowlera, czy miałby ochotę na herbatę. Tamten wzruszył ramionami, po czym przytaknął: „Tak, chętnie”, kiedy Thorne wszedł do maleńkiej kuchni.

Zanim Thorne znowu usiadł i postawił kubki na stole, Fowler zapalił kolejnego papierosa.

– Proszę.

Tamten tylko burknął coś w odpowiedzi. Okno było lekko uchylone, a Fowler skupił wzrok na smużkach wijącego się dymu, które unosiły się

i wypływały na zewnątrz.

– Bierze pan coś, Grahamie? – zapytał Thorne.

Fowler odwrócił się powoli, z lekkim wahaniem, jakby to pytanie dotarło do niego z opóźnieniem.

– A jak pan sądzi?

– Możemy tu przysłać lekarza.

– Widziałem się z lekarzem, pierwszego dnia.

– I?

– Powiedział, że może załatwić mi metadon.

Wrzaski i krzyki, o których wspominał Spibey, wydawały się teraz bardziej zrozumiałe.

– Zorganizuję to – powiedział Thorne.

– Przydałoby się też parę browarów.

– To nie powinno stanowić problemu.

Fowler pokiwał głową, mruknął „dzięki” i szeroko rozłożył ręce.

– Pieprzony dom – powiedział i nagle uśmiechnął się, ukazując liczne braki w uzębieniu, zarówno w szczęce, jak i w żuchwie. – Dom – azyl dla bezdomnego.

– Zobaczymy, może opieka społeczna zgodzi się znaleźć dla pana coś na stałe – rzekł Thorne. – Kiedy już będzie po wszystkim.

– Dzięki, ale spasuję.

– Woli pan wrócić na ulicę?

– Nie lubię hosteli ani niczego takiego. Za dużo głupich zasad, a w niektórych z tych przytulisk nawet nie pozwalają człowiekowi się napić.

– To może nie jest wcale takie głupie.

– Teraz już na to za późno, stary.

Thorne wiedział, że żyjący na ulicy podzielali zdanie Grahama Fowlera, który z tego czy z innego powodu przejawiał awersję do wszelkiego rodzaju

instytucji. Kiedy kilka lat temu on sam sypiał na ulicy, spotkał wielu takich jak tamten nieszczęśnik. Niechęć Fowlera tłumaczyła, dlaczego policji nie udało się odnaleźć go poprzez rejestry hosteli i przytulisk.

– To kiedy pogadamy? – zapytał Fowler.

– Słucham?

– Kiedy będzie „po wszystkim”. Kiedy go złapiecie, tak?

– No właśnie. Nie wiem.

– Cholera wie, jak długo to potrwa, tak? – Fowler pokiwał głową, nie czekając na odpowiedź. – Posłuchaj, stary, załatw mi tylko metadon i browca, a możesz się w ogóle nie spieszyć. – Zaśmiał się, ale nagle przerwał, kiedy zobaczył wyraz twarzy Thorne'a. – No co jest? Żartowałem tylko.

– Przy odrobinie szczęścia wykopimy pana stąd, zanim zdecydują się na zmianę pościeli – odrzekł Thorne.

Fowler wstał i wyrzucił niedopałek przez okno, nagle znów wydawał się ożywiony.

– A tak przy okazji, czemu on to robi? Nikt mi tego nie powiedział.

Thorne nie uznał za stosowne zatajać przed nim tej informacji. Skoro pacjenci mieli prawo wglądu do swoich akt, ten człowiek mógł się dowiedzieć, dlaczego ktoś pragnął jego śmierci.

– Uważa, że człowiek, który zabił pańską matkę, nie powinien zostać skazany.

– Garvey? – Fowler wymówił to nazwisko jak obelgę.

– Uważa, że Raymond Garvey nie odpowiadał za swoje czyny. Że to wszystko stało się z powodu guza mózgu i gdyby wykryto go wcześniej, nie umarłby w więzieniu.

Fowler pokręcił głową, chłonąc to wszystko.

– Ale dlaczego nie poszedł z tym do sądu? Dlaczego wybrał taką drogę?

– Bo ma poważne zaburzenia psychiczne.

Fowler zamyślił się nad tym przez chwilę, po czym wolno usiadł na fotelu, jakby coś go zabolalo.

– No cóż, kiedy go schwytnacie, nie omieszkać wpaść na pogawędkę. Wygląda na to, że możemy mieć ze sobą coś wspólnego.

Thorne uświadomił sobie, że nawet nie tknął herbaty. Sięgnął po kubek i wypił już ledwie ciepłąwą duszkiem.

– Nie sądzę, aby zorientował się pan, że ktoś pana śledzi? Ale może zauważył pan kogoś, kto w ostatnich dniach kręcił się w pobliżu? Rozpoznał pan kogoś?

Fowler pokręcił głową.

– Przykro mi. Kiepski ze mnie obserwator.

– Ktoś o pana wypytywał?

– O ile wiem, to nie. Mógłby pan zapytać chłopaków, jeśli ich pan znajdzie. Obcy rzucają się w oczy. Na ulicach ludzie są... charakterystyczni, rozumie pan?

– Może pan podać mi jakieś nazwisko?

– Mogę powiedzieć, gdzie powinien pan ich poszukać, pewnie ich pan tam znajdzie.

Thorne wiedział, że nie może liczyć na więcej. Kiedy chodziło o ludzi, którzy każdej nocy, skrywali się w mroku, by się upić albo dać sobie w żyłę, nie mógł się spodziewać, że otrzyma ich pełne nazwisko i adres.

– Z góry dziękuję.

– Niech ich pan pozdrowi ode mnie, dobra? – rzucił Fowler. – Powiedziałem im, że wygrałem na loterii.

Thorne zapewnił Fowlera, że to zrobi. Patrzył na szczerbaty uśmiech, delikatne drzenie skóry wokół ust i pomyślał, że szczęście ewidentnie sprzyja całkiem innym ludziom.

Kilka minut później wyszedł na korytarz i pomachał do jednej z kamer monitoringu zawieszonych na ścianie. Już miał zejść na dół i zacząć narzekać na ochronę, gdy z holu poniżej doszedł go charakterystyczny, przepełniony chropawym akcentem głos Briana Spibeya:

– Idę, już idę, widzę pana, do cholery! Ale akurat rozwiązywałem diabelnie trudne sudoku...

## 26

Pokój Andrew Dowda wyglądał niemal identycznie jak klitka Grahama Fowlera – nijak, ale komfortowo – a choć sam Dowd wydawał się nieco spokojniejszy od swojego sąsiada i z pewnością był lepiej ubrany: w spodnie khaki i koszulkę polo, pod innymi względami prezentował się równie wstrząsająco.

– Wygląda pan... inaczej – stwierdził Thorne, przypominając sobie zdjęcie dostarczone przez żonę Dowda, opublikowane w gazetach w ubiegły piątek.

– Chodzi o to?

Dowd wzruszył ramionami i przejechał dłonią po ogolonej głowie. Thorne dostrzegł na przegubie tamtego drogi zegarek.

– Sporo rzeczy się zmieniło – powiedział. – Wiele zmian.

– A więc nie chodziło tylko o wędrowny wyjazd?

– Sporo wędrowałem.

Thorne pokiwał głową i rozsiadł się wygodnie na kanapie, takiej samej jak ta, na której siedział kilka minut temu.

– Zawsze mnie kusiło, żeby samemu wybrać się na taki wypad.

– Warto.

– Ma pan jakieś konkretne miejsce?

– Musiałem się trochę wyciszyć.

– Nie wątpię – przyznał Thorne. – Wygląda pan prawie jak mnich buddyjski.

Dowd uśmiechnął się, ukazując nieco bogatszy garnitur zębów niż

Graham Fowler.

Kiedy zjawił się Thorne, Dowd czytał gazetę, a w tle grało radio. Fowler wydawał się rozemocjonowany i nerwowy, natomiast Andrew Dowd rozluźniony i jakby pogodzony z obecną sytuacją, ale Thorne domyślił się, że w jego wnętrzu wrzało. Ogolenie głowy mogło być spowodowane radykalną, stanowczą decyzją o zmianie wyglądu, ale w połączeniu z tym, co Thorne zdołał się dowiedzieć na temat sytuacji domowej Dowda, był prawie pewien, że przeżył on dość poważne załamanie nerwowe.

Nie stał się ofiarą Anthony'ego Garveya, ale nadal był jedną z ofiar Raymonda.

– Poza tym, że wpadłem, aby zobaczyć, jak się pan trzyma – powiedział Thorne – chciałem zamienić słówko o pana żonie.

– To, które mi się z miejsca nasuwa, to „suka” – odrzekł Dowd. – Ale bez trudu znalazłbym też inne.

Thorne uśmiechnął się pod nosem.

– Chcieliśmy się z nią spotkać.

Oblicze Dowda spochmurniało na chwilę.

– Powodzenia. Radziłbym zabrać czosnek i osikowy kołek.

W jego wnętrzu wrzało...

Po rozmowie z funkcjonariuszami, którzy eskortowali Dowda z Kendal, Thorne'a nie zdziwiło jego nastawienie do żony, ale poziom jadu w jego głosie wyraźnie go zaskoczył. Co więcej, zdumiało go, że powiedział to z takim spokojem, nie tracąc nad sobą panowania.

Dowd uparcie odmawiał skontaktowania się z żoną. Nie chciał pojechać z funkcjonariuszami do domu, aby zabrać trochę swoich rzeczy, i stanowczo żądał, by nie podawano jej adresu, pod którym miał odtąd przebywać. Co więcej, wolałby, żeby w ogóle nie została powiadomiona o jego odnalezieniu.

– Dobrze by jej zrobiło, gdyby pomartwiła się trochę dłużej – stwierdził.  
– A ja miałbym powód do zadowolenia.

Teraz Dowd usiadł prosto i zamknął oczy, najwyraźniej całkiem zobojętniały. Jednak po minucie czy dwóch ciekawość wzięła górę nad jego spokojem.

– Po co chcecie się widzieć z Sarah?

– Przecież pan wie, że szukamy mężczyzny nazywającego siebie Anthonym Garveyem.

– To dobrze, że go szukacie.

– Uważamy, że w ten czy inny sposób ten mężczyzna zbliża się do swoich ofiar. – Thorne przerwał, po czym dodał: – Do ludzi, których zabił.

– Coś się panu wypsnęło? – spytał Dowd.

Thorne poczuł, że się czerwieni, ale kontynuował:

– Jesteśmy przekonani, że ofiary musiały go znać. Zapewne tylko z widzenia, ale tak czy inaczej go znały. Nie spieszył się, nie szczędził czasu, aby te osoby poczuły się w jego obecności swobodnie, aby wpuściły go do swoich domów i w ogóle.

– Jak to zrobił?

– Wiemy, że jedną z ofiar poderwał w barze – odparł Thorne. – Inną mógł poznać przez szpital, w którym pracowała. Wciąż próbujemy to rozgryźć, ale szczerze mówiąc, jesteśmy prawie pewni, że w jakiś sposób pojawia się w ich życiu.

– Myśli pan, że w moim również?

– Cóż, całkiem możliwe, że jeszcze do pana nie dotarł...

– Jezu...

– Ale owszem, to możliwe. Czy jest ktoś, kogo mógł pan poznać w ciągu ostatnich tygodni?

– Poznałem wielu ludzi – odparł Dowd. – Kiedy włóczyłem się



w okolicach Lakes, stykałem się z innymi amatorami pieszych wędrówek i z ludźmi w pubach. – Uniósł ręce, jakby to było głupie pytanie. – Stale spotykamy jakichś ludzi.

– No dobrze, a zatem czy kogoś mógł pan widzieć kilkakrotnie? Może nowy sąsiad. Albo czyściciel okien.

Dowd zamyślił się przez chwilę.

– Jest pewien facet, którego znalazła Sarah, który przychodzi mniej więcej raz w tygodniu, żeby umyć samochody. Ma małą furgonetkę z wbudowanym generatorem, wie pan, o czym mówię?

– Od kiedy przyjeżdża?

– Będzie już ze dwa miesiące.

– Jak się nazywa?

– Szczerze mówiąc, prawie z nim nie rozmawiałem – odparł Dowd. – Lepiej niech pan zapyta Sarah.

– Jak już wspomniałem, i tak zamierzaliśmy z nią pomówić.

Dowd mruknął coś i odwrócił wzrok, bębniąc palcami w podłokiet – nik fotela. Niebo za oknem pokoju Fowlera było pogodne, ale Thorne spostrzegł nadciągającą nawałę chmur zapowiadającą pogorszenie pogody.

– Jaki macie problem, pan i żona, Andrew? – zapytał Thorne, a kiedy Dowd gwałtownie uniósł wzrok, powiedział: – Nie zamierzam udawać, że to ma coś wspólnego ze sprawą, ale...

Dowd zaczął miętosić w palcach kołnierzyk koszuli. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze.

– Nie będę oszukiwał. Nie mam łatwego charakteru, jasne?

– Coś o tym wiem z własnego doświadczenia – odrzekł Thorne.

– Biorę proszki, które jeszcze pogarszają sytuację. Od dzieciństwa łykałem różne leki.

Thorne przypomniał sobie ważny rozdział z jednej z książek, które

ostatnio czytał. Odkąd Raymond Garvey roztrzaskał głowę twojej matce, pomyślał. Odkąd porzucił jej ciało na pustym placu za przystankiem autobusowym w Ealing.

– Ale Sarah wie, jak ze mną postępować. Jest w tym naprawdę dobra. Zupełnie jakby lubiła... sterować mną. Wie pan, że niektóre kobiety to kręci? Czasami odnoszę wrażenie, że tylko w takich sytuacjach ona odczuwa cokolwiek, tylko wtedy czuje, że żyje. Jakby uważała, że jej życie jest nic niewarte i jedynym sposobem, aby krew zapulsowała w jej żyłach, jest kontrolować mnie, moje reakcje, moje emocje, moje odczucia. Używa swoich argumentów, zwłaszcza jednego. Aż zacznę się wycofywać. Mam dość tej kontroli. Potrzebowałem miejsca, gdzie nie miałyby do mnie dostępu, rozumie pan? Nie tylko mentalnie.

Thorne pokiwał głową, domyślając się, że był pierwszą osobą, której Dowd kiedykolwiek się z tego zwierzył, ale miał wrażenie, jakby tamten wcześniej już przygotował sobie tę wypowiedź. I nagle wyobraził go sobie, jak krąży przez cały dzień wokół Lakes i obmyśla, co powiedziałby żonie, kiedy będzie miał po temu okazję. Jak się upija na umór w pubie każdego wieczoru i próbuje zapomnieć, dlaczego tam się znalazł. Jak powraca do obrzydliwego pensjonatu i sięga po nożyczki i maszynkę do golenia.

– Mówił pan o zwłaszcza jednym argumencie kontroli.

– Dzieci – odparł pośpiesznie Dowd. – Chciała je mieć, a ja byłem temu absolutnie przeciwny.

Thorne zamrugął.

– Sprytne.

– O tak. Na kilka dni przed tym, jak zwinąłem manatki, wkurzyła się i zaczęła mówić, że znajdzie sobie kogoś, kto będzie ich chciał.

– Zaplótł ramiona i odchylił głowę do tyłu. – Może ten facet, który myje samochody, wyświadczy jej tę przysługę. Może przeczyści jej to i owo...

– Współczuję – mruknął Thorne.

Nie było mu przykro, ale uznał to słowo za adekwatne do sytuacji.

Kiedy wstał, aby wyjść, zauważył, że maska niewzruszonej pewności siebie opadła z twarzy Dowda i zastąpił ją wyraz rozczarowania. W jego oczach dostrzegł również strach, gdy mężczyzna podchodził wraz z Thorneem do drzwi.

– Złapiecie tego faceta, tak?

– Robimy, co w naszej mocy.

Dowd szybko pokiwał głową.

– Jasne, taa, przepraszam. To pogadajcie z Sarah. Zobaczcie, czy to wam w czymś pomoże. Wie pan, mam na myśli tego gościa od mycia aut.

– Poinformuję pana, gdyby wyniknęło coś nowego – zapewnił Thorne.

Gdy Thorne sięgał dłonią w stronę drzwi, Dowd zbliżył się do niego.

– Po co ktoś chciałby sprowadzać dzieci na świat? Na tak chory, porąbany świat?

To z całą pewnością dziwne, pomyślał Thorne, kiedy wracał do samochodu. Jeden mężczyzna prosi, aby pozdrowić jego kolegów stojących w kolejce po miskę darmowej zupy, a drugi nie ma nic do powiedzenia własnej żonie.

Jak ludzie mogą tak żyć? – spytała Louise. – Po co są razem tak długo, skoro wzajemnie się nienawidzą?

– Może to lepsze niż bycie samemu?

– Nie...

– Albo jest tak, jak powiedział, że niektórzy ludzie po prostu lubią konflikty. Mnie to nie kręci, ale ja nie jestem żadnym autorytetem w tej dziedzinie, prawda?

Thorne opowiedział Louise o rozmowie z Andrew Dowdem i jego dysfunkcyjnym, toksycznym małżeństwie. Nie nadmienił, co zdaniem

Dowda stanowi główny punkt zapalny ich niekończącego się sporu. Co jest tym szczególnym argumentem, którego nadużywa jego żona.

Louise pokręciła głową.

– Jeżeli coś ci nie pasuje, należy to przerwać.

– Postaram się zapamiętać.

– Świetnie. I wiesz, że jak zaczniesz mnie wkurzać, wymienię cię na lepszy model.

Thorne siedział z piwem na kanapie. Przeglądał egzemplarz książki Nicka Maiera o zbrodniach Garveya, koncentrując się na tych fragmentach, które opowiadały o śmierci matek Andrew Dowda i Grahama Fowlera, i z trudem przedzierając się przez rozdział opisujący szczegółowo zabójstwo Frances Walsh, matki Simona. Jej ciało odnaleziono jako trzecie, choć później okazało się, że była pierwszą ofiarą.

Nie ma to jak odrobina rozrywki po kolacji.

Louise leżała na podłodze, bawiąc się z Elvis i drapiąc kotkę pod mordką. Zwierzak przymknął oczy i wyciągnął szyję, poddając się pieszczotom swojej nowej najlepszej przyjaciółki. Thorne patrzył na to i stwierdził, że jemu Elvis nigdy nie okazywała takiej sympatii. Wcześniej należała do pewnej kobiety, która przypuszczalnie nawet nie wiedziała, że ma kotkę, nie kota – stąd imię, jakie jej nadała – a później, wskutek pewnego tragicznego zdarzenia, Elvis trafiła do Thorne a. A może miało to coś wspólnego z feromonami lub, co równie możliwe, kotka po prostu lubiła go ignorować.

– Mówię serio – dodała Louise. – Życie jest za krótkie.

Thorne spojrział na okładkę książki leżącej obok niego na kanapie. Nie zaoponował.

– To coś, co sobie uświadamiasz, kiedy dotknie cię prawdziwa tragedia. No wiesz, jak na przykład utrata dziecka. W pierwszej chwili myślisz sobie,

co za pech, ale z drugiej strony możesz spojrzeć na to wszystko inaczej i nauczyć się doceniać to, co masz.

Thorne pokiwał głową i poczuł ciężką gulę w piersi.

– Wszystko w porządku? – zapytała Louise.

Znowu sięgnął po książkę.

– Po prostu o czymś pomyślałem, przepraszam.

– To co innego. Odkąd to się stało, praca zupełnie na mnie nie działa. Nie wiem, czy to dlatego, że mam ważniejsze sprawy na głowie, czy po prostu nie umiem się zatracić w niej tak jak kiedyś. Wiesz, o co mi chodzi?

Powiedziała coś jeszcze, wciąż głaszcząc wyprężonego jak struna kota, ale Thorne usłyszał zaledwie część jej słów. Trudno mu było się skupić, gdy jego myśli zaprzętały Garveyowie.

Ojciec i syn.

Maier w swojej książce zacytował jednego z detektywów prowadzących śledztwo, który stwierdził, że nigdy dotąd nie zetknął się z tak brutalnymi morderstwami. Mówił o niespotykanym okrucieństwie i przemocy, która musiała być spowodowana nienawiścią na niewiarygodną wręcz skalę.

Albo cholernym guzem mózgu, pomyślał Thorne.

Syn być może nie był wiedziony nienawiścią, ale popełniał równie brutalne zabójstwa, a Thorne już od lat nie czuł w sobie tak silnego pragnienia schwytania sprawcy i wpakowania go za kratki.

Louise mówiła coś półgłosem, do niego albo może do kota.

Anthony Garvey mógł widzieć gazety, ale nie mógł wiedzieć tego, że obaj, Fowler i Dowd, zostali odnalezieni, ani tego, że Debbie Mitchell została ukryta w bezpiecznym miejscu. Na pewno gdzieś tam poszukiwał ich, czując narastającą frustrację. To może mi dać pewną przewagę nad nim, pomyślał Thorne.

Louise usiadła i położyła sobie Elvis na udach.

– Ten kot naprawdę mnie kocha – powiedziała.

Thorne uśmiechnął się i odłożył książkę.

Albo równie dobrze mogło sprawić, że zabójca będzie jeszcze bardziej zdesperowany.

*Więzienie Jej Królewskiej Mości Whitemoor*

- Znów ten były gliniarz?
- Ale co?
- Twoja twarz?
- Przewróciłem się.
- No jasne...
- Naprawdę, miałem silny atak i upadając, uderzyłem głową o pryczę. Muszę poddać się kilku testom, przejść badania. Tomografia czy coś takiego.
- O czym ty mówisz? Coś w rodzaju ataku epilepsji?
- Tak, może. To może być cokolwiek. Miewałem już takie ataki kilka razy...
- O czym ty mówisz?
- Ale po raz pierwszy poważnie na tym ucierpiałem. W sumie dobrze, że tak się stało, w przeciwnym razie mogliby w ogóle tego nie wykryć.
- Boże.
- Nic mi nie jest, naprawdę.
- Czemu nic nie powiedziałeś?
- Nie chciałem cię martwić.
- A co z bólami głowy? Czy atakowi towarzyszył silny ból głowy?
- Nie wiem.
- Wejdę do internetu i trochę posprawdzam.
- Sam mogę to zrobić, mamy tu dostęp do wszystkiego. Ale mimo

wszystko dzięki.

– Obaj możemy to zrobić. Nie zaszkodzi zdobyć jak najwięcej informacji.

– Dobra.

– Atak epilepsji mogą wywoływać gwałtowne błyski światła. Lampy stroboskopowe i tego typu rzeczy.

– To nie masz się czym martwić. Tu nie ma nic takiego.

– W sumie to dobra wiadomość, jeśli się nad tym zastanowić.

– Ale co konkretnie?

– Będą musieli przewieźć cię do szpitala, być może na stałe. To na pewno lepsze niż siedzenie tutaj.

– Nie wiem, jak to działa.

– Założę się, że mają tam lepsze żarcie, no i raczej nie spotkasz tam szajbusów z kosami własnej roboty.

– Zobaczymy, jak to będzie.

– Może szczęście uśmiechnie się do ciebie, nigdy nie wiadomo.

– Co u ciebie?

– Wszystko gra, jak zawsze.

– A co z pracą?

– Łapię, co się da, trochę tu, trochę tam. Ale radzę sobie świetnie, naprawdę.

– Musisz znaleźć coś stałego, stanąć na nogi. Kiedy jesteś nastolatkiem, możesz próbować różnych rzeczy, ale nadchodzi czas, kiedy trzeba pomyśleć o stabilizacji.

– Nie rozumiem po co.

– Nie chciałbyś mieć stałej pracy, rodziny i w ogóle?

– Mam rodzinę.

– Nie tylko mnie.



– Zrozum, nie znalazłem na razie tego, co naprawdę chciałbym robić. Nie spieszy mi się. Mam jeszcze czas.

– Posłuchaj, ja mam więcej czasu niż ty, rozumiesz, cwaniaczku? Czas się ślimaczy, kiedy nie masz do roboty nic więcej prócz przekopywania ogródka naczelnika i chodzenia na zajęcia, które i tak do niczego ci się nie przydadzą. Ale poza murami czas płynie błyskawicznie, możesz mi wierzyć.

– Wiem, nie musisz mi suszyć głowy. Znajdę sobie coś.

– Rozmawiałem z jednym z tamtych i powiedział, że możesz pojechać ze mną, kiedy wezmą mnie na te badania. No wiesz, jako osoba z rodziny.

– Tak, oczywiście.

– Nie musisz. Ale miło byłoby widzieć znajomą twarz, kiedy będę leżał przykuty kajdankami do szpitalnego łóżka. Nigdy nie lubiłem szpitali.

– Nie przejmuj się tym tak bardzo.

– Jeżeli chcesz wiedzieć, to mnie walnęło jak obuchem w głowę.

– Będę tam, jasne? Słyszysz?

– To dobrze.

Jeszcze dziesięć lat temu Shoreditch było zapuszczoną dzielnicą handlową, ale jak sąsiednie Hoxton przeszło radykalną i gwałtowną modernizację. W ostatnich latach pojawiły się tu ekskluzywne lofty, apartamenty na poddaszach, kluby tylko dla członków, ba, rozgrywano nawet turnieje golfowe, podczas których biznesmeni i przedstawiciele mediów ubrani w kretyńskie stroje uganiali się za małymi białymi piłeczkami. Młodzi pisarze umieszczali tu akcję swoich powieści, a na ulicach kręcono niezależne filmy. Taksówkarze nie wzbraniali się już przed przyjeżdżaniem tu po zmierzchu, a interesy jakoś się kręciły. Podczas gdy wiktoriańskie budynki oczyszczono z pokrywającej je przez dekady warstwy kurzu i brudu, wokoło pojawiły się nowe przedsięwzięcia, bary i kluby oraz biurowce z firmami konsultingowymi i agencjami reklamowymi, takie jak ta, w której szefową była żona Andrew Dowda.

Kazała Thorne'owi czekać na siebie piętnaście minut, ale ucieszył się, gdyż mógł wypić kawę w małym zatłoczonym barze i popatrzeć, jak kręci się świat; a konkretnie rzecz biorąc, obserwować gromady nienagannie ubranych młodych kobiet, od których wręcz roiło się na ulicach wokół Hoxton Square. Kiedy Dowd dołączyła w końcu do ich grona, z przykrością stwierdziła, że może poświęcić Thorne'owi zaledwie dziesięć minut. Ponieważ miała tego popołudnia jeszcze kilka spotkań biznesowych, na lunch mogła przeznaczyć nie więcej niż pół godziny.

Thorne mógł powiedzieć, że on także był dość zajęty. Albo zauważyć, że choć powiedziała już wiele, jak dotąd nie przeprosiła za spóźnienie.

– Postaram się pani nie zatrzymywać – zapewnił.

Zamówiła sałatkę z kurczakiem i butelkę wody mineralnej.

– Przepraszam, że nie mogłam spotkać się z panem w domu – powiedziała. – Ostatnio wracam bardzo późno, zazwyczaj już w nocy, a w domu jest remont i wciąż spory bałagan.

– Nie ma sprawy – rzekła Thorne. – Remont w domu to musi być koszmar, wszędzie kręcą się robotnicy i w ogóle.

– Boże, pan przez to nigdy nie przechodził?

– Nie na większą skalę. Jeżeli chcę zobaczyć jakąś rozwałkę, oglądam kino akcji.

– To tylko drobna przebudowa...

Thorne nie próbował ustalić, o co konkretnie chodzi, ale skinął głową i spytał, kiedy zaczęły się prace. Czy robotnicy byli na miejscu od miesiąca, czy dwóch, bo to mogło być ważne. Wielu kontrahentów chętnie wynajmowało do ciężkich prac robotników sezonowych, co mogło stanowić dla Anthony'ego Garveya okazję, aby zbliżyć się do swojego celu.

– Zaczęli w zeszłym tygodniu – odparła. – Bałagan jest okropny, ale pomogło mi to oderwać myśli od sprawy zaginięcia Andrew. Rozumie pan?

Thorne odparł, że tak.

– Zaczęłabym się martwić, gdyby prace zostały ukończone przed jego odnalezieniem. Jeżeli zostanie odnaleziony.

– No to może pani przestać się martwić.

– Mogę?

Przyniesiono jej zamówienie, a Thorne patrzył, jak zaczęła jeść; precyzyjne ruchy widelca, łyk wody po każdych dwóch, trzech kęsach. Próbował wyobrazić sobie ją i jej ogolonego od niedawna na łyso męża przy wspólnym posiłku w rozbudowanym, choć i tak wielkim domu w Clapham. Zarobki Sarah i pieniądze, które zarabiał Andrew jako zarządca

papierów wartościowych, wystawne wakacje dwa razy do roku, prywatna opieka zdrowotna i luksusowy samochód dla każdego z nich. Byli typową młodą parą zawodowców, którzy mieli wszystko.

Tyle że ich małżeństwo się posypało.

Kiedy nagle Sarah odłożyła widelec, Thorne nie wiedział, czy straciła apetyt, czy zazwyczaj tyle jadła. Gdyby zamówiła coś innego niż sałatkę, zapewne zapytałby, czy może dokończyć.

– Kiedy policja skontaktowała się ze mną, by poinformować, że się odnalazł, dowiedziałam się, że nie chce mnie widzieć. Cóż, oczywiście ubrali to w piękne słówka i mówili coś o procedurze, ale zrozumiałam aluzję ukrytą między wierszami.

Miała poważną minę, jednak Thorne odniósł wrażenie, że nie należy do ludzi, którzy często się uśmiechają. Jak dotąd jego przypuszczenia się potwierdzały.

– Oczywiście to nie nasza sprawa – powiedział. – Naszym zadaniem było odnaleźć go i zapewnić mu bezpieczeństwo.

Ciągnęła, jakby w ogóle nie usłyszała jego słów:

– A kiedy przyjechali po jego rzeczy, nie chcieli powiedzieć mi, gdzie przebywa.

Odgarnęła kosmyk nienagannie przystrzyżonych blond włosów za ucho.

– Czy w ogóle jest w Londynie...

– Jest... w Londynie – odrzekł Thorne. – Na pewno pani rozumie, że w interesie jego bezpieczeństwa musimy zachować w tajemnicy to, gdzie konkretnie przebywa. Z uwagi na dobro śledztwa. – Starał się być przekonujący, ale chyba bez większego powodzenia.

Sarah Dowd bawiła się resztkami sałatki, przesuwając ją po talerzu.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak źle – powiedziała. – Kłóciliśmy się, ale to na pewno pan wie.

– Jak już mówiłem, to nie nasza sprawa.

– Ale on włączył was w tę sprawę, prawda?

– Pani mąż jest w silnym stresie. Nie mam co do tego wątpliwości. Może uznał, że najlepiej będzie dla was obojga, jeśli trochę się od pani... odetnie. To zrozumiałe, zważywszy na to, że zagrożenie jest poważne.

– Nie wiem, czy jest pan dobrym detektywem, czy nie – powiedziała. – Ale kit umie pan wciskać koncertowo.

– To niezbędna umiejętność w moim fachu.

– Myślał pan kiedykolwiek o pracy w reklamie?

Thorne dostrzegł pierwszy, wątył jeszcze, cień uśmiechu.

– Nie wątpię, że płacą lepiej – powiedział.

Wzruszyła ramionami.

– Ale to piekielnie stresująca robota.

Thorne stłumił śmiech. Pojawiła się kelnerka i zapytała, czy Sarah już skończyła. Ta podała talerz kelnerce, nie patrząc na nią. Podziękowała za deser i dopiero wtedy Thorne zauważył, jak chude ramiona miała Sarah Dowd: przez skórę widać było sterczące kości.

– Andrew wspomniał o mężczyźnie, który dla was pracuje – rzekł Thorne. – Który przyjeżdża, żeby myć wasze samochody?

Pokiwała głową.

– Tony.

Thorne poczuł lekkie świerzbień skóry na karku.

– Zna pani jego nazwisko? – zapytał, choć wiedział, że na pewno nie brzmiało ono Garvey; nie mógłby go użyć, pracując dla kogoś, kto od razu, z wiadomych względów musiałby je skojarzyć.

– Zawsze był tylko Tony – odparła Sarah. – Nigdy nie pytałam o nazwisko.

– Proszę mi o nim opowiedzieć.

– Zjawił się któregoś dnia i zaproponował swoje usługi. Powiedziałam mu, ile płacimy, a on zaoferował niższą stawkę i okazało się, że jest sumiennym fachowcem. Miał cały sprzęt w swojej furgonetce, urządzenie do mycia aut, odkurzacz itp. Dlaczego tak się nim pan interesuje? – Po chwili wyraźnie pobađła, gdyż uświadomiła sobie, o co może chodzić. – Uważa pan, że to właśnie on chce zabić Andrew?

Thorne sięgnął po aktówkę i wyjął kopie trzech portretów pamięciowych, które dotąd udało się sporządzić na podstawie zeznań świadków.

– Czy któryś z nich go przypomina?

Sarah Dowd przyjrzała się portretom, po czym postukała palcem w środkowy.

– Ten jest dość podobny. Ale miał bardziej nalaną twarz i nosił okulary. No i miał zarost, jakby zapuszczał brode.

Thorne schował portrety pamięciowe do aktówki, w myślach stwierdzając, że łatwo jest zmienić wygląd. Nie trzeba być wcale mistrzem kamuflażu. Zarost lub brak zarostu. Fryzura, czapka, okulary. Do tego dochodził czynnik w postaci zdolności obserwacyjnych danej osoby i o ukrycie się w tłumie nie było trudno.

– Czy kiedykolwiek wchodził do państwa domu?

Nagle się zdenerwowała, jakby została o coś oskarżona.

– Kilka razy zrobiłam mu herbatę, pogawędziliśmy o różnych sprawach... Tak.

– Od jak dawna to trwa?

– Zjawił się jakieś osiem, dziewięć razy, więc... dwa miesiące?

– A potem przestał przyjeżdżać?

Pokiwała głową.

– Mniej więcej wtedy, kiedy zniknął Andrew. Próbowalam dzwonić na

jego komórkę, ale była wyłączona. – Poczerwieniała. – Pamiętam, że się rozzłościłam, bo musiałam pojechać do myjni, żeby umyć auto.

– Czy mogłaby pani podać mi jego numer?

Thorne wiedział, że był to z pewnością numer telefonu na kartę i w związku z tym nie do wykrycia, ale warto sprawdzić.

– Wydawał się miłym facetem – powiedziała. – Konkretnym. Takim... normalnym gościem.

– O czym pani z nim rozmawiała, kiedy był w pani domu?

– Nie wiem. – Nagle zrobiła się spięta. – O wakacjach, o pracy, przy herbacie ucinaliśmy sobie krótkie pogawędki.

– Zadawał jakieś pytania?

– Jak to zwykle bywa, ale w sumie nic niezwykłego.

– Nie pytał o pani rozkład dnia, o to, jak się wam układa w małżeństwie?

– Nie, żadnych konkretów, ale mógłby się tego domyślić...

– Rozumiem.

– Ja nigdy nie... powiedziała mu niczego wprost.

– Nie musiała pani – odrzekł Thorne.

Wszystko, czego dotąd dowiedział się o Anthonym Garveyu, wskazywało na to, że ten człowiek jest cierpliwy, umie słuchać i czekać na odpowiedni moment.

– Czy Andrew przebywał tu kiedykolwiek w tym samym czasie co on?

Zamyśliła się przez chwilę.

– Kilka razy. Chyba tak. Zwykle zjawiał się w sobotę. – Zaczęła bawić się serwetką. – Pamiętam, że przyjechał kiedyś, gdy akurat ostro się pokłóciliśmy. Nie cierpię prać brudów przy obcych, rozumie pan, ale Andrew nie ma żadnych oporów i zawsze mówi to, co myśli, nawet w obecności osób postronnych. Zwykle nie zwraca na nich uwagi, ale jeśli

nawet, to po prostu cieszy się, że ma widownię. – Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze; zdawała się nie zauważać kosmyka włosów, który spadł jej na twarz. – Wrzeszczeliśmy i obrzucaliśmy się inwektywami, a ja pamiętam, że wybiegłam na werandę i zobaczyłam Tonyego krzątającego się przy samochodach. – Przerwała na chwilę. – Pamiętam, że uniósł wzrok, a ja uśmiechnęłam się do niego jak kretynka, jakbym dawała do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Jakby to wszystko było absolutnie normalne.

Thorne patrzył, jak miętosi serwetkę w palcach, a w myślach stwierdził, że gdyby wierzyć słowom Andrewa Dowda, kłótnia taka jak ta, o której właśnie wspomniała Sarah, była dla niego czymś absolutnie normalnym. Gdy zerknęła na zegarek i mruknęła pod nosem, że musi już iść, Thorne uznał, że lubił ją bardziej niż przed dziesięcioma minutami, zwłaszcza iż wiedział, co było jednym z głównych powodów kłótni między nią a mężem.

– W porządku – powiedział. – Nie zrobiła pani nic złego.

Zamówił kolejną kawę i posiedział jeszcze kwadrans po tym, jak

Sarah Dowd już wyszła. Uznał, że muzyka w tle – chyba salsa? – brzmi dość przyjemnie, a odkąd niedawno odkrył w sobie zamiłowanie do klasyki, być może jego gust muzyczny nieco się rozszerzył. Kto wie, może któregoś dnia polubi nawet jazz, choć jak stwierdził, byłaby to lekka przesada.

Rozmyślał przede wszystkim o zabójcy, chyba najbardziej skrupulatnym i najlepiej zorganizowanym, jakiego kiedykolwiek próbował dopaść.

Czy Anthony Garvey rzeczywiście chciał, żeby Nicholas Maier napisał tę książkę, czy był to jedynie sprytny wybieg mający na celu wyciągnięcie od niego pieniędzy, których potrzebował? Kiedy po raz pierwszy sporządził listę swoich ofiar? Na jakim etapie związku uznał, że Chloe Sinclair była zbędna?

Zastanawiał się, popatrując na przechodniów, jakie plany mógł snuć



Anthony Garvey teraz, kiedy troje z jego listy wciąż jeszcze żyje i miewa się nie najgorzej, a on nie jest w stanie do nich dotrzeć.

Wychodząc na ulicę, Thorne omal nie został przewrócony przez mężczyznę, który spiorunował go wzrokiem, jakby oburzał się, że tamten śmiał wejść mu w drogę. Thorne powiedział „Przepraszam”, choć zaraz pożałował, że to zrobił – ot typowa angielska reakcja. Skrzywił się, zerkając na hasło na podkoszulku tamtego: „W razie odnalezienia uprasza się o odniesienie do pubu”.

Wracając do miejsca, gdzie zaparkował swoje BMW, Thorne stwierdził, że gdyby kiedykolwiek taki palant jak ten się zgubił, ci, którzy go znali, powinni modlić się, żeby już tak zostało, albo żeby ci, którzy go znajdują, pozostawili go tam, gdzie był.

- Nie wiem, jak pani znosi ten smród.
- Co?
- Tu cuchnie... stęchłym moczem i wilgocią, a pani nie boi się tu wchodzić.
- Najwyraźniej nie uczestniczyłeś jeszcze przy sekcji zwłok – powiedziała Kitson.

Stażysta detektyw konstabl Bridges odwrócił wzrok, aby ukryć swoje skrępowanie. Na ten wieczór przydzielono go do Kitson, która widziała wyraźnie, że nie przypadło mu to do gustu. Jej również. Wieczorna wędrówka po niezbyt przyjemnych miejscach na terenie West Endu niosła ze sobą wiele niespodzianek i, co za tym idzie, również potencjalnych zagrożeń, a w tej sytuacji obecność mierzącego metr osiemdziesiąt osiem konstabla stażysty była jak najbardziej pożądana. Choć gdyby przyszło co do czego, Yvonne Kitson potrafiłaby sobie poradzić. Niemniej uznała, że rzucony od czasu do czasu kretyński komentarz był niewielką ceną za poczucie bezpieczeństwa, a jej partner, mimo że żółtodziób, miał dość oleju w głowie, aby zostać nieco z tyłu, kiedy z kimś rozmawiała. Akurat ten element przydzielonego mu zadania był mu na rękę.

Obeszli już Leicester Square i wąskie uliczki wokół Piccadilly Circus, przy czym oboje cieszyli się, że pogoda im dopisuje. Kitson pokazywała zdjęcia Grahama Fowlera każdemu, kto wyglądał na bezdomnego, a gdyby dopisało jej szczęście, nie zawahałaby się wyjąć portretu pamięciowego Anthony'ego Garveya. Jak na razie jednak pozostawał w jej torebce.

Po tym, jak Tom Thorne zapoznał ją ze szczegółami życia na ulicy, Kitson nie spodziewała się natychmiastowego sukcesu. Na szczęście populacja bezdomnych w West Endzie nie była duża, niemniej podzielona na odrębne kasty – pijaków, narkomanów i chorych psychicznie – których członkowie często nie znali się nawzajem.

– Tylko nie przesadź z poszukiwaniami – przestrzegł ją Thorne. – Ludzie potrafią szybko się przemieszczać albo zniknąć, ale są też tacy, zaprawieni w bojach, którzy wegetują całymi latami.

Bridges nie podzielał jego optymizmu ani nie był tak wyrozumiały.

– Nawet gdyby niektórzy z nich go widzieli – powiedział po pierwszej godzinie – większość jest zbyt naćpana albo pijana, aby mogli to pamiętać.

Wyszli na Trafalgar Square i przeszli w stronę dworca Charing Cross. Staruszek z akcentem z Europy Wschodniej, mający cienki koc zarzucony na ramiona, pokręcił głową przecząco, gdy podsunęli mu zdjęcie Fowlera, choć ewidentnie miał problem ze skupieniem na nim wzroku. Wskazał Kitson miejsce, w głąb Strandu, gdzie niebawem miała być wydawana darmowa zupa.

– Wielu tam przychodzi – powiedział.

Kitson podziękowała mu, mimo iż to miejsce znajdowało się na liście przygotowanej przez Fowlera, i wcisnęła mu do ręki parę funtów.

– Pewnie będzie mogła to pani potem wpisać sobie w koszty – powiedział Bridges, gdy ruszyli dalej. – No wie pani, w ramach śledztwa.

Kitson zignorowała go.

Furgonetka punktualnie o wpół do dziesiątej zatrzymała się w cichej uliczce na tyłach Somerset House, pomiędzy niedużym parkiem a wielkim gmachem, w którym miało siedzibę American Tobacco. Czekają tam już w kolejce ze dwadzieścia osób, gdy drzwi furgonetki otworzyły się, a po ulicy rozniósł się zapach zupy.

Tak jak powiedział staruszek przy Charing Cross, przychodziło tam sporo osób.

Niektórzy odebrali już porcję zupy albo kawę i czym prędzej się ulotnili, ale inni pozostali i teraz stali samotnie z boku, co, sądząc po ich postawie, odpowiadało im, albo zbierali się przy chodniku w niewielkie grupki. Kilka pierwszych osób, do których podeszła Kitson, odpowiedziało przeczącym ruchem głowy; nie chcieli rozmawiać albo nie rozpoznali Grahama Fowlera, trudno było to stwierdzić. Jeden z mężczyzn zaczął się na nią gapić, a stojąca przy nim kobieta kazała jej spadać. Choć bardzo tego chciała, Kitson nie spasowała, dopóki nie uzyskała pozytywnej odpowiedzi od Szkota imieniem Bobby, który stał wraz z grupką przy siatce biegnącej wzdłuż parku. Pokiwał entuzjastycznie głową, siorbiąc herbatę, i wskazał palcem zdjęcie.

– Taa, znam tego gościa.

– Jest pan pewien? Nazywa się Graham Fowler.

Bobby wzruszył ramionami i znów popatrzył na zdjęcie. Mógł mieć od czterdziestu do sześćdziesięciu lat.

– Graham, tak?

– Graham Fowler.

– Taa, to na pewno on – ciągnął Bobby – Zadarł z jakimś typem, który pyszczył na mnie nad rzeką.

Inny mężczyzna dodał, że dałby temu bucowi w pysk, ale przyznał, że Graham, o ile tak się nazywa, to porządny facet.

– Nie widziałem go już od kilku nocy – rzekł Bobby.

Kumpel Bobbyego skinął na Kitson.

– Jak sądzisz, po co oni tu krążą i pokazują wszystkim jego zdjęcie? Facet jest już trup, stary Pewnie załatwił go ten dupek, co do ciebie pyskował.

– Czy to prawda? – zapytał Bobby.

– Nic mu nie jest – odparła Kitson. – Przebywa z przyjaciółmi. – Pospiesznie wyjęła portret pamięciowy – Bardziej interesuje nas ten człowiek.

– Fatalna fotka – mruknął Bobby.

Kitson zaśmiała się wraz z pozostałymi.

– Czy ktokolwiek z was widział tego człowieka, może kręcił się tutaj, kiedy jeszcze był tutaj Fowler?

Bobby pokręcił głową, ale zaraz wtrącił się inny członek jego grupy:

– Widziałem kogoś o takich oczach. Miał inne włosy, ale oczy pasują. Wydawało mi się, że ma trochę nie po kolei, więc trzymałem się od niego z daleka.

– Kiedy to było?

– Będzie ze dwa tygodnie temu. O tutaj, kiedy czekaliśmy na przyjazd furgonetki.

Jeden z pozostałych potwierdził jego słowa i dodał, że rozmawiał z facetem o małych ciemnych oczach. Kitson spytała, czy przypomina sobie treść rozmowy.

– Wypytywał tylko o różne miejsca, wie pani... schroniska, przytuliska, pory otwarcia i takie tam. – Napił się kawy. – Mówił, że jest nowy, chciał znać zasady, więc mu powiedziałem to, co powinien wiedzieć. Wszyscy kiedyś przez to przechodziliśmy, więc uznałem, że trzeba człowiekowi pomóc. Nie przeszkodziło mi, że facet sprawiał wrażenie, jakby miał coś nie w porządku pod kopułą.

– Graham był tutaj, tak?

– Tak, jeżeli mnie pamięć nie myli.

Dopił kawę i podszedł do furgonetki po następną.

– Tak, Graham na pewno gdzieś tu się kręcił.

– Na pewno żyje? – zapytał Bobby.

Kitson podziękowała wszystkim i schowała zdjęcia. Już miała odejść, kiedy mężczyzna, którego wcześniej nie zauważyła, przeszedł przez ulicę, zmierzając w jej stronę.

Był po dwudziestce, chudy jak tyka, z niezdrową cerą i włosami w kolorze brudny blond, pozlepianymi w strąki i postawionymi na sztorc. Zbliżał się zdecydowanym krokiem i chyba tylko dlatego, że się uśmiechał, Bridges nie zastąpił mu drogi.

– Znam jednego z waszych – powiedział.

Kitson zmarszczyła brwi.

– Doprawdy?

– Tak się składa, że pracowaliśmy kiedyś razem. Pomogłem mu złapać pewnego gościa. Może go pani o to zapytać.

– Jak on się nazywa?

– Thorne.

Popatrzył na nią, spodziewając się, że zostanie rozpoznany, ale bez powodzenia.

– Minęło parę lat, ale takich rzeczy się nie zapomina. Mówimy tu o naprawdę grubszej sprawie.

Podszedł nieco bliżej.

– Zna go pani?

– Tak, znam.

Tamten uśmiechnął się szerzej, a Kitson ujrzała pieńki poczerwiałych zębów wystające z poszarzałych dziąseł. Nieomal poczuła jego nieświeży oddech. Usta ćpuna.

– Proszę go pozdrowić od Spike a, dobrze? Będzie wiedział, o kogo chodzi.

Zaczął grzebać w kieszeniach kurtki i w końcu wyjął paczkę papierosów.

– Niech pani mu powie, żeby na siebie uważał.

Bridges chciał wiedzieć, o czym Kitson rozmawiała z chłopakiem, ale ona zupełnie go zignorowała, mówiąc tylko o tym, co usłyszała od Bobbyego i jego kumpli.

Uznała, że mogą być zadowoleni z nocnego wypadu.

– Garvey tu był. To mówi nam coś więcej o jego sposobie działania.

Brigdes nie wydawał się przekonany.

– Ale nie pomaga nam w jego schwytaniu, prawda? Nie rozumiem, po co zadaliśmy sobie tyle trudu.

– To się nazywa przygotowaniem sprawy, a może o tym nie wiesz?

I pomoże nam go zapuszkować, kiedy go w końcu dorwiemy.

– Skoro tak pani mówi.

Kitson przyspieszyła kroku i nieznacznie wyprzedziła stażystę. Facet przypuszczalnie potrafi się zachować i gdyby była zainteresowana, mogłaby przyznać, że jest przystojny, ale nie mogła oprzeć się przeświadczeniu, że musiała pracować z synem nadkomisarza, kompletnego półgłówka.

Usłyszała pełen wyrzutu głos Bridgesa:

– Że też to wszystko tak cholernie długo trwa.

– Jeżeli liczyłeś na szybką i łatwą robotę – odparła – to wybrałeś sobie niewłaściwy fach.

★

Myślałam, że do tej pory już wróci. – Louise raz jeszcze popatrzyła na zegarek i podkuliła nogi. – Wiedziałam, że wróci późno, ale zwykle o tej porze już był. Może nastąpił przełom w sprawie.

Hendricks siedział na drugim końcu kanapy.

– Zadzwońliby, gdyby to się stało – powiedział.

Sięgnął po butelkę i nalał po kieliszku wina dla nich obydwójga.

– To paskudna sprawa, Lou.

– Dlaczego on zawsze dostaje te najgorsze?

– Bo najlepiej się w nich sprawdza.

– Może powinnam zacząć się tym martwić. Skoro ma być ojcem mojego dziecka.

– Nic się nie martw. Przy odrobinie szczęścia dzieciak odziedziczy urodę i charakter po tobie.

– No jasne, a po nim gust muzyczny.

Rozmawiali o albumie, który Hendricks znalazł w jednej z szafek, o płycie, którą tu kiedyś zostawił przy jakiejś okazji, i oboje wiedzieli, że Thorne nie znosi takiej muzyki.

– Muszę powiedzieć, że zdziwiło mnie, że w ogóle się na to zdobył.

– Przysypiał – odparła Louise. – Sama musiałam się obsłużyć.

Hendricks śmiał się kilka sekund dłużej, niż gdyby to zrobił, będąc po kilku kieliszkach wina mniej.

– To jak, zamierzacie znowu spróbować? – zapytał.

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy i może nie teraz, ale owszem... chciałabym.

Hendricks napił się, trzymając wino w ustach przez kilka chwil, zanim przełknął.

– To zabawne, pamiętasz, jak siedziałem tu kilka lat temu... a raczej leżałem, bo przez pewien czas mieszkałem tu, podczas gdy u mnie w mieszkaniu usuwano wilgoć. Byłem zły, bo naprawdę mi wtedy zależało na dziecku, a facetowi, z którym byłem, nie i...

Louise przesunęła się i położyła rękę na kolanie Hendricksa.

– Pamiętam, że opowiedziałem mu o tej wystawie akcesoriów pogrzebowych dla dzieci, którą widziałem, i specjalnym pokoju urządzonego jak dziecięca sypialnia. Zobaczyłem tam dziecko i poczułem, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Opowiedziałem mu to wszystko, a potem poryczałem się jak baba. Bez urazy.



– Nic nie szkodzi.

Hendricks upił kolejny łyk, opróżniając kieliszek.

– Głupi, tępy mięczak.

– Wciąż chciałbyś mieć dziecko? – spytała Louise. – Bo powiedziałaś, że wtedy chciałeś.

– Tak, jasne, że chcę. Ale teraz... co będzie, to będzie. Nie ma sensu się o to zabijać.

– Chyba ja też tak to czuję. Jeżeli znów zajdę w ciążę, pewnie nie będę posiadać się z radości, ale nie zdręczam się tym za bardzo.

– To dobrze – powiedział Hendricks. – Stres nie wypływa pozytywnie na, no wiesz...

– A jak zareagował Tom? Kiedy tak się rozkleiłeś?

– Był skrępowany.

Louise pokiwała głową, uśmiechając się pod nosem.

– To dla niego typowe. Jakby nie wiedział, co ma powiedzieć. Albo chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak ma zacząć.

– W końcu jednak da sobie radę.

– Cały on – mruknęła Louise. – Zawsze skrępowany. I szczęście znajduje tylko wtedy, gdy ma jakąś paskudną sprawę, w której może zatopić zęby.

– Nie wiem, czy nazwałbym to szczęściem.

– No dobrze, wobec tego powiem, że czuje się wtedy swobodnie.

Hendricks zamyślił się.

– Tak, to już lepsze słowo.

I siedzieli tak sobie, pijąc wino, ciesząc się wzajemnie swoją obecnością do tego stopnia, że przez pewien czas żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

★

Thorne zakończył dzień kuflem piwa wypitym w Oak, a potem jeszcze kilkoma, kiedy w pubie zjawił się Brigstocke i inni. Nie zamierzał zostać tam dłużej, ale cieszył się, że to zrobił, bo wracając do Kentish Town, uświadomił sobie, iż trochę musiał się wyciszyć.

Tak było lepiej dla wszystkich.

Sięgnął po swoją komórkę leżącą na fotelu pasażera, przymykając oko na fakt, że popełnia w ten sposób już drugie wykroczenie. Gdyby został zatrzymany, to przez jednego z dwóch typów gliniarzy. Byli tacy, którzy nazwaliby go głupim kmiotkiem i odwrócili wzrok, i ci, którzy wykonywali sumiennie swoje obowiązki i zaarrestowaliby go, nie mrugnawszy nawet okiem. Uznał, że szanse pół na pół to niezły układ.

– Czy masz zestaw bezsłuchawkowy? – spytała Kitson.

– A jak myślisz?

– Myślę, że gdyby ktokolwiek kiedyś mnie o to zapytał, powinnam zaprzeczyć, jakoby ta rozmowa w ogóle miała miejsce.

– Gdzie jesteś?

– W domu – odparła Kitson. – Wróciłam jakieś dziesięć minut temu, kuchnia wygląda, jakby wybuchła w niej bomba, a facet się wkurza, bo przez cały wieczór dwójka dzieciaków dała mu ostro popalić.

Kitson już opuściła Becke House, bo czekała ją wieczorna zmiana, kiedy Thorne wrócił ze spotkania z Sarah Dowd. Thorne resztę dnia spędził w miarę konstruktywnie, urozmaicając sobie pracę wyglądaniami przez okno. Próbował zebrać w całość zgromadzone informacje i stworzyć z nich obraz poczynań Anthony'ego Garveya w ostatnich tygodniach, zapytując sam siebie, po co zlecił Kitson zbadanie tropu związanego z bezdomnymi, podczas gdy on sam zadowalał się pić kawę i odwiedzeniem poradni małżeńskiej w Shoreditch.

Teraz zapytał Kitson, jak jej poszło w West Endzie.

– Pomijając to, że musiałam niańczyć stażystę, całkiem nieźle.

Opowiedziała mu, że mężczyznę, który niemal na pewno był An – thonym Garveyem, widziano w tamtej okolicy i najprawdopodobniej śledził on Grahama Fowlera, czekając na odpowiedni moment.

– Zastanawiałem się, jak on to robi – rzekł Thorne. – To znaczy, jak wybiera ten właściwy moment.

– Może załatwia ich w jakiejś sobie tylko znanej kolejności.

– Też się nad tym zastanawiałem, ale nie robi tego w takiej kolejności, w jakiej ginęły ich matki.

– Próba zgłębienia mentalności psychopaty mija się z celem – rzekła Kitson.

Thorne powiedział, że zapewne ma rację. W przeszłości zmarnował na to zbyt dużo czasu.

– A, no i wpadłam jeszcze na twojego znajomego.

– Nie mam ich tam zbyt wielu – odrzekł.

– Niejaki Spike prosił, żebym cię pozdrowiła.

Thorne nieznacznie przyhamował swoim BMW, gdy w jego umyśle zaczęły pojawiać się obrazy przywodzące niemiłe wspomnienia: sieć tuneli, para kochająca się w kartonowym pudle wielkości trumny, strzykawka wypełniona krwią.

– Czy była z nim dziewczyna? – zapytał.

– Nie zauważyłam – odparła Kitson. – Szczerze mówiąc, nie wyglądał najlepiej.

Thorne pomyślał o Spikeu i dziewczynie imieniem Caroline, kochających siebie nawzajem i narkotyki, które ich bezlitośnie zabijały. Jeżeli Caroline udało się zejść z ulicy – a miał nadzieję, że właśnie dlatego jej tam nie było – to trzymanie się z daleka od chłopaka, który ponownie mógł wciągnąć ją w nałóg, stanowiło zapewne najrozsądniejsze rozwiązanie.

Było też dziecko, chłopiec. Thorne ścisnął mocniej kierownicę, usiłując przypomnieć sobie jego imię.

– To do zobaczenia jutro – powiedziała Kitson, mącąc ciszę.

Wiedział, że właśnie dlatego ucieszył się, że ktoś inny mógł przeprowadzić wywiad wśród bezdomnych. Nie chciał ani na chwilę powracać do tego okresu życia, który zarówno pod względem osobistym, jak i zawodowym uważał za kompletną porażkę. Nie miał ochoty wkraczać na powrót w ciemność.

– Jasne. Do jutra.

Przejechał na czerwonym przy rondzie Archway, wciąż nabuzowany piwem i obrazami z przeszłości, i zastanawiał się, kogo tak naprawdę próbował oszukać. Bo czy jego obecne życie – zarówno zawodowe, jak i osobiste – jest teraz bardziej uporządkowane i lepsze niż wtedy?

Uchylił okno, żeby wpuścić do samochodu trochę chłodnego powietrza, i w duchu życząc Spike'owi powodzenia, pojechał dalej.

– Tom...?

Robbie. Chłopiec miał na imię Robbie.

Malcolm Reece, mężczyzna, którego nazwisko podała była żona Raymonda Garveya, w dalszym ciągu pracował w British Telecom, chociaż w ciągu trzech dekad, jakie upłynęły, odkąd Jenny Duggan zobaczyła go po raz pierwszy, awansował z inżyniera na kierownika do spraw bezpieczeństwa systemu. Miał nieduży gabinet w szpetnym przemysłowym budynku w Staines, nad Tamizą, w zakątku Londynu, który prezentował się równie fatalnie, jak przygnębiająco brzmiała jego nazwa.

Wydawał się wyjątkowo chłodny i zdystansowany od chwili, kiedy Chamberlain weszła do gabinetu.

– Już rozmawiałem z policją.

– Wiem – odparła.

– Mówiłem im, gdzie byłem w te dni, kiedy... to jakiś absurd.

Policjanci rozmawiali z Reeceem dwa tygodnie temu, gdy tylko ustalono, że jest związek pomiędzy Garveyem a zabójstwami. Niemal od razu wykluczono go z kręgu podejrzanych, ale nagranie z przesłuchania pomogło Chamberlain szybko go odnaleźć.

– Właściwie przyszedłem tu, aby pomówić o czymś innym.

Reece uniósł wzrok znad biurka; za jego głową wisiała sporych rozmiarów tablica korkowa z planem rocznym i kalendarzem.

– Cóż, nie mogę poświęcić pani całego dnia, zatem...

– Chodzi mi o zabawy i gierki, jakim oddawaliście się pan i Ray Garvey jakieś trzydzieści lat temu.

– Zabawy i gierki?

– Rozmawiałam z jego byłą żoną. Mówiła, że wy dwaj byliście wtedy prawie nierozłączni.

– Nic o tym nie wiem.

– Kumplowaliście się, tak powiedziała.

Reece schylił się w fotelu, a uśmiech, który stopniowo pojawił się na jego nalanej twarzy, zdawał się mówić: „Jesteś tym dobrym gliną”.

Chamberlain uśmiechnęła się krzywo w odpowiedzi. Patrząc na niego, miała wrażenie, że w tej chwili Malcolm Reece był w stanie tylko gwałtownie rozpiąć swoją jasnoniebieską koszulę albo zejść na atak serca.

Chamberlain uznała, że mógł mieć pięćdziesiąt parę lat, był o rok, dwa lata młodszy od niej, i z trudem próbowała sobie wyobrazić, że ten mężczyzna, jak mówiła Jenny Duggan, nie mógł opędzić się od kobiet. Był opasły i nalany, a na pijacko czerwonym nosie opierały się okulary. Włosy, choć wciąż gęste, miał posiwiałe i sztywne jak jej ojciec.

– A niech mnie, żąda pani, żebym mocno cofnął się w czasie – powiedział Reece. – Wtedy byłem w nieco lepszej formie, jeżeli rozumie pani, co mam na myśli.

Chamberlain pokiwała głową, myśląc: szczerze wątpię.

– Po pierwsze byłem samotny.

– A Ray Garvey nie?

– Podobnie jak wiele dziewcząt – ciągnął Reece. – Ale to nie miało dla nikogo większego znaczenia. – Zdjął okulary i wychylił się do przodu. – Proszę posłuchać, to nie tak, że codziennie urządzaliśmy orgietki, nic z tych rzeczy. Po prostu mieliśmy szczęście, to wszystko. Wiele dziewcząt w biurze było atrakcyjnych i lubiło flirtować. Mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, na Boga. Przecież pani też musiała kiedyś się wyszaleć.

Chamberlain wbrew sobie poczerwieniała.

– Zwykle kończyło się na niewinnym flircie. Choć od czasu do czasu,

gdy człowiek trochę wypił, zdarzało się i coś więcej, ale to właśnie było najlepsze w tej robocie, rozumie pani? Teraz wystarczy, że powiem kobiecie, że nieźle wygląda, a grozi mi, że mnie wsadzą za... jak to się nazywa... molestowanie seksualne.

Chamberlain uznała, że ma ochotę dać mu więcej niż przyjaznego klapsa, i powiedziała, że solidaryzuje się z nim i że w policji ta sytuacja jest jeszcze bardziej napięta.

– A więc pan i Ray trochę sobie folgowaliście?

– No, jak sama pani powiedziała, Ray był żonaty, więc musiał być ostrożniejszy. – Reece rozpiął górny guzik i poluzował krawat. – Chyba byłem bardziej niesforny niż on. Ale jak już wspominałem, niektóre kobiety nie potrzebowały szczególnej zachęty. – Uśmiechnął się. – Zwykle wystarczyły dwa, trzy dżiny z tonikiem.

– Pamięta pan jakieś nazwiska?

– Tych dziewczyn?

– Wygląda na to, że lista może być długa.

– No, było tego trochę.

– Śmiało – zachęciła Chamberlain, uśmiechając się. – Znam takich facetów jak pan. Może pan nie pamiętać różnych innych rzeczy, ale założę się, że pamięta pan imię każdej dziewczyny, z którą się pan zabawiał.

– No cóż...

– Mówię o Rayu.

Reece wyglądał na rozczarowanego. W końcu powiedział:

– Cóż, miał ich przez lata co najmniej kilka.

– Kogoś szczególnego?

Reece zamyślił się nad tym.

– Może była taka jedna, pracowała jako sekretarka. Trochę starsza od niego i o ile dobrze pamiętam, zamężna. Tak, widywał się z nią jakiś czas,

kiedy było spokojnie.

– Imię?

– Sandra.

Zamknął oczy, zastanawiając się nad nazwiskiem. Kiedy je sobie przypomniał, pstryknął palcami zadowolony z siebie.

– Phipps! A niech mnie... Sandra Phipps. – Pokręcił głową.

Chamberlain zapisała to nazwisko i odwróciła się, by wyjść.

– Ale to się skończyło, kiedy ona odeszła – powiedział Reece. – Chyba się wyprowadziła. Wydaje mi się, że pojawiły się wtedy jakieś plotki.

– Na jaki temat?

– Cóż, Ray nic nie mówił, ale parę osób myślało, że panienka wpadła.

Chamberlain pokiwała głową, jakby ta informacja nie miała większego znaczenia.

– Pani na pociąg? – spytał Reece.

Odparła, że tak, a kiedy zaproponował jej podwiezienie na stację, skłamała, mówiąc, iż zamówiła już wcześniej taksówkę. Reece wyszedł z nią na ulicę, a gdy zbliżył się do niej w obrotowych drzwiach, uznała, że przyjemnie pachnie. Kiedy powiedział, jak bardzo się cieszy z tego spotkania, Chamberlain stwierdziła, że mogła nawet zrozumieć, co w nim widziały dziewczyny trzydzieści lat temu. Ale taka myśl powstała w jej głowie tylko przez moment. Odchodząc, uznała, że British Telecom musiało znacznie zaniżyć kryteria naboru pracowników, zatrudniając młode kobiety cierpiące na poważną wadę wzroku albo mające niskie poczucie własnej wartości.

Zadzwoiła do Toma Thorne'a i zrelacjonowała przebieg rozmowy, dodając, że być może udało jej się zdobyć nazwisko matki Anthonyego Garveya. Odparł, że chętnie się z nią spotka, aby o tym pomówić, i umówili się na spotkanie w jej hotelu.



– Jeżeli nic mi nie wypadnie, zobaczymy się o siódmej – powiedział.

Potem Chamberlain zadzwoniła do Jacka.

Wysłuchując się w sygnał, wyobraziła sobie, jak jej mąż wyłącza telewizor i powoli wychodzi do przedpokoju, a potem przypomniła sobie, jak się zaczerwieniła, kiedy Reece zasugerował, że i ona w młodości musiała mieć niejeden grzeszek na sumieniu. Kiedy Jack odebrał, zrugła go.

– Co cię napadło? – zapytał.

Zaczerwieniła się nie dlatego, że oburzyły ją słowa Reecea, lecz dlatego, że jej reakcja była dokładnie odwrotna.

Andrew Dowd odwrócił się od okna w niewielkim mieszkaniu Grahama Fowlera.

– Myślisz, że jesteśmy jedynymi? Ostatnimi, jacy zostali?

Fowler siedział na kanapie z puszką piwa w jednej ręce i papierosem w drugiej. Na stole przed nimi leżały puste zgniecione puszki i niedopałki papierosów.

Pokręcił głową.

– Jest co najmniej jeszcze jeden – powiedział. – Te gliny o tym wspominały.

– Ciekawe, dlaczego on nie siedzi teraz tutaj.

– Ona – poprawił Fowler. – Słyszałem, jak jeden z nich wymienił jej imię. – Odstawił puszkę. – Kurwa, myślisz, że ona już nie żyje?

Dowd pokręcił głową i nadal wyglądał przez okno. Pół minuty później zapytał:

– A jeśli go nie złapią?

– Mogę tak pożyczyć przez jakiś czas – mruknął Fowler.

– Mam na myśli w ogóle.

Dowd odszedł od okna i osunął się na niewielki fotel.

– Podziałają przez kilka miesięcy, a potem, jeżeli go nie schwytają, cała

sprawa ostygnie. A oni będą mieć inne, ważniejsze rzeczy na głowie.

– Tak myślisz?

– Jak mielibyśmy wrócić do normalnego życia?

– Niektórzy z nas nigdy go nie mieli, stary.

– Dobra, do jakiegokolwiek życia. – Dowd nagle zaczął sprawiać wrażenie rozdrażnionego. – Będą musieli nas jakoś ochraniać... przenieść gdzie indziej. Może otrzymamy nową tożsamość.

– Jak ci goście, którzy kapowali przeciwko mafii – rzekł Fowler. – Szczerze mówiąc, nie wygląda to aż tak źle.

Dowd znów pokręcił głową, po czym zaśmiał się, biorąc do ręki kawę, którą pił jeszcze kilka minut temu.

– Nigdy dotąd nie spotkałem takiego optymisty jak ty – powiedział. – Biorąc pod uwagę, że masz pełne prawo uważać życie za jedną wielką porażkę.

Fowler uniósł w rękę puszkę w ironicznym salucie.

– Może być tylko lepiej, stary.

– Miejmy nadzieję – rzekł Dowd. – Uważasz, że ten Thorne jest niezły w tym, co robi?

– Sprawia takie wrażenie – odparł Fowler i wychylił się do przodu, aby zgasić papierosa. – Zresztą tak czy inaczej niewiele możemy na to poradzić, no nie?

Siedzieli przez chwilę, ciszę przerywały jedynie odgłosy budynku – szum wody w rurach, cichy szmer generatora i hałasy z ulicy, ryk samochodów sunących Euston Road. Fowler wyjął z paczki kolejnego papierosa i zrolował między palcami.

– Często o niej myślałeś, kiedy dorastałeś? – zapytał. – O twojej mamie?

Dowd przełknął ślinę, pociągnął nosem.

– Od wieków udawałem, że ona gdzieś tu jest. Moja wymyślona mama.

Pisywałem długie listy o tym, jak było w szkole i w ogóle. W końcu jakoś doszedłem do siebie. A ty?

Fowler uśmiechnął się.

– Myślę, że z jednego bagna wpakowałem się w inne – odparł. – Każdego dnia odnosiłem takie wrażenie, rozumiesz? Czułem, jakby wszyscy wiedzieli, co się stało, i patrzyli na mnie jak na jakiegoś dziwoląga. W szkole ciągle wdawałem się w bójki. Wreszcie przekroczyłem limit współczucia wobec mnie i zwyczajnie zostałem wywalony – Przymrużył oczy i wciąż trzymał w palcach niezapalonego papierosa.

– Nawet kiedy się ożeniłem, kiedy urodziły się dzieci, wciąż sprawiałem... trudności, więc zacząłem szukać czegoś, co pomogłoby mi o tym zapomnieć. – Wskazał ruchem głowy puszki leżące na stole. – Kłopot w tym, że tego typu sprawy stopniowo rujnują życie i koniec końców jeden problem zastępuje się innym. – Sięgnął po zapalniczkę. – Chryste, zaczynam bredzić.

– W porządku.

– Wybacz...

– Widziałeś się z żoną albo dziećmi?

Fowler pokręcił głową i wskazał na Dowda poprzez gęstą chmurę dymu.

– Wiesz, stary, lepiej postaraj się nie stracić swojej.

– Już ją straciłem – odrzekł Dowd. – Pod każdym względem.

– Nie wygłupiaj się.

– Mówię poważnie. Staram się iść za twoją radą i myśleć pozytywnie. Kiedy to wszystko się skończy, zacznę nowe życie. Zacznę wszystko od początku. – Podniósł się energicznie i klasnął w dłoń. – Dobra, zaparzę jeszcze kawy, ty pewnie też się napijesz.

Fowler zaśmiał się i powiedział „dzięki”. Patrzył, jak Dowd znika w niewielkiej kuchni, i dodał:

– Naprawdę uważam, że ten gliniarz jest dobry, Andy. No wiesz, ten Thorne.

Po kilku sekundach Dowd odkrzyknął:

– Może będzie musiał być jeszcze lepszy.

Kiedy tylko kasetę się skończyła, Jason chciał obejrzeć ją ponownie, tak jak zawsze. Pociągnął Debbie za rękę, aż użyła pilota, a chłopiec uśmiechnął się, wsłuchując się w dźwięk przewijanej taśmy i sadowiąc się przed ekranem.

Debbie nie wytrzymałaby powtórki. Znała każde słowo na pamięć, każdą chwilę, kiedy Jason odwróci się i zacznie do niej pohukiwać, naśladując odgłosy każdej lokomotywki z osobna. Wstała i wyszła do przedpokoju, stwierdzając, że z dziką rozkoszą udusiłaby Ringo Starra, a pieprzonego Tomka Parowozika wykoleiłaby bez mrugnięcia okiem.

Nina wyszła z sypialni w chwili, kiedy z pokoju obok dobiegały pierwsze dźwięki tematu przewodniego.

– Aż dziw bierze, że ta kasetę w ogóle chodzi.

– Ja mam jej już po dziurki w nosie – powiedziała Debbie. –  
Doprowadza mnie do szału.

– Ale on uwielbia ten film.

– Tak, wiem... najlepiej wydane pół funta w całym moim życiu.  
Kupiłam ją na bazarze w Barnet, pamiętasz?

Patrzyła, jak Nina przegląda się w lustrze i poprawia makijaż.

– Wychodzisz?

– Idę do pracy, kochanie.

– Nie musisz. Tak sobie pomyślałam, że może zacznę dorzucać się do czynszu?

– Nie wygłupiaj się.

– Naprawdę, powinnam.

– A z czego?

Debbie zamknęła drzwi do pokoju. Jason nie rozumiałby, o czym rozmawiały, ale był wyczulony na ton głosu i szybko się denerwował.

– Coś wymyślę.

– To nie takie proste, a przynajmniej nie tak jak dla mnie – odparła Nina. – Mam dziś trzech klientów po kolei, a jeden zawsze płaci mi coś ekstra. – Spojrzała na Debbie w lustrze. – Dasz sobie radę sama? Nie martwisz się, prawda?

– Nie.

– Ci gliniarze wciąż tam są, a gdybyś się denerwowała, zawsze możesz zadzwonić do Thorne'a.

– Poradzę sobie.

Nina pokiwała głową.

– Potrzebuję forsy, Debs. Rozumiesz?

Kiedy Nina wyszła, Debbie jeszcze przez chwilę stała w przedpokoju, starając się nie dopuszczać do swoich uszu dźwięków filmu oglądanego przez Jasona. Kiedy bajka się skończy, położy chłopca do łóżka, a gdy ten przestanie wreszcie krzyczeć i nie będzie już chciał się bawić, ona w końcu trochę odpocznie. Może też wcześniej się położy. To było lepsze niż siedzenie i czekanie na powrót Niny.

Nie była w stanie powiedzieć przyjaciółce, jak bardzo się boi. Wiele lat temu uznała, że jedynym sposobem, aby jakoś się trzymać, jest nieokazywanie nikomu tego, jak bardzo się boi. Dosłownie nikomu. Ani żadnemu mężczyźnie, niezależnie od tego, jak mocne miałyby pięści, ani żadnej z tych zasuszonych pracownic opieki społecznej, ani tym bardziej Jasonowi. Od chwili, gdy policjanci zapukali do drzwi jej mieszkania z poważnymi minami i powiedzieli, że chcą ją ostrzec, myślała tylko o tym, jak by to było, gdyby go jej odebrali.

Gdyby rozdzielili ich oboje. Nie tylko na kilka tygodni, ale na zawsze. Patrzyła na chłopca, kiedy spał w swoim łóżku albo siedział zapatrzony w ekran, i na samą myśl o tym, że mogłaby go utracić, zbierało jej się na mdłości.

Wstała i przytknęła ucho do drzwi pokoju, pohamowując łzy, gdy słuchała, jak jej synek pohukuje i pogwizduje do siebie. To ja jestem Grubym Zawiadowcą, a bez Grubego Zawiadowcy sobie nie poradzi.

Gruby Zawiadowca Tomek nie może się bać.

Kiedy Thorne wszedł do holu Plantacji Trawki, detektyw sierżant Rob Gibbons siedział za biurkiem i czytał książkę w broszurowej oprawie. Thorne zerknął na okładkę: jakieś durne fantasy.

– Smoki, hobbici i takie tam? – zapytał.

Gibbons uśmiechnął się niewzruszony.

– Niezupełnie.

– Gdzie Spibey?

– Na górze z Upiorną Dwójką – odrzekł Gibbons.

Wchodząc na górę, Thorne zastanawiał się, którą z wersji rutynowych odpowiedzi mógł podać Fowlerowi i Dowdowi, kiedy zadadzą oczywiste pytanie o przebieg śledztwa. To było sensowne pytanie, ze zrozumiałych przyczyn, ale takie rozmowy nigdy nie należały do łatwych.

Czy odnaleźliście człowieka, który zabił naszą matkę/ojca/brata/ siostrę?

Dlaczego to trwa tak długo?

Kiedy go wreszcie złapiecie?

Robimy, co w naszej mocy. Mamy postęp w śledztwie. Nastąpił przełom mogący dopomóc w pomyślnym rozwiązaniu sprawy.

Kiedy tylko w grę nie wchodziło zwyczajne „nie” i „nie wiem”, Thorne zawsze czuł się trochę niezręcznie. Rozmawiał z Louise nie raz i wspólnie przyznali, że nic na to nie można poradzić, a poza tym czyż takie podejście nie było lepsze dla pogrążonych w żalobie ludzi, spragnionych odrobiny nadziei? Być może, ale to nie sprawiało, że łatwiej mu było ich okłamywać.

Każdy dzień, kiedy sprawa posuwała się w pożądanym kierunku,

uznawano za dobry, ale było ich niewiele i zbyt oddalone jeden od drugiego, a te naprawdę dobre dni, kiedy dochodziło do aresztowania właściwego sprawcy, stanowiły powód do świętowania i wszystkim poprawiały humor. Jednak najwspanialszy dzień zależał od sądów. Nie do końca niezawodny system sędziowski oznaczał, że w najlepszym wypadku można było trzymać kciuki, zająć się następną sprawą i próbować za bardzo się nie przejmować.

– Jeżeli oni spieprzą sprawę – powiedział kiedyś Hendricks – nie oznacza to, że ty ją pokpiłeś.

– Nieważne – uciął wtedy Thorne, ponieważ to nie szczerzy się adwokatom czy niekompetentnym sędziom musiał stawiać czoło i nie ich trudnych pytań musiał wysłuchiwać.

Jak mogło do tego dojść?

Thorne wyszedł na podest piętra. Usłyszał śmiech dochodzący z mieszkania Grahama Fowlera.

To jaka jest szansa, że będziemy mogli się stąd wkrótce wynieść? Spodziewacie się złapać tego typu? No wie pan, tego, który próbuje nas zabić. Nie po raz pierwszy Thorne poprzysiągł sobie, że postara się odpowiedzieć jak najuczciwiej, ale podejrzewał, że i tak będzie musiał pójść na kompromis z samym sobą.

Od eksperta medycyny sądowej mieli już wszystko, czym mogli dysponować, a numer telefonu podany przez Sarah Dowd zgodnie z podejrzeniami Thorne'a okazał się bezużyteczny. Informacje od niej w połączeniu z tymi zebranymi przez Yvonne Kitson pomogły w zebraniu wszystkiego do kupy, ale w niczym więcej. Patrząc na to niemal z każdej perspektywy, mogło się okazać, że marudny stażysta, podopieczny Kitson, miał jednak rację.

Thorne przeszedł korytarzem, mijając otwarte drzwi pustych mieszkań.



Każde z nich wyglądało na wysprzątane i gotowe na przyjęcie lokatora, czuło się nawet lekki zapach świeżej farby. Thorne zastanawiał się, czy w Plantacji Trawki oczekiwano wyjątkowo wybrednego, lubiącego czystość i porządek skruszonego gangstera informatora i -zupełnie bez powodu – czy było prawdą, że królowa uważała, jakoby świat pachniał świeżą farbą. Jej świat z całą pewnością pachniał przyjemniej niż ten, w którym żyją on i Phil Hendricks.

Ale ta biedna staruszka musiała się w życiu namachać ręką...

Zapukał do drzwi mieszkania Fowlera. Powiedział:

– Brianie, to ja, Tom Thorne.

Spibey podał mu czterocyfrowy kod, a kiedy Thorne wszedł, ujrzał policjanta siedzącego przy stole z Fowlerem i Dowdem, a stosik drobniaków, o które grali w pokera, był prawie niewidoczny pośród kartonowych pudełek po posiłkach na wynos i pustych puszek po piwie. Pokój cuchnął curry i dymem papierosowym.

Spibey, który siedział zwrócony plecami do drzwi, uniósł karty tak, żeby tylko Thorne mógł je zobaczyć. Miał dwa króle i waleta.

– Gramy w dobieranego pokera. Ma pan ochotę na parę partyjek?

Thorne z przykrością odmówił, bo wpadł tu tylko na chwilę, był umówiony na spotkanie.

– Śmiało – rzucił Dowd. – Może odmieni pan mój los i pomoże odegrać się trochę na tej podstępnej łajzie.

– Po prostu jestem w tym dobry – odparł Spibey.

– Skąd są te wszystkie pieniądze?

Fowler skinął na Dowda.

– Cóż, ja wszedłem do gry z czterdziestoma sześcioma pensami, ale Andy mnie zasponsorował.

– I tylko ja przegrywam – mruknął Dowd.

Fowler powoli wymachiwał rękoma w powietrzu, fałszując pod nosem *Things Can Only Get Better*. Nie ulegało wątpliwości, że zawartość opróżnionych puszek zaczynała mu uderzać do głowy.

Dowd spojrział na Thorne'a z dezaprobatą.

– Jak już wspomniałem, to chory świat.

Thorne zapytał, czy wszystko w porządku, a Spibey odparł, że tak. Fowler i Dowd potaknęli równocześnie, siedzieli tam obaj, jakby to była całkiem normalna sytuacja. I żaden najwyraźniej nie zamierzał zadawać Thorne'owi trudnych pytań.

– Jak się panu spieszy, to niech pan idzie – powiedział Spibey – Ja ich ogram do cna.

– Tak, jasne, z parą króli.

Fowler i Dowd natychmiast rzucili swoje karty.

– Szlag! – rzekł Spibey.

Thorne uśmiechnął się.

– Zadzwoń wieczorem – powiedział. – Dobra?

Zamierzał zatelefonować też do Debbie Mitchell.

Spibey dogonił go przy drzwiach.

– Pomyślałem, że to będzie dobry sposób, aby trochę się rozluźnili i nie myśleli wiadomo o czym? Czy to coś złego?

– Nie wydaje mi się – odparł Thorne.

Obaj mężczyźni wydawali się bardziej rozluźnieni, niż kiedy widział ich ostatnim razem, a kilka godzin niegroźnego hazardu dawało Thorne'owi odrobinę potrzebnej swobody. Jeżeli to się sprawdzało wobec mężczyzn, których życie jest zagrożone, zastanawiał się, czy możliwość rozegrania kilku partyjek pozwoliłaby rozproszyć trudne niezręczne chwile spędzane przez niego w towarzystwie pogrążonych w żalu krewnych ofiar.

Jestem do tego stopnia przekonany, że schwytamy człowieka, który zabił

pana/pani męża/żonę/chomika, że chętnie dam panu możliwość obstawienia dziesięć do jednego przeciwko temu, że go złapiemy. Kładę dychę i niech się dzieje, co chce...

Postanowił, że przedstawi tę propozycję, gdy znów zobaczy się z Trevorem Jesmondem. Chciał się przekonać, czy ten bufon pomyśli, że Thorne tylko żartuje.

– Zjadłeś coś?

Thorne'a nagle ogarnęło poczucie winy.

– Hamburgera. Przepraszam. Myślałem, że coś zjesz.

– Kupię później kanapkę – odparła Chamberlain. – Nic nie szkodzi. – Uniosła w dłoni kieliszek wina. – Przyda mi się coś na zakąskę.

Bar w hotelu w Bloomsbury był całkiem miły, ale nie większy od przeciętnego salonu, toteż kiedy Thorne i Chamberlain zakończyli luźną pogawędkę, musieli wyraźnie zniżyć głos. Dwie biuściaste, skąpo ubrane wyzwolone dziewczęta ze środkowej Anglii nie przejmowały się czymś tak trywialnym jak dyskrecja. Thorne parę razy miał ochotę podejść i wyjaśnić im, że nie obchodzą go ich faceci czy praca, sugerując przy tym, że może powinny zabrać swoje bacardi breezery i udać się z nimi gdzie indziej.

– Robi się z ciebie żaloszny stary ramol – powiedziała Chamberlain.

– Zawsze byłem żaloszny. Tyle że byłem młodszy.

– Myślisz, że to przez pracę?

– Raczej nie.

– Uważasz, że byłbyś mniej żaloszny, gdybyś sprzedawał AGD?

– Boże broń!

– No widzisz.

– Tydzień takiej roboty i powiesiłbym się na jakimś absurdalnie przecenionym przedłużaczu.

– No to się rozchmurz.

Chamberlain napełniła ponownie ich kieliszki, po czym sięgnęła po menu, stukając palcami w rytm jakiejś pseudoceltyckiej melodii płynącej z głośników pod sufitem. Dziewczęta przy sąsiednim stoliku zaśmiały się, a Thorne przez chwilę zastanawiał się, czy nie poprosić o podkręcenie muzyki.

– Myślisz, że w tym, co usłyszałaś od Reecea, jest coś ważnego?

– Gdyby mówił tylko o sobie, uznałabym, że się chwali. Ale on brzmiał... przekonująco.

– Przekonujące plotki.

– Mimo wszystko warto to sprawdzić.

Thorne wiedział, że w toku śledztwa nawet stwierdzenie, że Anthony Garvey jest nieślubnym synem lorda Lucana, należało sprawdzić.

– A więc opowiedz mi o tej kobiecie – poprosił.

Chamberlain wychyliła się nieznacznie do przodu. Właśnie za takie informacje jej płacono.

– Sandra Phipps. To znaczy kiedyś tak się nazywała. Od tamtej pory dwukrotnie wychodziła za mąż. Teraz mieszka gdzieś w okolicy Reading.

Thorne odnosił wrażenie, że gdzieś dzwoni, tylko nie widział jeszcze, w którym kościele.

– Co?

Przez sekundę czy dwie był bliski skojarzenia tego, o co chodzi, ale hałas przy sąsiednim stoliku nie pozwalał mu się skupić.

– Nic takiego. Kiedy masz się z nią spotkać?

– Jutro.

– Ona wie, że przyjeżdżasz?

– Pomyślałam, że najlepiej będzie, jeśli zjawię się bez zapowiedzi – powiedziała Chamberlain. – Jeżeli ona jest matką Anthonyego Garveya, wolałabym nie dać jej czasu do namysłu, żeby opracowała sobie lipne alibi.

Thorne przyznał, że to dobry pomysł. Wiedział, jak łatwo więź pomiędzy rodzicami a dzieckiem mogła przerodzić się w łatwowierność i zmienić w wyparcie. Trudno potępiać bezwarunkową miłość, nawet jeśli balansowała na granicy głupoty, kiedy jednak w grę wchodziło złamanie prawa, należało wytyczyć granicę.

Przypomniawszy sobie kobietę, która zaatakowała go kilka lat temu, po tym jak jej syn trafił za kratki za zakatowanie na śmierć hinduskiego sklepikarza. Trzymał ją za przeguby, aż założono jej kajdanki. Stał ze strużkami płwociny ściekającymi po koszuli i zastanawiał się, czy kobieta nienawidziła go równie mocno jak siebie samą.

Przypomniawszy sobie również matkę Chloe Sinclair i ojca Grega i Alexandry Mackenów. Inny rodzaj bezwarunkowej miłości. Wiedział, po czyjej stronie się opowiada.

– Mam pojechać z tobą? – zapytał.

– Pewnie – odparła Chamberlain. – Ja odwałam najgorszą robotę, a ty przychodzisz pod sam koniec na gotowe.

– Wcale nie.

– Myślisz, że sobie nie poradzę?

– Nie... to znaczy wiem, że sobie poradzisz. Tylko pomyślałem, że byłoby ci przyjemniej, gdybyś miała towarzystwo. – Thorne pokręcił głową.  
– A niech mnie, zmieniasz się w drażliwą starą jędzę.

Chamberlain opróżniła kieliszek.

– Tylko nie starą, ramolu.

– Przepraszam.

Thorne też dopił wino i przez kilka chwil siedział w milczeniu. Zwrócił uwagę, że jedna z dziewcząt ze środkowej Anglii pomimo schrypniętego głosu była całkiem do rzeczy. Pomyślał o Louise i czym prędzej znów przeniósł uwagę na Chamberlain.

– Oczywiście nawet jeśli ta kobieta jest matką Garveya, może nie wiedzieć, gdzie on przebywa.

– Albo równie dobrze odwiedza ją co niedzielę z bukietem kwiatów. Nie wiemy tego, prawda? Może przynajmniej poznamy jego prawdziwe nazwisko.

– Racja.

– Może nawet więcej.

– Boże, oby tak było.

– Ta sprawa bardzo cię dręczy, prawda?

Thorne próbował przez chwilę zebrać myśli, które nie były tak poukładane i jasne jak zazwyczaj.

– Najdziwniejsze jest to, że nieomal się cieszę z tego, że wciąż nie jest mi to obojętne. Myślisz sobie, że stałeś się odporny na tego typu rzeczy, aż tu nagle pojawia się świr pokroju Garveya i odkrywasz, że wciąż masz w sobie emocje... że wciąż masz w sobie... Cholera, brakuje mi odpowiedniego słowa.

– Wiem, co chcesz powiedzieć.

– I są jeszcze inne rzeczy... w domu czy poza nim. Zmieniają twój sposób reakcji na ludzi. Czynią człowieka bardziej gniewnym i przygnębionym. Podkreślają gałkę reakcji o kilka stopni, żeby nie można było ich tak łatwo wyłączyć.

– O jakich rzeczach mowa?

– Nieważne. – Thorne pokręcił głową. – Gadam bzdury, to wszystko.

Chamberlain czekała, ale Thorne zbył ten temat, jakby nie był wart ich czasu ani wysiłku. Muzyka zwolniła tempa jak Clannad na lekach uspokajających. Patrzyli, jak barman flirtuje z dwiema dziewczynami, zabierając od nich puste szklanki.

– Prowadzisz? – spytała Chamberlain.

Uniosła w dłoni opróżnioną butelkę po winie, aby pokazać Thorne'owi, ile wypła.

– No, prowadziłem.

Ubiegłej nocy Thorne pojechał do domu autem, choć nie powinien, ale pomijając fakt, że wypił dziś niewiele więcej niż wczoraj, czyli odrobinę powyżej limitu, nie miał ochoty jeszcze kończyć.

– Myślę, że zamówienie taksówki nie powinno stanowić żadnego problemu.

– To co, jeszcze jedną butelkę?

Zostawił samochód na płatnym parkingu, co oznaczało, że prócz uiszczenia rachunku na taksówkę będzie musiał wziąć drugi kredyt hipoteczny, kiedy zjawi się tu jutro po swoje BMW. Ale zawsze mógł wpisać to sobie w koszty.

– W sumie czemu nie – mruknął. – Jeżeli zamierzasz zamówić coś do jedzenia.

– Jeżeli chcesz, możemy pójść do mojego pokoju.

– Spokojnie, Carol.

– Zachowuj się, – Chamberlain uśmiechnęła się rozbawiona jego reakcją. – Mam tam kilka butelek, są za darmo, no i byłoby bez porównania przyjemniej niż w tym hałasie. A zawsze mogę zamówić kanapkę do pokoju.

Pozbierali rzeczy i ruszyli w stronę windy Thorne, mijając stolik dziewcząt ze środkowej Anglii, jakby mimochodem podniósł głos i powiedział:

– Dlaczego kobiety stale zapraszają mnie, żebym poszedł z nimi do hotelowego pokoju?

Chamberlain wzruszyła ramionami.

– Dla mnie to także zagadka.

Chwilę później, kiedy drzwi windy zamknęły się za nimi, Thorne uśmiechnął się szeroko.

– Wyobraź sobie, że ostatnia, która mi to zaproponowała, chciała, żebym jej za to zapłacił.



Thorne przycupnął na brzegu łóżka, podczas gdy Chamberlain usiadła na niedużym krześle przy oknie. Wino pite z plastikowych kieliszków z łazienki wchodziło całkiem nieźle, choć trudno powiedzieć, czy było lepsze niż to, które serwowano w barze. Thorne szybko osiągnął punkt, w którym nie byłby w stanie odróżnić merlota od denaturatu.

Przy pierwszych kieliszkach dyskutowali o sprawie, ale to brzmiało bardziej jak luźna pogawędka. Powiedzieli sobie już wszystko, co było konieczne, jeszcze na dole, a oboje pracowali w policji dostatecznie długo, by wiedzieć, że wszelkie spekulacje mijają się z celem, nawet jeśli nie pozostawało nic innego.

– Zadzwoń, gdy tylko pomówię z Sandrą Phipps – rzekła Chamberlain. – Jeżeli okaże się, że jest matką Garveya, domyślam się, że będziesz chciał sam zamienić z nią parę słów.

Thorne pokiwał głową, jego wewnętrzny alarm wciąż dawał o sobie znać.

– Jeżeli nie jest, chciałbyś, żebym jeszcze raz pojechała do Malcolma Reecea, bo może zdoła sobie przypomnieć coś jeszcze?

– Raczej tak – odparł Thorne.

– Wydaje się, że bardzo mu się spodobałam. Chyba mnie polubił.

– W sumie dlaczego nie? – Thorne rozłożył szeroko ręce. – Atrakcyjna dojrzała kobieta i w dodatku wciąż ma oba biodra własne. Masz oba biodra własne, prawda?

– I obie pięści też – odparła Chamberlain. – Lepiej uważaj, bo wydaje mi

się, że wypiełeś więcej niż ja i pewnie masz przez to słabszy refleks.

– Nie zaryzykowałbym nawet na trzeźwo.

– To uważaj, co mówisz.

Thorne zastanawiał się, czyby nie zapytać o jakąś muzykę, może mogliby włączyć radio albo coś takiego, ale powstrzymał się. Choć był podchmielony, wciąż myślał na tyle trzeźwo, by wiedzieć, że mogłoby to zostać uznane za... niewłaściwe albo w najlepszym razie krępujące, jeżeli nie dla nich obojga, to przynajmniej dla niej. Cisza przedłużała się, a każdym razie tak mu się zdawało, przerywana odgłosami niczym już nietłumionych ziewnięć, a raz śmiechem i stłumionymi odgłosami rozmów osób, które weszły do pokoju obok. Przez dziesięć minut, kiedy Chamberlain odpowiadała o życiu w Worthing, Thorne siedział skonsternowany, czekając, aż za ścianą rozlegną się charakterystyczne wieczorne odgłosy. Czy on i Chamberlain będą siedzieć jak gdyby nigdy nic i tylko podniosą głos, udając że nic nie słyszą? A może jak niegrzeczne dzieci podejdą z kubkami w dłoniach do ściany, aby podsłuchiwać? Nalał sobie wina, konkludując, że gdyby doszło do czegoś, decydującym czynnikiem będzie zapewne alkohol.

Gdy opróżnili wspólnie dwie i pół butelki, Chamberlain powiedziała:

– Mówiłam ci już, że jestem za to wdzięczna?

– Tak, ale nie musiałaś.

– Mówiłam szczerze i wiesz, że nie chodzi tylko o pieniądze.

– Możliwość, żeby pomieszkać w hotelu, nieważne... wiem.

– Potrzebowałam się na trochę oderwać, Tom. Oboje wiemy, że rak powrócił, i wiem, że Jack stara się udawać, że nic się nie dzieje, ale teraz po prostu żyjemy z dnia na dzień, nudząc się i plotąc bzdury jak para durnych nastolatków.

– Ale... chyba lepiej mieć pewność, prawda?

Pokręciła głową stanowczo.

– Mam już dość udawania. Przez to krew mnie zalewa.

Thorne wziął głęboki oddech. Trudno mu było dobrać właściwe słowa.

– Nie bardzo wiem, do czego...

– Nie mówię, że zamierzam od niego odejść, nic z tych rzeczy.

– To dobrze, bo trochę tak to właśnie zabrzmiało.

– Tyle tylko, że czasami mam ochotę walnąć go w twarz, żeby się opamiętał.

Thorne już miał się roześmiać, ale Chamberlain zapytała:

– Czy to, co powiedziałam, zabrzmiało strasznie?

Thorne tylko wzruszył ramionami i westchnął przeciągle.

– Któregoś dnia wyszliśmy na spacer z psem – mówiła dalej Chamberlain. – W pewnym momencie widać było, że Jack się zmęczył, chciał przystanąć i chwilę odpocząć. Musiałam stanąć i poczekać, słuchając, jak on sapie i rzezi, podczas gdy pies pobiegł gdzieś dalej. Stałam tak, myśląc sobie: „A ja wciąż mogę biegać, wiesz? Wciąż mogę biegać”. – Uśmiechnęła się do Thorne'a ze smutkiem. – Kolana też mam oba i oba zdrowe...

Thorne odpowiedział uśmiechem.

– Bóg raczy wiedzieć, skąd to się wzięło, ale pomyślałam, że mogłabym pobiec, tak po prostu, odwrócić się do niego plecami i pobiec aż na plażę, całkiem znikając mu z oczu. Mogłam pobiec po plaży, bo ciągle jestem w stanie to zrobić. Dla samej przyjemności biegania.

I przez kilka sekund stałam tam, tuż przy nim, usiłując przezwyciężyć w sobie tę chęć. Wsłuchiwałam się w szum wiatru, w dochodzące skądś szczekanie psa i w suchy poświst dobywający się z jego płuc.

– Teraz pewnie pomyślisz sobie: głupia egoistyczna zołza? – zapytała po chwili przerwy.

– Nie – odrzekł Thorne.

Chamberlain uniosła kieliszek do ust i przechyliła, ale już był pusty. Thorne poczuł, że pulsuje mu żyłka na skroni, kiedy odwracał od niej wzrok, a w końcu zatrzymał go na liście stojącej na telewizorze: spisie dostępnych kanałów, darmowych i płatnych. Przejrzał spis, usiłując skupić na nim wzrok, a w jego głowie zaczęły się kłębić bardziej trywialne myśli pochłaniające jego poważniejsze troski.

Czy policja stołeczna pokryłaby rachunek za płatne filmy?

Czy Carol lubiła oglądać fikołki?

Odwrócił się, by zobaczyć, jak Chamberlain odkręca nakrętkę z butelki wina, i powiedział:

– Chyba powinienem wezwać taksówkę.

Chamberlain pokiwała głową i odchrząknęła.

– Ja się tym zajmę.

Nagle bardzo się rozpromieniła, jakby próbowała zdystansować się od tego, co mu właśnie wyznała. Sięgnęła po torebkę i wyjęła komórkę.

– Louise będzie czekać, prawda?

Uśmiechnęła się i zaczęła wystukiwać numer.

– Szczęściarz z cie...

– Straciliśmy dziecko – powiedział Thorne.

Po kilku sekundach Chamberlain odłożyła telefon i podeszła, aby usiąść obok niego.

– Współczuję. Wiedziałaś, że coś się stało.

Nie wiedział, kiedy słowa popłynęły z jego ust, a gdy skończył, Chamberlain wstała i poszła do łazienki, skąd wróciła z paczką chusteczek higienicznych w dłoni.

– Proszę – powiedziała.

Dopiero kiedy wziął od niej chusteczki, Thorne zorientował się, że płakał i mówił, oddychając gwałtownie; ścisnął chustki w dłoniach, każdy

szloch sprawiał, że jego umysł zaczynał się przejaśniać i robiło mu się lżej na sercu.

– Chodzi o to, że... kiedy się o tym dowiedzieliśmy... byłem jak odrętwiały, wiedziałem, że Louise odebrała to w podobny sposób. Ale już po kilku dniach uświadomiłem sobie, że tego, co się stało, nie trzeba traktować jak coś złego. Byłem... zadowolony, no wiesz, że się... uwolniłem. – Uśmiechnął się krzywo, ironicznie. – Bo może gdzieś w głębi nie byłem na to wszystko gotowy. To bardzo dojrzałe podejście, prawda? – Pokręcił głową, gdy zauważył, że Chamberlain chce coś powiedzieć. – To była tylko instynktowna reakcja, wiem o tym, jak wybuch śmiechu, kiedy ktoś przekazuje ci złą wiadomość, ale od tej pory nie mogłem myśleć o niczym innym. W każdej godzinie spędzonej nad tą pieprzoną sprawą. Kiedy widziałem, jak Lou jest przybita, jak radzi sobie z tym, żebym ja nie czuł się źle, i... udawałem. Dźwigałem to brzemie na swoich barkach.

Po kilku sekundach, które wydawały się minutami, Thorne usłyszał, jak Chamberlain pyta:

– I co teraz?

– Chcę tego – odrzekł Thorne. – Nie tylko dla Louise, słowo daję. Oczywiście chcę, żeby poczuła się lepiej, ale chcę tego... także dla mnie. – Jego śmiech przeszedł w zduszony szloch. – No bo przecież tak naprawdę nigdy nie jest się w pełni gotowym, mam rację?

Chamberlain ujęła go za rękę i ścisnęła ją w swoich dłoniach.

– Czasami myślę sobie, że Jacka tu nie ma i nie czuję się tak źle, jak powinnam się czuć. Ja też czuję się „uwolniona”. – Pokiwała głową, kiedy Thorne uniósł wzrok. – To brzemie, które spada na twoje barki, jest powszechniejsze, niż myślisz, Tom.

– Chryste – rzucił Thorne. – Spójrz tylko na nas.

Potem polalo się jeszcze trochę łez i pojawiły się kojące słowa. A jeszcze

później Thorne poczuł się śpiący, strasznie śpiący, i pomyślał o ojcu, zamykając oczy i opierając głowę na ramieniu Carol Chamberlain.

## MÓJ DZIENNIK

### 15 PAŹDZIERNIKA

Niełatwo jest kogoś zabić.

Ludzie to nie osy czy pająki, które można strącić w locie albo zdeptać pod butem bez mrugnięcia okiem. To staje się łatwiejsze, bez dwóch zdań, podobnie jak wszystko inne, jeśli jednak z moich przemyśleń mogło wynikać, że sam moment zadania śmierci jest przez to mniej stresujący, to źle się wyraziłem. Zanim rozpocząłem to wszystko, wtedy kiedy pomysł zakiełkował w moim umyśle, był czas, że chciałem opowiedzieć o tym mojemu ojcu, o tym, jakie to odczucie. Ale jakoś zawsze odnosiłem wrażenie, że to nie jest właściwy moment, i szczerze mówiąc, nie uważałem, aby to był dobry pomysł. Wiedziałem, że nie chciał mówić o tym, co zrobił, a poza tym nigdy nad tym nie panował, wątpię więc, aby mógł mi pomóc. Przecież nie zamierzałem wejść do rodzinnego interesu z pralnią chemiczną w tle, a on nie był ekspikarzem mającym mi do przekazania tajniki swoich umiejętności...

Sporo jednak rozmawialiśmy na różne tematy, a on pomógł mi bardziej, niż mógł przypuszczać. Nauczyłem się, że marnotrawienie czasu to głupota. Naprawdę to lekcja, którą przyswoiłem sobie od kogoś, kto tego solidnie doświadczył. Podobnie jak on nauczyłem się, że człowiek jesteś osądzany na podstawie swoich dokonań, niezależnie od powodu, dla którego zrobił to, co zrobił. I nauczyłem się, że życie jest krótkie.

Tak, te ostatnie słowa zakrawają na ironię, zdaję sobie z tego sprawę, zważywszy na to, że osobiście skróciłem żywot

kilku osobom!

Chodzi mi o to, że należy robić to, co powinno się zrobić, kiedy ma się po temu okazję.

Żeby nie tłuc do późnej starości głową o mur skostniałego prawa. Żeby nie dać się przemielić tej machinie, nie zostać wyśmianym, nie pozwolić, by uznano cię za szaleńca, ani nie dać się zbyć słowami, że masz wrócić, gdy zdobędziesz stosowne dowody medyczne.

Życie jest krótkie i niekiedy musisz dopiąć swego w inny sposób. Uderzasz albo nie, po prostu.

\* \* \*

Teraz to zabawne, kiedy muszę żyć za marne grosze. Pamiętam, że ten dupek Maier powiedział kiedyś: „Zarobimy na tym fortunę”. Nieomal słyszałem, jak cmoka przez telefon, a w myślach już wydaje te pieniądze. Usłyszałem też, jaki był wstrząśnięty, kiedy mu powiedziałem, że fortuna mnie nie interesuje. Że potrzebowałem pieniędzy, rozumiało się samo przez się – realizacja tego wszystkiego jest kosztowna. Ale przysięgam, nigdy nie chciałem więcej, niż to było konieczne. Kiedy będzie po wszystkim, zadowolę się tym, że będę mógł osiąść w jakimś cichym, spokojnym miejscu. Pracować przy kasie, sprzątać w parku, cokolwiek. Wiem, że tak się nie stanie, nie bez radykalnej zmiany mojego planu, ale często o tym myślałem. Ot i wszystko. Mogę być absolutnie szczęśliwy i wiele mi do szczęścia nie potrzeba.

\* \* \*

Tak więc chyba czas ruszyć naprzód i przejść do kontrofensywy. To było bardzo dziwne siedzieć całymi dniami



na tyłku, wiedząc, że oni czekają, abym coś zrobił. Policja, prasa, a może nawet ci, którzy wiedzą, że wciąż są na liście. Ostatni z nich, obserwowani na okrągło przez całą dobę i fajdający w gacie, bez względu na to, jak uspokajający stara się być detektyw inspektor Thorne i jego koledzy. Jakąś częśćkę mnie musi to jednak cieszyć, bo już od paru dni byłem gotów, żeby to zakończyć. Może ich niepewność bawiła mnie bardziej, niż powinna.

Nie mogę pozwolić, aby czekali dłużej.

Wątpię, abym jeszcze kiedyś spotkał tego żałosnego starego ramola, ale powinienem zrobić coś, żeby mój stary kumpel z kiosku miał kilka kolejnych krzykliwych i bulwersujących nagłówek w gazetach.

Ciekawe, czy w „Sun” mają odpowiednio dużą czcionkę?

Kiedy Thorne wyszedł spod prysznic, Louise stała w łazience. Miała na sobie podkoszulek i cienki lniany szlafrok, który kupiła w Grecji. Podała mu ręcznik i usiadła na wielkim koszu z brudną bielizną.

- Ranny ptaszek – powiedziała.
- Muszę pojechać do miasta odebrać samochód.
- Mam na myśli to, że wróciłeś późno i tak wcześnie wstajesz.
- Po pracy wypilem parę drinków – odparł Thorne.

Pamiętał, jak jechał szemraną minitaksówką w środku nocy. Jak było mu niedobrze. I jak coraz bardziej się wkurzał, mówiąc kierowcy, jak ma jechać. Jak walczył z sennością.

– Wiem. – Louise wstała, podeszła do umywalki i przejrzała się w lustrze, otwierając szeroko oczy – Obudziłam się w nocy i poczułam, czym pachniesz. – Odwróciła się i patrzyła, jak Thorne się wyciera. – Dobrze się czujesz?

Pokiwał głową.

– Zaskakująco dobrze.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek tyle wypił i czuł się dobrze, cieszył się, że pił tej nocy białe, a nie czerwone wino. Bolała go głowa i wszystko wskazywało na to, że będzie go tak ćmiło jeszcze przez jakiś czas, ale mimo to był gotów stawić czoło nadchodzącemu dniu, a nawet dniom i tygodniom. Pamiętał wszystko, co powiedział Carol Chamberlain ubiegłej nocy. Czuł lekkie zażenowanie, ale nic więcej. Prawdopodobnie nigdy więcej nie wróca do tej rozmowy, jednak bardzo się cieszył, że powiedział

o tym, co go gnębi.

Wytarł tors ręcznikiem. Brzemię zniknęło.

– Chcesz, żebym zrobiła ci śniadanie? – spytała Louise. – Jajecznice czy coś?

– Wystarczy herbata. Trochę się spieszę.

– Będzie za pięć minut, zanim się ubierzesz. – Wyszła do kuchni ze słowami: – Za pięć minut śniadanie.

– Dzięki. – Zawołał do niej: – Lou...

– Co?

Po paru sekundach znów pojawiła się w drzwiach łazienki.

Thorne'owi włożył się ręcznikiem w tali i stał tak ze szczoteczką do zębów w dłoni.

– Co mówiła ta kobieta? Że nie poczujesz się dobrze, dopóki nie minie termin rozwiązania?...

Louise włożyła rękę do kieszeni szlafroka.

– To pewnie same bzdury – mruknął. – Ale jeżeli nie, to i tak by się nie sprawdziło, gdybyś wcześniej znowu zaszła w ciążę, prawda?

Patrzyła na niego przez kilka sekund.

– Nie...

– No więc?

Pokiwała głową, jakby to nie było nic wielkiego, ale jej twarz mówiła coś innego.

– Zawsze moglibyśmy odpuścić sobie jajecznice – powiedziała.

– Na to na pewno nie mam teraz czasu.

– Jesteś pewien? Zwykle to nie trwa tak długo.

Godzinę później wysiadł z metra na stacji Russell Square i po kilku minutach minął hotel, w którym zatrzymała się Carol Chamberlain. Zastanawiał się, czy do niej nie zadzwonić, ale uznał, że to zapewne nie jest

dobry pomysł. Dopiero dochodziła ósma i choć nie wiedział, o której zamierzała odwiedzić Sandrę Phipps, podejrzewał, że musiała trochę odespać, tak jak on. Porozmawia z nią później. Zapłacił w budce 27,50 funtów, odebrał resztę i poprosił o rachunek.

Kasjer był zwawy i najwyraźniej nieskory do pogawędki, co absolutnie Thorne'owi pasowało i mrukliwe „dziękuję” było wszystkim, na czym poprzestali.

– Chyba wolę cię na kacu – powiedziała Louise. – Jest o wiele ciszej.

Thorne uśmiechnął się, przypominając sobie wyraz jej twarzy, kiedy zamknął frontowe drzwi, i zastanowił się, czy wstąpić gdzieś na śniadanie, bo przecież nie zjadł w końcu tej jajecznicy. Włączył radio w samochodzie na Magic FM, podkreślił, kiedy usłyszał znajomą piosenkę Williiego Nelsona, którego lubił, i wyprowadził BMW z mrocznego parkingu w zdumiewająco pogodny październikowy dzień.

Dzień ten w miarę upływu czasu stanie się coraz bardziej pochmurny i mroczny, bo Thorne miał już wkrótce dowiedzieć się, co naprawdę kombinował Anthony Garvey. I przekonać się, że syn przewyższył ojca.

Tego dnia miały zginąć kolejne osoby.

Kiedy Debbie usłyszała dźwięk telefonu, była zajęta w kuchni, gdyż próbowała nakarmić Jasona. Zanim zdążyła odebrać, usłyszała, jak Nina wychodzi do przedpokoju, klnąc i utyskując, że ktoś budzi ją o tak wczesnej porze.

Debbie nie spała już co najmniej od godziny, ale wiedziała, że jej przyjaciółka pracowała do późna, i zawołała: „Przepraszam!”, usiłując posprzątać bałagan, jakiego narobił Jason. Nasłuchiwała, wycierając kawałki jajka, okruchy tosta i rozlany sok. Kiedy usłyszała, że Nina zaczyna krzyczeć, bez trudu domyśliła się, kto dzwoni.

– Tak, no jasne, tylko dlaczego bladym świtem, do cholery...? Nie

pomordowano nas, kurwa, we śnie, a jak się panu zdaje?

Nina wciąż się wściekała i kręciła głową, kiedy weszła do kuchni. Wstawiła wodę i usiadła przy stole naprzeciwko Jasona. Uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała tym samym.

– Thorne tylko wykonuje swoją pracę – powiedziała Debbie.

Nina odezwała się, robiąc miny do Jasona:

– Gdyby robił to jak należy, przed domem nie stałby policyjny radiowóz.

– Wydaje się w porządku.

– Wiem, jacy są gliniarze – powiedziała Nina. – W swoim czasie wielu z nich obsługiwałam. – Wstała, żeby zrobić herbatę. – A skoro o tym mowa, zastanawiam się, czy któryś z tych dwóch miałby ochotę na szybki numerek.

Obie się roześmiały, a Jason do nich dołączył. Debbie skończyła wycierać blat i w końcu usiadła. Nina wrzuciła kromki chleba do tosterka i powąchała mleko.

– Posłuchaj, mam dziś po południu robotę. Może być?

– Czy to znaczy, że zrobisz sobie wolny wieczór?

– Możliwe. Obsługiwałam już kilka razy tego faceta, więc go znam. Zawsze do mnie dzwoni, kiedy przyjeżdża z Manchesteru, i zawsze dorzuca coś ekstra, więc...

– Byłabyś głupia, gdybyś go spławiła – dokończyła Debbie.

– Muszę zacząć coś odkładać, no wiesz, gdybyśmy miały się stąd wynieść.

Nina pochyliła się i pieszczotliwie pogłaskała Jasona po karku.

– Chciałbyś pojechać na wakacje, kochanie?

Debbie uśmiechnęła się, wiedząc doskonale, na co pójdzie każdy zarobiony pens, i powiedziała:

– Tak, to brzmi kusząco.

– Powinniśmy przejrzeć foldery – powiedziała Nina. – Wezmę kilka, wracając z hotelu od klienta. Co powiesz na Majorkę?

Debbie pokiwała głową.

– Ale byłoby dobrze, gdybyś dziś wieczorem zrobiła sobie wolne. Mogłybyśmy urządzić sobie wspólny wieczór przed telewizorem. Przygotowałam dla nas na przykład spaghetti bolognese.

Brian Spibey roznosił śniadanie. Zostawił mcmuffina z jajkiem i bekonem w mieszkaniu Fowlera i szedł z kawą i migdałowym rogalikiem dla Andrew Dowda. Od tych aromatów sam zrobił się głodny i miał ochotę na kanapkę z bekonem, którą kupił dla siebie, a która stygła w holu. To zabawne, pomyślał, że każdy lubił co innego na śniadanie. Miłośnik hobbitów, Gibbons, właśnie zdejmował wieczko z pudełeczka z muesli, kiedy Spibey wchodził na górę.

Thorne zadzwonił, kiedy Spibey stał w kolejce w McDonalddie. Przepraszył, że nie skontaktował się zeszłego wieczoru, jak obiecywał, ale wyjaśnił, że spotkanie przeciągnęło się do późna. Spibey zapewnił go, że wszystko w porządku, że ich goście są cali i zdrowi, a na koniec żartem dodał, iż Thorne nie musi kontrolować ich co pięć minut.

– Zajmuję się tym dłużej niż pan – powiedział.

Thorne wydawał się szczerze rozbawiony.

– Wątpię, Brian, choć niekiedy sprawiasz takie wrażenie.

Pyskaty drań.

Spibey nie był pewien, czy Thorne'owi spodobało się, gdy nakrył ich, kiedy grali w pokera. To zabawne, nigdy nie postrzegął Thorne'a jako służbisty i byłoby to coś zupełnie nowego, biorąc pod uwagę opowieści, jakie na jego temat przez lata dochodziły do jego uszu. Owszem, zgodnie z przepisami on i Gibbons powinni siedzieć na dole, nie odrywając wzroku od monitorów, ale Spibey uważał, że dobrze byłoby lepiej poznać

mężczyzn, których tu gościli, a tak się składa, iż zna doskonały sposób, aby mogli się odprężyć i poczuć szczęśliwi. Obaj mieli poważny powód do zdenerwowania, a żaden z nich nie wyglądał na kogoś, kto ma zwyczaj w trudnych chwilach modlić się albo czytać Biblię, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Wpisał kod do mieszkania Dowda, zapukał i czekał.

– Śniadanko, Andy.

Dowd otworzył drzwi i wziął od niego kubek i papierową torbę.

– Oby tylko znaleźli tego typu – rzekł Spibey – Bo w przeciwnym razie zamienicie się w dwóch opasłych żarłoków. Ja i reszta chłopaków też, nawiasem mówiąc.

Dowda to nie rozbawiło i pokręcił głową.

– Wątpię, żeby Graham utył, nawet gdyby chciał. Narkotyki spieprzyły mu metabolizm.

– No, to fakt – przyznał po chwili Spibey – Pójdę już.

Zrobił kilka kroków, ale odwrócił się, gdy Dowd miał już zamknąć drzwi.

– Posłuchaj, może miałbyś później ochotę na małą partyjkę pokera? Tylko Graham powiedział, że mu się podobało.

Dowd już rozpoczął croissanta.

– Czemu nie? Teraz ma przynajmniej trochę forsy, żeby z tobą zagrać.

– Obiorę mu ją, nic się nie martw – powiedział Spibey.

– Zobaczymy.

– Mówię ci, stary, czuję, że mam dziś farta.

– Chyba jako jedyny tutaj – skwitował Dowd.

Jej pociąg dojechał do Reading tuż przed południem. Wystarczyło sprawdzić w rejestrach osób uprawnionych do głosowania, by dowiedzieć się, że Sanda Phipps – jak się nazywała trzydzieści lat temu – nie pracuje, więc Chamberlain uznała, że pora lunchu była równie dobra jak każda inna, aby zastać ją w domu. Gdyby się okazało, że nikogo nie ma, wymyśliłaby jakiś sposób, aby zabić godzinę czy dwie, może nawet zwiedziłaby Reading i spróbowała raz jeszcze później. Czy kobieta z dwiema siatkami w dłoniach mogła być niebezpieczna?

Czekając na peronie na dworcu Paddington, Chamberlain zdała sobie sprawę z tego, że właśnie tu Anthony Garvey odebrał gotówkę, która miała umożliwić mu realizację morderczego planu. Tutaj także ukrył ciało Chloe Sinclair. Nie wiedziała, czy to dobry, czy zły omen, ale skupiła się na perspektywie dnia, który miała przed sobą – na pozytywnym wyniku przeprowadzonego wywiadu i potencjalnym przełomie, o którym miała nadzieję poinformować Toma Thorne'a.

Kiedy przeglądała w pociągu swoje notatki, nie potrafiła przestać myśleć o tym, co zaszło minionego wieczoru. Zastanawiała się, w jakim stanie jest teraz Thorne i czy mogło to w jakiś sposób wpłynąć na efektywność jego działania. Czy to go pograży, czy może pobudzi do pracy? Wiedziała, że problemy osobiste wywierają większy lub mniejszy wpływ na wszystko, i przypomniawszy sobie tych kilka miesięcy dwadzieścia lat temu, kiedy ona i Jack przeżywali trudny okres. Później, aby zaspokoić swoją ciekawość, sprawdziła to i ze zdumieniem stwierdziła, że dokonała wtedy rekordowej



liczby aresztowań. Miała nadzieję, że w wypadku Thorne'a będzie tak samo.

Z dworca Reading było niedaleko do Caversham, niewielkiej dzielnicy kilka minut na północ od miasta, po drugiej stronie Tamizy. Taksówka, której kierowca przez całą drogę komentował różne wydarzenia, przejechała przez duży, bogato zdobiony most, i znalazła się na terenie przypominającym raczej klasyczne anglosaskie miasteczko z pudełka z czekoladkami niż przedmieścia. W końcu zgodnie z poleceniem Chamberlain taksówkarz zatrzymał się mniej więcej sto metrów od schludnego tarasowego domu stojącego z dala od ulicy i o rzut kamieniem od rzeki.

Podchodząc do budynku, Chamberlain ujrzała łodzie wiosłowe i parostatki zacumowane po obu stronach rzeki oraz parę łabędzi płynących środkiem Tamizy, podczas gdy gromadka dzieciaków rzucała kawałki chleba z nasypu, jakby to było frisbee.

– Trafiłem ptasióra prosto w szyję! – zawołał jeden z nich.

– Ciekawe, czy dasz radę to powtórzyć...

Chamberlain już postanowiła, że gdyby stało się najgorsze, przeprowadzi się gdzieś bliżej Londynu i zdecydowałaby się właśnie na takie miasteczko jak to. Uwielbiała bliskość wody i choć ten fragment rzeki nie miał dość charakteru, był z całą pewnością czystszy niż kanał La Manche.

I można tu spotkać ludzi mających mniej niż pięćdziesiąt lat.

Drzwi otworzyła jej, sądząc po wyglądzie, zbuntowana dziewczyna, mniej więcej czternastoletnia, która spojrzała na Chamberlain, ale nie wpuściła jej do środka. Chamberlain przypomniała sobie swoje notatki. To pewnie Nicola, córka Sandry i jej trzeciego męża, który pracował jako kierownik w pobliskim Tesco. Chamberlain kusiłoby, aby wystraszyć tę zarozumiałą, zawziętą szczeniarkę, zwracając się do niej po imieniu, ale ostatecznie tylko pokazała legitymację i zapytała, czy zastała matkę.

Po kilku sekundach dziewczynka odstała od drzwi, po czym przymknęła je i oddaliła się. Podczas gdy Chamberlain czekała, wsłuchując się w kroki dziewczynki na schodach, a później w przytłumione dźwięki rozmowy, zaczęła wierzyć, że to wszystko potoczy się w pożądanym przez wszystkich kierunku. Zastanawiała się, czy dziewczyna wie o swoim dwa razy od niej starszym przybranym bracie, seryjnym zabójcy, który mógł się nią kiedyś opiekować.

Kobieta przeprosiła i otworzyła drzwi szeroko.

– Proszę wybaczyć, ona nigdy nie jest zbyt rozmowna – powiedziała. – I nie lubi mnie denerwować.

– Och, to oczywiste. Wszystko w porządku?

Kobieta przekrzywiła głowę.

– Nie rozumiem. Powiedziała, że jest pani z policji.

– Współpracuję z policją, tak, ale...

– A więc nie przychodzi pani w związku... – Kobieta lekko pokręciła głową, dostrzegając wyraz zakłopotania na twarzy Chamberlain. – Przepraszam, pomyliłam się. Mieliliśmy śmierć w rodzinie i sądziłam, że właśnie w związku z tym pani przyszła.

– Och... współczuję – powiedziała Chamberlain. – Co się stało?

Kobieta oparła się głową o framugę drzwi.

– Takie rzeczy się zdarzają, moja droga. Biedaczysko znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ot i wszystko, natknął się na jakiegoś świra. Szczerze mówiąc, nie byliśmy zbyt blisko, ale to mimo wszystko szok.

Chamberlain czekała.

– Mój siostrzeniec – wyjaśniła kobieta, kiwając głową. – Nie miał nawet trzydziestu lat i Bóg raczy wiedzieć, kiedy pozwolą mi go pochować.

Chamberlain odchrząknęła, a kobieta przeniosła wzrok na nią.

– Cóż, przepraszam, że przychodzę w tak trudnej chwili, ale chciałam pomówić z panią o Raymondzie Garveyu.

Kobieta zamrugła i powoli się wyprostowała.

– Nazwisko z przeszłości, tak, wiem – dodała Chamberlain. – A to pewnie trafiło panią jak grom z jasnego nieba.

– I tak, i nie.

– Słucham?

Uśmiech Sandry Phipps oscylował pomiędzy ulgą a rezygnacją i pozostał na jej ustach, kiedy cofnęła się w głąb ciemnego przedpokoju.

– Może zrobię nam coś do picia.

★

Gibbons przyniósł na lunch kanapki i zimne napoje, narzekając, że awansowano go na kelnera, i wyglądał na przerażonego, kiedy Spibey zaprosił go do gry. Zanim wyszedł, zauważył, że przynajmniej jeden z nich musi pozostać na stanowisku na dole.

– No wiesz, za to nam płacą.

Znalazł się służbista, pomyślał Spibey.

Po godzinie czy dwóch Dowd ogrywał wszystkich, na stole przed nim wznosiły się starannie ułożone stosiki monet; wsparł nawet Fowlera, który sporo przegrywał. Po ostatniej partyjce Spibey był wciąż na minusie i zamierzał zagrać ostrzej. Szczęście to jedno, ale on był z nich wszystkich najbardziej doświadczonym graczem przy stoliku. Poza tym – uśmiechnął się do siebie – tamym brakowało piątej klepki.

– Tak dla przypomnienia – powiedział. – Nie gramy tu w zwykłego pokera i kolor bije sekwens. Macie tego świadomość?

Fowler zaśmiał się i podał stawkę.

– Tak, jasne, ale i tak tego nie masz.

– Mentalne gierki – dodał Dowd. – Takie rzeczy robią z ludźmi

w pokojach przesłuchań. – Dorzucił do stawki, żeby pozostać w grze. – Sprawdzam...

Spibey pokiwał głową z zamyśleniem, ale nie był w stanie ukryć szerokiego uśmiechu, gdy wykladał na stół asa, króla i królową. Uśmiech przeszedł w chichot, gdy Fowler i Dowd z jękiem niedowierzania rzucali swoje karty.

– Nie znacie się na glinach – skwitował. – My jesteśmy ci uczciwi.

Dowd pozbierał już karty i zaczął je tasować.

– Wobec tego powiedz nam, tylko uczciwie, czy normalnie udaje wam się schwytać tego rodzaju zabójcę?

– W tym facecie nie ma nic normalnego!

– No to jak?

Spibey pozbierał wygraną.

– Posłuchaj, przydzielono mnie do opieki nad wami. Nie wiem nic o przebiegu i rozwoju śledztwa.

– Daj spokój...

– Lepiej zapytaj Thorne'a.

– A on odpowie uczciwie?

– Zapewne nie.

– Podzielisz się czy nie? – warknął Fowler.

Dowd uniósł brew i spojrzał na Spibeya.

– Kiedy ostatni raz brałeś swoje leki, Grahamie?

Fowler przez kilka sekund, nie mrugając, wpatrywał się w blat stołu.

– Zgarnę to wszystko. – Wskazał na stosik Spibeya. – Do ostatniego pensa.

– Łatwo ci mówić, kiedy nie grasz własnymi pieniędzmi – rzekł Dowd.

– Zwrócę ci.

– Ciekawe jak, sprzedasz parę egzemplarzy gazety „Big Issue”?

Fowler uśmiechnął się, jego nastrój najwyraźniej znowu się zmienił.

– Kiedy dostaniemy nową tożsamość, będą musieli dać nam też trochę gotówki, prawda? Coś na początek.

– To dyskusja akademicka – powiedział Spibey – Bo i tak nie wygrasz złamanego pensa. – Sięgnął po swoje karty – Mówiłem ci, że mam dziś farta.

Fowler zapalił papierosa.

– To się zmieni – oznajmił.

Sandra Phipps nie była niską kobietą, ale widać było u niej każdy kilogram nadwagi. Okrągła na twarzy, nie próbowała w żaden sposób ukryć siwizny we włosach. Poruszała się powoli, wprowadzając Chamberlain do małego saloniku, gdzie było przeraźliwie duszno i gorąco.

– Proponuję herbatę – powiedziała. Głos miała bezdźwięczny, a w jej oddechu słychać było lekki poświst. – Choć wydaje mi się, że przydałoby mi się coś mocniejszego, więc...

– Może być herbata – odparła Chamberlain.

– Pora jest dość wczesna, ale co tam.

Sandra Phipps przystanąła w drzwiach, jakby czekała, aż jej gość zmieni zdanie. Chamberlain uśmiechnęła się, dostrzegła w oczach kobiety niepokój i po raz pierwszy, odkąd przyjęła propozycję Toma Thorne'a, by dołączyć do śledztwa, poczuła narastające podniecenie.

– Na pewno?

– Na pewno – potwierdziła Chamberlain.

Czekając na powrót Sandry, Chamberlain usiadła na podniszczonym, ale wygodnym fotelu i rozejrzała się po pokoju. Na telewizorze, kredensie i regale stały różnego rodzaju bibeloty i fotografie. Na kanapie leżał otwarty program telewizyjny, a na niewielkim stoliku opodal książka w broszurowej oprawie. We wnękę wbudowano akwarium; dochodzące z jego strony łagodne bulgotanie zlewało się z delikatną melodią płynącą z pokoju na górze. Nic nie wskazywało na to, aby w tej rodzinie panowała żałoba: nie było kwiatów ani wystawionych kartek z wyrazami współczucia. Córka

nosiła się na czarno, ale o ile Chamberlain znała się na nastolatkach, mogła się domyślać, że Nicola Phipps stale nosiła rzeczy w tym kolorze. I zapewne cały czas miała skwaszoną minę.

Kiedy Sandra Phipps wróciła z kubkiem herbaty i na wpół opróżnioną butelką wina, przez kilka minut gawędziły, gdyż obie na swój sposób chciały się rozluźnić. Sandra stwierdziła, że przeraża ją to, jak bardzo w ostatnich latach zrobiło się niebezpiecznie na ulicach. Chamberlain zgodziła się z nią i potaknęła uprzejmie, kiedy Sandra poskarżyła się na niebotyczne ceny pogrzebów.

Wtedy Chamberlain przeszła do rzeczy.

Trudno było ocenić reakcję tamtej kobiety na dźwięk nazwiska Raymonda Garveya. Chłopak sprzed lat to jedno, ale fakt, że był on również brutalnym wielokrotnym mordercą, stwarzał kilka precedensów. Nieco łatwiej było określić relację Sandry na nazwisko Malcolma Reecea.

– Stanowili dobraną parę – powiedziała ze śmiechem Sandra. – On i Ray byli jak papużki nierozłączki. I zachowywali się, jakby nie mieli wątpliwości, że żadna im się nie oprze.

– Wygląda na to, że kilka z was się na to nabrało.

– Tak, rzeczywiście. – Sandra wzruszyła ramionami. – Młode i głupie, jak przypuszczam.

– Jak długo pani i Ray byliście parą?

– Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek stanowili parę. Oboje pozostawaliśmy w związkach małżeńskich, więc...

– Dobrze. Jak długo wymykaliście się oboje do składziku na szczotki na szybki numerek?

Sandra uśmiechnęła się i lekko zaczerwieniła.

– Od czasu do czasu wynajmowaliśmy pokój w hotelu. W weekendy. Co parę tygodni.

Chamberlain czekała.

– Jakies pół roku, mniej więcej, z przerwami. Dopóki nie poznał mojej młodszej siostry – Znów się uśmiechnęła, tym razem chłodno, i napiła się.

– Frances.

– Zaczął spotykać się z pani siostrą?

Kolejne wzruszenie ramion.

– Była ode mnie ładniejsza.

– Malcolm Reece wspominał coś o dziecku.

Jeżeli Sandra usłyszała, co powiedziała Chamberlain, najwyraźniej postanowiła to zignorować.

– Utrzymywali swój romans w jeszcze większej tajemnicy niż ja i Ray – wyjaśniła. – Szczerze mówiąc, sama dowiedziałam się przez przypadek i nie chciałam wiedzieć za dużo. Chyba byłam zazdrosna i zła na siostrę. Nie rozmawialiśmy przez jakiś czas.

Chamberlain powiedziała, że to zrozumiała.

– A ja, idiotka, jeszcze przespałam się z Malcolmem Reeceem raz czy dwa. Chyba próbowałam w ten sposób odegrać się na Rayu.

– Ale co z dzieckiem?

– Nie moje – odparła Sandra.

– Pani siostry?

Sandra po dłuższej chwili pokiwała głową.

– Chłopczyk. Frances i Ray zerwali jakiś czas wcześniej. Chyba żona Raya zorientowała się, co się święci.

Chamberlain mruknęła potakująco. Przypomniała sobie, jak Jenny Duggan powiedziała, że zawsze wiedziała o innych kobietach męża.

– Długo jej to zajęło. – Sandra opróżniła swój kieliszek. – Na pewno się pani nie napije?

Chamberlain spojrzała na Sandrę Phipps, nagle oszołomiona jakby



dźwiękiem echa spadającej monety.

– Frances?

Sandra potaknęła i wydawała się zaskoczona, dlaczego skojarzenie tego zajęło Chamberlain tyle czasu.

– Frances Walsh. Najgorsze, że nawet nie zdążyliśmy się pogodzić.

Chamberlain zamruwała, przypominając sobie w myślach strony z notatkami, które studiowała w pociągu: listę ofiar Anthony’ego Garveya i listę kobiet zamordowanych dużo wcześniej, które były ich matkami.

– Frances Walsh była trzecią ofiarą Raya Garveya – powiedziała.

Sandra pokręciła głową.

– Pierwszą ofiarą. Znaleźli ją trzecią, ale zginęła jako pierwsza.

Wychyliła się do przodu i wzięła do ręki butelkę.

– Na pewno nie da się pani namówić?

Chamberlain zaprzeczyła głową.

– Jak pani chce – mruknęła Sandra i zaczęła napełniać swój kieliszek.

Hendricks oddychał ciężko przez kilka sekund, po czym odezwał się powoli i łagodnie, siląc się na zmysłowy ton:

– Co masz na sobie?

– Chyba naprawdę musi ci się nudzić.

– Niech to szlag, możesz brzmieć jeszcze żałośniej?

– Daj mi godzinę albo i dwie – powiedział Thorne.

Kiedy brak postępu w sprawie rzucał ciężkie cienie na każdą cegłę, zaczerniając brudne tafle szkła w oknach, Becke House mógł szybko zamienić dobry nastrój w zły, a zły w jeszcze gorszy Thorne siedział w swoim gabinecie i na próżno usiłował odzyskać choć odrobinę porannego optymizmu, kiedy zadzwonił Hendricks.

– Miałbyś później ochotę na browarka albo i sześć?

– Będzie ciężko – odparł Hendricks. – Jestem w Göteborgu.

– Racja. Cholera.

Thorne na śmierć zapomniał o seminarium przyjaciela. Analiza czegoś tam...

– Dałem ci szansę, stary.

– Jak w ogóle leci?

– Cóż, miałem nadzieję, że będę się tu potykał o wikingów, a w knajpach będzie pełno facetów o wyglądzie Freddiego Ljungberga.

– Pytałem o seminarium.

– Równie rozczarowujące.

– A ci faceci...

– Przypominają raczej Freddiego Kruegera.

Thorne zaśmiał się, przypominając sobie, kiedy zdarzyło mu się to po raz ostatni, i pomyślał o tym, aby opowiedzieć Hendricksowi o porannej rozmowie z Louise albo o tym, jak wczoraj wieczorem otworzył się przed Carol Chamberlain.

Nie zdążył.

– Domyślam się, że nie ma przełomów w sprawie Garveya?

– Cóż, nie zabił nikogo więcej, a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo, więc gorzej chyba nie jest.

– Myślałem o tym facecie w kanale.

– O Walshu?

– Właśnie. Pamiętasz, spytałeś mnie, dlaczego zdziwiłem się, że zaatakował go od przodu? Dlaczego to zabójstwo było brutalniejsze od innych?

– Wspomniałeś, że zhardział albo że dał się ponieść wściekłości. – Thorne ujął telefon pomiędzy podbródkiem a barkiem i zaczął przerzucać stertę nieprzejranych papierów na biurku. – Może mu się spieszyło.

– Może.

Thorne usłyszał coś w ciszy.

– Co?

– A jeżeli wcale mu się nie spieszyło? – zapytał Hendricks. – A jeżeli rozmyślnie starał się sprawić, żeby ofiary nie dało się rozpoznać? Wciąż nie doszło do formalnej identyfikacji, prawda?

– Nie, ale...

– Czy moglibyśmy zdobyć od tej ciotki próbkę DNA, jak myślisz? Dla pewności.

– Phil, przecież wiemy, kto to jest. Miał w kieszeni różne rzeczy.

– Kto, u licha, nosi w kieszeni stare prawo jazdy? Albo stary list?

– Może ktoś, kto ćpa Bóg wie co, i w ten sposób stara się pozostać tym, kim był. – Thorne zmiął w dłoni kartkę, która już nie była mu potrzebna, i rzucił kulką do kosza. Chybił. – Z tego, co wiemy Walsh żył na ulicy.

– Też o tym myślałem – powiedział Hendricks. – Narkotyki wykryte w jego organizmie były inne, niż się spodziewałem.

Thorne poprosił Hendricksa, aby zaczekał chwilę, i znalazł w komputerze odpowiedni plik z raportem toksykologicznym. Otworzył go.

– Dobra.

– Zastanowiło mnie, skąd, u licha, przeciętny ćpun i bezdomny mógł zdobyć antydepresanty?

Thorne przejrzał raport. Wykryto alkohol: piwo i whisky, oraz resztki ostatniego posiłku: frytek i jakiegoś placka. Zszedł kursorem niżej, studiując listę narkotyków, których ślady wykryto w ciele Simona Walsh. Diazepam, prozac, wellbutrin.

– Można zdobyć wszystko – stwierdził Thorne.

– Czy bezdomni nie wolą zwykle hery i najtańszego mocnego piwa?

– Czasem bywa tak, że korzystasz z tego, co wpadnie ci w ręce, stary.

Thorne przypomniał sobie chłopaka o imieniu Spike, jego błyszczące oczy, które zaczęły się zamykać, zanim jeszcze igła strzykawki wysunęła się z ciała i spadła z brzękiem na beton.

– Pamiętam jednego kolesia, który walił herę zmieszaną z cydrem.

Po krótkiej chwili Hendricks dodał:

– Wybacz. Za dużo siedzę w hotelu, rozmyślając.

– Tylko rozmyślając?

– Cóż, muszę przyznać, że w hotelowym zestawie płatnych filmów na życzenie mają porno naprawdę wysokiej klasy.

Thorne znów się zaśmiał i unosząc wzrok, dostrzegł Sama Karima stojącego w drzwiach. Karim zapytał, czy Thorne rozmawia z Hendricksem i czy może zamienić z nim słówko.

– Zaczekaj, Sam chce z tobą mówić...

Thorne podał Karimowi słuchawkę i podniósł się zza biurka. Pomyślał o twarzy Simona Walsh, o tym, co z niej zostało. Słyszał, jak Karim pyta Hendricksa, czy już widział łosia i czy mógłby przywieźć mu kilka kartonów papierosów ze strefy bezcłowej.

Fowler był pijany.

Próbował skupić wzrok, energicznie ścierając popiół z papierosa, który spadł na stół, i nieco głośniejsze, niż to było konieczne, powiedział Spibeyowi, że miał rację co do szczęścia sprzyjającego policjantowi.

– W pokerze nie decyduje szczęście – odparł Spibey – To gra umiejętności i strategii.

Dowd zaśmiał się.

– Gdzie forsa? – zapytał.

– Tak – rzekł triumfalnie Fowler. – Gdzie ta cholerna forsa?

Klasnął w dłonie i teatralnie wskazał na stosy monet leżące przed nim i przed Dowdem, a potem na kilka drobniaków, które pozostały przed

policjantem.

Tasując karty, Spibey wysilił się na słaby uśmiech, ale wiedział, że Dowd ma rację. Od lunchu karta mu nie szła, a jeżeli nawet dostawał jakąś dobrą, okazywało się, że ktoś miał lepszą. Obserwował, jak Fowler i Dowd, którym akurat zaczęło dopisywać szczęście, bez litości ogrywają go z drobniaków.

– Lepiej poproś twojego kumpla z dołu, żeby poszedł do bankomatu i trochę cię wspomógł – zasugerował Dowd.

Fowler zacmokał, powiedział „bankomat” i wyciągając rękę, by przybić piątkę koledze, zrzucił swoje pieniądze na podłogę.

– Ożeż kurwa! – burknął Spibey.

Fowler schylił się, by pozbierać monety, podczas gdy Dowd powiedział Spibeyowi, żeby rozdał karty.

Spibey zrobił to i ucieszył się, gdy okazało się, że dostał asa i dwie królowe; całkiem nieźle. Mocno podbił stawkę, a Dowd szybko spasował, ale Fowler pozostał w grze, wchodząc w ciemno, dzięki czemu mógł sprawdzić, dokładając do banku jedynie połowę stawki Spibeya. Ten wszedł za wszystko i pokazał karty. Zobaczył też, że Fowler tylko zerknął na jego karty i zaczął się śmiać, zanim przesunął swoje, nie odwracając ich, w stronę Dowda. Dowd pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– To nie twój dzień, panie władzo – powiedział, zanim pokazał Spibeyowi siódmkę, ósemkę i dziewiątkę Fowlera.

Spibey walnął otwartą dłońią w stół, a Fowler przytrzymał chwiejącą się otwartą puszkę piwa.

– Przepraszam – rzekł Spibey – Ale to jakiś absurd.

Dowd pokiwał głową.

– To zła passa.

– Zła?

– Muszę się odlać – oznajmił Fowler, przyciągając do siebie wygraną.

Dowd odsunął krzesło.

– Kto ma ochotę na herbatę?

Spibey siedział tyłem do otwartego okna. Promienie słońca grzały go w kark. Kiedy Dowd poszedł do kuchni, a Fowler zniknął w łazience, Spibey odwrócił się, by zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, napełniając płuca świeżym powietrzem, a wokół niego kłęby tytoniowego dymu unosiły się, powoli wypływając na zewnątrz.

Znów odwrócił się w stronę pokoju, sięgnął do kieszeni i wyjął portfel, by ponownie wejść do gry.

– Cholera – warknął półgłosem.

Gdy tak siedział, tasując karty i czekając na powrót Fowlera i Dowda, myślał o tym, jak szybko znienawidził dwóch mężczyzn, których kazano mu pilnować. Wystarczyło kilka godzin nieszkodliwego hazardu i zwyczajnie nimi pogardzał, kiedy ujrzął ich prawdziwe oblicza. Nie dalej jednak jak przed paroma dniami uważał ich obu za ofiary zdezorientowane i przerażone. Dziś jednak, gdy na nich patrzył i słuchał ich przechwałek, uświadomił sobie, że są czymś więcej niż bezbronnymi ofiarami. To świry, pasożyty żyjące na koszt podatników, podczas gdy porządni ludzie, tacy jak on, skakali wokół nich i im usługiwali.

Chryste, społeczeństwo nic by na tym straciło, gdyby ci dwaj wyciągnęli kopyta.

Dowd, który chyba uważał się za pieprzonego komika, zrobił się nieznośnie zarozumiały, a Fowler – przynajmniej zdaniem Spibeya – udawał bardziej podpitego, niż był w istocie. Bo ile on wypił, cztery puszki piwa z supermarketu? To była stara sztuczka karcianych oszustów, a Spibey zaczął się zastanawiać, czy Fowler faktycznie jest takim żółtodziobem, na jakiego się kreował.

Wyglądził dwudziestofuntowy banknot na blacie stołu przed sobą

i wlepił w niego wzrok. Zacznie od nowa, odegra się powoli i z dwudziestu zrobi się czterdzieści, osiemdziesiąt albo więcej. Puści tych dwóch w skarpetkach, zanim o szóstej przyjdzie nowa zmiana.

Dupki.

Usłyszał kroki, uniósł wzrok i pomachał dwudziestofuntowym banknotem w powietrzu, po czym znów sięgnął po karty, koncentrując się na tasowaniu.

– Zręczność i strategia – powiedział.

To, co poczuł, zobaczył, usłyszał – wrażenia, które zaczęły bombardować ciało i umysł w ostatnich trzydziestu sekundach jego życia – nie napłynęło w takiej kolejności, w jakiej Spibey mógł się ich spodziewać. Najpierw zobaczył krew, a może na kilka chwil stracił przytomność, to było pierwsze, co zarejestrował, kiedy otworzył oczy – krwawy rozbryzg na kartach rozsypanych po stole. Czerwień jak kiery i kara. I wtedy to poczuł, miękkość pod palcami, kiedy uniósł dłoń do rany na potylicy, i nagle pojawił się ból, gdy drugie uderzenie strzaskało mu rękę, a potem ogarnęła go fala mdłości, po trzecim uderzeniu pod policzkiem poczuł chłód blatu stołu.

Próbował unieść głowę i zaczęło mu się robić ciemno przed oczami, wtedy pomyślał, że to coś jest zapewne drewniane, z kolcami. To, czym go uderzono. To, czym wciąż go uderzano. Usłyszał, jak ktoś powiedział: „Co ty robisz, do cholery?”. Poczul woń własnego moczu i słońce, które wciąż grzało go w kark.

Promienie słońca, gęste i lepkie, wpłynęły pod jego kołnierzyk.

– Co ty robisz, do cholery?

Przez kilka sekund w pokoju panowała kompletna cisza, gdy dwaj pozostali przy życiu mężczyźni patrzyli na siebie nawzajem.

A potem Anthony Garvey szybkim krokiem obszedł stół i ze spokojem

odsunął krzesło na bok, a krew policjanta rozbryznęła się dookoła, kiedy znów uniósł swoją broń.

– Wam obydwu skończyła się dobra passa – powiedział.



Dopiero kiedy Chamberlain usłyszała hałas na schodach, zorientowała się, że muzyka na górze ucichła. I ona, i Sandra Phipps spojrzały w stronę drzwi, gdy kroki przybrały na sile; wsłuchiwały się w odgłosy kogoś, kto zbiegł ciężko po schodach, a potem w krótką ciszę, po której rozległ się huk zatrzasniwanych mocno drzwi.

Sandra wydeła policzki i usiadła na krześle.

– Jest zdenerwowana – powiedziała.

– Chodzi o pani siostrzeńca?

Sandra pokiwała głową i uśmiechnęła się pod nosem.

– To naprawdę głupie. Przecież Nicola nie widziała Simona, odkąd była jeszcze malutka. A przejmuje się tak, jakby zmarł wokalista którejś z jej ulubionych kapeli. Szczerze mówiąc, pasuje to do niej.

– A co z panią?

Sandra spojrzała na Chamberlain, jakby uznała to pytanie za dziwne lub niestosowne.

– Jestem... zasmucona. To straszne, co mu zrobiono. I nieważne, że nie utrzymywaliśmy szczególnie bliskich kontaktów, mam rację?

Chamberlain nie odpowiedziała.

– Wciąż nie dowiedziałam się, kiedy będę mogła pojechać go zobaczyć, zająć się przygotowaniem do pogrzebu i w ogóle. – Zakręciła kieliszkiem z winem. – Bóg raczy wiedzieć, w jakim musi być stanie.

– Dadzą pani znać, kiedy będą gotowi – Chamberlain powiedziała tyle, ile było jej zdaniem konieczne i nic więcej.

Teraz miała już wszystkie kawałki układanki. Wiedziała, kim jest mężczyzna nazywający siebie Anthonym Garveyem, i wiedziała, co to oznacza. Ale wciąż nie potrafiła odnaleźć w tym wszystkim sensu.

– To dlatego tak panią potraktowałam w progu – powiedziała Sandra. – Myślałam, że o to pani chodzi.

– O Simona?

– Sądziłam, że może zdecydowali się w końcu wydać mi ciało...

Simon Walsh. Syn Raymonda Garveya i jego pierwszej ofiary.

Człowiek, którego poszukiwała policja i który, jak uświadomiła sobie teraz Chamberlain, mylnie został uznany za kolejną ofiarę mordercy.

– To dlatego Ray ją zabił.

Chamberlain uniosła głowę energicznie. Zupełnie jakby Sandra Phipps potrafiła czytać w jej myślach. Poczwała krew napływającą jej do twarzy.

– Słucham?

– Tak w każdym razie mówił. Ponieważ Fran nigdy nie powiedziała mu o dziecku. Bo nie wiedział, że ma dwunastoletniego syna. Nie wiem, szczerze mówiąc, skąd się dowiedział, ale wyznał, że go poniosło. Chciał się z nią rozmówić i stracił panowanie nad sobą.

– Jezu.

– Co?

– Dlaczego, u licha, nie zawiadomiła pani policji? – zapytała.

– Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy Ray został aresztowany. Nie wiedziałam, że to był on. – Sandra znów sięgnęła po butelkę. – Do tego czasu wszystkie te kobiety już nie żyły, więc milczałam. Przecież nie mogłam im już zwrócić życia, prawda?

– Kiedy się pani dowiedziała?

– Napisał do mnie z więzienia – odparła Sandra. – Tylko raz. Chciał, żebym wiedziała, dlaczego zabił Fran. – Nagle w oczach kobiety pojawiła się

niepohamowana nienawiść. – Uwierzy pani, że chciał, żebym mu wybaczyła?

Siedem, pomyślała Chamberlain. Siedem kobiet zostało zamordowanych, ponieważ Frances Walsh zataiła przed Garveyem, że ma z nim dziecko. To sprawiło, że teoria o zmianie osobowości wydała jej się jeszcze bardziej absurdalna niż do tej pory.

– No i dlaczego zabijał? – zapytała. – Te wszystkie inne kobiety po pani siostrze?

Sandra oparła butelkę z winem na swoich nogach i spojrzała w sufit.

– Bóg raczy wiedzieć. Może coś w nim pękło. Nie wiem, jak działa ludzki umysł. Może próbował ukryć prawdziwy powód, dla którego zabił Fran... Jeżeli faktycznie powodem było to, że nie wiedział o synu. A może zrobił to raz i po prostu mu się spodobało. Teraz to bez znaczenia, prawda?

Chamberlain trudno było znieść spokojne, rzeczowe nastawienie tej kobiety, ale z ręką na sercu, całkiem szczerze nie mogła powiedzieć, że to rzeczywiście ma teraz jakieś znaczenie.

– A więc przygarnęła pani Simona? Po tym jak Frances została zamordowana?

– Gdyby nie ja, zabrałaby go opieka społeczna, co miałam zrobić? W gruncie rzeczy między mną a Fran sytuacja nigdy nie wróciła do normy. Wszystko przez tę historię z nią i Rayem. Ale nie zasłużyła sobie na to, co ten łajdak z nią zrobił. A Simon należał do rodziny, więc nawet się nie namyślałam.

– Co powiedziała pani Simonowi o jego ojcu?

– To samo, co mówiła mu Fran: że jego ojciec zmarł, kiedy on był jeszcze malutki, i że pracował jako inżynier, ale nie wdawałam się w szczegóły. To dziwne, że Simon nigdy tak naprawdę nie dopytywał się o niego. To, co stało się z jego mamą, dostatecznie nim wstrząsnęło i zaczął

sprawiać kłopoty w szkole. – Zamrugła powoli, wspominając.

– Później był na nią zły, był zły na wszystkich. Ale czasem tak bywa, prawda? – Nalała resztę wina do kieliszka. – Kiedy kogoś się traci.

Chamberlain czekała, aż Sandra Phipps zacznie mówić dalej, patrzyła, jak piersi kobiety unoszą się i opadają, wsłuchiwała się w jej świszczący oddech i łagodne bulgotanie płynące od strony akwarium.

Drgnęła nieznacznie, kiedy rozległ się fragment wyjątkowo głośnej i radosnej samby.

Sandra odwróciła się w stronę niewielkiego stolika i zgarnęła swoją komórkę. Przez chwilę patrzyła na wyświetlacz, po czym wyłączyła telefon.

– Stary – powiedziała. – Pewnie chciał tylko pogadać. Oddzwonię do niego...

– Mówiła pani o...

– Chciałam, żeby chłopiec miał możliwie normalne życie, jasne? Nie chciałam, żeby dowiedział się, kim był jego ojciec albo co zrobił. Nie chciałam, żeby poczuł się jak dziwoląg.

Chamberlain starała się zachować pokerową twarz.

– Kiedy widziała go pani ostatni raz?

– Odszedł, kiedy miał siedemnaście lat – odparła Sandra. – To będzie dziesięć lat temu. – Zamyśliła się przez chwilę. – Taa, dziesięć... To się stało dość nagle, wie pani, po prostu powiedział mi, że chce stanąć na nogi, pójść na swoje. To całkiem zrozumiałe. – Skinęła głową w stronę drzwi. – Ona też wkrótce odejdzie.

– Odzywał się do pani?

– Raz czy dwa. Tylko żeby poinformować mnie, że u niego wszystko w porządku. Ale wcale tak nie było, prawda? Policja powiedziała, że był bezdomny, kiedy umarł. – Napiła się. Przymknęła powieki. – Odkąd dowiedziałam się, co się stało, wciąż męczą mnie wyrzuty sumienia.

– A więc dlaczego teraz? – spytała Chamberlain. – Przecież zachowywała to pani w tajemnicy przez piętnaście lat.

Sandra wzruszyła ramionami.

– Prawda nie ma już większego znaczenia. Teraz, kiedy Simon nie żyje.

Chamberlain tylko pokiwała głową.

– Pewnie tak – powiedziała.

Chamberlain wiedziała doskonale, że Simon Walsh nie umarł, ale jak miała powiedzieć o tym tej kobiecie? Wiem, że to nie ciało pani siostrzeńca wydobyto z kanału ze strzaskaną czaszką i twarzą jak rozbity arbuz. Wiem, bo to Simon zabił tego człowieka. I wiele innych osób...

Zgodnie z zasadą dotyczącą przeplatania się dobrych i złych wieści, ta gorsza musiała nadejść zaraz po dobrej.

Sandra odchrząknęła i usiadła prosto na krześle. Głos miała odrobinę bełkotliwy z powodu wypitego wina, mówiła donośniej i wyraźniej się ożywiła.

– Wspomniała pani, że chce ze mną pomówić o Rayu Garveyu, kiedy tu pani przysła. Ale nie wyjaśniła pani dlaczego.

– Czyżby?

Chamberlain wstała. Tę rozmowę powinien odbyć ktoś inny, ktoś, kto wciąż dysponował legitymacją służbową. A ona musiała jak najszybciej opuścić dom Sandry Phipps.

Musiała zadzwonić do Toma Thorne'a.

Detektyw sierżant Rob Gibbons uniósł wzrok znad książki, co robił za każdym razem, kiedy przewracał stronę, i zerknął pospiesznie na każdy z trzech monitorów, które miał na biurku przed sobą, po czym z lubością powrócił do lektury.

Aby się w niej zatracić, uwielbiał to.

Ponieważ robił to, co robił, i każdego dnia spotykał durnych,

beznadziejnych ludzi, co innego mógł czytać, jeśli nie książki fantasy? Frajerzy pokroju Thorne'a mogli sobie żartować, że to bzdury o smokach i hobbitach, ale zdaniem Gibbonsa obce światy tworzone w powieściach fantasy, a przynajmniej w tych najlepszych, były o niebo lepsze niż bajzel, w którym przyszło mu żyć. W więziennych bibliotekach te książki również cieszyły się największą popularnością i najczęściej znikwały. Nie trzeba być geniuszem, by zrozumieć dlaczego. Fantasy i pitawale o najbardziej bulwersujących, prawdziwych zbrodniach.

Spośród nałogów czytanie było znacznie bezpieczniejsze niż hazard. Gibbons nie miał co do tego wątpliwości i wiedział, jaki problem ma Brian Spibey. Godzinami próbował zgarnąć parę funtów od szumowin pokroju Dowda i Fowlera, to doprawdy żałosne. Siedział tam od lunchu, na miłość boską. Gibbonsowi to nie przeszkadzało, bo mógł spokojnie poczytać, ale mieli robotę do wykonania i chyba będzie musiał zamienić kilka słów ze Spibeyem albo – gdyby miał ochotę narobić mu kłopotów – z którymś z przełożonych. To zawsze było poważne posunięcie, ale...

Usłyszał krzyk dochodzący z góry i upuścił książkę, a kiedy uniósł wzrok, dostrzegł jakiś cień przemykający przez ekran jednego z monitorów przekazujących obraz z kamery na końcu korytarza pierwszego piętra.

Sięgnął po krótkofalówkę.

– Brian, schodzisz na dół?

Tylko szum.

– Brian? Kurwa mać!

To nie wyglądało jak Spibey...

Gibbons wstał i pospiesznie obszedł biurko, a podeszwy jego butów zapiszczały wyjątkowo głośno, gdy przechodził przez hol. Przecież nikt nie mógł zejść na dół bez zgody Spibeya? Tamci mieli pozostawać w swoich pokojach za zamkniętymi drzwiami. Czy ten durny jełop kompletnie

postradał rozum i upił się wraz z nimi?

Ruszył w stronę schodów i nagle przystanął, cofnął się o dwa kroki, krótkofalówka wypadła mu z ręki i z trzaskiem wylądowała na posadzce.

– Jezu!

Spojrzał na mężczyznę, który wolno schodził po schodach w jego stronę. Ten błędny wzrok i plama krwi na przodzie koszuli...

– Co się stało? Jezu...

– On zupełnie oszalał. Chyba powinieneś kogoś wezwać.

Gibbons mógł tylko pokiwać głową, przełknąć ślinę i przez kilka sekund nie był w stanie się poruszyć, a tyle właśnie tamten potrzebował, aby pokonać kilka ostatnich stopni. Gapił się na krew i na twarz tamtego. Gdy spostrzegł kuchenny nóż, który wysunął się z rękawa i znalazł się w dłoni Anthony'ego Garveya, było już za późno.

– Wolniej, Carol.

Thorne właśnie skończył rozmawiać z Philem Hendricksem, kiedy do niego zadzwoniła. Żartował z Dave'em Hollandem, opowiadając niektóre z eskapad patologa w Szwecji. Teraz Holland usłyszał coś niepokojącego w głosie Thorne'a, zbliżył się do jego biurka i nasłuchując, wyszeptał:

– Co jest?

Thorne pokręcił głową.

– Słuchasz mnie, Tom? – Chamberlain wydawała się zdyszana i rozdrażniona.

– Oczywiście, ale mów.

– Simon Walsh to syn Raya Garveya.

– Niemożliwe.

Chamberlain możliwie jak najszybciej zrelacjonowała mu rozmowę z Sandrą Phipps, nieporozumienie dotyczące powodu jej wizyty, a w końcu wyjaśnienie, które wszystko zmieniło.

– Garvey miał romans z jej siostrą i mieli syna. Ona była jego pierwszą ofiarą, Tom. Frances Walsh.

– Ale dlaczego, u diabła, miałby...?

– Zabił ją, bo nie powiedziała mu o dziecku. Dlatego zabił je wszystkie. To nie miało nic wspólnego z guzem mózgu.

Thorne wstał z krzesła, próbując to wszystko ogarnąć.

– Ale przecież Simon Walsh został zatłuczony na śmierć. Wyłowiliśmy jego ciało z cholernego kanału.

– Nie, wcale nie – odparła Chamberlain.

– Miał przy sobie dokumenty.

Ale kiedy jeszcze to mówił, zorientował się, że się pomylili. Pomyślał o tym, co powiedział Hendricks, i wiedział, że obawy przyjaciela były uzasadnione. Chodziło tylko o to, żeby zwłok nie dało się rozpoznać, z listem i prawem jazdy mającymi stanowić dowód, że ofiara jest kimś innym niż w rzeczywistości.

Ale dlaczego?

Kiedy odnaleziono zwłoki, Thorne i Hendricks rozmawiali o tym, że mężczyzna został zabity gdzie indziej, a ciało podrzucono później w innym miejscu. Teraz Thorne zaczął się zastanawiać, jak daleko od Camden mogło się to stać.

– Anthony Garvey jest synem pierwszej ofiary Raya Garveya – powiedziała Chamberlain. – Jego ojciec zamordował jego matkę, Tom.

Koszula lepiała się Thorne'owi do pleców. Czuł pulsowanie żyły na szyi.

– Najistotniejsze jest to, że człowiek, którego ciało wyłowiliśmy z tego kanału, to nie Simon Walsh.

Thorne powiedział Chamberlain, że zadzwoni do niej później, i rozłączył się. Ruszył w stronę drzwi, zanim Holland zdążył się odezwać. Holland wyszedł za nim na wąski korytarz, chciał zapytać, co się stało, ale



Thorne nie dał mu dojść do słowa.

– Potrzebujemy jednostki szybkiego reagowania, niech jadą do Euston.

Tyle wozów, ile uda się ściągnąć. I jednostki taktycznej.

– Co takiego?

*Człowiek, którego ciało wyłowiliśmy z tego kanału...*

Thorne wiedział, że to mógł być tylko jeden spośród dwóch mężczyzn.

To samo dotyczyło zabójcy.

– Natychmiast, Dave.

*Więzienie Jej Królewskiej Mości Whitemoor*

- Jesteś gotowy na jutro?
- Przedstawili mi długą listę tego, co może pójść nie tak.
- Muszą to zrobić, żeby dbać o swoje interesy.
- Wiem, ale trudno o tym nie myśleć, prawda?
- Ten Kambar sprawia wrażenie, że zna się na swojej robocie.
- Tak, chyba tak. Nie mam większego wyboru, prawda?
- Jak twoje bóle głowy?
- To akurat typowe. Przez ostatnie dni absolutnie nic, zero. Może dlatego, że umysł miałem zaprzątnięty czymś innym.
- Powinieneś pomyśleć o rekonwalescencji, o powrocie do zdrowia i dalszym długim życiu.
- Jasne, skoro mam już po co żyć.
- Posłuchaj, sporo ostatnio czytałem, szukałem w internecie, jest tam mnóstwo artykułów mówiących o zmianie osobowości.
- Chryste, Tony.
- To udokumentowane przypadki.
- Mówiłem ci...
- Powinieneś się cieszyć. Mówię serio. Może dzięki temu stąd wyjdiesz.
- Nie ma takiej możliwości.
- Pozwól, że ja się tym zajmę, dobrze? Ty tylko zdrowiej, a ja później pokażę ci, co udało mi się zebrać.

- Nie chcę, żebyś marnował czas.
- Nie marnuję, przysięgam. Po operacji zacznę rozmawiać z ludźmi, zapoczątkuję kampanię.
- Z jakimi ludźmi?
- Pisarzami, dziennikarzami, nieistotne. Po operacji pomówię z doktorem Kambarem.
- A co z kobietami, które zginęły?
- To nie byłeś ty. Możemy to udowodnić.
- A co z ich mężami i rodzicami? Co z ich dziećmi? Nie sądzisz, że oni mogliby rozpętać własną kampanię?
- Nie pozwolimy, aby storpedowali nasze wysiłki. Niewinny to znaczy niewinny.
- Nie mówiąc już o...
- Nie mów.
- O twojej matce, Tony.
- Sama się o to prosiła.
- Żadna z nich się o to nie prosiła.
- To nie była twoja wina. To przez ten guz. To tłumaczy pozostałe kobiety, nie rozumiesz tego? Nie panowałeś nad sobą. W jej wypadku też nie.
- Nie dam rady się z tym zmierzyć. Nie z tym wszystkim.
- Ale ja dam radę, jasne? O nic nie musisz się martwić.
- Tylko o to, że będą mi grzebać w mózgu.
- Będę tam, gdy cię będą usypiać, jasne? I będę, kiedy się obudzisz.
- Jeżeli...
- Nie mów tak.
- Przepraszam. To tylko...
- Nic nie szkodzi, rozumiem.

- Jestem ci wdzięczny, naprawdę.
- Nie wygłupiaj się. Przecież po to jest rodzina.

Debbie cofnęła się od drzwi, zanim jeszcze mężczyzna uniósł w dłoni legitymację. Instynktownie sięgnęła ręką za siebie, przywołując Jasona, który stał tam, gdzie go zostawiła, u podnóża schodów. Serce zamarło jej w piersi, ze strachu, z ekscytacji, a może jednego i drugiego naraz.

– Złapaliście go?

Detektyw pokręcił głową i odwrócił głowę na sekundę czy dwie, szukając odpowiednich słów.

– Sprawa jest... rozwojowa, to wszystko.

Nie odwracając się, zawołała synka po imieniu.

– Nie ma powodu do paniki, panno Mitchell.

– Co takiego?

– Po prostu uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas ktoś z panią zostanie. Zgoda?

Debbie postąpiła niepewnie krok naprzód, wyciągając szyję, aby móc spojrzeć poza mężczyznę stojącego w progu, i przepatrując ulicę w jedną i w drugą stronę. Ta wścibska klempa z przeciwka zerknęła spoza rozchylonych lekko zasłon. Pewnie uznała, że gliniarz to jeden z klientów Niny Debbie pokazała jej dwa palce.

– Zgoda, Debbie? – Legitymacja detektywa zniknęła w wewnętrznej kieszeni jego marynarki. – Mogę wejść?

Debbie odczekała chwilę, pokiwała głową i weszła do domu, rozglądając się za Jasonem. W salonie usłyszała, jak zamykają się frontowe drzwi, i podeszła szybkim krokiem do miejsca przy kanapie, gdzie jej syn pochyłał

się nad książeczką z obrazkami. Ukłękła obok niego i poczuła, że jej serce nieznacznie zaczęło zwalniać tempo, gdy patrzyła, jak przewraca kolejne strony, mamrocząc do siebie.

– Czy w domu jest ktoś jeszcze?

Odwróciła się, by spojrzeć na postać stojącą za nią w drzwiach. Skinął w stronę otwartych drzwi prowadzących do kuchni Niny.

– Radio – powiedziała. – Jakies słuchowisko.

Detektyw pokiwał głową i przez chwilę wsłuchiwał się w głosy. To brzmiało jak kłótnia.

– Obrazy są lepsze, no nie?

– Słucham?

– Tak mówią, mam rację?

– Co mówią?

– O słuchowiskach. Że w radiu są takie dobre. – Postukał się w głowę. – Bo obrazy są lepsze. Wyobraźnia pracuje.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Debbie odwróciła się do Jasona, ale uznała, że detektyw zapewne ma rację. Najczęściej włączała radio na Capital albo Heart FM. Nie przepadała za didżejami, ale zwykle lubiła muzykę, którą puszczała, i Jasonowi też się ona podobała. Od czasu do czasu przyłapywała go na tym, jak tańczy, choć niewiele osób tak nazwałoby to, co robił. Jeśli jednak nadawano słuchowisko, zawsze starała się usiąść i posłuchać. Zaparzyła kawę i pojadała biszkopty, podczas gdy Jason oglądał swoje bajki. Nawet kiedy słuchowisko było dziwaczne, a jego akcja rozgrywała się w jakimś absurdalnie egzotycznym miejscu, w Indiach, w Iraku czy gdzieś tam, zwykle bez trudu dawała się wciągnąć w fabułę, a godzina mijała nie wiadomo kiedy.

*Bo obrazy są lepsze.*

Z całą pewnością były lepsze niż te, które ostatnio wypełniały jej umysł.

Obrazy mężczyzny, który szedł po nią. Nie mogły się równać z obrazami wywoływanymi przez zajmujące popołudniowe słuchowiska...

Usłyszała, jak detektyw przechodzi po dywanie, i odwróciła się w momencie, kiedy przykucnął obok niej. Jego kolana głośno trzasnęły, a mężczyzna zaśmiał się i pokręcił głową.

– A niech mnie, słyszała to pani – powiedział.

Cuchnął potem i dymem papierosowym.

– Kto to?

– Jason – odparła Debbie.

Przez pół minuty, lub dłużej, oboje patrzyli, jak Jason przesuwając paluszkami po obrazach w książce.

– Ile ma lat?

– Osiem.

Jeżeli policjanta to zdziwiło, nie dał tego po sobie poznać. Patrzył tylko w milczeniu przez kolejnych kilka sekund, aż wreszcie pokiwał głową i podniósł się powoli. W tej samej chwili Jason uniósł wzrok znad książeczki i uśmiechnął się do niego.

Detektyw odwzajemnił uśmiech.

Zanim Thorne i Holland dotarli do Huston, ulica po obu stronach została już zamknięta i odgradzona kordonem, a w pobliżu zaczął się gromadzić tłum gapiów. Okoliczni mieszkańcy i przechodnie szybko do niego dołączali. Zasypywali pytaniami funkcjonariuszy niepozwalających im podejść bliżej i rozsiewali plotki, kiedy nie otrzymywali odpowiedzi na swoje pytania. Thorne również zgrywał głupiego. Wysiadł z samochodu, pochylił głowę i pokazując legitymację, pobiegł w stronę Plantacji Trawki.

Na ulicy stało kilkanaście służbowych pojazdów: furgonetki, radiowozy, oznakowane i nieoznakowane, karetka, ktoś wezwał już autobus z herbatą, co nigdy nie wróżyło nic dobrego. Kiedy Thorne podszedł bliżej, w jego stronę ruszyło kilku uzbrojonych gliniarzy, podchodzili powoli, złowieszczo, podczas gdy inni stali przy otwartych drzwiach furgonetki, zdając broń i zdejmując sprzęt.

Ich obecność była zbędna.

Thorne nie przepadał za jednostkami taktycznymi, zawsze uważał, że zbyt wielu ich oficerów jest zwykłymi bucami i bufonami. Oczywiście większość z nich nie była już tak pewna siebie od czasu Jeana Charles'a de Menezesa, a po wymienionych przez nich spojrzeniach, ciężkim kroku i obwisłych ramionach zrozumiał, że dziś też nie musi się przejmować kwestią przerostu ego.

Patrzył, jak krępy zacięty oficer taktycznej jednostki uderzeniowej upuszcza hełm w trawę i zaczyna ściągać kamizelkę kuloodporną. Kiedy Thorne podszedł, mężczyzna wyjął z tylnej kieszeni paczkę papierosów



i powiedział:

– Ja pierdolę!

Twarz miał barwy wosku.

– Jest bardzo źle? – zapytał Thorne.

– Gorzej być nie mogło.

Obaj się odwrócili, gdy przez otwarte drzwi wytaczano właśnie do karetki wózek noszowy. Ciało było przykryte kocem, a twarz przesłonięta maską tlenową, ale Thorne i tak zdołał rozpoznać detektywa sierżanta Roba Gibbonsa. Wpatrywał się w posępne twarze ratowników medycznych, poszukując czegoś, co zdradziłoby mu, jakie szanse na przeżycie ma ranny policjant, lecz bez powodzenia. Wtedy nieomal pobiegł w stronę budynku.

W holu wrzało jak w ulu. Autobus z herbatą na razie nie był potrzebny. Ekipa techników robiła już swoje, szelest ich kombinezonów rywalizował ze skrzeczeniem krótkofalówek i suchymi rozkazami starszych rangą oficerów starających się jak najlepiej opanować panikę.

Thorne podszedł do miejsca u podnóża schodów, gdzie ekipa ratowników medycznych zbierała swój sprzęt. Holland był tylko o kilka kroków za nim. Obaj stali przez chwilę w milczeniu, wpatrując się w nóż o długim ostrzu leżący na dolnym stopniu i krew rozlewającą się lśniąca kałużą na marmurowej posadzce.

– Co się tu stało, co cholery? – zapytał Holland.

– Mieliśmy go – powiedział Thorne. – Mieliśmy go przez cały czas.

– Kogo mieliśmy?

– Anthony’ego Garveya.

– Tak, wiem.

Thorne starał się najlepiej jak mógł wytłumaczyć to Hollandowi w drodze z Colindale. Detektyw sierżant słuchał z rozdziawionymi ustami, kiedy Thorne powiedział mu, co odkryła Carol Chamberlain i co to

oznaczało, a przy tym ponaglał kierowcę, aby dodał gazu.

– Ale kto to?

Thorne instynktownie uniósł głowę i spojrzał w stronę pokoi, gdzie odwiedził dwóch ostatnich mężczyzn z listy zabójcy. Gdzie odwiedził samego zabójcę.

– Panie inspektorze?

Thorne odwrócił się i skinął głową do zdenerwowanej młodej kobiety, która do nich podeszła. Znowu skinął głową ze zniecierpliwieniem, gdy przedstawiła się jako detektyw inspektor przydzielony z ramienia Ekipy Śledczej Wydziału Zabójstw; jej nazwisko natychmiast wyleciało mu z głowy.

– Miejsmy to już za sobą – powiedział.

– Dwa ciała na górze – zerknęła do notesu. – Detektyw sierżant Spibey i mężczyzna nazwiskiem Graham Fowler.

– Chryste – wyszeptał Holland.

– Chcę to zobaczyć – rzucił Thorne.

Kobieta wciąż mówiła, prowadząc ich po schodach, a w jej głosie dało się wyczuć zdenerwowanie. Wyjaśniła, że nadkomisarz Jesmond już tu jedzie, podobnie jak patolog, który się spóźnia, bo akurat ugrzązł w korku. Były jakieś kłopoty ze znalezieniem zastępcy dla doktora Hendricksa. Thorne pomyślał o przyjacielu, który błogo odpoczywał na wyjeździe w Göteborgu, i przez chwilę mu zazdrościł. Spojrzał na Hollanda.

– To teraz już wiemy.

Holland pokiwał głową.

– Dowd.

– Człowiek, który udawał Dowda – poprawił Thorne.

Stanęli w drzwiach pokoju, przy końcu korytarza, tak surowym i funkcjonalnym, dopóki Anthony Garvey nie zabrał się do roboty. Teraz

wnętrze wyglądało barwniej i dość przerażająco.

Spibey wciąż siedział na krześle z głową opartą o śliski blat stołu. Po drugiej stronie pokoju, pod ścianą, leżał Graham Fowler, z jedną nogą dziwnie uniesioną i zgiętą w kolanie, jakby tylko odpoczywał, ale krew i strzępy mózgu oblepiające bok jego twarzy mówiły co innego. Kilka metrów dalej na dywanie opisano nierównym kręgiem okrwawioną i popękaną roślinę, drzewko w doniczce i trzy małe gałązki, które się od niej odłamały, gdy zabójca uderzał nią zapamiętale w głowy mężczyzn.

Thorne patrzył, a jego dłonie na przemian rozwierały się i zaciskały w pięści, podczas gdy policyjny fotograf podszedł możliwie jak najbliżej zwłok. Słyszał, jak jeden z techników powiedział parę słów na temat narzędzia zbrodni i zażartował coś o herbacie.

Dodawanie sobie otuchy nigdy nie brzmiało tak przejmująco.

– Nadkomisarz się wścieknie – stwierdził Holland.

Thorne słuchał tylko jednym uchem. Wracał myślami do swojej rozmowy z mężczyzną, o którym wszyscy myśleli, że jest Andrew Dowdem. Zastanawiał się, czy coś przegapił.

– Będą żądać, żeby ktoś za to beknął, a Trevor Jesmond na pewno nie zechce dać głowy pod topór.

Thorne sądził, że zachowanie Dowda było spowodowane stresem i prochami. Załamaniem nerwowym wywołanym przez dręczące go problemy i aferę z żoną. Boże, ależ był głupi! Zrobił z siebie idiotę. Złapiecie go? – zapytał Dowd, patrząc mu prosto w oczy Thorne odwrócił się do policjantki, która stała za nimi i rozmawiała z podwładnym.

– Potrzebujemy rysopisu i to natychmiast – powiedział.

Podeszła do niego.

– To już załatwione.

– Wszystkie wozy w całej okolicy, tak?

– Jak już powiedziałam...

– Niech funkcjonariusze zaczną chodzić od domu do domu w obrębie kilkunastu najbliższych ulic. – Thorne zajął w głąb pokoju. – Ten skurwiel musi być cały ubabrany krwią, więc nie mógł odejść daleko, żeby ktoś go nie zauważył.

– Sądymy, że zabrał marynarkę detektywa sierżanta Spibeya – odparła policjantka. – A w każdym razie nie możemy jej znaleźć. – Popatrzyła na kolegę, poszukując z jego strony wsparcia, zanim dodała:

– Nie ma też jego samochodu. Sprawdziłam to, Spibey na pewno przyjechał tu swoim autem, więc...

Thorne spojrzał na nią.

– Musimy przypuszczać, że zabrał go nasz podejrzany.

– A co z aktówką?

Tym razem to kobieta spojrzała na niego pytająco.

– Aktówka, teczka, torba – rzucił Thorne. – Czy rzeczy Spibeya też znikły?

– Niczego takiego nie widziałam.

– To poszukajcie.

Odwróciła się i zeszła po schodach, ale Thorne wiedział, że to i tak nic nie da. Zaczął krzyczeć, ruszając w ślad za nią. Do wszystkich, którzy mogli go usłyszeć. Do siebie samego:

– Zabójca prawie na pewno znajduje się obecnie w posiadaniu poufnych dokumentów i notatek dotyczących sprawy – Jego głos rozbrzmiał echem, kiedy Thorne zbliżył się do holu. – Szczegóły dotyczące operacji nadzoru i ochrony policyjnej. Nazwiska i adresy...

Zamilkł na chwilę i omal się nie przewrócił, ale zaraz odzyskał równowagę i zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Nazwisko Debbie Mitchell.

Adres mieszkania Niny Collins.

Wbiegając na ulicę, zobaczył podjeżdżający samochód patrolowy i wysiadających z niego dwóch mundurowych funkcjonariuszy. Rozpoznał ich twarze i poczuł nagły skurcz w żołądku. Jak ich nazywała Nina Collins? Starsky i Hutch...

– Dlaczego nie jesteście w Barnet, do cholery?

Ten starszy oparł się o samochód i popatrzył ponad ramieniem Thorne'a na to, co działo się za nim.

– Kazano nam opuścić stanowisko i przyjechać tutaj.

Jego kolega dorzucił:

– Tak, powiedział, że już po wszystkim.

– Kto? – zapytał Thorne.

– Detektyw sierżant Spibey.

To było jak cios i Thorne wciąż nie mógł się z niego otrząsnąć, kiedy biegł w stronę oznakowanego BMW, które wolno sunęło w jego stronę, a kierowca szukał miejsca do zaparkowania. Thorne wściekle dawał kierowcy znaki, że ma wykręcić, i to natychmiast. Zamrugał, aby wymazać obraz, który pojawił się w jego myślach, kiedy sięgał po krótkofalówkę i zaczął wzywać posiłki.

Oczyrna duszy widział twarz Debbie Mitchell przesłoniętą plastikową reklamówką.

BMW przedzierało się przez zatłoczone ulice w Camden i Kentish Town, po czym z rykiem pomknęło na północ wzdłuż Archway Road. Myśli równie gwałtownie przelatywały Thorne'owi przez głowę, gdy przytrzymywał się deski rozdzielczej, próbował opanować oddech i rzucał mięsem pod adresem każdego pojazdu, który nie usuwał się z drogi dostatecznie szybko.

Tak naprawdę wulgaryzmy przeznaczone były dla człowieka, który zdołał wywieść go w pole.

Ciało odkryte w kanale musiało należeć do prawdziwego Andrew Dowda. Przecież nietrudno byłoby zdobyć próbkę DNA i dokonać identyfikacji zwłok. Rozmowa, jaką niebawem Thorne przeprowadzi z wdową po Dowdzie, będzie znacznie trudniejsza. W głębi duszy spodziewał się, że kobieta pozwie ich do sądu za nieudolność i niekompetencję. To nie będzie łatwa sprawa do obrony.

– Proszę się trzymać.

Thorne zacisnął zęby, próbując udawać, że w ogóle się nie boi, podczas gdy samochód przejechał na czerwonym i zjechał na pas dla autobusów. Zauważył, że wskazówka prędkościomierza zbliża się do stu dziesięciu.

– Jeszcze góra dziesięć minut – powiedział kierowca.

Thorne przypomniał sobie, co powiedział Hendricks, że ofiara została zabita gdzieś indziej, a potem podrzucona. Można było przypuszczać, że Walsh – lub Garvey, jak teraz siebie nazywał – podążył za Dowdem do Cumbrii i tam go zabił, po czym wrócił do Londynu, aby pozbyć się ciała,

zanim znów udał się do Kendal i oddał w ręce tamtejszej policji.

Jak na potwora był naprawdę genialny.

Sztuczka nie polegała na tym, by upodobnić się do Dowda, stąd tak radykalna zmiana w wyglądzie mężczyzny, którego tożsamość ukradł. Ogolenie głowy przekonało wszystkich, że patrzą na człowieka, który przeżył poważne załamanie nerwowe, a Garvey wykorzystał całą swoją wiedzę na temat życia prywatnego Andrew i Sarah Dowdów, żeby nie dopuścić tej kobiety do siebie. Chciał usunąć ją poza nawias. Mył ich samochody. Obserwował i czekał na dogodną okazję, gromadząc informacje, które zamierzał wykorzystać w odpowiednim czasie. Kłopoty małżeńskie dały mu idealną wymówkę, kiedy tylko „stał się” Dowdem, aby uniknąć konfrontacji z jedyną osobą, która zorientowałaby się, że nie jest tym, za kogo się podaje.

W kwestii tupetu można by to przyrównać do złodzieja wnoszącego wielkie łóżko głównym wejściem ze sklepu meblowego.

Gdy Anthony Garvey nie był w stanie odnaleźć dwóch mężczyzn ze swojej listy, pozwolił, by zrobiła to za niego policja.

Wkręcił się do śledztwa. Fowlera miał jak na talerzu, w zamkniętym pokoju za ścianą. Bezbronna ofiara. A zamiłowanie jednego policjanta do hazardu i związane z tym rozluźnienie procedur dało Garveyowi sposobność, na którą czekał, i informacje, których potrzebował.

Doprowadziły go one do ostatniej ofiary z listy.

Pomimo szybkości, hałasu i adrenaliny krążącej w żyłach Thorne drgnął nerwowo, kiedy zadzwoniła jego komórka. Gdy samochód wjechał do Finchley, przez pół minuty przekrzykiwał syrenę, każąc Hollandowi sprawdzić i potwierdzić przybycie na miejsce innych jednostek, którym nakazał udać się do domu Niny Collins w nadziei, że dotrą na miejsce przed nim.

– Dorwiemy go – oznajmił Holland.

Syrena zawyła ponownie, zanim Thorne zdążył powiedzieć coś więcej, więc się rozłączył. Schował właśnie telefon do kieszeni, kiedy przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Garvey zabrał marynarkę Spibeya, jego aktówkę, papiery i legitymację, której użył, kiedy rozmawiał z policjantami przed domem Collins. Więc czemu nie...?

Znów wyjął komórkę, przeszukał pamięć i wybrał numer, pod który zadzwonił dziś z samego rana, kiedy ostatni raz rozmawiał z Brianem Spibeyem.

Trzy sygnały, cztery, aż wreszcie ktoś odebrał.

– Nie spieszyło się panu, panie Thorne.

Thorne potrzebował chwili, żeby złapać oddech. Nonszalancja i swada w głosie tamtego sprawiły, że dreszcz przeszedł mu po plecach i poczuł ucisk w klatce piersiowej.

– Czy ona żyje?

– Może powinien pan sprecyzować pytanie.

– Posłuchaj, wiem, o co w tym wszystkim chodzi, Simonie, i musimy o tym porozmawiać.

– Mam na imię Anthony.

– Przepraszam... Anthony Musimy pomówić o tym, że ta sprawa pozostanie ponownie zbadana.

To, co powiedział, było jedną wielką bzdurą, ale nie przychodził mu do głowy żaden inny sposób, w jaki mógłby dotrzeć do tamtego. Skrzywił się, słysząc reakcję Garveya, ironię w jego głosie, co uzmysłowiło mu, że tamten przejrzał jego fortel.

– Doprawdy? Zrobiłby pan to dla mnie? Po tylu ofiarach?

Thorne'owi aż zaschło w ustach. Powiedział „tylu”. Nie sprecyzował,



ilu konkretnie. Czy Garvey patrzył właśnie na ciało Debbie Mitchell?

– Jest pan tam jeszcze?

– Jestem – odparł Thorne.

– Zakładam, że namierzacie tę rozmowę.

– Nie.

– Próbujecie zlokalizować przekaźnik czy coś takiego.

– Wcale nie.

Nie mieli czasu, a przecież to i tak miało się z celem, bo Thorne doskonale wiedział, gdzie teraz znajduje się Garvey.

– Dziś technika stoi na znacznie wyższym poziomie niż przed laty, kiedy policja krążyła po omacku, usiłując dopaść mojego ojca.

– To prawda.

– Pan też trochę się naszukał, błądząc po omacku.

– Nie przeczę – przyznał Thorne. – Ale byłeś dość sprytny.

– Racja. Skoro podejście „możemy o tym porozmawiać” nie poskutkowało, teraz próbuje mnie pan podejść pochlebstwami. – Garvey westchnął. – Jest pan taki przewidywalny.

– Po prostu staram się uratować życie tej kobiety.

– Wie pan co, straszny hałas tam, gdzie pan teraz jest – powiedział Garvey – Te wyjące syreny i w ogóle.

– Powiedz, czy Debbie wciąż żyje...

– Aż mnie głowa od tego rozboleła.

– Po prostu wyjdź stamtąd – rzekł Thorne. – Jeżeli ona nadal żyje, uciekaj. Jasne? Nie dbam o to.

– Chyba mam jeszcze coś do załatwienia.

– Anthony...

Połączenie zostało przerwane.

Thorne odwrócił się, by spojrzeć na kierowcę, który nie odrywał

wzroku od drogi. Zważywszy na to, z jaką prędkością jechali, Thorne był mu za to niezmiernie wdzięczny, ale wiedział, że mężczyzna słuchał.

– Pięć minut – oznajmił kierowca.

Thorne mógł jedynie zamknąć oczy, zacisnąć dłonie w pięści i mieć nadzieję, że Debbie Mitchell ma aż tyle czasu.

Postąpiła kolejny krok w stronę kuchni, jednym okiem zerkając na drzwi prowadzące do przedpokoju, gdzie mężczyzna wciąż rozmawiał przez telefon.

– Muszę odebrać – powiedział, zerkając na niewielki wyświetlacz komórki, i uśmiechnął się, zanim odebrał. – Nie spieszyło się panu, panie Thorne.

Zrobił dwa kroki w stronę drzwi, spoglądając na nią i kręcąc głową, jakby mówił: „Co za upierdliwy typ. Proszę mi dać minutkę”.

Debbie z wyrozumiałością skinęła głową i gestem dała do zrozumienia, że zaparzy herbatę, przygryzając wargę i nie chcąc niczego dać po sobie poznać, dopóki mężczyzna nie wyszedł do przedpokoju i nie zniżył głosu.

*Nie spieszyło się panu, panie Thorne...*

Nie to, co powiedział, sprawiło, że poczuła uścisk w żołądku, choć wiedziała, iż detektyw nie zwróciłby się tak do kolegi. Przeraziło ją to, co zobaczyła, kiedy wstał kilka minut temu. Po tym jak przykucnął przy kanapie obok niej. Nagły błysk czerwieni, kiedy poły jego marynarki rozchyliły się, szkarłatny rozbryzg pośród bieli.

Plamy krwi na koszuli.

Słyszała, jak coś mówi z wyraźnym rozbawieniem, gdy stanęła u wejścia do kuchni i gestem próbowała przywołać do siebie Jasona. Wciąż był pochłonięty kolorowanką.

Wysyczała jego imię. Nadal żadnej reakcji.

Zawołała go ponownie, nieznacznie podnosząc głos.

Kiedy Jason odwrócił głowę w jej stronę, spojrzała w kierunku drzwi do salonu, aby upewnić się, że tamten nie mógł jej usłyszeć. Policzyła do trzech, wzięła głęboki oddech, powstrzymując łzy i naglącą potrzebę oddania moczu.

– Chodź do mamusi, Jasonie.

Pokiwał do niej głową.

– No chodź, ptaszyno.

Jason podniósł się powoli, potem przez przeraźliwie długą chwilę stał, gapiąc się w ścianę, jakby zapomniał, co miał zrobić. Debbie wyciągnęła rękę i pomachała. Zacmokała językiem i zaczęła powtarzać „ciuch, ciuch”, aż jej synek odwrócił się, uśmiechnął i podbiegł do niej.

Nieomal zawlokła go do kuchni i po cichu przytknęła drzwi. Zwróciła uwagę, że się denerwował, bo wyczuwał jej strach. Ale nie miała czasu, żeby go uspokajać.

Podkręciła radio, a potem pochyliła się i wyszeptała Jasonowi wprost do ucha:

– Pogwiźdzemy na pociągi.

Rozpromienił się, a ona drżącą dłonią ujęła go za rękę, drugą zaś delikatnie nacisnęła klamkę tylnego wyjścia.

Brigstocke zadzwonił nie więcej niż minutę po tym, jak Thorne skończył rozmawiać z Garveyem. Nadinspektor dotarł do mieszkania Niny Collins z ekipą detektywów z posterunku w Barnet i jednostką taktyczną, którą odwołano z Euston i która odjechała jeszcze przed Thorneem.

– Jak daleko jesteś?

– Parę minut.

– I co myślisz, Tom?

Choć był starszy stopniem, Brigstocke sprawiał wrażenie, jakby naprawdę zależało mu na opinii Thorne'a, którego ucieszyła i skonsternowała jednocześnie ta osobliwa forma kurtuazji.

– Myślę, że powinieneś wkroczyć – powiedział.

– Nie powinniśmy trochę poczekać? – spytał Brigstocke. – Ocenić sytuację...? On może mieć broń.

– Nie ma podstaw, by przypuszczać, że jest uzbrojony – odparł Thorne.

– Ale to i tak bez znaczenia. Użyj wszystkiego, co mu wpadnie w ręce. Ostatnio użył rośliny w doniczce, na miłość boską.

– Fakt.

– Wejź tam z drzwiami, Russell. Nie daj mu szansy.

I tak po raz drugi w ciągu niespełna godziny Thorne dotarł na miejsce przestępstwa i nie mógł zrobić nic więcej prócz przyglądania się twarzom tych, którzy pojawili się tam przed nim, by wyczytać z nich, jak przedstawia się sytuacja.

Czy przybył za późno, aby cokolwiek zmienić.

Tym razem, kiedy zajechał przed dom Niny Collins, był zakłopotany i przepełniło go uczucie ulgi, gdy podbiegł do drzwi, by spotkać się tam z Russellem Brigstockiem.

– Nikogo nie ma – rzekł Brigstocke.

Ulga była krótkotrwała. Czy Garvey ją uprowadził?

– Są jakieś ślady...?

– Żadnej krwi. Nic, co wskazywałoby na szamotaninę.

– To musi być dobry znak – stwierdził Thorne. – Nie uważasz?

Zanim Brigstocke zdążył odpowiedzieć, na tyłach domu rozległ się okrzyk. Kilka sekund później do holu wpadł ubrany po cywilnemu oficer w kamizelce kuloodpornej.

– Może powinniście wyjść do ogrodu.

Podczas gdy oficer wyjaśnił Brigstocke'owi, co odkrył, Thorne pospiesznie wszedł do domu i wybiegł przez otwarte kuchenne drzwi. Natychmiast to zauważył. Białe plastikowe krzesło ogrodowe przeniesiono od stołu na patio i ustawiono pod płotem przy drugim końcu niewielkiego ogrodu. Na siedzeniu można było dostrzec ślady ubłoconych stóp. Thorne schylił się, aby się im przyjrzeć.

Ślady trzech par stóp.

Ostrożnie, aby nie zniszczyć dowodów, Thorne pobiegł po drugie krzesło, przystawił je do płotu i wyjrzał ponad nim.

Nie zauważył nic prócz zarośli ciągnących się aż do rzędu garaży, ziemi usłanej rozmaitymi śmieciami, odłamkami szkła, pogiętymi kawałkami metalu, dostrzegł też pozostałości kilku ognisk i porzucony stary materac. W oddali ogrodzenie ze starej metalowej siatki zakręcało i znikało za rogiem.

Zeskoczył z krzeselka i próbował zastanowić się, co dalej, aż w końcu sięgnął po telefon.

Kiedy Nina Collins odebrała, sprawiała wrażenie bardzo zajętej, ale mimo to chętnie powiedziała Thorne'owi, co o nim myśli.

Przerwał jej pospiesznie, usiłując zachować spokojny ton głosu. Nie chciał jej wystraszyć, ale potrzebował szybko uzyskać od niej informacje.

– Debbie zniknęła.

– Jak to? Dokąd poszła?

– Dokąd można dojść, przełaząc przez płot na końcu ogrodu za domem?

– Co takiego?

– Dokąd można tamtędy dojść, Nino?

– Na miłość boską, przelazła przez płot?

– Dokąd mogła pójść Debbie?

Cisza trwała przez kilka sekund, aż wreszcie Nina znów zaczęła kląć. Thorne kilka razy próbował ją uciszyć, a kiedy skończyła, usłyszał w tle męski głos.

– Nino, dokąd Debbie mogła zabrać Jasona? – Thorne czekał, aż znów usłyszy jej oddech, i powiedział powoli: – Gdyby była przerażona.

– Nie wiem, Chryste Panie! – Mężczyzna znów coś powiedział, a głos Niny wydawał się zduszony, jakby zatkała dłonią mikrofon i kazała tamtemu, aby się zamknął. – Może do parku.

– Do parku? – Ulubione miejsce dzieciaka. – Jesteś pewna?

– Stale tam chodzą.

Gdy mężczyzna, który był z Niną, zaczął krzyczeć, Thorne rozłączył się. Kiedy się odwrócił, zobaczył kobietę stojącą w sąsiednim ogrodzie. Trzymała na ręku dziecko i patrzyła przez płot na Thorne'a.

– Tu jest jak w domu wariatów – powiedziała.

– Widziała pani coś?

Pokręciła głową, po czym skinęła na trzymany przez Thorne'a telefon.

– Słyszałam pańską rozmowę. Przepraszam.

– Nieważne.

– Chodzi o to, że jest krótsza droga.

To było tak proste, że zdawało się, iż nie ma innego wyboru, kiedy przedzierała się przez zarośla na tyłach ogrodu Niny i przez dziurę w płocie, a następnie przez zagajnik dostała się do parku. Myśl o tym, co mogło być tuż za nią, popychała ją naprzód. Nie pozwalając, aby Jason zatrzymywał się po drodze, odciągnęła go od staruszki z psem i przeszła z nim przez boisko w stronę mostu. Pewność była równie niewzruszona i wszechogarniająca jak panika.

Teraz jednak, gdy spojrzała z mostu w dół, sparalizował ją całkiem inny strach.

Zmienił ją w kamień, czyniąc kompletnie bezradną.

W jej wyobraźni to wszystko było takie proste i oczywiste. Nie wybrała takiego rozwiązania, a gdyby miała wybór, zdecydowałaby się zrobić to zupełnie inaczej. Nie mogąc zasnąć i nasłuchując zgrzytu klucza Niny w zamku, wyobrażała sobie ostatnie chwile jako preludium do długiego snu, z pokruszonymi pigułkami, alkoholem i Jasonem tulącym się do niej pod kołdrą. Odpłynęliby razem przy włączonym radioodbiorniku albo może dźwiękach bajki Jasona dochodzącej z sąsiedniego pokoju. Jego długie, ciepłe ciało wyciągnęłoby się obok niej.

Nieświadomie. Bez lęku.

Znajdujący się tuż obok niej Jason poklepał właśnie dłonią krawędź mostu, pomrukując z podniecenia. Otworzyła oczy i patrzyła, jak falujący wąż pociągu prostuje się, a szyny skrzypią pod jego kołami, kiedy ostatni wagon, turkoczając, pokonuje zakręt i wytacza się na prostą.

To się stanie szybko, wiedziała, ale wysokość była straszna i Debbie na kilka sekund znów stała się małą dziewczynką nie starszą niż teraz Jason.



Rozdygotana zaciskała palce stóp na krawędzi trampoliny, podczas gdy ojciec popychał ją w plecy i mówił, żeby się nie wygłupiała. Żeby nie była dzieckiem. Zamrugwała, by zetrzeć łzy, i spojrzała w dół na czarne linie na dnie basenu, pofalowane pod taflą błękitu. Oparła się o dłoń ojca. Zamknęła oczy i próbowała przezwyciężyć mdłości.

Czy to ją teraz powstrzymywało, dociskało do kamieni i rozdzierało serce jak przemoczony papier? Chryste... może się pomyliła? Czy była głupią egoistką? Nie myślała o niczym innym, odkąd policja po raz pierwszy zapukała do jej drzwi, żeby ją ostrzec. Była taka pewna, że to właściwie rozwiązanie. Dla nich obojga.

Jason nie mógłby przeżyć bez niej, nie miała co do tego wątpliwości. Nie byłby w stanie zamieszkać z kimkolwiek innym. Nikt oprócz niej nie potrafił go w pełni zrozumieć ani sprawić, żeby był szczęśliwy. Nikt nie mógłby pokochać go tak mocno jak ona.

Teraz jednak, kiedy cegły pod nią zaczęły pulsować, głos, który rozległ się pod jej czaszką, zakrzyknął, że myślała tylko o sobie. Skąd mogła wiedzieć, jak potoczyłoby się życie Jasona? Jaka mogłaby czekać go przyszłość? Przez cały czas odkrywano coś nowego, medycyna szła stale naprzód, opracowywano nowe leki, znajdowano sposoby na dotarcie do dzieciaków takich jak on.

– Ciuch, ciuch...

Debbie odwróciła głowę, popatrzyła na Jasona, jego usta poruszały się, oczy były żywe, błyszczące. Bez lęku. Ruch dostrzeżony kątem oka uświadomił jej, że mężczyzna, przez którego się tu znaleźli, jest zaledwie o metry od ich, dzieli ich kilka chwil, sekundy.

Poczuła swój kwaśny smród i pęd wiatru omiatającego jej twarz, która wyglądała jak pozbawiona krwi maska. Wyglądała teraz jak ktoś, kto umierał.

I tak było.

Właśnie wtedy, gdy zebrała się na odwagę, usłyszała głos Thorne'a, ochrypli, pełen desperacji, rozbrzmiewający pośród turkotu pociągu. Nawoływał ją po imieniu co kilka sekund, najpierw z ulicy, a potem ze ścieżki na prawo od niej.

Wycucie czasu miał równie kiepskie jak żarty, które opowiadał, pomyślała, odwracając się.

Zamknęła oczy i palcami poprawiła cienkie ramiączka wrzynające się w ciało dawno już nieistniejącego kostiumu kąpielowego.

Ręka ojca dotknęła jej pleców.

Thorne skorzystał ze wskazówek kobiety w ogrodzie. Przebiegł przez dom i wypadł frontowymi drzwiami, nie zważając na spojrzenia tych, których omal nie przewrócił, i pytania, kiedy mijał Russella Brigstocke'a. Schwycił kluczyki pierwszego z brzegu radiowozu i ruszył z piskiem opon. Powrócił na Great North Road, skręcił na południe ku Whetstone i odliczał zjazdy, aż dotarł do właściwego i znalazł się w bocznej uliczce o kształcie litery U.

Szukał ścieżki prowadzącej ponad linią torów kolejowych.

To było zwyczajne wejście, tak mu powiedziała kobieta, z tej drogi korzystały miejscowe dzieciaki i właściciele psów, powinien dotrzeć nią do parku znacznie szybciej niż drogą, którą najwyraźniej wybrała Debbie Mitchell. Było jeszcze kilka innych wąskich przesmyków pomiędzy blokami, ale właśnie tą drogą należało iść, jeśli się kogoś szukało. W ten sposób, powiedziała kobieta, będzie miał najlepszy widok na park, docierając tam z góry, no i przejedzie na drugą stronę mostu kolejowego.

Thorne zaparkował tuż przy wejściu, a kiedy obszedł samochód, zobaczył staruszkę z pieskiem wyłaniającą się z jednego z przesmyków między blokami na lewo od niego. Podbiegł do niej. Dostrzegł wyraz zaniepokojenia na jej twarzy, zauważył, że cofnęła się w stronę najbliższej furtki, przyciągając do siebie labradora. Thorne sięgnął do kieszeni po legitymację i zawołał, kiedy jeszcze dzieliło go od niej dobrych pięć metrów:

– Jestem z policji. Szukam kobiety z ośmioletnim chłopcem.

Pies zaczął szczekać, a kobieta powiedziała, żeby był cicho.

– Widziała ich pani w parku? Ona jest wysoką blondynką.

Starsza kobieta zaczęła karmić psa czymś, co wyjęła z kieszeni.

– Zgadza się, była z synkiem – odpowiedziała. – Biedaczek. Chłopiec nie mówi dużo...

– Czy był z nimi ktoś jeszcze?

Kobieta pokręcił głową i nagle się zdenerwowała.

– Nie sądzę, drogi panie. Nikogo nie zauważyłam.

– Gdzie to było?

Zamyśliła się przez chwilę i wskazała ponad ramieniem Thorne'a.

– Myślę, że szli w stronę mostu.

Pies znów zaczął szczekać, domagając się smakołyku.

– To było nie dalej jak pięć minut temu, ale bardzo się spieszyli.

Thorne zaczął biec.

W miejscu gdzie ścieżka odchodziła od drogi, była na tyle szeroka, by mógł przejechać nią samochód, ale Thorne zauważył, że w oddali się zwęzłała. Biegła prosto przez jakieś pięćdziesiąt metrów, by następnie skręcić w prawo. Widok na to, co znajdowało się za zakrętem, przesłaniały wierzchołki drzew i ciąg niskich budynków tam, gdzie kończył się prosty odcinek ścieżki.

Thorne zaczął nawoływać Debbie po imieniu.

Za ogródkami ścieżkę po obu stronach zamykały garaże i inne przybudówki gospodarcze. Wzdłuż niej pochylały się bądź wznosiły płoty w różnym stopniu wymagające naprawy. Kiedy Thorne biegł przed siebie, gęste zarośla i niskie drzewa ustąpiły miejsca resztkom jakiejś zabudowy: obłazącym z farby fragmentom drewna i cegły; pokrywające ją graffiti zlewało się w barwne zawijasy, których prawie nie dostrzegał, mijając je.

– Debbie!

To moja wina, pomyślał Thorne, nie zwalniając tempa. Moja wina,

moja wina, te słowa rozbrzmiewały w rytmie jego stóp przebiegających po ziemi i kamieniach. A jeżeli nie, to na pewno jestem za to odpowiedzialny...

Znowu zawołał, ale w odpowiedzi usłyszał tylko swój zasapany oddech, pobrzękiwanie drobniaków w kieszeni i skrzeczenie wron gdzieś na prawo; gnał w stronę zakrętu ścieżki.

Odpowiedzialność za to spada na mnie.

Na końcu prostego odcinka ścieżki, trzymając się prawej strony, aby zaoszczędzić maksymalnie na czasie, chciał ściąć zakręt, ale poślizgnął się, gdy spod furtki wyskoczył kot, a on gwałtownie zmienił kierunek, aby go wyminąć. Był spocony i zdyszany, miał wrażenie, jakby zerwał coś pod kolanem, ale zauważył, że ścieżka zaledwie dziesięć metrów dalej zakręca ostro w lewo. Przez prześwity między drzewami dostrzegł hen, w dole tory kolejowe. Wiedział, że tuż za rogiem jest most i że zobaczy to, co chce ujrzeć, kiedy tylko pokona kolejny zakręt.

Usłyszał nadjeżdżający pociąg.

Nabierał prędkości, w miarę jak zbiegał coraz bardziej ostrą stromizną w dół zbocza. Panika dodawała mu sił. Myśli kłębiły się w jego głowie jak spłoszone szczury. Obrazy były coraz bardziej mroczne i okrutne.

Garvey sięgający po cegłę i reklamówkę. Krzyczący chłopiec. Krew na jasnych włosach Debbie Mitchell.

Thorne zawołał raz jeszcze, pokonując ostatni zakręt i próbując przepłoszyć szczury.

Po prawej miał kilka metalowych furtek, mijał je, zbliżając się do mostu: działki, na których walały się silniki i stare opony, sterta drewna i starodawne kosiarki do trawy, rząd brudnych szklarni i napis ułożony z plastikowych liści: „Szkółka drzew Whetstone”. Po kilku krokach Thorne zorientował się, że kobieta w ogrodzie miała rację. Rozciągała się przed nim zapierająca dech panorama, fantastyczny widok na cały park. Ujrzał ponad

wierzchołkami drzew całą jego połączyć, aż do dwóch boisk piłkarskich, równoległe ścieżki piesze i rowerowe prowadzące w kierunku niewielkiego stawu oraz rozległe łąki w oddali, a za nimi, mniej więcej kilometr od miejsca, w którym stał obecnie, dostrzegł kraniec pola golfowego. Ale tak daleko nie musiał patrzeć.

Debbie i Jason byli na moście na wprost niego.

Thorne stanął jak wryty, kiedy zobaczył, że siedzą na murze. Poczuł, że żołądek mu się wywraca i śniadanie podchodzi do gardła. Czy powinien zostać tam, gdzie jest teraz, czy lepiej, żeby spróbował do nich podejść? Powinien nawoływać czy raczej zachowywać się cicho? Przede wszystkim nie chciał wystraszyć Debbie. Musiał zachować spokój, ale niech to, właśnie nadjeżdżał pociąg. I wtedy zobaczył

Garveya, który wbiegł na most z drugiej strony nie dalej niż kilka metrów od nich, i zrozumiał, że nie ma wyboru.

Zakrzyknął imię Debbie – zabrzmiało to jak ostrzeżenie i błaganie zarazem – po czym zaczął biec. Zobaczył, że Garvey unosi głowę, by na niego spojrzeć, i że Debbie zrobiła to samo.

Biegł, nie zastanawiając się nad tym, co robi, kiedy dotrze do mostu, wodząc wzrokiem od postaci na wprost niego do pociągu zbliżającego się szybko z prawej strony, i nagle ze zgrozą spostrzegł, że drogę zablokowała mu metalowa przyczepa wyprowadzana na wprost niego z jednej z działek po prawej.

Thorne krzyknął, ale przyczepa nie zatrzymała się; była wypełniona stertą plastikowych pojemników z wodą, worków z kompostem i palm doniczkowych. Wyjeżdżała z terenu szkółki drzew ciągnięta przez miniaturowy traktor; kierowca, kiedy spojrzał na Thorne'a, próbował zawrócić.

– Z drogi, kurwa! Chryste...

Na kilka cennych sekund Thorne stracił z oczu postacie na moście. Kiedy w końcu znów mógł coś zobaczyć, było dla niego oczywiste, że Garvey dogonił Debbie i Jasona. Wywiązała się gwałtowna szamotanina.

Thorne ujrzał dłonie rozpaczliwie próbujące uchwycić się czegoś.

Usłyszał krzyk Debbie:

– Nie!

Wrzasnął na kierowcę traktorka i przywarł plecami do furtki, usiłując się precyzyjnie przycisnąć. Kiedy usłyszał pisk hamulców lokomotywy, postanowił przegramolić się po prostu ponad kierowcą, gdy jednak pokonał wreszcie przeszkodę, okazało się, że nie musi już nigdzie się spieszyć.

Teraz przed sobą miał już tylko jedną postać.

Na prawo od niego pociąg wyłonił się spod mostu, zwalniając przy wtórze pisku hamulców i przeciągłego gwizdu alarmu. Widział pasażerów stojących przy oknach, którzy chcieli zobaczyć, co się stało. Dlaczego tak nagle pociąg zatrzymał się pomiędzy stacjami.

Thorne postąpił dwa kroki i spojrzał w prawo w dół na tory.

Ciała z łatwością można było wziąć omyłkowo za dwie sterty szmat.

Za nim ktoś krzyczał. Ktoś, kto widział, co się stało. Możliwe, że kierowca traktorka.

Thorne jeszcze przez kilka sekund stał w tym samym miejscu, ostatecznie jednak znudziło mu się czekanie, aż przestaną wstrząsać nim dreszcze, i ruszył powoli w stronę postaci na moście.

**CZĘŚĆ CZWARTA**  
**WSZYSTKO, CO POZOSTAJE**



## PÓŹNIEJ

### Michael

Żona przynosi mu kolację: kurczaka ze słodkimi tłuczonymi ziemniakami, jego przysmak. Dziękuje jej i bierze do ręki nóż i widelec, ale szanse na to, żeby coś przełknął, są niewielkie, a kiedy odwraca się, by zobaczyć, jak ona przygląda mu się od drzwi, uśmiecha się i raz jeszcze mówi „dziękuję”; widzi, że ona też to wie.

Odkąd to się stało, prawie nic nie je, grzebie tylko w talerzu. I w dodatku sporo śpi w dzień, co uważa za dość dziwne, bo zawsze był aktywny, a kiedy się budzi, by ujrzeć stojącą tuż obok żonę, jest pewien, że on sam też nie spał spokojnie.

– Cii – ucisza go. – Dlaczego nie poprosisz o coś lekarza?

On jednak nie wierzy w łykanie pigułek na każdą dolegliwość. Wie, że to w końcu minie, a poza tym martwiłby się, jakim byłby człowiekiem, gdyby nie został przez to odmieniony. Gdyby śnił słodkie sny i opychał się jedzeniem.

– W tunelu pod ziemią jest gorzej – powiedział mu inny maszynista. – Poniekąd miałeś szczęście. To łatwiejsze, niż kiedy wyjeżdżasz z tunelu na stację i widzisz przed sobą barwny błysk, gdy jakiś świr rzuca się pod koła.

Michael pokiwał głową, ale jak zawsze zachował swoją opinię dla siebie.

Facet, który tyle mówił, nigdy nie miał wypadku, nikt nigdy nie rzucił mu się pod koła, choć twierdził, że zna wielu maszynistów po takich przejściach.

Frontowych opowieści nie brakowało. Mitów i dezinformacji.

– Tak, w tunelach pod ziemią jest zdecydowanie ciężiej – powiedział mężczyzna.

Ale żeby dwoje. Dwoje...

– Jak wysoki był ten most? Dwanaście, piętnaście metrów? Pewnie oboje już nie żyli, zanim nadjechałeś. Nic nie mogłeś na to poradzić, stary, nic a nic. W tej kwestii nie możesz mieć sobie nic do zarzucenia.

Ten maszynista i kilku innych napoili go whisky następnego dnia. Pozwolił im na to, choć chciał jedynie pojechać do domu i położyć się do łóżka.

Pokiwał tylko głową i napił się jeszcze.

Ale on to zobaczył, zobaczył tę kobietę. Zauważył poruszające się ramię i spostrzegł, jak uniosła głowę, odwracając ją, kiedy pociąg był tuż-tuż. To właśnie wtedy zamknął oczy, czekając na uderzenie. Było prawie niewyczuwalne. Prawie!

Tak jak wtedy, kiedy przejechał lisa podczas kursu na północ do Mill Hill East.

Siada we frontowym pokoju. Telewizor jest włączony, ale dźwięk wyciszony. Już kolacja? Kiedy ostatni raz patrzył na zegarek, było dopiero wpół do jedenastej. Uważa za dobry znak to, że dni mijają mu coraz szybciej. Kilka pierwszych dni jakby w ogóle nie chciało się skończyć. Wszyscy tylko dawali mu rady i mówili szeptem.

Będzie musiał zadzwonić i zapytać, czy może wrócić. Odwiedził go ktoś ze związku zawodowego, ale wszystko rozegrało się tak szybko, że nawet tego nie zarejestrował. Dwa tygodnie przymusowego „odpoczynku”, tak?

Następnego dnia po tym zdarzeniu zadzwoniła jego córka i zaproponowała, że przyjedzie do domu, ale nie chciał ściągać jej z collegeu i powiedział, że wszystko w porządku. Teraz chciałby, żeby tu była. Mógłby z nią pomówić tak, jak nigdy nie rozmawiał z Lizzie, co było głupie, ale

trudno. Wiedział, że jego córka poradziłaby sobie lepiej z tym wszystkim.

– To był ich wybór, tato – powiedziała przez telefon. – A ty miałeś pecha, to wszystko.

Rzecz jasna to było, zanim jeszcze zaczęto pisać o tym wszystkim w gazetach. Wybór nie miał nic wspólnego z tym, co się stało z tą kobietą i jej synkiem. Oczywiście zobaczył spadające ciała, ręce i nogi, spódnice kobiety zadartą powyżej talii. Miał tylko moment, żeby zebrać się w sobie, zanim lokomotywa zbliżyła się do nich, a on przygotował się na nieuchronne uderzenie.

Na podłodze przy jego fotelu wała się sterta gazet, a na stole leżą książki w wydaniu broszurowym. Zawsze uwielbiał czytać, w każdy poniedziałek wracał do domu z czterema książkami wypożyczonymi z biblioteki. Jak w zegarku. Te przyniosła mu Lizzie, powiedziała, że pomogą mu się odprężyć i choć na chwilę zapomnieć o tym, co się stało, ale on tylko je przekartkował, prawie ich nie tknął, tak jak posiłków. Książki, które lubił, thrillery i kryminały, teraz mu nie odpowiadały, a przecież nie sięgnie po romanse Lizzie. Nie upadł jeszcze na głowę.

– Tylko miłość, kwiaty i buzi-buzi – powiedział jej kiedyś.

– Nie ma w tym nic złego. – Skrzywiła się. – To lepsze niż te krwawe, paskudne historie, które tak uwielbiasz.

Ona zjawia się w dziesięć minut później i zabiera talerz z nietkniętym posiłkiem, mówiąc, że to nieważne. On zastanawia się, kto po czymś takim musi wyczyścić przód lokomotywy. Myśli sobie, że zawsze jest ktoś, kto ma gorzej.

– Chyba się położę i poczytam gazetę – mówi Michael.

Wstaje i kładzie się do łóżka w samej bieliźnie, zamyka oczy i ma nadzieję, że nic mu się nie przyśni. Słyszy, że gdzieś na dole zamykają się drzwi, czuje to przez podłogę sypialni.

Tylko lekki wstrząs. Nic więcej. Jak wtedy, kiedy lis wpadł mu pod koła.

## MÓJ DZIENNIK

### 16 PAŹDZIERNIKA

W barze rozbrzmiewają donośne okrzyki i czas na słynne ostatnie słowa. Przynajmniej ostatnie słowa na tych stronach, bez względu na to, jak się później wszystko ułoży. Powinienem zapewne pomyśleć o czymś głębokim i znaczącym, ale trudno jest mi się w tej chwili skupić, kiedy tak się czuję. Na ironię zakrawa fakt, że akurat dziś doskwiera mi dojmujący ból głowy. Powinienem poleżeć w ciemnościach, ale nie mam czasu.

Niedługo się zacznie.

Miła, przyjacielska gra w karty.

Przez cały ten czas zastanawiałem się, co powiedziałyby mój ojciec o tym, co robię. Mam jedynie nadzieję, że zaaprobowałyby to, ale nigdy się tego nie dowiem. Nigdy nie chciał ze mną rozmawiać o tym, co zrobił, o tych kobietach, za które trafił za kratki. Może to dlatego, że tego nie rozumiał, a przynajmniej do czasu, gdy wykryto u niego guz. Tak czy inaczej wolał zachować to dla siebie, a ja, choć bardzo pragnąłem poznać prawdę, musiałem to uszanować. Postanowił milczeć. I w tej kwestii się różnimy.

Jeżeli stanie się najgorsze i znajdę się w tej samej sytuacji, nie będą mogli zamknąć mi ust.

Z dziką rozkoszą będę mówił do każdego, kto zechce mnie wysłuchać. Będą musieli umieścić mnie w izolatce, żebym dał wszystkim spokój! Czy robiąc to, co zrobiłem, dopiąłem swego? Chyba tak. Czy to cokolwiek zmieniło? Odmieniło mnie i na tym będę musiał poprzestać. A te ostateczne słowa? Cóż,

podejrzewam, że to zależy, dla kogo je zapisuję. Dla tej garstki wybrańców, którzy kiedykolwiek to przeczytają. Przepuszczalnie treść tego dziennika zostanie odczytana w sądzie pełnym dramatyzmu i napięcia głosem, aby co bardziej wrażliwi ławnicy mogli wstrzymać oddech albo pohamować cisnące się do ich oczu łzy. Soczyste fragmenty niemal na pewno zostaną wybrane na nagłówki do gazet, co sprawi, że mojemu kumpłowi kioskarzowi wpadnie parę funtów ekstra ze sprzedaży tabloidów. Wiem, że później nad każdą stroną będą ślęczyć bez końca psychiatrzy i dokumentaliści.

Powodzenia.

Chodzi o to, że nie wiem, czy w ogóle mam jeszcze chęć, aby wyrzucić na kims wrazenie. Na kimkolwiek. U kresu dnia, zwłaszcza tak ważnego jak ten, nie mogę marnować cennego czasu, próbuję wymyślić coś wzniosłego i głębokiego.

Więc chuj z tym.

Trzymam kciuki.

Thorne odłożył ostatnią stronę zawartości akt, grubego pliku kartek odbitego na ksero podniszczonego notesu znalezionego wśród rzeczy Dowda w Plantacji Trawki. Dziennik sięgał wpisami do dnia śmierci Raymonda Garveya w szpitalu Addenbrooke po operacji guza mózgu.

Do dnia, kiedy wszystko się zmieniło.

Do dnia, kiedy Anthony Garvey zaczął opracowywać swój plan.

Thorne napił się piwa prosto z puszki. Potrzebował tego.

– Co się stanie z Jasonem? – zapytała Louise.

– To zależy od decyzji opieki społecznej – odparł.

– Chłopiec raczej nie ma do niej szczęścia, prawda?

– Nie ma nikogo innego – powiedział Thorne.

Nina Collins zaproponowała, że go przygarnie, błagała, by go jej oddali, ale niewiele osób uważało, iż nadaje się na matkę zastępczą.

Louise leżała na kanapie z uniesionymi stopami, a Elvis wyciągnęła się na jej piersiach. Macała wokół tak długo, aż odnalazła pusty kieliszek. Uniosła go w dłoni.

– Chyba napiłabym się jeszcze.

Thorne wstał, wziął od niej kieliszek i wyszedł do kuchni.

– Jak sądzisz, dlaczego to zrobił? – zapytała Louise.

Thorne schylił się, by wyjąć butelkę z lodówki. Zamrugał i zobaczył twarz Jasona Mitchella, desperację w oczach chłopca, kiedy wyciągnął do niego rękę i próbował przyciągnąć go do siebie; powtarzane przez chłopca „ciuch, ciuch” było prawie niesłyszalne pośród zawodzenia syren i pisku

hamulców lokomotywy.

– Chodź ze mną, Jasonie – powiedział Thorne. – Wrócimy do cioci Niny, ona na nas czeka.

Jason wciąż się uśmiechał, wciąż puszczał ustami wyimaginowane kłęby dymu i wskazywał w stronę mostu, kiedy Thorne odprowadził go na ścieżkę w stronę czekających samochodów i mrugających świateł policyjnych kogutów.

– Tom?

Wrócił do salonu i podał Louise kieliszek z winem.

– Przepraszam, co mówiłaś?

– Dlaczego Garvey się zabił?

– Carol uważa, że to zawsze stanowiło element jego planu – odparł. – Jego matką była jedna z ofiar jego ojca. A zatem znajdował się na własnej liście.

Louise spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Tak, wiem.

Jedna czy dwie linijki w dzienniku Garveya sugerowały, że on także sądził, iż umiera i może niebawem zejść z tego świata jak jego stary. Autopsja wykonana przez Hendricksa, kiedy tylko patolog wrócił ze Szwecji, nie wykazała obecności guza, co wskazywało, że Garvey cierpiał jedynie na sporadyczne migreny. Wyglądało jednak na to, że hipochondria stanowiła najmniej istotny z jego problemów psychologicznych.

– To tylko przypuszczenia – rzekł Thorne. – Prawda jest taka, że mam to gdzieś.

Powiedział dokładnie to samo Nicholasowi Maierowi, kiedy literat zadzwonił do niego, uprzejmie przypominając, że w zamian za milczenie Thorne obiecał opowiedzieć mu całą historię.

– Zawarliśmy umowę – upierał się Maier.



Thorne powiedział mu, gdzie może ją sobie wsadzić, i rozłączył się.

Teoria Chamberlain dotycząca tego, co wydarzyło się na moście, była jedną z kilku. Debbie Mitchell mogła walczyć o życie albo w najlepszym razie pociągnęła Garveya za sobą, rzucając się pod nadjeżdżający pociąg. Może zrobił to Jason, zawzięcie walcząc w tych ostatnich chwilach i próbując ocalić matkę. Thorne był pewien tylko jednego, bo widział ich siedzących na szczycie muru, że dopóki nie dopadł ich Anthony Garvey, Debbie Mitchell planowała, iż odbierze życie sobie i swojemu synowi. Trudno mu było to zrozumieć, ale nie mógł jej potępiać. Bezmiaru miłości, jaką matka darzyła swoje dziecko – zwłaszcza że zdawała sobie sprawę, iż bez niej chłopiec nie byłby szczęśliwy – nigdy nie zdoła w pełni zrozumieć. Chyba że sam zostanie ojcem i coś się w nim zmieni. Już miał to powiedzieć Louise, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, bo wiedział, że nie powinien wywierać na nią żadnych nacisków.

– Może położymy się dziś wcześniej – zaproponowała.

– Brzmi kusząco.

Thorne wiedział, że w jej słowach nie było żadnych podtekstów. Oboje potrzebowali snu. Louise dłużej nawet niż on pracowała nad skomplikowanym przypadkiem porwania: rodzina dyrektora spółdzielni budowlanej została uprowadzona, jego zmuszono, aby po godzinach wszedł do siedziby firmy i otworzył sejf. Thorne już zajmował się dwoma nowymi morderstwami, zabójstwem w kręgu pewnej rodziny i przypadkiem, w którym ofiara została potrącona przez samochód, a sprawca śmiertelnego wypadku zbiegł. Obie sprawy były brutalne i banalne, ale żadna nie miała szans, aby zwrócić uwagę mediów czy wydawcy tabloidów w takim stopniu jak zbrodnie Anthony'ego Garveya.

Yvonne Kitson zgłosiła się na ochotnika do przekazania Sarah Dowd wiadomości o śmierci jej męża. I wyjaśnienia, że to nie jego policja objęła

ochroną, ale został zatłuczony na śmierć w nieznanym miejscu, a następnie jego zwłoki wrzucono do kanału przy Camden Lock.

Thorne tego wieczoru zaprosił Kitson na drinka i chętnie przyjęła jego propozycję.

– Poczułam się tak, jakbym w jej mniemaniu sama wcisnęła Garveyowi cegłę do ręki – powiedziała potem. – Czy czego tam użył, by roztrzaskać głowę jej mężowi.

– Przykro mi, Yvonne.

– W porządku. Zgłosiłam się na ochotnika, pamiętasz?

– Dlaczego?

– Ty miałeś dzieciaka na moście. Musieliśmy rozdzielić jakoś ładunek bólu i cierpienia.

Teraz ładunek bólu i cierpienia został właściwie rozdzielony, a zbrodnie Garveya stanowiły zmartwienie kogoś innego. Inna ekipa była odpowiedzialna za pozamykanie poszczególnych spraw i choć do procesu z wiadomych przyczyn nie dojdzie, wciąż rosła góra papierkowej roboty, przez którą należało się przekopać w ramach przygotowania do sekcji mających stwierdzić przyczynę zgonu.

Grahama Fowlera. Briana Spibeya.

Rob Gibbons miał więcej szczęścia – ostrze noża ominęło wszystkie ważniejsze organy wewnętrzne – lecz w najbliższym czasie nie wróci do pracy.

Simon Walsh, który nazywał siebie Anthonym Garveyem, a później udawał Adrew Dowda, został szybko i po cichu skremowany; przy ceremonii były obecne tylko Sandra Phipps i jej córka. Thorne zostana-wiał się, czy więcej osób zjawi się na ceremonii pogrzebowej Debbie Mitchell. On już wziął wolne na ten dzień i oddał czarny garnitur do pralni chemicznej.

Brigstocke uniósł brew, kiedy Thorne powiedział mu o tym.

– Pora pójść dalej, Tom – stwierdził.

– Wiem – odparł Thorne i wyobraził sobie, jak wraca z pogrzebu ze śladami plwociny Niny Collins na marynarce.

– Naszym zadaniem jest sprzątać gnój – powiedział Brigstocke. – To nie oznacza, że musimy później paradować z łajnem na butach.

*Pora pójść dalej...*

Carol Chamberlain wpadła na kolację parę dni temu i z Philem Hendricksem utworzyli niewiarygodny kwartet. Patolog przyszedł z butelką wódki, którą obiecał Thorne'owi, i mało zachęcającymi opowieściami o przystojnym Szwedzie, którego poznał ostatniej nocy swojego wyjazdu.

To był miły wieczór, wszyscy wypili trochę więcej, niż powinni, zwłaszcza Chamberlain. Thorne'a wzruszyło to, jak dobrze dogadała się z Louise, ale jednocześnie zdziwiło, że przy pierwszej okazji nie wróciła do domu, do męża. Wyjaśniła mu, że pojedzie do Worthing za parę dni, bo jak stwierdziła, chce zobaczyć „tragiczny koniec” tej całej sprawy Thorne'a to nie przekonało, ale nic nie powiedział.

Chamberlain przytuliła go mocno i podziękowała, zanim wgramoliła się do taksówki, którą dzieliła z Philem Hendricksem. Thorne powiedział, żeby się nie wygłupiała, bo to on miał u niej dług.

– No to jesteśmy kwita, Tom. Zgoda?

– Zgoda – przytaknął Thorne.

Chamberlain opuściła szybę w taksówce i skinęła głową na Hendricksa.

– Sądzisz, że gdyby twój przyjaciel kiedykolwiek chciał zmienić orientację, mógłby polecieć na starszą kobietę?

Thorne życzył jej powodzenia.

Później, kiedy on i Louise próbowali posprzątać bałagan, włączył płytę Laury Cantrell. Nucił pod nosem *The Wreck of the Edmund Fitzgerald* w jej

wykonaniu, wynosząc filiżanki i talerze do kuchni, podczas gdy Louise wypełniała nimi zmywarę.

Dziesięć minut później, kiedy uporali się tylko z połową brudnych naczyń, położyli się do łóżka i żadne z nich nie miało ochoty wstać, aby zgasić pozostawione w przedpokoju zapalone światło, w głowie Thorne'a wciąż rozbrzmiewały słowa znajomej piosenki.

– Ta sprawa z dzieckiem – odezwała się Louise.

Thorne odwrócił się i podparł na jednym łokciu.

– Nie ma powodu niczego przyspieszać, prawda?

Nie wiedział, jaka powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź, więc poprzestał na pełnym wahania:

– Nie.

– Poczekamy, zobaczymy.

Thorne pokiwał głową i przez chwilę on i Louise patrzyli sobie nawzajem w oczy, a potem znów się odwrócił i leżał przez jakiś czas, nie mogąc zasnąć dręczony przez piosenkę, która nie dawała mu spokoju i nagle przestała mu się podobać.

Wszystko, co pozostaje, to twarze i imiona żon, synów i córek.

Życie, miłość i zbrodnia, dzieci i co tam jeszcze.

W gruncie rzeczy to było wszystko, co można zrobić, stwierdził w myślach.

Czekać i zobaczyć, co się stanie.

## PODZIĘKOWANIA

Jestem niezmiernie wdzięczny dr. Brianowi Little'owi, który otworzył mi oczy na wiele możliwości, oraz dr. Bobowi Bradfordowi za cierpliwość, wiedzę i cenne uwagi. Obaj objaśnili mi skomplikowaną naturę działania ludzkiego mózgu w na tyle uproszczony sposób, aby mógł ją zrozumieć mój własny, któremu daleko do doskonałości.

Jak zawsze jestem ogromnie wdzięczny wszystkim w Little, Brown, ludziom, których wsparcie i entuzjazm sprawiają, że wydanie każdej kolejnej książki jest wydarzeniem jeszcze przyjemniejszym i bardziej ekscytującym od poprzedniej publikacji.

Jak zawsze dziękuję Sarah Lutyens, Wendy Lee i Neilowi Hibberdowi.

A także Peterowi, lepszej połowie Willa Petersona.

I rzecz jasna Claire. Za ten tytuł i dużo więcej.